

NAJLEPSZA POLSKA FANTASTYKA
SCIENCE FICTION

NUMER 20 LISTOPAD 2002

ISSN 1641-4292 INDEX 36360X

CENA 4.99 ZŁ
W TYM 7% VAT

ZIEMIAŃSKI
SZMIDT
DĘBSKI
KOCHAŃSKI
KOZAKOWSKI
KOSIK
SZOLC

PUBLICYSTYKA:
ZIEMKIEWICZ
DUKAJ
KRES

IMPORT:
SZTERN
DOM

KKF
KLUB KSIĄŻKI
FANTASTYCZNEJ

WŁADCY OGNIA



WŁADCY OGNIA

PRZED PRZEBRA



Akcja filmu rozpoczyna się w niedalekiej przyszłości, w Londynie, gdzie dwunastoletni Quinn (Christian Bale), odwiedzając swoją matkę (kierowniczkę budowy metra) w pracy, przypadkowo obudzi z wielowiekowego snu smoka, który zniszczy ogniem wszystko w polu swego widzenia.

Po dwudziestu latach od tego wydarzenia niemal cała Ziemia została spustoszona przez odrodzone smoki. Quinn przeżył, jest teraz strażakiem - to najtrudniejsza i najbardziej odpowiedzialna praca w sytuacji, kiedy wszyscy patrzą w niebo wypatrując inteligentnych bestii miotających płomień. Quinn, wraz ze swym przyjacielem Creedem, nadzoruje stare zamczysko, którego grube mury dały schronienie niewielkiej społeczności. Garstka ludzi wiezie nędzną egzystencję, ale ma szansę na przeżycie. Smoki wprawdzie często atakują, a liczba ludzi maleje, ale wszyscy wiedzą, że wygłodniałe bestie muszą prędzej czy później zginąć z głodu.

Koncepcja Quinna polega na przeczekaniu - jeśli ludzie przetrwają do czasu, kiedy smoki wymrą, będzie można rozpocząć godne życie na nowo.

W osadzie pojawia się nieoczekiwanie niejaki Denton Van Zan (Matthew McGonaghey), gotowy na wszystko Amerykanin, który twierdzi, że ma sposób na pokonanie Smoków. Quinn nie wierzy mu aż do chwili, kiedy Van Zan i grupa jego „Archaniołów”, nie pokaże swoich możliwości. Van Zan przybył do zamku Quinna w poszukiwaniu ochotników do krucjaty przeciwko smokowi z Londynu - jedynemu w smoczej populacji osobnikowi płci męskiej, od którego pochodzą wszystkie inne smoki. Zabicie tej bestii zapobiegnie pojawieniu się kolejnych pokoleń smoków i szybsze rozstrzygnięcie walki na korzyść ludzi. Zdaniem Quinna, wyprawa do Londynu jest misją samobójczą i początkowo odmawia zgody na to, by jego podopieczni ryzykowali życiem. Zbliżające się wydarzenia zmuszają go jednak do rewizji poglądów. „Władcy ognia”, film wyreżyserowany przez Roba Bowmana („Z archiwum X”), są opowieścią o przygodzie i przetrwaniu łączącą świat średniowiecznej legendy z apokaliptyczną wizją przyszłości. Chyba po raz pierwszy tak sprawnie połączono motywy fantasy z klasycznym wątkiem postapokaliptycznym.

„Ujęła nas oryginalność pomysłu - mówi producent Dean Zanuck. - Nikt z nas nie widział dotąd smoków walczących ze współczesnym sprzętem bojowym jak czołgi i helikoptery. To istotnie wyróżnia „Władców ognia” na tle innych filmów o smokach”.

ReJS



*Gorzka, okrutna opowieść
o zawiedzionych marzeniach,
niespełnionych miłościach
i straconych złudzeniach.*

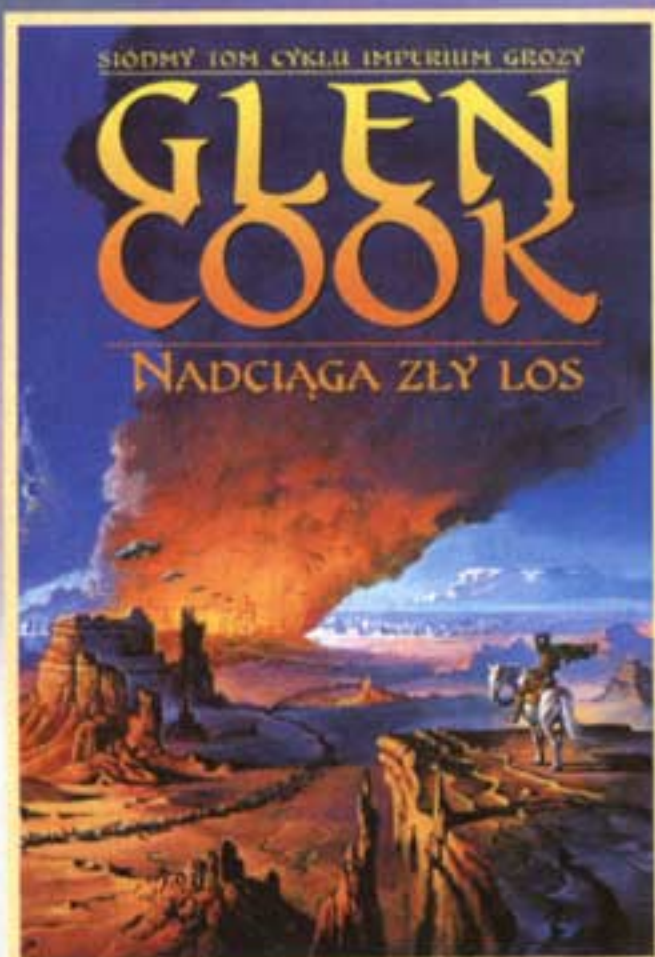


Do nabycia w salonach **EXPLO**,
w księgarniach, w sklepach internetowych
www.vivid.pl i www.valkiria.net
www.mag.com.pl
Sprzedaż wysyłkowa: (22) 6424545,
e-mail handel@mag.com.pl

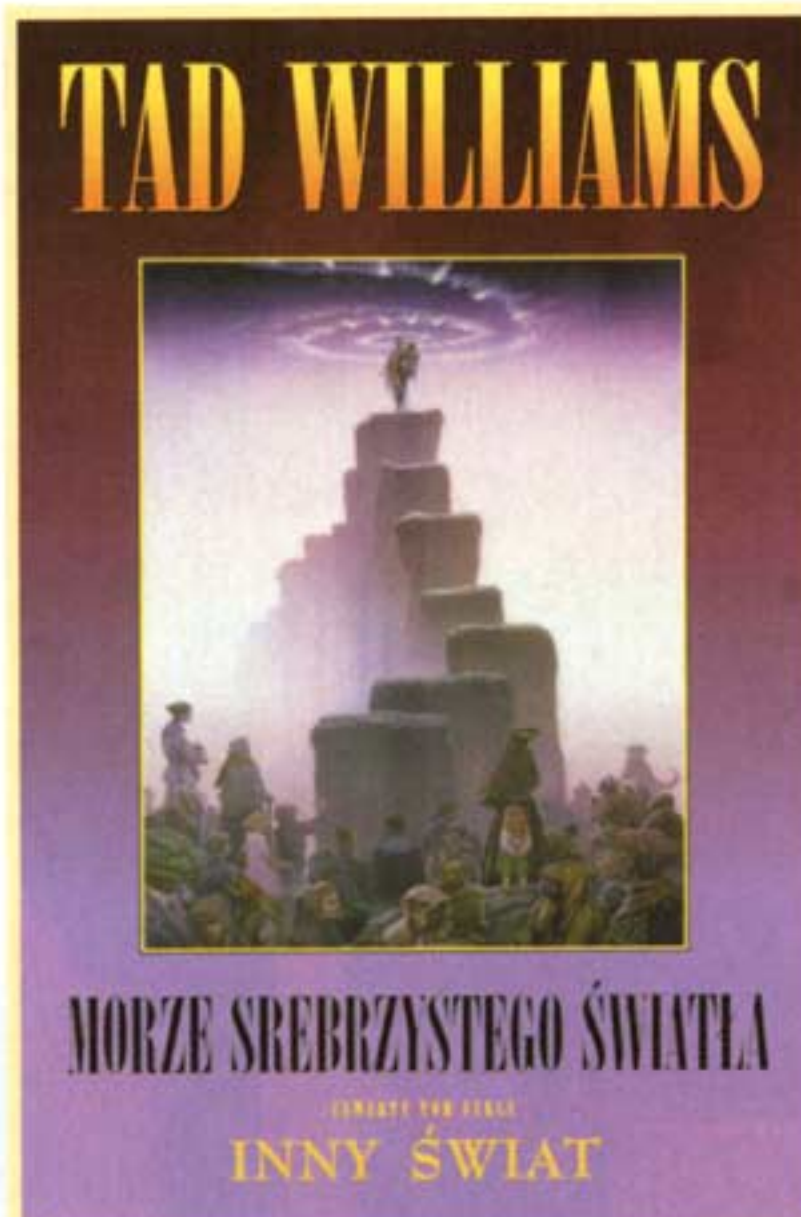


Wydawnictwo MAG, ul. Cypryjska 54, 02-761 Warszawa,
tel./fax (0-22) 6424545 lub 6428285, e-mail: kurz@mag.com.pl, <http://www.mag.com.pl>

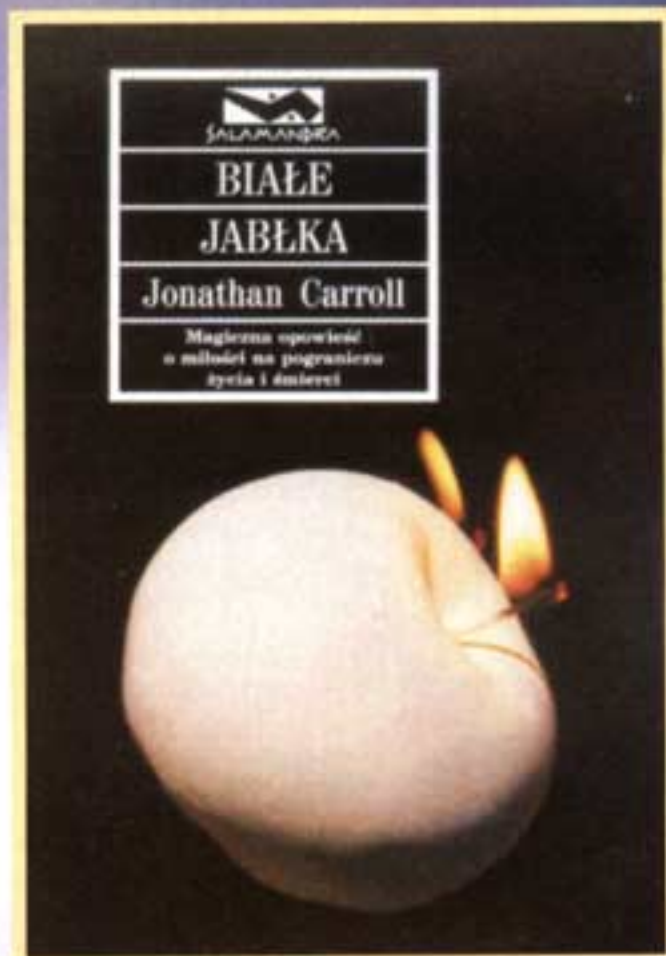
W listopadzie polecamy



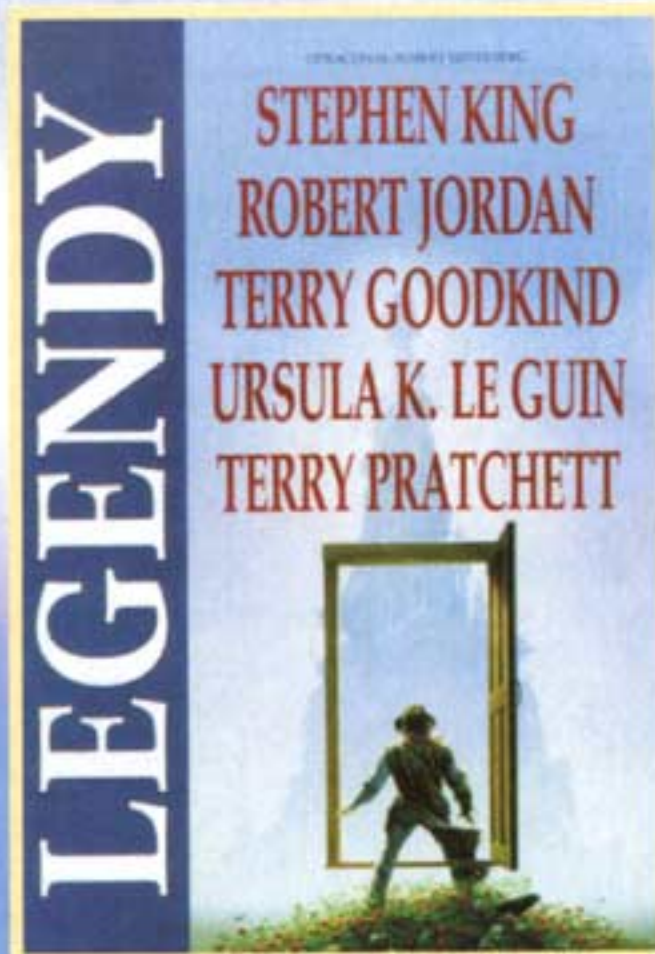
Siódma część cyklu IMPERIUM GROZY. Polecamy wydane już: *Zapada cień wszystkich nocy*, *Październikowe dziecko*, *Zgromadziła się ciemność wszelaka*, *Ogień w jego dłoniach*, *Nie będzie litości* oraz *Dojrzewa wschodni wiatr*.



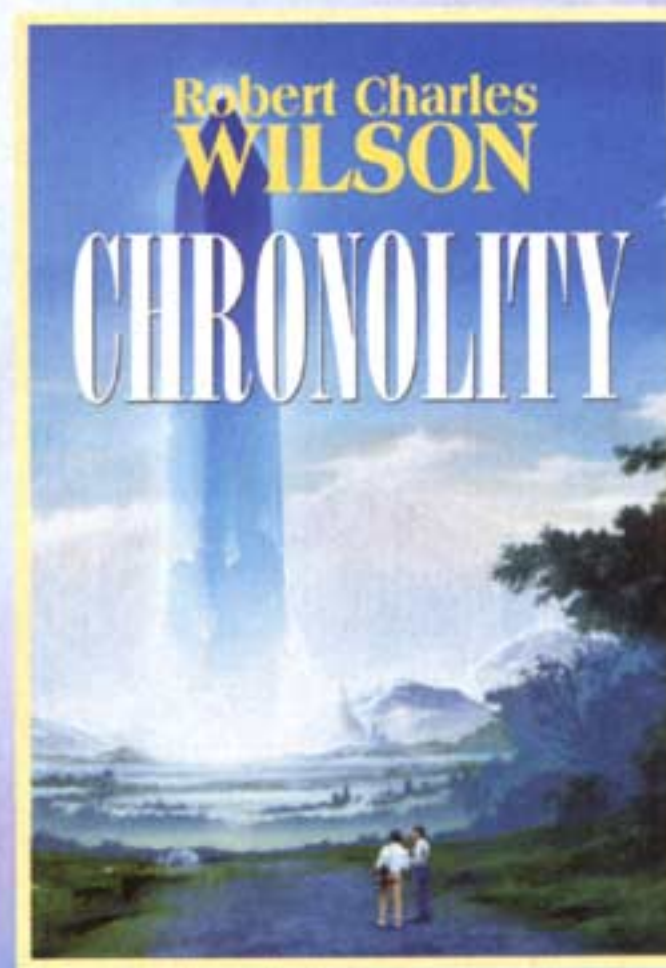
Czwarty tom cyklu INNY ŚWIAT. Bractwo Graala w stworzonym przez siebie prywatnym świecie zbiera coraz więcej ofiar. Do walki staje grupa ludzi zebranych wokół tajemniczego Sellarsa... Polecamy też poprzednie części: *Miasto złocistego cienia*, *Rzeka błękitnego ognia* oraz *Góra z czarnego szkła*.



Najnowsza powieść Carrolla o życiu i śmierci, w której metafizyka przeplata się z poczuciem humoru, a istoty anielskie stykają się z diablami w ludzkiej skórze. Jest to światowa prapremiera tej książki.



Na tom składa się jedenaście nowel, których autorami są najwybitniejsi światowi twórcy fantasy. Książkę przedmową opatrzył R. Silverberg, a wśród gwiazd fantasy znaleźli się: S. King, T. Pratchett, T. Goodkind, T. Williams, R. Jordan i inni.



Powieść nominowana w 2002 roku do nagrody Hugo. Rok 2021. Kult Kuina zalewa cały świat, który staje na krawędzi chaosu, by w końcu stoczyć się w odchłań potwornej wojny o przetrwanie... W sprzedaży też *Darwinia* tego autora.

Wkrótce w księgarniach: *Fundacja i Ziemia* (X tom cyklu FUNDACJA) I. Asimova oraz *Więcej niż honor* (VII tom cyklu HONOR HARRINGTON) Davida Webera.

Dom Wydawniczy REBIS

skr. poczt. 107 60-959 Poznań 2 tel. 867-60-11 w. 272, 273 faks 867-37-74
www.rebis.com.pl e-mail: rebis@rebis.com.pl

POCZTA SF

Witam

Czy moglibyście przesłać mi link do filmu LOBO - Paramilitarne Świeta, który opisywaliście w sierpniowym numerze SF. Bardzo Was proszę o pomoc Przeszukałem całą sieć i nigdzie go me mogłem znaleźć. Czekam na odpowiedź

M4ni4c

Niestety ta etiuda nie trafiła do sieci, istnieje tylko na taśmie i jak na razie jest prezentowana na specjalnych pokazach. Jeśli trafi na net, to z pewnością będzie ją można (bądź linka prowadzącego do niej) znaleźć na naszych stronach.

Jestem z Wami od samego początku. Podziwiam Waszą wytrwałość i chęć dążenia do „doskonałości”... Te opowiadania, które zamieszczacie są naprawdę niezłe, a w porywach świetne. Nr. 18 SFa był świetny tak jak i 17, te dwa numery przeczytałem od deski do deski (jeśli chodzi o numery wcześniejsze to miałem drobne problemy - czytając nie mogłem strawić wszystkich opowiadań), ta sztuka udawała mi się co najwyżej przez pierwsze 8 numerów. Okładki... Mogłoby być lepiej, ale nie narzekam. Tak jak już kiedyś o tym pisałem - łatwo Was odnaleźć. Nie mam więcej uwag. Trzymam za Was kciuki.

Gavain@

Dzięki za dobre słowo. Staramy się jak możemy.

Witam Chciałbym wypowiedzieć się na temat zamieszczania fragmentów powieści w waszym piśmie. Może i jest to dobry pomysł, ale w przypadku debiutantów, po których nie wiadomo czego się spodziewać. Ale Kres!?! To już jest lekka przesada. W dodatku na dwa tygodnie przed wydaniem książki?! Po co czytać to w Waszym czasopiśmie jak za parę dni będę miał całość. Mam natomiast dla was inną propozycję.

Co wy na to, aby zamieszczać materiały związane z nową książką autora, nie będące jednak jego częścią. Na przykład pisarz mógłby stworzyć inne rozwiązanie jakiejś sceny - jestem przekonany, że niejednego kusiło, aby zrobić to tak, lub inaczej, a przecież w książce (nie licząc specyficznych przypadków światów równoległych lub powieści schizoidalnych) trzeba się na coś zdecydować. Może jakiś autor ma fragment powieści, który jest dobry, ale nie mógł zostać wykorzystany, bo zaburzyłby logikę akcji. Inną możliwością jest pokazanie jakiegoś zdarzenia jakby „z drugiej strony” to znaczy nie z punktu widzenia głównego bohatera, ale jego oponentów. Autor mógłby dopisać jakiś wstęp, czy rozwinąć wątek poboczny. W takich przypadkach, po wydaniu książki, czytelnicy mogliby wypowiedzieć się, która opcja bardziej im się podobała, powstałby swego rodzaju dialog między autorem, a czytelnikami. Myślę, że byłby to wyraz szacunku dla czytelników ze strony autorów jak i redakcji. W dodatku wasze czasopismo” na pewno zyskałoby na prestiżu i znaczeniu, na czym mi, jako Waszemu wiernemu czytelnikowi zależy tak samo, jak Warn. Drukowanie fragmentów powieści na pewno nie spełni takich celów... Na zakończenie gratuluję całej redakcji, a w szczególności panu Szmidtowi czasopisma. Zawsze wiedziałem, że Polacy piszą sf i fantasy równie dobrze co Amerykanie, a właściwie to nawet lepiej. Odkąd istnieje wasze pismo, mój pogląd potwierdza się średnio raz na miesiąc. Wielki dzięki i oby tak dalej.

Roman Jaworek

Pomysł naprawdę dobry, jeśli będziemy mieli taką możliwość na pewno z niego skorzystamy. A teraz kilka słów na temat publikacji fragmentów książek. Staramy się to robić nienachalnie, prezentowany fragment, to mniej niż 10% objętości tekstów w

numerze i uważamy, że to słuszna droga. Należysz do grupy czytelników, którym Kres jest dobrze znany, ale musisz pamiętać, że jest wielu, zwłaszcza młodych ludzi, którzy do fantastyki dopiero się przekonują, oni nie znają Szereru, nie wiedzą co to jest Grombelard. I to właśnie dla nich przeznaczone są te fragmenty, po to, by poznali wartość znakomitej książki. Być może nie sięgnęliby po nią, jak Ty, czy inni czytelnicy, którzy znają fantastykę od podszewki. Myślę, że ta akcja warta jest kontynuowania, dla nas to dodatkowy profit, pozwalający na promocję pisma, a dla Was zysk o tyle, że dodatkowy przychód sprawia, iż możemy kupić więcej lepszych tekstów. I nie podnosić ceny.

Cześć

Czytam was dopiero od lipca, kupiłem z ciekawości i muszę powiedzieć że mile mnie zaskoczyło wasze pismo. Przede wszystkim ogromna dawka literatury za taką cenę, tak trzymać. Proszę dawajcie więcej fantasy. Muszę też pochwalić waszych publicystów zwłaszcza pana Ziemkiewicza. Jedyne „ale” mam do jakości tuszu. Po lekturze waszego pisma palce są całe czarne!. Aha, jeszcze jedno. Bardzo podoba mi się wasza strona internetowa, zwłaszcza *Oko na niebie* i dział *Film*.

Sebastian Nowy Sącz

Co do farby, to temat stary jak świat i niewiele możemy zrobić, pisma drukowane w ten sposób barwiły, barwią i będą barwić, weźmy takie „Wprost”, ostatnio kupiłem je na dworcu, by nie nudzić się w podróży i co? Zanim doszedłem do pociągu miałem na dłoni piękny czerwony pas, a z okładki można by zebrać moje odciski palców, gdyby ktoś miał taką potrzebę.

Droga redakcjo „Science-fiction”!

Jest mi bardzo przykro, że nie dało mi było uczestniczyć w spotkaniu

z moim ulubionym polskim pisarzem (i moim osobistym wzorem do naśladowania, jeśli chodzi o literaturę fantasy), jakim jest Feliks W. Kres, ponieważ przeczytałam w Waszej gazecie błędną informację, jakoby to spotkanie odbywało się 13.10 o godzinie 16:00, podczas gdy odbyło się danego dnia o godzinie 13:00, jak poinformowała mnie pracownica EMPIK-u w Katowicach. Dziwi mnie to tym bardziej, że redakcja, mająca siedzibę właśnie w Katowicach, popełnia błąd dotyczący imprezy odbywającej się akurat w jej macierzystym mieście. Przyznam, że było mi bardzo przykro, zwłaszcza, że jechałam aż z Torunia (gdzie studiuje) do Katowic (bo to akurat moje rodzinne strony). Decyzja ta, podjęta niemal szaleńczo w ostatniej chwili kosztowała mnie sporo czasu (którego nie mogłam poświęcić na naukę) i około 55 zł na podróż - oczywiście, gdyby udało mi się spotkać z pisarzem, byłabym szczęśliwa bez względu na poniesione koszty, gdyż było to moim ogromnym marzeniem. Aha, proszę mi nie odpisywać, że „jest państwu bardzo przykro”, bo to już nic nie zmieni, a jest to taka standardowa odpowiedź, którą sama sobie mogę w państwa imieniu dać. Nie mam prawa się gniewać, dopóki nie mam pewności, kto tak naprawdę zawinił i z czyjego powodu ja i inni czytelnicy zostali wprowadzeni w błąd. Niemniej jednak, nie potrafię milczeć w swoim żalu, że straciłam taką okazję i dlatego piszę ten list. Bardzo państwa proszę, abyście w każdym kolejnym podobnym przypadku sprawdzali wszelkie dane u organizatorów imprezy, a może uniknie się tym następnych nieporozumień, gdyż jak zostałam w EMPIK-u poinformowana, nie mogła taka informacja (o godzinie 16:00-17:00) pochodzić od nich, ponieważ sklep w niedziele pracuje wyłącznie do godziny 16:00. Osobiście mam nadzieję, że jeszcze kiedyś uda mi się ujrzeć z bliska pana Feliksa W. Kresa, przecież jeszcze cykl „szererski” się nie zakończył i bardzo możliwe, że następną książkę z tego cyklu również będzie w ten sposób promował. I żywię szczerą nadzieję, że drugi raz nie spotka mnie takie rozczarowa-

nie. Pozdrawiam was mimo mojego nieodpowiedniego do takich gestów nastroju, bo w końcu szanuję was równie mocno, co wcześniej, a każdy ma prawo do pomyłki.

Anko

Wprawdzie odpowiedziałem już na ten list prywatnie, ale ponieważ może tak być, że więcej osób odeszło z kwitkiem spod EMPIKu, a my dbamy o naszych czytelników, przedstawię wyjaśnienie sprawy szerszemu gronu. Otóż „Science Fiction” jako takie, nie może być adresatem skarg na nierzetelność w informowaniu o spotkaniach autorów, przynajmniej nie w tym przypadku. Zamieściliśmy informację o cyklu spotkań autorskich dokładnie takiej treści, jaką otrzymaliśmy z wydawnictwa MAG. Korektę do niej otrzymaliśmy w dniu 30.09, w trzy dni po skierowaniu gazety do druku. Nie było możliwości sprostowania na łamach, za to natychmiast informacja z prawidłowymi godzinami znalazła się na stronach internetowych gdzie wisi do dzisiaj (Okno na niebie z 01.10). Rozumiemy twój żal i podzielamy go. Jest nam przykro, że informacja z naszych łamów stała się przyczyną tak dużego nieporozumienia, ale nie możemy brać winy za takie zdarzenia na siebie. Alternatywą jest rezygnacja z informowania o takich imprezach, ale to chyba nie najlepsza alternatywa...

Witajcie!

Czytam właśnie nowy numer SF, jednocześnie z nowym numerem NF i do wszelkich zasług SF muszę dodać jeszcze jedną, całkiem sporą - otóż (a może mi się tylko wydaje) wpłynęliście na podniesienie poziomu konkurencji! Gratulacje!!!

Elżbieta F-S.

Nie Ty jedna nam to mówisz, może faktycznie coś w tym jest?

Jestem waszym stałym czytelnikiem od pierwszego numeru. Jakoś udało mi się go kupić poprzez zamówienie, w dodatku leżał na miejscu miesięcznika „Fenix”. Co mnie dziwi, to fakt, że co chwilę czytając, że jesteście alternatywą dla NF (której nigdy nie byłem stałym czytelnikiem)

a tak naprawdę wypełniać niszę na rynku jaką zostawił „Fenix”. Niestety on wstanie z popiołów dopiero za jakieś 600 lat.

Po drugie, ostatnia okładka, myślałem że po reakcjach na styczniowy numer już nie zrobicie głupich wybryków, a tu co. Macie dobrych grafików, a wy reklamę stawiacie. Już samo wydanie prologu jest reklamą, którą toleruję, ale ta okładka (nawet do tytułu miesięcznika nie pasuje), jakby co mogę płacić 5,50 za czasopismo, byle wróciły dobre ilustracje, niech wydawcy książek się od was uczą. Po trzecie Agnieszka Hałas, której jestem fanem, u was zagościła dopiero ostatnio, proszę, albo lepiej, błagam o częstsze wydawanie jej opowiadań. Pozdrawiam redakcję, pracujcie dalej tak dobrze.

„Fenix” stanowił, było nie było, alternatywę dla NF, więc jeśli zajęliśmy jego miejsce, to siłą rzeczy powinniśmy być tak odbierani.

Po drugie, okładki robione wspólnie z wydawcami to rzadkość, sam przynasz. Czasem się pojawia, ale rzadko.

Po trzecie, właśnie dostałem nowelkę o Krzyżującym w ciemności i opublikuję ją jeszcze w tym roku. Zadowolony?

Witaj SF!

Ostatnio będąc w „większym mieście” natknąłem się na Wasz magazyn. Po zakupieniu i dokładnym przestudiowaniu, mogę powiedzieć tylko jedno: najlepiej wydane 5 złotych w moim życiu! Wszystko jest takie jak powinno być: cena, format, ilość stron, layout i oczywiście teksty... Mam tylko jedno zastrzeżenie: dlaczego nie jesteście tygodnikiem? :))

Krzysztof Jaromin

Kiedyś trzeba spać:-) Czego i Warn życzę. Oczywiście po lekturze nowego numeru.

Norman Emler

DOM

Gdy Dom przeszedł na emeryturę, zszedł z niebios na Ziemię i zamieszkał w mieście nad morzem. Skusił go łagodny klimat, pobudzające kąpiele parowe z porannych mgieł, spokojne ptaki i złośliwe koty, spacerujące po dachu, a także widok na miejskie plaże, na których przez okrągłe pół roku mógł cieszyć oczy widokiem żywych kobiet - południowych, północnych i dalekowschodnich.

Podobało mu się też samo miasto - w miarę prowincjonalne, żyło sobie w niespiesznym rytmie, spokojnie, czasem nawet leniwie; współczesne budynki dominowały wielkością nad starymi willami, żywe były również bazyry pod otwartym niebem, na które przywożono wszystko, co tylko na świecie nadaje się do zjedzenia, a ludność, w przeciwieństwie do mieszkańców stolicy, gardziła sklepami i wołała myszkować z koszykami po bazarach.

Takie życie odpowiadało Domowi. Nie chciał na złość komuś naśladować starego trybu życia, ale podobały mu się zapachy wiśniowych konfitur i smażonych ziemniaków, po prostu lubił takie domowe zajęcia.

Kim był ten Dom dokładnie nie wiadomo, prócz tego tylko, że pochodził z rodziny Oficyn, ale okoliczności jego urodzin kryje okrutna tajemnica, wręcz cudzołóstwo, oraz że zwał się Dom, i był żywy, nie to co ziemskie domy.

Był flegmatykiem z natury, a w zimie miło jest stać nad morzem, patrzeć, myśleć; ale czasem chciało mu się podskoczyć, trzasnąć drzwiami, zrobić coś takiego - i dlatego hałaśliwe letnie miasto też mu pasowało. Czytał książki o stojących na redzie statkach z obco brzmiącymi nazwami, o platanach i bulwarach,

O wesołych mieszkańcach miasta. Domowi podobały się te książki. Często czytał je po raz drugi, zapoznając się ze wszystkimi okolicznościami, a kiedy dowiedział się o dużym problemie mieszkaniowym w mieście, ostatecznie zdecydował się na tę przeprowadzkę.

Miasto nazywało się Radość - żeby już wszystko było jasne. Jak już powiedzieliśmy, Dom wybrał miejsce nad samym morzem, przy nowej kolejce linowej, przyjął wygląd zapuszczony i stary, żeby nie wyróżniać się z otoczenia, postanowił, że zdrzemnie się do rana, a potem zastanowi nad kolejnymi swymi działaniami. Nie zdołał zasnąć, ponieważ z przyjemnością przyglądał się kolorowym latarenkom na nowej kolejce, a tuż przed świtem jego uwagę ściągnął hałas od strony pobliskiego rożna z szaszłykami -jakiś obywatel dobijał się do drzwi i płaczącym głosem błagał o piwo.

Wredny emeryt Suchow z nudów budził się tak wcześniej, jak nikt inny w mieście, i robił powolny obchód swoich włości. Najpierw szedł do śmietnika i po strzępach gazet usiłował określić, który z sąsiadów w nocy nielegalnie wynosił śmieci. Potem zaglądał do okien swego osobistego wroga rencisty Korotkiewicza, który z niewiadomego powodu z dumą przedstawiał się jako „rencista pierwszej grupy”. Suchow od dawna groził, że stłucze pysk inwalidzie albo szyby w oknach i tak wciąż krążył, przymierzając się, celując.

Tak więc, mimo że panował ciepły maj, Suchow wyszedł na podwórko w palcie i zimowej czapce. Uznał, że wyszedł nie na to, co trzeba podwórko. Jeszcze wczoraj z rencistą Korotkiewiczem żyli po sąsiedzku, ściana do ściany, miło przeklinali siebie jak psy, i nagle w ciągu jednej nocy między nimi ktoś postawił nowy Dom... Ale jaki Dom! Oficynę zniszczoną tak, jakby stała tu od stu lat.

Suchow poczuł potrzebę powrotu do łóżka, żeby już leżąc, wysłać żonę po lekarza z przychodni. Poczul słabość, jak po dobrej awanturze, ale przemógł się i ruszył do szaszłykami. Stamtąd otworzył mu się widok na front nowego Domu - dwa wąskie okna, wypłowiałe dachówki, krzywy drewniany balkon, przez który przebiła się stara akacja. Reszty szczegółów Suchow nie odnotował, wszystko było jasne i bez nich: jest chorym na coś poważnego człowiekiem, skoro, przeżywszy całe życie tu, na Luksemburskim bulwarze, nigdy nie widział tego Domu.

Suchow położył się do łóżka, a na podwórko wyszedł rencista Korotkiewicz.

- Raz dwa - powiedział Korotkiewicz i zaczął się gimnastykować na podwórku. - Ręce na szerokość stóp. *Nie krzycz na mnie mamó kochana, że pijany jestem z rana...* - zaśpiewał, zaglądając w okno Suchowa. - Śpi, dureń jeden, pewnie niedługo umrze.

Potem Korotkiewicz zobaczył nowy Dom... Z trudnością przypomniał sobie, że żadnego domu tu nie powinno być, i szybko pokuśtykał do siebie, ale wysłał żonę nie po lekarza z dzielnicowej przychodni, ale po dzielnicowego pełnomocnika.

I jeszcze jedno poranne wydarzenie - obudziła się dozorczyńni, wyruszyła zamiatać ulicę, wykryła nowy Dom i rozdarła się w niebogłoso. Wybiegł na dwór jej zięć, tragarz ze sklepu meblowego, najpierw się zacukał, ale zaraz potem powiedział: „Cichaj, matka!” i pognął po bulwarze Luksemburskim do kierownika biura meldunkowego.

W południe na podwórzu stawili się: kierownik biura meldunkowego, lekarz z dzielnicowej przychodni i dzielnicowy pełnomocnik. Rozmawiali o czymś

wyraźnie zaniepokojeni, przyglądając się przy tym nowemu Domowi, i rozglądali się z zaszczutymi minami - już się do nich zbliżał rencista Korotkiewicz, kulejąc mocniej niż zazwyczaj. A Suchow ciągle nie mógł znaleźć swojej czapki i dlatego się spóźniał. Komisja opieczętowała drzwi plasteliną i rzuciła się do ucieczki, a Suchow i Korotkiewicz usłyszeli tylko, jak kierownik biura meldunkowego mamrotał:

- Nieuwzględniona powierzchnia mieszkaniowa...

Suchow i Korotkiewicz uśmiechnęli się do siebie ze zrozumieniem i skierowali do nieuwzględnionej powierzchni mieszkaniowej. Pod zapieczętowanymi drzwiami czekał na nich zięć dozorczyńi.

- Przyfarcilo, cholery! - powiedział niegodziwym tonem, wskazując plombę z plasteliny. - Gdybym to ja miał władzę...

Znowu uśmiechnęli się ze zrozumieniem Suchow i Korotkiewicz, i rozeszli do swych domów. Suchow w lewo od zapieczętowanych drzwi, Korotkiewicz - na prawo. W domu Suchow chwycił za młotek i przecinak, a Korotkiewicz wziął do ręki zardzewiałą siekiere. Potem obaj walnęli w swoje ściany tak, że Suchowowi zwałił się na głowę własny jego portret, a Korotkiewicz złamał toporzysko.

Po kilku minutach Suchow wlaźł przez wyłom w murze do nieuwzględnionej oficyny i pod przeciwległą ścianą zaczął oczekiwać Korotkiewicza. A oto i pojawił się! Wypadły cegły i przez otwór w ścianie wysunęła się zatroskana zakurzona głowa.

- A ty co tu... bez pytania do mojego mieszkania?! - wyszeptał Suchow, chwytając poręczniej w garść kawał ramy z upadłego portretu. - Drzwi nie masz?

Dom usiłował myśleć o swoich sprawach, ale przeszkadzała mu hałaśliwa bójka wewnątrz i ból w podziurawionych ścianach. Nie tak to sobie wyobrażał... Myślał, że ktoś do niego uprzejmie zapuka, on otworzy drzwi i zobaczy szczęśliwą rodzinę z dziećmi; pokaże przybyszom trzy jasne pokoje, kuchnię, WC i łazienkę, zaprowadzi na ogromny strych, gdzie można suszyć pranie... Miał nadzieję, że będzie miał czas na prezentację swoich zalet, a przy okazji dyskretnie przyjrzy się swoim przyszłym mieszkańcom.

Z powodu bójki w powietrze wzbił się kurz, Dom rozkichał się, a Suchow i Korotkiewicz na chwilę przestali się bić i zwrócili uwagę na dziwne podrygiwanie sufitu.

Nic z tego, o czym marzyłem nie miało miejsca - pomyślał smutnie Dom. - Najwidoczniej, nie ci ludzie, co trzeba przybyli jako pierwsi.

Rencista Korotkiewicz tymczasem tłukł emeryta Suchowa w ciasnej kuchni. Dom chciał najpierw bronić słabszego, ale emeryt, szczęśliwie uniknąwszy ciosu, nie rzucił się do ucieczki, a na odwrót - przytrzasnął renciście głowę drzwiami i zaczął go dusić.

Dom wiele widział w swoim życiu, nie lubił dużo gadać i wiedział, że w tej chwili ma rację. Zaklął w

swoim domowym języku i kichnął mocniej. Sufit w kuchni runął, Suchow i Korotkiewicz ocknęli się wieczorem w miejskim szpitalu, ale w różnych salach.

W ADM-ie utworzono specjalną komisję pod kierownictwem Mirzachmedskiego. Komisja przebyła gruz z opadłego sufitu, zajrzała do poczynionych przez sąsiadów wyłomów, zmarszczyła nosy i określiła dom jako „awaryjny”. Zdecydowano, że dom zostanie poddany remontowi jeszcze w tym miesiącu, po czym przyznany obywatelom najbardziej potrzebującym powierzchni mieszkalnej. Wyłomy zostały zabite deskami i sklejką, drzwi opieczętowano ponownie, komisja odeszła do swoich spraw.

Przez cały miesiąc Dom cierpliwie wypatrywał przez okna brygady remontowej, w końcu maj się skończył. Dom zrozumiał, że brygada nie ma cementu, nie ma alabastru, nie ma tapet; że brygada remontuje domy na lewo, tam, gdzie to wszystko jest; że Mirzachmedski nic nie może tej brygadzie zrobić; że cała ta brygada w ogóle nie istnieje.

Dom sam się wyremontował. Wyhodował ściany i sufit, pobiałkował kuchnię, wyjął ze strychu tapety z kwiatkami. Następnie zainstalował w przedpokoju telefon i zadzwonił do ADM-u.

- Dom został wyremontowany, można się wprowadzać - powiedział pełen nadziei Dom.

- Proszę bez głupich żartów - nerwowo rzucił ktoś po drugiej stronie i cisnął słuchawkę. - Znowu zięć dozorczyńi dzwonił - zameldowano Mirzachmedskiemu. - Łazi i wydzwania, dzwoni i dzwoni... żeby mu przydzielić.

- I wylązi - westchnął Mirzachmedski.

Ale Dom nie po to lądował na Ziemi, żeby kołatać do oficjalnych drzwi z podaniami o przyjęcie go na stan mieszkaniowy. Miał swoje własne drzwi i chciał sięgnąć na nie uwagę. Myślał, myślał, podpalił strych i czekał na reakcję.

Reakcja nastąpiła, i to jaka!

Domowi zrobiło się przyjemnie - tak pięknie płonął, że zbiegła się popatrzeć cała Radość. Najbardziej skorzystała na tym szaszłykarnia, z której, przy kuflu piwa, najlepiej było widać płonący pejzaż. Ale i spożywczy z bulwaru nie był pokrzywdzony, a i z plaży też całkiem-całkiem widać było ten pożar.

W czasie, gdy wszyscy się gapili, po podwórku biegał zięć dozorczyńi z pustym wiadrem i wrzeszczał:

- Gdzie jest Mirzachmedski?! Zabierzcie stąd tego idiotę!

Idiotą był, jak się okazało, ten podziemny brygadzysta brygady remontowej. Wyszedł z podziemi, zasłonił piersią zapieczętowane drzwi płonącego domu i wyjaśniał wszystkim, że bez Mirzachmedskiego nikt nie ma prawa ich otworzyć. Powstała sytuacja patowa: Dom płonie, strażaków nikt nie wzywa, ponieważ Dom nie ma adresu, a Mirzachmedski z powodu Domu dostał migreny, ale i tak już po niego posłano.

Dom splunął na wszystko i przestał płonąć.

- Obywatele, proszę się rozejść! To był fałszywy alarm! - rozwrzeszczał się zadziwiony brygadzysta.

Cała Radość była zdumiona: pachniało spalenizną i nagle przestało. Coś się działo nie tak, jak powinno.

W końcu przybył wystraszony Mirzachmedski, dowiedział się, że pożar samoistnie ustał i nic nie spłonęło, chwycił znienawidzonego brygadzystę podziemnej brygady za bety i zażądał remontu tego Domu, bo inaczej... Ale brygadzysta zniknął i ślad po nim zaginął. Pozostało po brygadziście tylko puste wiadro.

- Po co remontować? - na głos zapytał Dom. - Dom już dawno jest wyremontowany, można się wprowadzać.

- Kto to powiedział? - zapytał rozeźlony Mirzachmedski, rozglądając się po podwórku.

Nikt nie wiedział.

Mirzachmedski zerwał z drzwi plombę, wszedł do Domu, przebywał w nim chwilę, wyszedł i zapytał:

- Kto to zrobił?

- Co? - zapytał zięć dozorczyńni.

- Remont.

- Ja! - niedługo myśląc, odparł zięć.

Mirzachmedski zamyślił się głęboko i poszedł na obiad do szaszłykami, gdzie bufetowa opisała mu zięcia dozorczyńni od najlepszej strony.

W końcu zięć dozorczyńni otrzymał mieszkanie! Długo o nie walczył.

Z wrednym uśmiechem na ustach pojawił się u Suchowa z przydziałem i butelką wódki, żeby uczcić wydarzenie. Suchow, po wyjściu ze szpitala, zmądrzał, zmienił taktykę, zrozumiał, że światowe zło nie da się załatwić gołymi rękami. Kupił więc w komisie maszynę do pisania. Korzystając z niej, otwierał oczy na niedociągnięcia i bił na alarm. Dźwięk rozlegał się na całą Radość. Przychodziły komisje, sprawdzały pusty Dom bez adresu - niczego nie wykryły. Stoi Dom, jakby od stu lat tu stał. Skąd się wziął - nie wiadomo. Nikt w nim nie mieszka, jakby było to normalne...

Suchow nauczył się rozmawiać z ludźmi serdecznie, i mieszkańcy ulicy uważali się za szczęśliwców, jeśli udało im się przeskoczyć obok Suchowa bez witania się.

- Słuchaj no, chłopcze - powiedział Suchow do zięcia dozorczyńni. - Nie przeprowadzaj się ty do tego Domu. Niedługo go zburzą, rozumiesz? Ja ci to mówię. A wiesz, gdzie potem ci mieszkanie przydzielą? Aż na Chutorze, dwie godziny jazdy od bulwaru.

- Nigdzie to nie stoi - z godnością odpowiedział zięć. - Chcesz burzyć, proszę bardzo: mieszkanie dawaj na bulwarze albo nie wyprowadzę się, choćbyś do mnie strzelał!

Tak sobie gadali, a Dom słuchał tej rozmowy. Ucieszył się i podniecił: oto spełniało się marzenie jego starości - zdobyć swoją rodzinę, pomóc jej, utulić,

wychować, a w zamian otrzymać troskę i szacunek. Przez całą noc, stękając, skrzypiąc i wzbijając w powietrze tumany kurzu, robił generalne sprzątanie.

Rano ziściły się marzenia Domu. Przedstawiciel władzy Mirzachmedski wprowadził szczęśliwą rodzinę do nowego mieszkania, natychmiast pożegnał się i zostawił mieszkańców samych.

Rodzina nie była duża, ale jakaś poplątana. Głową rodu był, oczywiście, zięć dozorczyńni, tragarz ze sklepu meblowego. Niedawno rozwiódł się z córką dozorczyńni i przepędził ją z domu rod/innego za szlajanie się z innymi facetami. Sama dozorczyńni, baba litościwa, robotna, wstawiała wcześniej, kładła się późno, żeby móc wstać wcześniej. Ulicę utrzymywała w czystości, a mieszkanie w zagrzeniu - nie zorganizowana matula, zdaniem zięcia. Jej staruteńki mąż, docent jakichś humanistycznych nauk, pokochał dozorczyńnię jeszcze pod koniec lat czterdziestych za to, że pracowała w sklepie „Żywność”. Mieli jeszcze późnego syna, król dzielniczy z dwoma doprowadzeniami do milicyjnej izby dziecka na koncie.

Kilka przyjemnych chwil spędził Dom, oczekując tego wieczora gości na parapetówkę. Od strony zięcia przyszli koledzy z przewozu mebli, dozorczyńni zaprosiła bufetową z szaszłykami, stary docent zaprosił dwóch doktorantów-humanistów z uniwersytetu, no i synek też zapodał hasło, przyszło do domu trochę gówniarzerii ze skłonnościami do rozboju. Świętowano długo. Tragarze filozofowali, humaniści kłęli, bufetowa z dozorczyńnią płakały z powodu utraconej młodości, gówniarze rzygali z balkonu na dach szaszłykami i niemal nahaftowali na czapkę dzielnicowego pełnomocnika, który szedł rozdzielić i pogodzić znowu tłukących się Suchowa i Korotkiewicza. Na tym skończyła się impreza, goście rozeszli się pijani, obrzygani i zapłakani.

Dom jeszcze trwał w niefrasobliwym nastroju, kiedy zięć zdjął ze ściany oryginalnego Renoira i powiesił obraz nieznanego malarza, przedstawiający dwa wilki, ścigające po nocnym stepie przestraszonego jeźdźca w rudym futrze. Dom zaskoczony przyglądał się, jak siwy docent nauk humanistycznych ustawił w łazience aparat do bimbru, a dozorczyńni mierzyła krawieckim centymetrem ściany i coś mrucała pod nosem.

Potem zwała się masa wydarzeń, które spowodowały, że Dom poczuł się źle. Zięć przegrodził pokoje deskami, zawiesił prześcieradła i wypełnił dom pensjonariuszami „na dziko”, to znaczy: nie zameldował ich i nie płacił od nich podatku. Dwadzieścia osiem osób, nie licząc dzieci, gotowało na jednej kuchence, łomotało do jedynej ubikacji, przeklinało się wzajemnie, dom. gospodynię, środki transportu miejskiego i całe to życie, ciskało niedopałki do kwietnika na balkonie - nie sposób opisać wszystkich ponizeń, które musiał ścierpieć Dom.

A dozorczyńni już mierzyła krawieckim centymetrem strych, poruszając przy tym wargami.

Dom zachorował. W kątach pojawiła się pleśń, pod tapetami rozpanoszyły się pluskwy, po nocach Dom skrzypiał i nie mógł zasnąć. Dzikusy zaczęły uskarżać się na wilgoć i żądać obniżenia cen /a łóżka, ale z zięciem rozmowa była krótka - komu się nie podoba? Spadać na drzewo. Znajdą się inni.

Dom wezwał lekarza.

Lekarz, stary przyjaciel z rodziny Teremów, przybył w nocy, ostukał ściany, pogrzebał w strychu, zmierzył nacisk na fundament.

- Grzyb wirusowy - Terem zdiagnozował Dom. - Za tydzień nie będziesz nawet o tym pamiętał. Na pluskwy łykaj „Pluskwabiacz-73”.

- Nerwy mam zszargane - poskarżył się Dom.

- Ty, Oficyna, nie kituj mi tu. Stary jesteś, sam wiesz, co i jak. Przegoń całe to towarzyszo i weź sobie jakąś porządną rodzinę. Zresztą, jutro skonsultuję się z profesorem. Żegnaj, śpieszę się!

- Będę czekał! - zawołał Dom za nim. - Wiadro cementu zamieszamy, zabawimy się!

Następnego dnia zjawił się profesor. Ach-ach, przeszklona galeria, uskrzydłone lwy przy wejściu, kopuła z witrażami - inteligent z grona starych Willi, nie to, co docent nauk bimbrownicznych.

- Ta-ak, gołąbeczku... Oddychać, nie oddychać... Rozpadniesz się, skarabeńku, przy pierwszym lepszym trzęsieniu ziemi, jeśli nie zastosujesz się do moich zaleceń. Po pierwsze: należy całkowicie opróżnić pomieszczenie. Pożyteczny byłby mały przeciąg, sen, świeże powietrze, całkowity spokój. Po drugie: znajdź sobie porządną rodzinę, a najlepiej młodą dziewczynę... może być chłopak, wszystko jedno, i pilotuj go w życiu. Dociera do ciebie, mam nadzieję? Życzę zdrowia i pociechy z życia, co, zresztą, jest jednym i tym samym.

- Dziękuję, profesorze - nieśmiało odpowiedział Dom. - Proszę mi nie odmawiać, mam tu... wiadro cementu. Czym chata bogata!

- Wy, jak sądzę, jesteście z Oficyn? - pytał profesor, wygodnie usadowiając się przy nowej kolejce linowej. - Ze sto lat pewnie macie, co? A ja, gołąbeczku, mam pięćset z hakiem. Urodziłem się w Italii, wyemigrowałem do Rosji w czasach generała Suworowa. Podobacie mi się. Wasz Renoir na strychu... w którym roku kupowaliście i dlaczego na strychu? Wasz Renoir zdradza dobry smak, uczuciowość i takie tam inne.

- Jak zdrowie, madame Pałacyk? - dopytywał Dom, rozkoszując się rozmową.

Rzadko trafiały się Domowi podobnego typu szczęśliwe chwile.

Dom rozumiał, że lekarze mają rację. Dawno już należało pogonić całe to bractwo w cholerę, ale zwlekał, wątpił, miał na coś nadzieję. Oto lato minęło i turyści odjechali, i docent został wywalony na emeryturę z powodu anonimowego Suchowa, w którym piętnował on nieetyczne zachowanie powszednie. Ale życie Domu wcale nie stało się przez to lepsze. Jego cierpliwość skończyła się, kiedy synalek z koleżkami przynieśli na strych żywego kota, żeby go powiesić. Dom postawił ultimatum: jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin rodzinka nie pójdzie po rozum do głowy i nie zacznie żyć po ludzku, to...

Ale wszyscy tylko spluwali przez lewe ramię, słysząc grobowy głos dobiegający ze strychu.

Wtedy Dom ogłosił zastosowanie terroru.

Do boju została rzucona zielona pleśń. Zniszczyła tapety, meble i zabrała się za bimber. Ale rodzina tym się nie przejęła, ponieważ przyjaciele przynosili tragarzowi tani spirytus, wykorzystywany w fabryce mebli do politur. Spirytus miał znacznie mocniejszego kopa niż samogon.

Dom wyłączył ogrzewanie, ale zięć przywiózł ze sklepu samochód wybrakowanych mebli, ustawił w mieszkaniu „kozę” i kazał teściowej rąbać meble na opał.

Dom bał się prawdziwego pożaru, włączył więc kaloryfery, ale odciął wodę. Ale rodzina i w dobrych czasach myła się rzadko, a skoro zabrakło wody to i w ogóle zaniechała ablucji. Wodę na zupełną dozorczyńni nosiła z podwórzowej pompy. Tak zakończył się ten atak Domu.

Wyłączył więc prąd - zaczęli świecić sobie świeczkami. Nastął myszy, pożarły świece - zaczęło się łuczywo.

Ciemny naród.

Runął balkon, zatkała się muszla, odpadły tapety, okna przestały się otwierać, a drzwi - zamykać. Wiadra ze śmieciami po nocach wędrowały po parkiecie, a parkiet trzeszczał, jakby szczękał zębami, sufit łuszczył się na kuchenkę i gasił gaz.

Na próżno.

Dom zastosował atak psychologiczny. Długo przygotowywał coś na strychu i pewnego dnia wypełzył stamtąd ogromny, tłusty, wielkości tapczanu, dziesięcionogi karaluch i wlaź do mieszkania. Oczywiście - przstraszył ich: docent po pijaku krzyczał głośno, ale chłopaczysko tylko zawył z radości, zabił potwora z procy i wystawił trofeum na balkon, żeby cała Radość widziała i się bała.

Dom poddał się.

- Pechowe miejsce sobie wybraliście - oświadczył niepewnie Pałacyk podczas kolejnej wizyty. - Zresztą, ja jestem zadowolony. Historia waszej choroby ma określoną wartość naukową. Bardzo rzadka mieszanina idiotyzmu i ignorancji. Na wszelkie choroby skuteczna jest strychnina, może wypróbujecie?

Ratunkowe wieści przyniósł Mirzachmedski.

Sprytny zięć dawno już łąził i pisał do instancji, domagał się zamiany mieszkania na lepsze. Wiedział, co robi, mimo że grożono mu odpowiedzialnością za doprowadzenia do anty-sanitarnego stanu powierzchni mieszkaniowej. W wyniku jego wizyt Rada Miejska zwróciła uwagę na fakt, że nie rzucająca się w oczy Oficyna całkowicie zasłania widok na nową stację kolejki linowej.

- Raczej zburzymy - zdecydowali w Radzie. - Poprawimy tam widok, założymy klomby...

Męczennik Mirzachmedski wpadł z rozświetloną twarzą, po dwa stopnie przeskakując schodki.

- Zmiatać mi tu stąd i to migiem! - wrzasnął od progu. - Z oczu won, na Chutor kozy doić! Dom pojutrze będzie zburzony. Będzie tu klomb i nowe życie. Won! Ciężarówka na przeprowadzkę na koszt ADM-u, tragarze... na mój koszt.

- Sam spadaj na Chutor - odparł zięć. - Pokaż, gdzie w Konstytucji to stoi? Nie stoi. Dadzą mieszkanie na bulwarze - przeprowadzę się. Nie - nie muszę.

- Zostań sobie - powiedział Mirzachmedski, usiłując wyglądać obojętnie. - Zostań. Jutro odłączamy wodę, prąd, gaz, telefon, ogrzewanie.

Zięć w odpowiedzi zarechotał szatańsko, a Mirzachmedski chwycił się za serce i poszedł sobie.

Biedny Dom trwał w niepokoju i oczekiwaniu. To była jego ostatnia szansa - albo on w przepaść, albo rodzinka na Chutor.

Wieczorem odwiedzili go Pałacyk i Terem.

- Nasza rada: zmień klimat - poradził Terem. - Jest wiele cudownych miast z ostrym problemem mieszkaniowym... Powiedzmy: Wołogda, Smoleńsk, Saratow...

- Nie wiem, sam nie wiem, przyjacielu - ze smutkiem odpowiadał Dom. - Wszak tak bardzo mi się z książek Radość spodobała, tak bardzo...

- Co tam książki - westchnął dobroduszny Pałacyk. - Mam znajomości w Suzdalu. Suzdal mogę wam załatwić. Niezła dzielnica, styl staroruski, gwarantują ucziwą młodą rodzinę z dziećmi. Zacziesz żyć jak należy, wyzdrowiejesz...

- Dajcie mi tylko odetchnąć od tych szumowin! - szlochał Dom. - Mnie się wszystko, rozumiecie, pod kopułą, na strychu, pomieszało. Zachodzi, rozumiecie, przeczacowanie wartości.

Dom nie zdecydował w końcu, co będzie robił po wysiedleniu. Machnął na wszystko ręką i pogodził się z biegiem wydarzeń.

Po tygodniowym milczeniu Rada Miejska wynalazła dla zięcia mieszkanie na bulwarze. A co miała zrobić - milicji się nie bał, przecież nie mogli wzywać wojska?

Rodzinka w końcu wyniosła się, a następnego dnia miał się pojawić spychacz.

Przyjaciele przez całą noc przygotowywali Dom do ewakuacji, on sam nie mógł się poruszyć.

Miał koszarne sny, rzucał się, budził. Na górze rozeszły się plotki, że Dom umiera. Skąd tylko wzięły się tu te struchlałe komóreczki i ziemianki z lepiankami, chodzą dokoła, szepczą do siebie, odskakują na widok nowej kolejki linowej. Obok szaszłykarni przycupnęły krzywe baraki i kulawe szopy, proszą o wsparcie przechodzące obok koszary. Dom dziwi się, myśli - co to za majaki? - usiłuje podnieść się, krzyknąć na całe gardło, ale tylko chrypi i trzaska lufcikiem.

Ale zaraz na bulwarze Luksemburskim pojawiają się pijane knajpy i mordownie, brudne speluny i noclegownie, kasyna i agencje. Przed Domem pływają jakieś drewniane zakończone szpicami płoty, usiłuje uciec od nich, ale zaczynają nim miotać wątpliwości - a czy nie machnąć na wszystko i nie uciec z całym tym wesołym towarzystwem? - gdy nagle usłyszał głos profesora i otrząsł się ze snu.

- Czas już, gołębczku - powiedział Pałacyk. - W Suzdalu już wszystko przygotowane, czekają na was i nie mogą się doczekać dobrzy ludzie.

I Dom w końcu zrozumiał, że Suzdal to pewnie bardzo dobre miasto, ale przecież wtedy zginie jego dziewicze marzenie o perle nad morzem!

- Nie, profesorze, zostaję - powiedział Dom.

Postanowił, że zaryzykuje jeszcze jeden, ostatni raz.

Przez cały ranek spychacz ryczał, drapał jezdnię i na próżno usiłował zburzyć wątłą Oficynę. Zabawa nie ustępowała niczym ubiegłorocznemu pożarowi.

Kiedy spychacz w końcu wysiadł, zmienił go dźwig. Rozhuśtał na linie trzystukilową gruchę i przymierzywszy, huknął nią w okna. Grucha zrykoszetała, walnęła w szaszłykarnię i zmiotła ją z powierzchni ziemi - na szczęście nikt nie został poszkodowany, prócz bufetowej, której zginęły pod ruinami trzy skrzynki lewej wody. Oszołomionego operatora dźwigu wyciągnięto z kabiny dźwigu i skierowano na badanie alkometrem. Ku ogólnemu zdziwieniu okazał się być trzeźwy, ale szaszłykami niewiele to pomogło.

Co robić?

Ktoś zaproponował, by podłożyć pod budynek ładunek dynamitu, ale władze same bały się odpowiedzialności, zadzwoniły do Kijowa. Tam nie posiadano się ze zdumienia - komu przyszedł do głowy taki idiotyzm?

Diabli z nim, niech stoi, co to za debaty dokoła jakiejś Oficyny! Niech stoi, może to jest jakiś pomnik architektoniczny z odległej przeszłości?!

I Dom stał miesiąc, drugi, trzeci i czekał ponuro. Suchow i Korotkiewicz bali się doń podchodzić i nawet pogodzili się na tym gruncie. Czasem Mirzachmedski przyprawdzał na oględziny bardzo potrzebujących mieszkania obywateli, ale ci patrzyli na stan wewnętrzny Domu i odchodzili nie weseli.

Trudno było im się dziwić: ruiny szaszłykami, tajemnicze wydarzenia, zła sława.

Fatalny Dom.

Ale oto pewnego razu, kiedy nadeszła wiosna, przyszedł do ADM-u jeden z głównych bohaterów tej opowieści. Młody, dwudziestotrzyletni człowiek. Wiktor Siergiejewicz Andrianow. I okazał pozwolenie Rady Miejskiej na zasiedlenie tajemniczego Domu.

- A kim pan w ogóle jest? - zapytał podejrzliwie Mirzachmedski.

- M-malarzem jestem - niepewnie odpowiedział Wiktor Siergiejewicz.

- Malarzem?! - ucieszył się Mirzachmedski i poprowadził go na okazanie mieszkania. - Nie będziemy tego ruszali, żyj sobie na wieki! Dziwny Dom, ale do niego należy po ludzku podejść... Trochę mi szkoda, bo malarzy brakuje.

Dom milczał ponuro. Od dawna już nie wierzył słowom. Przyglądał się nowemu mieszkańcowi i rozważał: pogonić go już teraz czy poczekać, aż Mirzachmedski sobie pójdzie?

- Romantyczna ta Oficyna - na głos myślał Wiktor Siergiejewicz. - Zawsze chciałem mieć dla siebie pokój... a tu cały Dom.

- Najważniejszy nie Dom, a kto w nim mieszka, prawda? - podtrzymywał go na duchu Mirzachmedski. - Ciężarówkę na przeprowadzkę da ADM, tragarzy... ja sam.

I Wiktor Siergiejewicz przeprowadził się do swojego nowego Domu, ale tramwajem.

Czule poklepał Dom po futrynie i wszedł. Przeszedł się po pokojach, popatrzył przez okna, pokiwał głową na widok zrujnowanego balkonu. Potem poszedł do ADM-u, wziął tam drabinę i zaczął łątać ogromną szczelinę w ścianie.

- Jak się nazywasz? - w końcu zapytał groźnym tonem Dom.

- Wit'ka - odpowiedział Wiktor Siergiejewicz. Ze strachu niemal spadł z drabinki, chociaż oczekiwał czegoś podobnego.

- Dobra, zobaczymy - burknął Dom.

Zamieszkali we dwu, przyglądając się sobie wzajemnie. Dom dużo spał i leczył się; Wit'ka albo spał, albo czytał, albo szwendał się po ulicach, licząc ile w Radości mieszka alabastrowych lwów.

- A dlaczego „Wit'ka”? - pewnego razu zapytał Dom. - Dlaczego nie z imienia i patronimiku?

- To tak od dziecka już było - chętnie odpowiedział Wiktor Siergiejewicz. - Wszyscy: „Wit'ka” i „Wit'ka”, i dlatego Wit'ka.

- Gdzie pracujesz?

- Nigdzie.

- Jak to?

- Na razie nigdzie. Z uczelni mnie wywalili.

- A co to była za uczelnia? •

- Plastyczna.

- O! - z szacunkiem westchnął Dom. - To dlaczego nie malujesz?

- Nie mam natchnienia.

- Dobra, zobaczy się - burknął znowu Dom.

W nocy nastawił budzik i zbudził Wiktora Siergiejewicza o siódmej rano.

- Co za cholerstwo, tak wcześniej! - zdziwił się ten.

- Idź na strych i popatrz na Renoira.

- Prawdziwy? - szepnął Wiktor Siergiejewicz po powrocie ze strychu.

- A nie poniesiesz na bazar?

Wit'ka obraził się, a Dom poczuł, jak w jego wnętrzu zaczyna się zablizniać ogromne pęknięcie.

- W sumie tak... - powiedział Dom. - Jesteś niezłym bohomazakiem, przeglądałem twoje teczki. Przede wszystkim jesienią wrócisz na uczelnię...

- Nie przyjmą mnie.

- A za co cię wyrzucili?

- A takie tam... - machnął ręką Wit'ka.

Jasne. Lato przed tobą, namalujesz kilka obrazów na poziomie światowych standardów i przyjmą.

- Jakie znowu standardy?! - rozłościł się Wiktor Siergiejewicz. - Pieniądzy nie mam na farby!

- Posłuchaj, zrobię dla ciebie wszystko! - zaczął szeptać podniecony Dom i jego zdenerwowanie udzieliło się Wiktorowi Siergiejewiczowi. - Jesteś fajny chłop... Dobry, tylko roześlony na wszystko dokoła. Będiesz się uczył u najlepszych galaktycznych malarzy, będziesz malował żywymi farbami trójwymiarowe obrazy, zobaczysz takie rzeczy, których nikt inny na Ziemi nie widział... Bo kim ty jesteś - zięciem dozorczyń? Dlaczego wszyscy tylko potraficie chodzić i narzekać na życie?

Przez całą noc Wiktor Siergiejewicz nie spał, palił papierosy jeden po drugim. Gdy nastał świt usiadł na ruinach szaszłykami i naszkicował Dom. Dom nie był zadowolony z portretu:

- Nie poznaję siebie. Spróbuj od strony kolejki.

- Od dawna nie rysowałem - usprawiedliwił się Wit'ka. - Nie masz przypadkiem takiego pędzla, żeby sam...

- Nie - westchnął Dom, pracując nad odtworzeniem balkonu. - Sztuka to rzecz niepojęta.

Wiktor Siergiejewicz też westchnął i pomaszerował ze szkicownikiem w stronę kolejki.

We wrześniu Wiktor Siergiejewicz pokazał swoje prace z sesji zimowej, i został przyjęty na uczelnię, co prawda na niższy rok... Dom oszukał go - nie znał tak naprawdę żadnych malarzy, nie istnieją w przyrodzie żywe farby - wszędzie artyści pracują jednak: w ołówku na papierze, pędzlami na płótnie. Wiktor Siergiejewicz wkrótce zrozumiał to, ale nie obraził się.

Przychodził czasem Mirzachmedski, oglądał portrety Domu, z szacunkiem mówił do Wit'ki „Wiktore Siergiejewiczu”, składał życzenia z okazji urodzin, uskarżał się na serce.

Zajrzał kiedyś Suchow, żeby pogadać jak sąsiedzi, ale Dom lekko kichnął i Suchow od razu się pożegnał.

Czasem w ich życiu bywało gorzej: na przykład nabrała zwyczaju bohema odwiedzać Wifkę, żeby się wódki napić, obmacywać łapskami Renoira i wiedzieć o wszystkim. Dom od razu przypomniał sobie synalka-chuligana. Wkrótce dwaj bohemianie potknęli się na schodach, a na trzeciego spadło coś ciężkiego.

W końcu opowieści Wiktor Sergiejewicz coś zasmucił się. Koty w ogrodzie miauczały, nie dawały mu spać. Nie miał ani dobrych przyjaciół, ani... dobrych znajomych.

Pewnego dnia Wit'ka powiedział:

- Słuchaj, stary... Nastaw się... Dzisiaj będziemy mieli gości.

- Kto? - zainteresował się Dom. - Jeśli to ci włochaci i brodaci - nie wpuszczę.

- Jeden gość będzie. Bez brody.

Dom zrozumiał i zaczął się przygotowywać. Przyszła blondynka w Wit'ki wieku.

- Poznaj - powiedział do niej Wiktor Sergiejewicz. - To mój Dom.

- Mam na imię Ludmiła - przedstawiła się blondynka.

- Bardzo mi miło - odpowiedział Dom.

Blondynka zdziwiła się niepomrotnie, a Wiktor Sergiejewicz coś tam zaczął gadać o ukrytym magnetofonie.

Przez cały wieczór wpatrywali się w Renoira. Wiktor Sergiejewicz krępował się bardzo, ale w końcu wyszedł do kuchni i powiedział, kierując słowa do Domu:

- Może się odwrócisz albo co...

Dom odwrócił się i spojrzął na ciemne Morze Czarne, na pustą plażę na jego brzegu.

Przekład: EuGeniusz Dębski

NIE MA PRZEBACZENIA

Książę Archentar, jeden z siedmiu Wielkich Książąt królestwa Troy, siedział zasępiony na zalewanym czerwonymi promieniami zachodzącego słońca tarasie zamku. Młodziutki paź, który przyniósł wiadomość, stał za nim, przestępując z nogi na nogę, nie wiedząc, czy ma odejść bez pozwolenia, czy stać, narażając się na gniew pana, jeżeli ten uznał, że zadanie chłopca skończyło się wraz z przyniesieniem listu. Paź dopiero zaczynał służbę na zamku. Jeszcze dziesięć dni temu mieszkał u rodziców w wiosce, potem zabrano go i przebrano w dworskie szaty. Owszem, był wcześniej przyuczony do służby, ale co innego nauki, a co innego poczuć na własnej skórze, co to jest obowiązek. Teraz cierpiał z powodu niewiedzy.

Książę Archentar jednak w najmniejszym stopniu nie zwracał na niego uwagi. Trwał zasępiony w przepastnym fotelu ustawionym tak, żeby można było podziwiać rozjaśnione teraz blaskiem słońca morze. Półprzymknięte oczy księcia zdawały się sugerować, że drzemie, ale nie, książę nie spał, jego myśli krążyły intensywnie wokół córki - piętnastoletniej Achai. Achaja była niezwykle wykształconą dziewczyną - nawet jak na warunki królestwa Troy, gdzie nie odmawiano dziewczętom prawa do nauki. Z natury bystra i inteligentna, pod ręką najlepszych nauczycieli szybko przerosła większość chłopców. Achaję nauczono pokonywać kobiece słabości, wyszkolono w fechtunku tak, że była w stanie władać nie tylko krótkim mieczem piechoty, włócznią, nożem i sztyletem, ale nawet dwuręcznym, ciężkim mieczem rycerskim z łatwością równą tej, z jaką inne dziewczęta posługiwały się igłą do haftowania. Szermierskie zdolności młodej księżniczki pozwalały ciężką szablą jazdy odpierać ataki nawet dwóch naraz instruktorów fechtunku. Achaja potrafiła strzelać z łuku jak chłopak, biegać i pływać jak chłopak, jeździć na koniu jak chłopak, z rozkraczonymi nogami, ale... Ale chłopcem raczej nigdy nie zostanie. I ta właśnie myśl mąciła spokój Wielkiego Księcia. Od śmierci pierwszej żony stracił nadzieję na posiadanie męskiego potomka. Według prawa, to Achaja miała po nim dziedziczyć tytuł wielkksiążęcy. Ale jako kobieta nie mogła zasiadać w Radzie Królewskiej, co spędzało Archentarowi sen z oczu i napawało wstydem, ilekroć musiał uczestniczyć w zebraniach sam, podczas kiedy inni książęta byli tam z synami. Czuł, że palily go policzki, kiedy Achaja musiała pierwsza pochyłać głowę przed ludźmi z rodów daleko niższych niż jego własny, przed byle chłopcem, który ledwie miał tytuł szlachecki. Archentarowi było żal Achai, ale jednocześnie coś w nim, coś w głębi umysłu chciało ukarać niewinną dziewczynę albo siebie samego i

perfidnie brał ją ze sobą wszędzie tam, gdzie mogła być narażona na upokorzenia. Dziewczyna zносиła to dzielnie, z jakimś przedziwnym, wewnętrznym spokojem, zbudowała sobie swój własny świat, gdzie kryła się, ilekroć ktoś dokuczał jej za bardzo. Ale to nie wystarczało Archentarowi. Kiedy tylko król udzielił mu dyspensy, zgodził się na pierwsze małżeństwo zaproponowane przez radę. Owszem - tak kazał obyczaj, ale przy odrobinie chęci można było znaleźć setki sposobów na obejście norm zwyczajowych. Archentar jednak (albo ta część, która w nim dążyła do samokarania się i karania dziewczyny) postanowił zdać się na ślepy los czy raczej złośliwość złożonej z jego wrogów rady. Wynik jednak zaskoczył go. Kiedy żenił się z o rok młodszą od córki dziewczyną, nie przypuszczał, że los obdarzy go w szybkim czasie męskim potomkiem. A poza tym czternastoletnia dziś Asija nie była złą żoną. Miała tylko jeden minus, nienawidziła ładniejszej, zdolniejszej i silniejszej Achai w sposób żywiołowy, a ponieważ etykieta dawała pełną władzę nad pasierbicą, zamieniła jej życie w prawdziwy koszmar. Prawo stwierdzało jasno - pełną władzę nad córką sprawowała żona. Mąż, nawet gdyby chciał, nie mógł ingerować w decyzje. Achaja jednak była pierwszym dzieckiem Archentara z pierwszej żony i od decyzji męża tylko zależało, kto odziedziczy tytuł. Tylko to powstrzymało Asiję od odprawienia wszystkich nauczycieli i postronnych świadków tego, co robiła z Achają. Nie chciała, żeby współczucie Wielkiego Księcia dla córki obróciło się przeciwko jej dziecku.

Archentar nagle otworzył oczy.

- Proś żonę! - powiedział do pazia, który drętwiał za jego plecami. Chłopak, czując nagłą ulgę, skoczył tak szybko, że nawet zasępiony książę spojrział za nim z lekkim zdziwieniem.

Archentar złożył trzymany dotąd w rękach list. Powołanie... Powołanie do wojska. Tak. Każde dziecko ze szlacheckiego rodu (a szczególnie wielkksiążęce - dla przykładu) musiało odsłużyć kilkaset dni w wojsku. Każda rodzina musi oddać chłopca. Jeśli nie ma chłopca to dziewczynę. Oczywiście dla bogatych było wiele sposobów na uniknięcie tego prawa, można było usynowić jakieś drobnoszlacheckie dziecko, wykazując się przed radą mniej lub bardziej naciągniętym stopniem pokrewieństwa, kazać mu odsłużyć swoje, a potem odprawić, dając w zamian kilka wiosek i zaskarbiając sobie jego dożgonną wdzięczność, ale...

- Panie - Asija, stając z boku, złożyła głęboki ukłon.

- Podnieś się, dziecko. - Archentar łapał się na tym, że często zwracał się do Asiji nie jak do żony, tylko jak do dziecka, w istocie przecież była nim. Nie miał

pojęcia, czy jest jakikolwiek sens w radzeniu się jej. Był jednak dość stary, a starość skłaniała ku dokładnemu poddawaniu się rytuałom. - Przeczytaj to.

Asija chwyciła list i przebiegła po nim oczami. Tylko z największym trudem powstrzymała się od okazania jakiegokolwiek uczucia. Nie wiedziała, po co wezwał ją książę. Mimo jednak młodego wieku czuła, że nadarza się niezwykle szansa pozbycia się Achai na zawsze. Jeśli nie ona sama, to ojciec. Jej ojciec na pewno coś wymyśli. Ta głupia krowa nie zagrozi drogi jej dziecku!

- Panie?

- Co o tym sądzisz?

- Myślę, że... - Asija gorączkowo zastanawiała się, co powiedzieć. Jak tą głupią dupę zrobić w wojsko? - To jedyna droga, żeby Achaja mogła dziedziczyć tytuł - powiedziała ostrożnie. - Jeśli odслужи wszystko, da przykład. A wtedy...

- Hmm - Archentar zawahał się, czy wprowadzać żonę w rozmyślenia nad tym, kto ma zostać jego dziedzicem. Zresztą, to i tak bez znaczenia. Było jeszcze dużo czasu. - Prawo każe nam podporządkować się decyzji.

Asija uważnie obserwowała twarz księcia. Widziała, że nie był jeszcze zdecydowany.

- Przecież moja rodzina może osłodzić jej służbę w wojsku - zawiesiła znacząco głos. - Jej poświęcenie zrobi odpowiednie wrażenie. A Wielki Książę nie będzie zamieszany w ten sposób w ewentualną sprawę pomocy dla córki. Zrobi to kto inny, z innej rodziny. My nie będziemy zamieszani. A motywy tego kogoś mogą być przecież różne...

Odetchnęła z ulgą, widząc odprężenie na twarzy księcia. To, że przyglądała się wszystkim intrygom na dworze ojca, teraz przynosiło efekty. Wiedziała, jakich słów dorośli używają w takich okolicznościach i z łatwością naśladowała ten język.

Archentar początkowo zdziwił się, słysząc jej słowa. Potem jednak ta część umysłu, ukryta gdzieś w głębi, podszeptała mu, że Asija ma rację. Że jest to najprostszy sposób na pozbycie się problemu. Zresztą, wyćwiczona Achaja na pewno poradzi sobie w wojsku. Zdawał się ukrywać prawdę sam przed sobą. Czyste sumienie było dostatecznie ważną rzeczą, żeby pozbyć się wątpliwości, które mogłyby pomóc córce. A poza tym kupi się przecież czyjeś zastępstwo do maszerowania i cięższych robót.

- Może i tak. - Nie podjął jeszcze decyzji.

- Trzeba to głęboko rozważyć. - Asija o mało nie zadławiła się własną śliną. Może się zgodzi!!! Ten głupi staruch może zgodzi się oddać córkę we władzę jej rodziny! To... To będzie koniec rodu Archentara. Jej syn zostanie Wielkim Księciem.

- Przygotujcie się obie do kolacji. - Książę nie podejrzewał nawet, co dzieje się w umyśle żony. Jak zwykle odłożył decyzję na później. - Będziemy gościć czarownika Mereditha i cesarskiego posła.

Asija pochyliła się w głębokim ukłonie, tak głębokim, żeby ukryć wyraz triumfu na twarzy.

Wycofała się z tarasu. Zrobiła kilkanaście kroków spokojnie, a potem, kiedy nie mógł już słyszeć odgłosu jej sandałów, zaczęła biec, unosząc przód sukni. Cała dygotała z przejęcia. Ten głupi staruch może dać szansę, żeby zabić własną córkę! Tyle sama rozumiała. Tylko jak to zrobić?

Wpadła do pomieszczeń dla służby.

- Wszyscy won!!! - ryknęła, momentalnie rozsyłając do zadań służących zdziwionych tym, że księżniczka biegnie z zakasaną kiecką jak, nie przymierzając, dziewczka na targu goniona przez pijanych żołnierzy.

Tylko jeden z lokajów wiedział, że rozkaz nie jest skierowany do niego. Niby też zaczął uciekać, ale zaraz zawinął się za najbliższym rogiem korytarza i wrócił ukradkiem, by złożyć Asiji pełny, pałacowy ukłon. To był szpieg jej ojca na dworze Archentara. Dziewczyna, dygocząc z podniecenia, wyszeptwała mu do ucha najnowsze informacje.

- Źle zrobiłaś, pani - szepnął, gnąc się w ukłonie. - Bardzo źle. Ale to się da naprawić.

- Co radzisz? - syknęła.

- To niepowtarzalna okazja. A twój mąż, pani, jest zbyt nadęty, żeby mu cokolwiek wprost powiedzieć. Ty, pani, masz go odwozić od decyzji wysłania Achai do wojska.

- Jak to odwozić, idioto???

- Tak pani. Przekonuj go, że nie powinien wysłać córki do wojska. Ale co drugie twoje słowo do niego ma brzmieć: „honor!”. Jeśli powiesz do męża dwieście słów, to sto z nich ma być słowem „honor!”. On ma fioła na tym punkcie. A inni już go przekonają, że trzeba wysłać... na specjalnych warunkach.

- No zaraz. Jak na specjalnych warunkach, to jej się nic nie stanie.

- Ależ moja pani. To tylko Archentar ma tak myśleć.

- No ale... - zawahała się. - A wojacy zrobią coś złego tej suce, jak będą wiedzieć, że to księżniczka? Toż nikt z tych synów chłopów i mieszczan ręki nie ośmieli się podnieść.

Lokaj z najwyższym trudem powstrzymał westchnięcie. Uśmiechnął się do tego głupiego dziecka ciepło.

- Moja pani... W wojsku to się szepnie, że to podstawiona dziewczyna. Oczywiście wynajęta szlachcianka. Przecież musi mówić z odpowiednim akcentem, musi mieć maniery i odpowiednią klasę. Ale zwykłej szlachciance to oni przyleją porządnie, choćby z zazdrości i zemsty za nędzny los. A później... zdaj się na ojca. On już to załatwi.

Przygryzła wargi.

- To co mam robić?

- Musisz odwozić Archentara od tej decyzji. Ale nienachalnie. I pamiętaj: honor, honor, honor... Tylko o tym macie mówić. Spraw, żeby to on cię prosił o przechowanie Achai gdzieś na boku i podstawienie wynajętej szlachcianki.

- Myślisz, że to wystarczy?

- Zdaj się na ojca, moja pani - powtórzył.

Popatrzył jej prosto w twarz i uśmiechnął się-nagle. Ona też się uśmiechnęła. Triumfalnie.

Księżniczka Achaja stała nieruchomo, owinięta w cieniutkie prześcieradło, kiedy dwie służące rozczesywały jej długie, wilgotne jeszcze po kąpieli włosy. Obie służące lubiły Achaję za to, że była cicha, wyrozumiała, nigdy nie podnosiła głosu, często uśmiechała się do nich i nigdy nikogo nie uderzyła. Bały się jednak okazywać sympatię. Asija, przed którą drżała cała służba, nie tolerowała nawet cienia sympatii okazywanej pasierbicy.

Księżniczka czytała rozłożoną na specjalnym podnóżku księgę. Nie mogła wyjść z podziwu nad umiejętnościami starożytnego autora - teraz już nikt nie byłby w stanie tak pięknie operować słowem. Zamierzchła opowieść rozgrywała się w ogromnym lesie, źli ludzie pojмали rodzinę kupców, udało się ująć jedynie ich małej córeczce. I teraz biedna dziewczynka biegła wśród drzew, w kompletnych ciemnościach, w każdym odgłosie lasu upatrując jakiegoś strasznego niebezpieczeństwa. Pohukiwanie sowy było dla niej krzykiem upiora, trzaśnięcie gałązki - to sygnał zbliżania się drapieżnego zwierza, a szelest traw zwiastował niechybnie obecność jadowitego węża. Achaja drżała lekko. Jak on to opisał! Był przecież jasny dzień, słońce za oknami stało jeszcze wysoko, ale księżniczka śledząc losy bohaterki opowieści, mimowolnie rozglądała się wokół, czy przypadkiem jakiś leśny demon nie wygląda z kominka albo czy pod stołem nie czyha dziki kot... Przez chwilę myślała, że sama jest zagubionym dzieckiem ze starożytnej opowieści, biegnącym z płaczem przez dziką puszcę. Cóż, jej świat, choć nie było w nim drzew ni baśniowych upiorów, bardzo taką puszcę przypominał.

Achaja była spokojną dziewczyną. Lubiła marzyć, uwielbiała wieczorne spacerować po ogrodzie, a kiedy Asija ograniczyła jej tę możliwość, lubiła siedzieć w oknie, patrząc na gwiazdy oświetlające dziwnym światłem całą okolicę. Lubiła książki i nauczycieli, nawet tych od fechtunku i konnej jazdy (nie cierpiała tych lekcji - wiedziała jednak, że musi być silna i sprawna, żeby zastąpić ojcu syna). Teraz jednak, kiedy pojawiła się młodsza od niej samej macocha i kiedy urodziła prawdziwego chłopca, te właśnie zajęcia straciły znaczenie. Achaja wiedziała, że tamta prędko zrobi coś, co pozbawi ją możliwości dziedziczenia, ale nie była człowiekiem czynu i nie umiała ani nie chciała się przeciwstawić: Skoro już nie zostanie Wielką Księżną, nie będzie miała możliwości jakiegokolwiek wyboru w kwestii zamążpójścia. Miała tylko nadzieję, że męża zdąży jeszcze wybrać jej ojciec, a nie Asija. Miała nadzieję, że wyjdzie za jakiegoś miłego, choć trochę inteligentnego chłopca, który zawiezie ją do jakiegoś wiejskiego dworku, gdzie będą się kochać na sianie, a ona będzie mu rodzić dzieci i zajmować się gospodarstwem. Tak, pamiętała taki ślub, kuzynki,

jedno z najpiękniejszych zdarzeń w dotychczasowym życiu, kiedy udało jej się zostać druhną i przez cały czas trwania ceremonii stała tuż obok przytulonych do siebie chłopaka i dziewczyny.

Achaja przymknęła oczy. Pamiętała tamtą dziewczynę, jej roześmiane oczy i dziwnie rozleniwione ciało... Czy to możliwe, żeby ją samą też to spotkało? Bo jeśli męża wybierze jej Asija, to będzie nim albo bezzębny staruch albo któryś z ich wrogów, któremu odda się dziewczynę wyłącznie dla polityki. Wiedziała, jak wyglądają takie śluby - w zastępstwie. Jakaś służąca ubierze ją, Achaję, w ślubną suknię i wyprowadzi do sali pełnej świadków. Tam, publicznie posadzi się ją na wysokim, małżeńskim stołku, a mistrz ceremonii brutalnie sprawdzi jej dziewictwo. Potem założą jej pas i wysłannik męża poprowadzi świeży nabytek do pana. Achaja zagryzła wargi. Całe życie w pasie cnoty... Słyszcząc śmiechy nałożnic z drugiej sali.

Dziewczyna nie miała zbyt dużych wymagań od życia. Wiedziała, że jeśli jedynym potomkiem w rodzinie wielkopsiążęcej jest dziewczyna, oznacza to ogromne kłopoty. Dawno pogodziła się z tym, że nie wszystko będzie układać się według życzenia i nie miała nawet pretensji do Asiji... No, może trochę. Była jednak od niej starsza i dużo bardziej inteligentna. Właściwie traktowała ją jak dziecko. Wszystkie złośliwości i upokorzenia zносиła ze stoickim spokojem, usiłując wyłączyć się z intryg, z dziecinnego, złośliwego świata, w którym królowała zawiść, żądza władzy i własne, małe interesy. Wiedziała, że to wredne dziecko może zatruć jej życie, ale nie czyniła nic, żeby temu zapobiec, wierząc, że ojciec zdąży wydać ją za męża, zanim będzie za późno. Wiadomość o tym, że Asija urodziła syna, właściwie przyjęła z ulgą, jako koniec własnych kłopotów. Niejasno przeczuwała tylko, że macocha nie jest w stanie zrozumieć niechęci Achai do walki, niechęci do wyścigu, w którym wedle Asiji, każdy kto tylko ma szansę, musi wziąć udział. To mogło być niebezpieczne, ale...

Achaja drgnęła, słysząc odgłos zbliżających się kroków. Podniosła wyżej prześcieradło, kiedy otworzyły się drzwi i stanęła w nich Asija wraz z paziem, który przyniósł wiadomość od męża. Wszystkie trzy dziewczęta, Achaja i dwie służące pochyliły głowy w ukłonie.

Asija na widok owiniętej w cieniutki ręcznik pasierbicy z najwyższym trudem ukryła wyraz triumfu. Pokaże tej głupiej dupie, gdzie jej miejsce!

- Co to ma znaczyć? - Wyniosłym ruchem uniosła brwi. - Pełny ukłon... Wy, nie. - Ruchem ręki powstrzymała zamierzające upaść na ziemię służące. Nie o służące tutaj chodziło.

Achaja zagryzła wargi. Nie mogła uwierzyć, że Asija chce ją aż tak upokorzyć. Pełny ukłon... To przecież oznaczało, że musi unieść ramiona. Prześcieradło kąpielowe musi opaść na ziemię i... Nie, to niemożliwe, nie robi jej tego.

- No, czekam.

Achaja miała ochotę dopaść to małe, złośliwe dziecko i stłuc je po tyłku. Czy ona wie, co chce zrobić?! Czy ten dzieciak jest aż tak bezczelny?! Achaja nie mogła skupić myśli, bezradna w swej bezsilności. Tamta przecież, jeśli zechce, wymyśli tysiąc kar, jakie jej wymierzy, jeżeli nie zastosuje się do tego, bądź co bądź, zwyczajowego polecenia. A z drugiej strony, jeżeli jej się podda, to zrobi z siebie służącą pozbawioną resztek szacunku. Nie wolno jej! Nie wolno tej smarkatej dziewczynce upokorzyć jej tak przy służbie!

- Słuchaj, córko mojego męża. - Asija dobrze wiedziała, co czuje stojąca przed nią dziewczyna. Wiele razy widziała podobne sceny na dworze ojca. Dobrze też wiedziała, co ma robić, żeby tamtą zabolalo jak najbardziej. - Czy mam kazać temu paziowi wychłostać twój goły tyłek?

Achaja poczuła, że oczy zachodzą jej mgłą. Pod powiekami wyraźnie zbierały się łzy. Nie mogła tego opanować, chociaż za wszelką cenę nie chciała dać po sobie poznać, co czuje.

- No, czekam - Asija upajała się triumfem. Uważnie obserwowała twarz stojącej przed nią dziewczyny. - No to przemówię ci do rozumu. Chłopcze! - Skinęła na pazią. - Weź różgę i przyłóż temu dziecku!

Paź zaczerpnął powietrza i tak już został, cały purpurowy, tak przerażony, że nie mógł nawet drgnąć.

- Szybko, chłopcze. - Asija uśmiechnęła się szeroko i naprawdę przyjaźnie. - Bo ciebie każę chłostać do skutku, a potem zwrócić rodzinie ciało.

Nagromadzone powietrze uszło z płuc chłopca. Czując, że nie może rozewrzeć własnych, zaciśniętych do granic możliwości szczęk, ruszył w stronę kominka, gdzie stała waza z tradycyjnymi przyrządami do wychowywania dziewcząt.

Achaja czuła nieznośny ból w gardle. Łzy pod powiekami zdawały się cisnąć coraz mocniej, żeby tylko wypłynąć na zewnątrz. Dławiła się własną bezsilnością i poczuciem krzywdy. Być może po raz pierwszy poczuła, że ma za złe ojcu, że na to pozwala.

- No, kotku? - Asija zbliżyła się do Achai. - Ukłon czy?... Achaja przełknęła ślinę. Nagle ugięła nogi i opadła na kolana,

opierając ręce na podłodze. Cienutki ręcznik zsunął się z niej, ukazując wszystkie szczegóły nagiego ciała.

- No widzisz. I po co było się upierać? - Asija bawiła się w najlepsze ale zarazem czuła, że radość ze zwycięstwa upaja ją i podnieca coraz bardziej. - Wstań! Chcę cię pouczyć.

Achaja dopiero teraz zrozumiała, że to jeszcze nie koniec. Za wszelką cenę chciała tego uniknąć, ale już nie mogła. Wielkie łzy pociekły jej po policzkach. Wstała posłuszenie, zagryzając wargi. Podniosła oczy, żeby tylko nie napotkać czyjegós wzroku i spojrzała na sufit.

- A to co ma znaczyć, moja panno? - Asija stanęła przed nią, delektując się łzami nagiej dziewczyny. - Spuść oczy! - krzyknęła.

Achaja spuściła wzrok, patrząc na twarz Asiji. Ta pozwoliła na to przez chwilę. Przez czas, żeby tamta w pełni uwiadomiła sobie, że jest całkowicie naga i stoi tuż przez całkowicie ubraną Asi-ją. Potem krzyknęła:

- Pochyl głowę!

Achaja pochyliła głowę, czując jak łzy wstydu płyną po policzkach. Asija przeszła obok niej tak, żeby fałdy sukni otarły się o jej gołą skórę. Obeszła dziewczynę wokół i znowu stanęła z przodu. Achaja była piękna i Asija zazdrościła tego równie mocno, jak nienawidziła za inne sprawy. Teraz patrzyła na wyprostowaną, nagą dziewczynę, oceniając jej duże piersi, piękne okrągłe biodra, drugie, kształtne nogi... Większość dziewcząt rozebranych pod przymusem może wyglądać śmiesznie, ale naga Achaja wyglądała jak rasowa klacz. Jej długie, pomalowane na czerwono włosy opadały na plecy i tworzyły świetną oprawę do ślicznej twarzy z dużymi, lekko skośnymi oczami. Stojąc nago, wyglądała jak piękna dzikuska z malowideł wiszących w głównej sali zamku. Asija bez zażenowania patrzyła na jej podbrzusze, na równy trójkąt skłębionych włosów u zbiegu ud.

- Masz nawet ładną pupę - roześmiała się.

Słyszając to, paź odruchowo podniósł wbity dotąd w podłogę wzrok. I od tej chwili nie mógł go już opuścić. Księżniczka była pierwszą nagą dziewczyną, jaką widział w życiu. Była tak piękna... Czuł, że coś zaczyna go dusić.

Achaja też odruchowo podniosła głowę.

- Opuść wzrok!!! Co to ma znaczyć?! - Asija czuła, jak jakieś dziwne ciepło rozlewa się w okolicy brzucha. Nogi robiły się miękkie, a oddech krótki. To było jak... jak w lożu z Archentarem, ale Wielki Książę nigdy nie doprowadził jej aż do takiego stanu. - Ty głupia dziewczyno! Jesteś głupia i krnąbrna! Jesteś głupia jak wiejska dziewczka!!! Powtórz!

Achaja znowu odruchowo podniosła głowę.

- Opuść wzrok!!!

Achaja posłuszenie pochyliła głowę, nie mogąc powstrzymać coraz bardziej obfitych łez.

- Jak śmiesz na mnie patrzeć, kiedy do ciebie mówię?! - krzyknęła Asija. - Ty głupia dupo!!!

Achaja czuła, że nie wytrzyma dłużej.

- Nie jestem głupia... - syknęła, ale Asija nie dała jej skończyć.

- Coooo?! Coś ty powiedziała?! - Przynęła się jeszcze bliżej tak, żeby suknią dotykała podbrzusza tamtej. Chciała dać odczuć sytuację. Chciała, żeby tamta musiała jeszcze mocniej poczuć swoją nagość i bezbronność. - Powtórz to!

Achaja stała nieruchomo ze spuszczoną głową. Pod naporem macochy cofnęła się o mały krok, ale Asija nie ustępowała.

- Jesteś głupia jak wieśniaczka! Powtórz!

- Ja...

Asija zamachnęła się nagle i uderzyła Achaję w twarz. Dziewczyna targnęła się, unosząc głowę.

- Opuść wzrok!!!

Achaja posłusznie opuściła głowę. Asija uderzyła ją w drugi policzek lewą dłonią. Czowała, że ciepło w okolicy brzucha zamienia się w żar.

- Dziękuj! - Podsunęła jej ręce do ust.

- Dziękuję - wyszeptwała Achaja przez zaciśnięte gardło i pocałowała ją w prawą dłoń. To już nie były pojedyncze łzy. Achaja płakała jak skrzywdzone dziecko.

- Naucz się robić to porządnie! - Asija uderzyła ją w twarz z taką siłą, że głowa Achai odskoczyła na bok. - No!

- Dziękuję, pani... - Achaja pocałowała ją w rękę.

- A teraz powtórz!

- Jestem głupią dziewczyną - wyszeptwała Achaja.

Asija znowu uderzyła ją w twarz. Czowała, że jeszcze moment i sama nie zdoła powstrzymać jęku. Ale w jej przypadku byłby to jęk rozkoszy.

- Dziękuję, pani... Jestem głupia jak... - przelknięcie śliny. - Jak wiejska dziewczka.

- Przepróż mnie!

Coś pękło w Achai. Opadła na kolana. Posłusznie schyliła głowę.

- Bardzo panią przepraszam, że ośmieliłam się panią rozgniewać...

Asija oddychała głęboko. Nie byłoby dobrze, gdyby służba zobaczyła, co się z nią dzieje. Patrzyła z góry na nagie ciało klęczącej przed nią dziewczyny. Triumf jakiego doznała urastał w jej oczach do czegoś najpiękniejszego w życiu. Ten dzień miał być ukoronowaniem uporczywych starań i nic już nie mogło jej przeszkodzić.

- Won! - krzyknęła na służbę. Dwie dziewczyny i chłopak znaleźli się za drzwiami w czasie krótszym niż zaczerpnięcie oddechu. - No i co, głupia krowo? Klęczysz przede mną golusienka i całujesz dłoń, którą cię biłam - Asija uniosła palcem jej głowę tak, żeby tamta spojrzała jej w oczy. - Myślałaś, że ze mną wygrasz? - Przycisnęła ją do siebie tak, że jej duże piersi i szyja dotykały delikatnego materiału sukni. - Och, jaka ty jesteś głupia!

Dziewczęta patrzyły sobie prosto w oczy. Asija uśmiechała się lekko. Ciągle nie mogła uspokoić oddechu.

- Och, córeczko... Właściwie nie powinnam ci tego mówić... - Znowu głęboki wdech i wydech. - Masz ładnie się ubrać. Na kolacji będzie cesarski poseł i... - Przytuliła twarz Achai do swojej sukni. - I Meredith. Nie masz już wiele czasu, radzę ci się pospieszyć. - Spoglądała z góry na zgrabny tyłeczek klęczącej dziewczyny. - Możesz nie zdążyć.

Asija nagle odwróciła się i wyszła bez słowa. Już za drzwiami oparła się plecami o chłodny mur i zakryła twarz dłońmi. Musiała się uspokoić, żeby wygrać tę ostatnią już bitwę z Archentarem. Pozbędzie się tego krówska na zawsze! Na zawsze, psiamać!!!

Achaja klęczała ciągle w tej samej pozycji. Potem podniosła się i również przycisnęła obie dłonie do twarzy. Ciepłe łzy moczyły palce. Wydawało się, że

całe powietrze uszło z niej razem z energią. Stała tak, aż rozległo się pojedyncze uderzenie dzwonu.

Wielki Książę Archentar oszczędnym, ściśle określonym przez etykietę ruchem ręki, zaprosił gości do stołu. L'ath i Meredith zasiedli po obu stronach gospodarza, pilnując, żeby żaden z nich nie zrobił tego szybciej niż drugi. Potem jednak atmosfera znacznie się rozluźniła. Poseł poprosił o możliwość obsługiwania go przez własne niewolnice - tylko one wiedziały, co wolno mu jeść, a czego nie. Na nim też, jako na gościu honorowym, spoczywał ciężar nawiązania rozmowy. Lath wiedział, co najbardziej interesuje gospodarza.

- A jak tam, panie gospodarzu, sprawy waszego handlu - powiedział. - Doszły mię słuchy, że poprzez zmniejszenie ceł, odebraliście lwią część obrotów Państwow Wschodu.

- Lwią część? - mruknął Archentar. - Doprawdy przesada.

- Nooooo... Ale nowy zaciąg ogłosiliście.

- Powiedziałaś, panie - Archentar skinął głową - że handel ma wpływ na armię. - Spojrzał na Meredith. - Czy niczego nie pomyliłem?

- Tak, panie gospodarzu. Jeśli upadnie handel, Państwa Wschodnie nie będą mogły płacić żołdu. Wojsko obróci się przeciwko zubożałym władcom, bowiem ich siłą, ich jedynym źródłem bogactwa, jest handel...

- Czy możesz to wytłumaczyć, panie - wtrąciła Asija - przecież to bogate kraje, jak słyszałam...

- Właśnie - L'ath uśmiechnął się do dziewczyny - jak upadnie handel, zabraknie większości dochodów tych państw.

- Dziwne - nie mogła zrozumieć Asija - to państwo ma dochody i straty jak jakiś handlarz? Przecież oni są zbyt bogaci, żeby stracić wpływy i... - przez chwilę szukała odpowiedniego słowa - ...i dochody.

- Taaaak - cesarski poseł nie mógł się powstrzymać, żeby nie wetknąć Asiji szpilki. - Bogactwo Państw Wschodu bierze się z ich bogactwa, zaiste.

- Ale armia i handel? - skrzywił się Meredith. - Czy to nie przesada łączyć te sprawy? Bogactwo bierze się z ziemi.

- To w takim razie, dlaczego Linnoy utrzymuje port w D'ei? To malutka, zagubiona w morzu skała, gdzie nic nie rośnie. Wszystko trzeba dowozić morzem. Utrzymanie portu kosztuje majątek. Po co im to?

Nikt się nie odezwał. Utrzymywanie portu w D'ei było powszechnie uważane za fanaberie starego księcia Linnoy, ale nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno na oficjalnej uczcie. Nawet wtedy, kiedy nie było w pobliżu nikogo z poddanych Linnoya.

- Żeby kontrolować pobliskie cieśniny - odezwała się nagle Achaja. - Trzymają port, żeby mogły stać tam wojenne okręty. Bez ich zgody nikt nie sforsuje cieśnin pomiędzy morzami.

- To bzdura - wtrąciła Asija. - Przecież każdy wie, że Linnoy nie pobiera ceł ani opłat za przepływanie cieśnin. Zresztą, nawet gdyby je brali, to i tak wpływy nie pokryłyby kosztów utrzymania portu - przypomniała sobie dyskusje na dworze jej ojca.

- Co ty na to, moja panno? - Meredith zwrócił się do Achai.

- Robią tak, bo więcej zysków mają z handlu niż z opłat i ceł. Cieśniny to złoto z gór, to nasze zboże i wełna, to wyroby rzemieślników zachodu, bydło z południa i żelazo z północy. Cały handel odbywa się teraz w miastach Linnoya. Wystarczy, że ktoś spróbuje założyć faktorię w pobliżu cieśnin, on je od razu zablokuje i mamy drugą „Wojnę Wiatrów”, w której małe księstwko pokonało olbrzymią tyranie, odcinając jej w końcu dopływ wszystkich towarów.

- Milcz, głupia - syknęła Asija, zdenerwowana zbyt długą wypowiedzią pasierbicy.

- Pani - Meredith lekko pochylił głowę. - Czuję podziw dla pani wychowawców.

- A więc czujesz podziw głównie dla pani Asiji, która uczy mnie, nie szczędząc wysiłków.

L'ath i Meredith tylko cudem powstrzymali się od parsknięcia śmiechem. L'ath położył nawet dłoń na ustach, jakby obawiał się, że nie będą posłuszne jego woli. Meredith, bardziej opanowany, krzywił wargi i skupił wzrok na swoim kielichu wina, jakby nagle odkrył tam coś interesującego. Nawet Archentar poczuł znowu coś, jakby szacunek dla córki, która potrafiła znieważać Asię, oficjalnie wypowiadając pochlebstwo. To dziecko naprawdę było żywe, inteligentne i bystre. A może... może uchronić ją od wojska... może ją obrać następcą? Archentar nie mógł mieć najmniejszego pojęcia, że decyzja, którą on sam uważał za drugorzędną w życiu może mieć tak ważne skutki dla świata. Nie miał pojęcia, bo nie mógł mieć, że właśnie w tej chwili, w jego głowie, waży się los całej znanej cywilizacji, całej historii w jej najbardziej istotnym węźle. Archentar nie był jednak kimś, kto zmienia raz powzięte decyzje. Tym samym, nie wiedząc o tym, odrzucił daną mu możliwość zmiany losu. Historia nie zapamiętała go, nie odnotowała w swoich annałach, nawet jako starego, uczciwego i ponad wszystko, ponad los własnej rodziny, oddanego państwu człowieka, za jakiego chciał we własnych oczach uchodzić. Archentar zapadł w nicość dokładnie w chwili, kiedy odrzucił myśl o zapobieżeniu służbie wojskowej Achai i postanowił jednak, gnany swoim fałszywym poczuciem przesadnej sprawiedliwości, skarcić córkę.

- Achajo! - Wmówił sobie jako dodatkowe usprawiedliwienie, że robi to także, by ochronić córkę od zemsty swojej żony. - Resztę uczty spędzisz na stojąco.

Achaja wstała szybko, pochylając głowę. Meredith spojrzął spod oka na gospodarza. Nawet Uath uniósł w zdziwieniu brwi. Etykieta nie pozwalała jednak na najmniejszy nawet komentarz dotyczący surowości obyczajów gospodarza.

- Panie... - Stary kucharz podszedł do stołu i ciężko opadł na kolana. Był bardzo ociążały i coraz trudniej było mu stosować się do wymogów obyczaju. Ale był też mistrzem. Mistrzem, któremu darowywało się nawet większe uchybienia i który mógł liczyć na spokojną starość, kiedy obdarowany majątkiem, a może nawet własną wioską, osiadzie gdzieś, wśród dóbr swojego pana.

- Dobrze, zaczynaj - książę klasnął w ręce.

Jedzono w milczeniu. Dziewczęta przy stole rzucały tylko ukradkowe spojrzenia na niewolnice, które pojawiły się razem z kucharzem i zaczęły usługiwać L'athowi. Obie były przestraszone. Niewolnice były praktycznie nagie. Każda z nich miała na sobie tylko rodzaj fartuszka. Nie uszło to również uwadze Archentara. On też był poruszony i chociaż słyszał o niewolnicach cesarstwa, zastanawiał się, jak zapytać o takie zhańbienie kobiet, żeby nie obrazić gościa. Z kłopotu wybawił go sam Lath.

- Przepraszam, widzę, że widok niewolnic wzbudza pogardę. - Ależ...

- Wiem, jakie są zwyczaje królestwa Troy. U nas także się je szanuje. Wiem też, że żadna kobieta nie może chodzić półnago.

- One są całkiem nagie - wtrącił Meredith.

- Tak. Ale to nie kobiety. To niewolnice. Nie ludzie - cierpliwie wyjaśniał poseł. - To tak jakbyście panie dopuścili do stołu psy. One również nie noszą szat.

- A... - Archentar czuł, że czerwienieją mu policzki. - Dlaczego tak dziwnie wydymają usta?

- Och, to takie zabezpieczenie. Każdej niewolnicy wypala się na pośladku znak jej stanu. W usta wkłada się im specjalny knebel, który sprawia, że nie mogą rozewrzeć szczęk ani poruszyć językiem. One nawet nie mogą nikogo poprosić o pomoc.

- Straszne - mruknął Meredith.

- To tylko niewolnice.

Obie dziewczęta przy stole były przerażone. Asija jednak po pewnym czasie przemogła się. Nie mogła nawet powstrzymać uśmiechu, wyobrażając sobie Achają w takim stroju, z zakneblowanymi ustami. Szczególnie, że księżniczka nic sobie nie robiła z kary stania przy stole. Manewrowała tym nowomodnym widelcem z taką wprawą, jak stary wojownik włada mieczem. Nawet najmniejszy kasek nie spadł na stół.

Po chwili główny kucharz ponownie pojawił się w jadalnej sali. Tym razem pochylił się, nie zadając sobie trudu, żeby choć udać, że chce przyklęknąć.

Archentar, który lubił go, nawet nie dlatego, że sam był żarłokiem, ale z powodu wpływu, jaki miały na gości świetne posiłki, uśmiechnął się do niego. Podniósł rękę i w sali zapadła cisza.

- Znajdź w piwnicy najlepsze wino! - polecił zgodnie z nakazem etykiety.

Wino stało przygotowane od dawna w kuchni. Kucharz jednak musiał je przynieść osobiście. Kiedy pojawił się z powrotem z wielkim dzbanem, Archentar wskazał córkę. Obyczaj nakazywał, żeby pierwszy kielich wychylił ktoś najmniej znaczny przy stole. W

tym celu zawsze, w każdej uczcie towarzyszyło rodzinie, oficjalnym gościom i przyjaciółom domu kilku tak zwanych „ubogich krewnych” - ludzi, którzy nigdy nie mieli prawa zabierania głosu, których ignorowało się i traktowało jak powietrze, a ich jedynym zadaniem było kosztowanie pierwszych kielichów (by nikomu choć trochę bardziej znacznemu nie przypadł w udziale ten poniżający obowiązek), branie na siebie winy za zbyt głośne czknięcia czy pierdnięcia oficjalnych gości (tak, tak... każdy przecież pamięta, jak uporczywe wiatry księcia Linnoy podczas uczty doprowadziły do prawie dwudziestoletniej wojny pomiędzy jego księstwem, a tyranią Symm). Ci ludzie często nie byli nawet prawdziwymi krewnymi. W krańcowych przypadkach można było wynająć kogoś ze zubożałej szlachty, a nadworny heraldyk robił z nich krewnych jednym pociągnięciem pióra. Teraz jednak Archentar wskazał na swoją córkę. Chciał ją ukarać za to, że perfidnie tak dobrze radziła sobie, nawet stojąc? Za jej wcześniejszy ostry wobec macochy język? Ale była to kara zbyt sroga. Meredith zeszytniał zaskoczony, nawet Uath spojrział na dziewczynę, żeby upewnić się, czy to na pewno córka gospodarza. Asija stłumiła uśmiech.

Kucharz, z reguły mało czuły na wymogi etykiety, podszedł do dziewczyny tak denerwująco powoli, że dosłownie chwile dzieliły go od chłosty. Achaja jednak dzielnie podniosła swój kielich. Kucharz, nie zważając na tuszę, nalewał go na klęczkach. Meredith i Asija zamarli w bezruchu, kiedy dziewczyna podnosiła wino do ust. Meredith, dlatego bo ją lubił i nie chciał, żeby nieopatrzna skarga z jej ust doprowadziła do jeszcze większych upokorzeń w jego obecności, Asija przeciwnie, licząc na to, że tamta popełni jakiś błąd, co da jej możliwość natychmiastowego zareagowania.

Na twarzy księżniczki pojawił się jednak lekki uśmiech. Przez chwilę ważyła w głowie, na co może sobie pozwolić, a potem... Potem podniosła kryształ do ust i wychyliła zawartość jednym wielkim haustem, odrzucając głowę do tyłu. To była jej zemsta na ojcu - niech przez moment goście sądzą, że ma córkę zajadłą pijaczkę.

Kucharz zzieleniał bardziej nawet niż sam Archentar. Książęce dziecko, a goli. wino jak marynarz w porcie! Taka zniewaga! Taki policzek wymierzony gościom!? Takie splunięcie w twarz posła L'atha! Kucharz zęgnął się z zyciem, Asija nie mogła uwierzyć w swe szczęście, Lath zastanawiał się, czy może sam wypowiedzieć wojnę, czy musi czekać na decyzję cesarza...

- Och - powiedziała Achaja słodkim głosem - to wino jest tak znakomite i tak mocne, że upiłam się samym zapachem.

Z Archentara uszło powietrze. Asija przeciwnie, wciągnęła je z głośnym sykiem. Meredith zachichotał, a Uath poczuł ulgę. Tak dobre wino, że upija sam zapach? Obraza zamieniła się nagle w komplement dla gości. Czarownik uśmiechnął się do dziewczyny. Ten brzdąc naprawdę jest sprytny. Uath zaczął klaskać w

dłonie. Był przekonany, że gospodarz ukartował to wszystko z córką. Ot, takie małe wytchnienie od nudy oficjalnych przyjęć. Jedyne kucharz, cudem uniknąwszy miecza, nie mógł napęlić pozostałych kielichów, bo drżały mu ręce.

Biesiadnicy, w przeciwieństwie do księżniczki, ledwie umoczyli wargi. Przyjdzie czas i na pijaństwo. Obyczaj jednak kazał zachowywać się bardziej konwencjonalnie, przynajmniej na początku.

- A wiecie państwo - L'ath znowu podjął temat politycznej dyskusji, wiedząc, że w dalszym ciągu to na honorowym gościu spoczywa obowiązek podtrzymywania rozmowy. - Wiecie, że są krainy gdzie nie ma pojęcia honoru, ani godności, ani...

- Choćby kraje Północy - mruknął Meredith, wzruszając ramionami.

- A nie, nie. Oni tam swój psi i podły, ale honor jednak mają.

- Są kraje o jeszcze bardziej nikczemnych obyczajach? - zdziwił się Wielki Książę. Był odpowiedzialny za dyplomację Królestwa Troy, a jednak nie słyszał o większym prostactwie niż na Północy.

- A są, są... - L'ath poglądził swoją równo przyciętą brodę. - Mówię o Chorych Ludziach zza Wielkiego Lasu.

- Zachód? - mglście kojarzył Archentar. - Stamtąd wyroby rzemieślnicze płyną i jeszcze... - Nie mógł sobie przypomnieć co jeszcze.

- Wielki Las? Słyszałem, że tak naprawdę nie jest za wielki.

- O nie, panie czarowniku. Jest przeogromny, jest nieprzebyty.

- To jak docierają do nas towary?

- Morzem albo poprzez góry Północy. To podnosi cenę, wiem, ale przez las? Nie. Nie ma mowy.

Wielki Książę skinął głową.

- No, a dlaczego, panie pośle cesarski, nazywasz ich ludźmi bez honoru?

- Ach... - L'ath rozsiadł się wygodniej i skosztował wina. - Posłowałem do Króla Hemenroy. Mój okręt zatrzymał się właśnie we wspaniałym porcie - twierdzy Hem, od samego imienia władcy nazwanym. Miałem już ruszać w głąb kraju, do stolicy, ale wstrzymano mię, mówiąc, że świadkiem wielkiej bitwy zostać mogę. Takż następnego dnia, zgodnie z zapowiedzią zwiadowców z okrętów kaperskich, na redzie flota Chorych Ludzi się pojawiła. Aaaaa... jaka tam flota. Ot łodzie w dużej kupie i kilka, może, pomniejszych statków handlowych. Okręty miasta Hem uderzyły na nich, spustoszenie czyniąc. Nie minęło pół dnia, a wszystkie już były szczipione, dym niósł się ku niebu, a ja rozczarowany byłem, bo to nie żadna bitwa, jeno zwykła rzeź...

- I nie poddali się?

- Ha! - Cesarski poseł uderzył ręką w stół. - Nie było komu się poddawać. Myślałem, już po nich. Wszystkie okręty spalone po abordażu... A Chorzy Ludzie miast w jasyr, to do wody skakali.

- To na brzegu ich połapali? L'ath pokręcił głową.
- Słuchajcie, panowie. Stałem na brzegu, w porcie na murach. Wszystko widziałem. Ci rozbitkowie do portu płynęli...

- Jak to? Wpław?

- A jakże. Siła ich dopłynęła do łachy, na którą łodzie kupieckie wyciągano. Chciałem iść już. Co będę się kaźni przyglądał, ale oni...- Poseł znowu łyknął wina. - Oni, jak dopłynęli, to za miecze i tłum, co się tam zebrał, siec zaczęli.

Meredith, choć bywały w świecie, skrzywił się z odrazy.

- No to ich chyba wojsko raz dwa rozproszyło? - powiedział Archentar.

- Jakie wojsko? Toż wojsko na okrętach bitwę czyniło! Straż uderzyła i murowi. Ale tam tłum był, przestrach i krzyki... Nie doszli. Ciżba runęła do bram, a Chorzy Ludzie wśród nich. Dźgając kobiety na równi z innymi.

- Nie zamknięto bram?

- Jak? Ciżba uciekała do miasta. Jak unieść most, skoro dwustu chamstwa po nim biegnie? Przy kole nikt nie wydoli, a i liny się pourywiają.

- A Chorzy Ludzie wśród nich?

- Jak mówię. Na ulicach się rozluźniło trochę. Straż przyparła kilku „topielców”. Ale reszta... Tu do karczmy się wdarli, drzwi zamknęli i dawaj z rodziną karczmarza sobie poczynać. Straż szturmuje, a oni śmiechy sobie urządzają. To w końcu żołnierstwo z dymem karczmę puściło. To się dopiero ciżba obruszyła. I dawaj barwę straży lżyć, kamieniami obrzucać. A z takim uporem, że straż się cofnęła. Panowie oficerowie na zamek pokomendy wyglądać... Co czynić? A pan burmistrz właśnie w świątyni był. Ktoś go nożem dziabnął na schodach.

- Chorzy Ludzie?

- A któżby? Pan komendant straży jeno na konia zdołał wsiąść, jak go ktoś mieczem pomacał. I już we krwi leżał. Straż zbója, który to zrobił, na strzepy rozerwała, jeszcze ubranie miał mokre. Ale co dalej? Kto ma komendę brać? A tu domy płoną. Chamstwo tumult czyni, w świątyniach kapłani pokotem leżą i nikt nie wie, kto ich do własnych bogów wyprawił. Ktoś rabuje domy, składy, kantory... Chorzy Ludzie czy zwykły gmin zamieszanem rozzuchwalony? Wtedy do księcia, pod pałac, straż ruszyła - tam się najazdowi przeciwstawić. I nawet wydawało się, po krzykach i nawoływaniach sam księżę na schody wychodzi... Ale nie... To jakiś cham z Chorych Ludzi, jeno w skrwawionym i rozdartym, księżęcym płaszczu. Pije to swoje bezbarwne, cuchnące wino, pluje i urąga... i zlorzeczy wszystkim, i wszystkiemu wokół. Straż się rzuciła, ale zdążył jeszcze krzyknąć, że bogactwa księcia teraz do każdego należą, bo nie ma już władzy w mieście Hem... Potem było traktowanie i rabowanie, i palenie... ale nie Chorzy Ludzie to urządzili. Nie było już miasta Hem. Bramę chyłkiem opuszczałem to Chorzy Ludzie ogłaszali, że teraz już ceł nie ma, ani podatków, że każdy sobie panem być może. Potem

swoją władzę ustanowili, a ze wzgórz jeszcze zdążyłem zobaczyć, jak opornych z murów zrzucają.

- Bitwę przegrali i miasto zdobyli? L'ath smętnie skinął głową.

- Nie orężem tylko świństwem zdobyte. Nie ma u nich komendy, nie ma porządku. Ale jak wściekle psy gryzą. Jak ucapią, życia nie stanie.

Z całego towarzystwa jedynie Achaja zwróciła uwagę na zmianę, jakiej poddał się język posła. Nadworny kronikarz i nauczyciel kaligrafii, wiele razy zwracał jej uwagę, żeby uważała na język, jakim ludzie mówią. Każdy niby mówi tak po prostu. Oczywiście inaczej chłopstwo, inaczej kupiectwo, a jeszcze inaczej panowie. Ale nie o to tu chodzi. Zupełnie inaczej ludzie mówią na co dzień, a inaczej zapisuje się to w kronikach. Jeśli ktoś nagle zaczyna mówić „kronikarskim” językiem, to znaczy, że albo nie opowiada tego, czego sam doświadczył, albo owszem, ale było to dawno, zdążył podyktować wspomnienia, które kronikarze uwiecznili, a on sam potem je czytał, jak każdy inny... „I wiesz, księżniczko - mówił preceptor kaligrafii - jeśli kiedyś ludzie zaczną pisać tak jak mówią, niczego nie zmieniając, to będą się dziwić, czytając naszys powieści: jakim dziwnym językiem mówiliśmy”.

Meredith pokiwał smętnie głową.

- Taaaak. Też już widziałem Chorych Ludzi. Ale kilkudziesięciu raptem.

- Gdzie to było? - zainteresował się Archentar. - Opowiedzcie o tym, panie czarowniku.

- Jeśli nie znudzę słuchaczy... - Powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych, ale nikt oczywiście nie zgłaszał zastrzeżeń. - Byłem na uroczystości odnowienia ślubów Tyrana Symm. Miasto Heberon, też port. - Zerknął w stronę posła.

L'ath uśmiechnął się lekko.

- Przecież Chorzy Ludzie go nie zdobyli.

- Ach, nie, nie... bronili nawet. Ale do rzeczy. Otóż dziwna to była uroczystość. Wojska Linnoya oblegały Heberon od roku. Dwudziestoletnia wojna miała się ku końcowi. Symm przegrywało już zaduszone biedą, ale... Tyran nie żałował niczego. Nigdy przedtem nie widziałem takiej uczy. Stosy wymyślnych potraw sięgały sufitów w Starym Pałacu. Goście, poselstwa z całego świata, wspaniałe szaty, książęta... samych służących było więcej niż gości. A pod oknami ciżba zabijająca się, by ogryźć wyrzucane resztki.

- Ludzie? - zdziwił się Archentar. - Nie psy?

- Wszystkie psy dawno zjedzono w czasie oblężenia. Dziwna to była ucza. Wojska Linnoya szturmują mury, goście się bawią, tonąc w zbytku, a o krok dalej chamstwo wyżyna się, nie szczędząc kobiet ani dzieci, by wyssać choćby dawno ogryzioną kość. Straszna noc. Ogień na murach, krew pod oknami, muzyka wewnątrz pałacu.

- A gdzie Chorzy Ludzie? - spytał L'ath.

- Ano tyran zgromadził wiele osobliwości. Były dziwne ptaki, pawie, piękniejsze niż honorowa gwardia, były słonie - żeby je na sale wprowadzić musieli dwie

ściany w pałacu rozebrać - dziwne kwiaty, które owady chwytają jak zwierzęta w paszczę. Byli i Chorzy Ludzie. Czterdziestu ich tyran sprowadził, płacąc ich władcy, by huk dawali, czyniąc dym...

- Co dawali, przepraszam? - nie dosłyszał L'ath.

- Huk. Otóż wszyscy mieli ze sobą długie rury, muszkiety, czy jak im tam. I jak wszyscy naraz pod ścianą się ustawili, to huk i dym taki zrobili, że kawałki powały spadły na gości.

- No taaaak... - mruknął Archentar. - Może i dobrze, że Tyran Symm wojnę przegrał. Powalą gości podejmować? To i bez Chorych Ludzi da się uczynić.

- I taniej wyjdzie niż jadłem - roześmiał się L'ath.

- Takie zdania i wśród poruszonych książąt padały - ciągnął Meredith. - Ot, dali palbę, poszli i starczy. Niespodzianka się tyranowi niezbyt udała. - Czarownik przerwał na chwilę i pociągnął łyk ze swojego kielicha. - Następnego dnia rano wojska Linnoy mury zdobyły. Na ulicach gwałt, tumult i krzyki. Ogień z podpalonych domów i dym. Pałac zdobyty, żołnierze, ponoć leżących na podłogach gości, co do komnat nie doszli, nogami tratowali. Nie wiem, do portu biegłem, ale tam jeszcze większy zgielk, wszyscy na statki, byle uciec, byle dalej, gwardia własny gmin mieczami cięła, by dać drogę swojemu władcy. Potem straż uderzyła i murowi. Ciżba legła w porcie pod mieczami własnych obrońców. Rzeź... No ale drogę otworzyli. Dostałem się na jakiś statek, płacąc kapitanowi tyle, że dwie wsie mógł za to kupić, chcemy odbijać wśród innych statków, ale na wodzie tłok, ścisk, jak na wiejskim jarmarku. A z okrętów wojennych Symm łuczniczy strzelają, jak ktoś im w drogę wejdzie, nie ma litości. I patrzę, a wojska Linnoy już do portu wkraczają. Zwarci, w ordynku, żaden nawet raz kroku nie zmyli. Piękny to był widok, choć straszny w swej grozie. A z karczmy, co jej jeszcze nikt dotąd nie ruszył, Chorzy Ludzie wychynęli. Piękne kubraki, kolorowe spodnie, które wczoraj jako dziw oglądano, dziś w nieładzie, potargane, całą noc pewnie pili. Jeden rzyga pod ścianą, inni na widoku się załatwiają, ktoś głowę moczy w fontannie. A śmierdzieli tak, że ich na statku czułem - gorzej niż szewc po sutym obiedzie w amfiteatrze. Sam upadek i sama poruta. I ruszyli na nich książęcy wojacy. Sami młodzi chłopcy w jednakowych pancerzach, w hełmach z pióropuszcami, równym krokiem do szturm. Piękny to był widok, i ramiona i uda, lśniące w słońcu od namaszczenia oliwą, błyszczące nagolenice, tarcze i miecze. Ktoś tam zaczął zwoływać Chorych Ludzi, a oni niechętnie, chwiejąc się na nogach, swoją broń przygotowywali. Książęcy coraz bliżej, widać, że w mig rozniosą, ich dwustu, a szubrawców może czterdziestu...

- I co? - nie wytrzymał L'ath.

- Zebrali się jakoś. W cztery szeregi się ustawili, ale nierówne... nierówne... Tu chłopcy Linnoya, a tu pijane wieprze... - Meredith pociągnął kolejny łyk. - I zrobili huk jeszcze raz. Pierwszy szereg zawrócił i ruszył w tył, drugą dziesiątkę odslaniając. Tamci również wypalili i tak samo trzeci szereg. A książęce wojsko całe we krwi.

Zaczęli żołnierze padać. I nie był to już ten piękny, wspaniały hufiec. Byli ludzie jęczący i ci co leżeli na ziemi, i... ci co uciekali jak dzieci.

- Co? - zachnął się Archentar. - W dwustu przed czterdziestoma uciekali?

- Jak mówię... - Czarownik pokiwał smutno głową. - Ostatni szereg Chorych Ludzi w plecy im palił.

- Nie może być. Dwustu doborowego wojska?!

- Eeeee... - włączył się L'ath. - Hufiec ściśnięty w portowej uliczce. Na polu raz dwa by im radę dali.

- Zapewne - zgodził się Meredith. - Ale to już nie byli ci ludzie, których widziałeś panie w mieście Hem. Pijani, szubrawcy... Ale komendę znali.

- I co dalej? - wyrwało się Asiji.

- Dalej już nic. Chorzy Ludzie dobiegli do mojego statku i o ratunek prosili. Kapitan ich wziął. Pewnie bał się, żeby w niego nie wypalili... I z portu jakoś wypłynęliśmy.

- Ha! - Archentar uderzył dłonią w stół. - Jednak uciekli.

- Prawda - zawtórował mu L'ath. - Jakich czasów jednak dożyliśmy. Żeby zwykły cham mógł z kuszy czy z... tego, jak mu... muszkietu w rycerza godzić. Nic, tylko upadek obyczajów i koniec kultury.

- Prawda, prawda - potwierdził Wielki Książę. - Na szczęście, ciągle nie ma to jednak jak uderzyć konnicą i pieszym wojskiem.

- Miecz i honor - dodał cesarski poseł. - Tylko to pozostanie godne dla mężczyzny na wieki.

Achaja przymknęła oczy. Owszem, zdarzało się wcześniej, że książęce dzieci brano do wojska na równi ze wszystkimi (a nawet szczególnie je - dla przykładu), ale to było dawnej, w czasach, które opisuje się w starych kronikach. W czasach kiedy, honor i miecz, jak mówił poseł L'ath, rzeczywiście coś znaczyły. Nie słyszała, żeby ktokolwiek z ludzi, których znała, poszedł służyć jako prosty żołnierz. No może ktoś tam... Ale na pewno nie córka Wielkiego Księcia. A jeśli już... To owszem, wpisywano taką osobę na listę rekrutów, a w dwa dni później kierowano, dajmy na to, do armijnego zespołu muzycznego, gdzie przez dwa lata pełniła (honorowo) funkcje konsultanta, na przykład do spraw poezji. Zdarzało się, że nikt z właściwej jednostki. (ani zespołu artystycznego oczywiście) w ogóle nie wiedział, jak wygląda wysoko urodzony rekrut. Wiedziony swoją chorobliwą uczciwością Archentar kazał jej jednak odslużyć wszystko, jak każdy zwykły żołnierz. Początkowo uważała, że dzieje jej się wielka krzywda, potem uznała, że może i dobrze, że jest to jakaś przygoda w jej życiu, że przynajmniej na trochę wyrwie się spod władzy złośliwej Asiji. Teraz jednak, po dwóch dniach drogi odbytej w towarzystwie sług, kiedy została wreszcie sama na punkcie zbornym Armii Zachodu, czuła lekki niepokój. Chociaż może to za mało powiedziane. Czuła strach? Nie potrafiła sama

powiedzieć. W końcu, po raz pierwszy w swym życiu była sama, absolutnie sama, daleko poza domem. Stała właśnie w swej pięknej, bogatej i kolorowej sukni, w otoczeniu dzieci chłopów, kupców i niższych urzędników, których stroje dużo bardziej pasowały do tego miejsca - szare, białe, biedne, średnie, czasem schludne, czasem wręcz brudne - nie różniły się zbyt od tego, co nosili armijni urzędnicy. Wyglądała tutaj jak samotny, rajski ptak, który przysiadł na wiązce słomy, rzuconej na kupę gnoju.

W niewielkim pomieszczeniu panowała cisza. Szesnastu chłopców i pięć dziewczyn nie miało ochoty na jakiegokolwiek rozmowy. Urzędnicy zbyt byli zajęci pisaniem sążnistych dokumentów, by zwracać uwagę na grupkę przestraszonych dzieci. Chociaż spojrzenia rzucały w stronę kolorowej sukni, choć ukradkowe, nie należały do rzadkości. Co jakiś czas tylko wchodził dziesiętnik i wyczytywał z listy czyjeś imię. Dzieciaków w sali rozprawiania ubywało powoli.

- Achaja, córka Archentara!

O kim on mówi? Bogowie, co za fatalny akcent. Prawie w ogóle nie można go zrozumieć.

- Achaja, córka Archentara! - powtórzył dziesiętnik. To... Bogowie, to ja! Dziesiętnik był pierwszym w jej życiu

człowiekiem z gminu, który nie użył przed jej imieniem zwrotu „księżniczka”. Ale to było jeszcze do przełknięcia. Jak ten cham śmiał pominąć tytuł „Wielki Książę” przed imieniem jej ojca. Powinna go obrugać, ale... Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy, nigdy odkąd mogła pamiętać.

Dziesiętnik stracił cierpliwość. Nagle przestał udawać, że nie wie, kto to jest Achaja (naprawdę trudno było jej nie zauważyć w ciasnym pomieszczeniu) i wyciągnął rękę.

- Tutaj! - Wskazał drzwi za swoimi plecami.

Ruszyła za nim, starając się okazać jak największą pogardę. Ale dziesiętnik nie interesował się nią zupełnie. Wyprowadził ją na zewnątrz, gdzie przy wielkim stole kilku żołnierzy oceniło na oko jej wymiary. Ktoś wskazał dość spory worek, który musiała wziąć (sama!) i przejść do kolejnego, zbitego z nierównych desek baraku.

- Przebieraj się - mruknął dziesiętnik i ruszył z powrotem po kolejnego rekruta.

Barak nie był pusty. Kręciło się w nim kilku żołnierzy, jacyś ludzie, sądząc po strojach, służący. Nikt jednak nie zamierzał jej szykanować. Wskazano jej pomieszczenie za przepierzeniem gdzie mogła, cała czerwona ze wstydu, ale sama, zdając wreszcie bogato zdobioną suknię i włożyć... O Bogowie! Krótką tunikę ze zgrzebnego płótna, króciutką spódniczkę ze źle wyprawionej skóry, która (co za poniżenie...) nie sięgała jej nawet do połowy ud, sandały i coś w rodzaju pancerza (czy oni w tym wojsku naprawdę nie wiedzą, co to pancerz?) zrobionego z nierówno zszytych kawałków... skóry!!! No, może nabijanej spiżowymi ćwiekami, ale skóry! Przecież to nawet... A, mniejsza z tym! Gorzej, że cały ten strój był najwyraźniej

przewidziany dla chłopca. Achaja nie wiedziała, co zrobić z piersiami. Jakkolwiek nie poprawiałyby oporządzenia, przy każdym ruchu obcierało ją, zadając coraz większy ból. Szczególnie (tfu,..) „pancerz”, jego źle zszyte, poprzeczne pasy, ustawiały się albo nad sutkami, albo pod. Przecież w tym stanie nie będzie mogła zrobić nawet kroku. Wyszła za przepierzeniem, zagryzając zęby. Po raz pierwszy w życiu jacyś mężczyźni mogli widzieć jej praktycznie gołe nogi! W całym baraku nikt jednak nie zwracał na nią uwagi. Posadzono ją (dość delikatnie nawet) na krześle pod ścianą. Zmoczono jej włosy (z pewną atencją, żeby oddać sprawiedliwość) i zmyto z nich czerwoną farbę, przywracając naturalną czerń. Potem cyrulik obciął ją „na chłopca”, czyli do ramion i związał to, co zostało, w koński ogon, na czubku głowy kawałkiem (za przeproszeniem...) zwykłego sznurka. Kto inny wydał jej pas, krótki miecz (Bogowie, rękojeść była tak źle obrobiona, że już na początku wbiła sobie w dłoń dużą drzazgę) i drugi worek przewiązany rzemieniem, który musiała sobie zarzucić na plecy (kretyni... miała go sama nieść, czy jak?). Na szczęście w całym pomieszczeniu nie było lustro, w którym mogłaby się przejrzeć - inaczej umarłaby ze wstydu. Chcieli, żeby podpisała jakiś papier, mówiąc z przyzwyczajenia pewnie: „możesz postawić trzy krzyżyki”. Zagubiona posłusznie postawiła, ozdabiając je jednak na koniec zamasztywanym podpisem. Wreszcie, kazano jej (dość grzecznie) wyjść. Opuściła barak, czując, że palą ją policzki. Lekki wiatr chłodził jej (gołe, gołe, gołe!!!) nogi, „pancerz” sprawiał, że obolałe sutki sterczały coraz bardziej (Bogowie! Co za hańba!), idiotyczna fryzura sprawiała, że po raz pierwszy w życiu poczuła chłód na gołym karku. Myślała, że zapadnie się pod ziemię, ale inny dziesiętnik kazał jej dołączyć do oddziału, zszokowanych, tak jak i ona, chłopców i dziewcząt.

Czekali nie dłużej niż trzy modlitwy. Przyszedł jakiś żołnierz (nie sposób było rozpoznać jego funkcji), rzucił komendę, której nikt (chyba) nie zrozumiał, tak fatalny był jego prostacki akcent, niemniej gesty można było jakoś pojąć. Kolumna złożona z może trzydziestu rekrutów ruszyła ku głównej bramie. Ale to jeszcze nic. Kiedy wyszli na ulice wielkiego miasta, Achai zdawało się, że wszyscy na nią patrzą. Normalny ruch, zgiełk, do którego była przyzwyczajona, podróżując w lektyce, teraz wydawał się czymś, co stworzono specjalnie, by pognać ją, córkę Wielkiego Księcia. Wszyscy, dosłownie wszyscy, patrzyli chyba tylko po to, żeby dać odczuć jak wielka była jej hańba. Przekupnie, sługi, strażę, obywateli, klębili się na ulicach tylko po to, żeby dojrzeć, że księżniczka krwi musi iść z gołymi nogami, ze zgrzebnym workiem na plecach i obciążonym przez jakiegoś idiotę włosami po to tylko, żeby zadośćuczynić ambicjom swego (nie powtarzamy słowa, które tu padło) ojca. Bolało ją wszystko, piersi, stopy od zgrzebnych sandałów, plecy od wypełnionego jakimś debilizmem worka... Krok za krokiem. Ile można tak iść? Jak wiele kroków można w życiu

uczynić? Pięćdziesiąt? Sto? Owszem, była szkolona przez swoich nauczycieli, biegła nawet, i to w pełnym pancerzu (prawdziwym!) z tarczą... Ale własne nogi jako sposób na podróżowanie? To jakiś idiotyzm. Przy tysiącu kroków straciła rachubę. Kiedy wyszli z miasta, jej nogi, a właściwie stopy, bolały coraz bardziej. Na najbliższym postoju, mniej więcej w południe, zdjęła sandały, żeby z pewnym zdziwieniem (w końcu nie bolało aż tak bardzo) stwierdzić, że na wypiełgnowanych stopach krwawiące rany. Powiedziała o tym dziesiętnikowi, ten, choć cham, marszcząc brwi patrzył autentycznie zdziwiony, jak na bazyliuszka stojącego pośrodku rynku. Poradził jej (dość grzecznie nawet), żeby owinęła stopy płótnem, a nawet pomógł, przez cały czas dziwiąc się niepomiarnie. Zignorował jednak pytanie, kiedy przyjadą wozy dla nich lub kiedy podstawią konie. Achaja miała wrażenie, że międli pod nosem w swym prostackim języku jakieś zdanie w rodzaju: „Konie? Co to jazda, do jasnego groma? Czy piechota, psiamać?”, ale nie była pewna. Jego chamski akcent i fakt, że czuł się (jak sądziła) onieśmielony obecnością kogoś lepiej urodzonego, sprawiały, że nie można było czegokolwiek zrozumieć.

Ruszyli dalej. Achaja nie sądziła, że można na własnych nogach iść tak daleko. Odstawała coraz bardziej i dziesiętnik, aczkolwiek marszcząc brwi, był zmuszony opóźnić tempo pochodu. Mamrotał coś, ale kto by zwracał na niego uwagę. Pozostali rekruci zaczęli jednak sarkać. Achaja nie zamierzała zwracać sobie głowy dziećmi kupców, chłopów i rzemieślników. Do obozu wojskowego doszli późnym wieczorem. Ich dziesiętnik przekazał wszystkich rekrutów innemu dziesiętnikowi i odszedł bez pożegnania, kręcąc głową i klnąc pod nosem. Ich nowy dowódca nie był jednak już niczym skrepowany.

- Czego, kurwa, tak późno? - ryknął na przywitaniu.

Ktoś z szeregu usiłował coś odpowiedzieć, ale dziesiętnik, urwał szybkim:

- Stul pysk, niepytany!

Był to oczywisty idiotyzm. Wszak sam zadał przedtem, choć w chamskiej formie, pytanie.

- Nooooo ładnie. Podpadka na samym początku. - Uśmiechnął się oblesnie. - Już ja was, psy, wymusztruję!

- Co za cham - mruknęła Achaja.

- Cooooo?!!! Który to powiedział?!

- Ja.

Dziesiętnik zbliżył się do dziewczyny.

- A ty kto?

- Księżniczka Achaja, córka Wielkiego Księcia Archentara. Dziesiętnik stracił rezon na krótką chwilę.

- No! - Kiwnął jej palcem. Potem jednak odszedł, by przyczepić się do innych rekrutów. Łajał za wszystko, że rysz tunek w nieładzie, że twarz spocona, że włosy źle ułożone, że sandał krzywo nałożony, że ktoś patrzy pod nogi, zamiast przed siebie, że kto inny patrzy przed siebie, zamiast pod nogi... Dostało się wszystkim. Ale nie to było najgorsze. Dziesiętnik poprowadził ich do

sporego nawet budynku dowództwa i wskazał podłogę ze startego piaskowca.

- No, psiekrwie! - Stał na rozkraczonych nogach. - Próżnowaliście przez cały dzień, a to przecież wasz pierwszy dzień w wojsku. Nie może być, żebyście go nie zapamiętali. - Roześmiał się chrapliwie. Rozdał wszystkim szmatki, może długie na palec i szerokie na palec. - Szorować podłogę! Ma się błyszczeć jak psu jajca!

Rekruci rzucili się na kolana oprócz Achai, ma się rozumieć. Dziewczyna, abstrahując od ordynarnego języka tego człowieka, nie mogła zrozumieć jednej kwestii. Miała w pałacu wiele psów, ale żadnemu, te, no... nie świeciły się w żaden sposób.

- A ty co? - Dziesiętnik przyskoczył do niej. - Dla jasnie pani mam dać specjalne zaproszenie?

Achaja kucnęła, ale zaraz zdała sobie sprawę, że w krótkiej spódniczce, wygląda w żaden sposób nie przystający księżniczce. Chcąc nie chcąc, opadła na kolana. Podłoga wydawała się dość czysta. Zaczęła ją trzeć na sucho, ale malutka szmatka zwinęła się w jej dłoni, tak, że wycierała piaskowiec właściwie własną skórą. Wstała niezadowolona.

- No co ty!!! - dziesiętnik aż zapiał. - Nie słyszałaś?

- Panie dziesiętniku - Achaja wkładała wszystkie siły, żeby nie obsobaczyć chama. - Ja nie wiedziałam, że nasze wojsko znajduje się w tak trudnej sytuacji finansowej.

- Coooooo?!!!

- Ja kupię wojsku duże, porządne szmaty. I wynajmę służących, żeby to wyczyścili. - Uśmiechnęła się.

- Eeeee... - Dziesiętnik wybałuszył oczy. Coś takiego nie zdarzyło się nigdy, podczas jego długiej, wojskowej kariery. - Yyyyyyyyy... - czknął głośno, nie mogąc sobie poradzić z problemem. - Ja... Ja ci... - przełknął ślinę. - Ja z ciebie pasy drzeć każe!!! - ryknął.

- Słucham? - Achaja zmieniła ton na oficjalny. Jej oczy zamieniły się w szparki.

Dziesiętnik spurpurowiał, potem zsiniał. Najwyraźniej nie wiedział, co zrobić. Normalnego rekruta walnąłby w zęby tak, że trzeba by ich przez dwa dni szukać, ale ona... Psiamać, księżniczka.

- Tyyyyy... - Chrząknął, grożąc palcem. Potem zawinął się i odszedł, szukając wsparcia u wyższych szarż.

Nie musieli czekać długo. Wrócił niebawem w towarzystwie starego, siwego już, setnika.

- Całość powstań! - rzucił dziesiętnik. A kiedy rekruci niespiesznie spełniali jego polecenie dodał: - Ale już, kurwy!

Setnik chwiał się na nogach. Najwyraźniej nie był trzeźwy tego wieczora. Mętym wzrokiem powiódł po zebranych chłopcach i dziewczętach. Trochę dłużej zatrzymał się na Achai. Potem spojrzął na podoficera.

- To ja cię mam uczyć, jak rekruta szkolić, chuju?!!! - ryknął. Achaja poczerwieniała, słysząc, tak ordynarne przekleństwo.

Dziesiętnik jednak, zamiast się przestraszyć, jakby pokraśniał. Stek przekleństw, spływający na jego głowę

z ust oficera, zamiast go pograżać, zdawał się sprawiać ożywczy efekt. Dziesiątnik rósł, prostował się, nabierał powagi i pewności siebie. Setnik, zmożony alkoholem, nie miał jednak niewyczerpanych sił. Zadyszał się i zamilkł, usiłując odzyskać głos. Po dłuższej chwili podszedł do zbitej grupki rekrutów.

- No! - Rozkraczył się i ujął pod boki. - A więc jesteście w wojsku, psy!

Nie zaczyna się zdania od: „a więc” - pomyślała Achaja, ale nie powiedziała tego głośno.

- Każdy z was rozpoczyna dzisiaj służbę dla naszego ukochanego Króla! Pochodźcie z gminu, czy skąd tam... - Machnął ręką, chwiejąc się na nogach. - Nieważne. Każdy z was, che, che, może dojść nawet do godności stratega! Cha, cha, cha... Jak to mówił nasz Król: „Każdy żołnierz nosi buławę stratega w plecaku!”... Ale nie bierzcie sobie tego, póki co, do serca. No.

Rozmasował sobie twarz i rzucił podoficerowi:

- Wykonać rozkaz!

Dziesiątnik nie pytał, jaki rozkaz, choć żaden nie padł przecież. Po odejściu setnika zbliżył się do Achai z jadowitym uśmiechem.

- Jaśnie pani nie chce sprzątać? - spytał, nie oczekując odpowiedzi. - No, nie ma sprawy. Niech jaśnie pani usiądzie sobie, tu jest ławeczka. - Uśmiechnął się nawet miło. Potem odszedł do reszty rekrutów. - Zdać szmatki! - ryknął.

Przestraszeni, nowi żołnierze oddali szmatki z zadziwiającą szybkością. - Nabrudzić tu!!! - zawył dziesiątnik.

Tego nawet dzieci kupców, chłopów i rzemieślników nie mogły pojąć. Dziesiątnik rozsierdził się ich głupotą.

- No, nawnosić tu ziemi, debile!!! - krzyknął. - A polać wodą, a naszczać, jak będzie trzeba!!!

Dłuższy czas patrzył na niezbyt zborne wysiłki nabrudzenia czynione przez oddział. Uśmiechał się coraz szerzej.

- No i jak? - zagadnął Achaję siedzącą na ławce. - Może być?

- To idiotyzm - mruknęła dziewczyna.

- Chee... nie taki bardzo - odpowiedział zadziwiająco przytomnie jak na człowieka z gminu. - No już, już - krzyknął. - A teraz sprzątać, psiekrwie!

- Ale czym? - Ktoś dał się zaskoczyć.

- A mordą, gnoju! Własną mordą! - Wziął się pod boki. - Nie idzie?! - wrzasnął do bardziej opornych, którzy po pierwszych słowach nie opadli na kolana. - To zlizuj, psie! Wyliz mi to do czysta!!!

Chłopcy i dziewczęta szorowali podłogę gołymi rękami, zlizywać jakoś nikt nie chciał. Gorączkowa praca wydawała się nie mieć końca i nie przynosić żadnych efektów. Dziesiątnik nie był zadowolony.

- Hej, ty! - Wskazał na chłopaka bardziej rosnącego niż inni. - Ty się nie przykładasz!

- Robię co inni, panie! - Chłopak zdwoił wysiłki.

- Nie pyskuj! Wstań i podskakuj, gnoju!

Chłopak wstał co prawda, ale nie bardzo wiedział, co ma uczynić.

- No skacz, debilu! W górę! - wrzasnął dziesiątnik. Widząc, jak tamten podskakuje niepewnie, kilka razy powstrzymał go ruchem ręki. - Ty! - Dotknął ramienia jakiejś dziewczyny. - Włóż mu na plecy!

- Co?

- Nie „co”, zarazo, tylko: „słucham, proszę pana”! Noż kurde blade, na barana nigdy nie jeździliście? Ojciec nie nosił?

Coś jakby cień zrozumienia odbił się na twarzach dwójki skazańców. Dziewczyna z trudem wdrapała się na plecy chłopca, usiłując przytrzymać przy udach krótką spódniczkę.

- No skacz!

Wiejski osiłek podskoczył kilka razy, ale nie mogło to zadowolić dziesiątnika.

- Wyżej, wyżej! Co, ojciec jeść nie dawali? To skąd tak wyrosłeś? Wyżej, mówię!

Chłopak podskoczył jak mógł najwyżej, aż dziewczyna palnęła głową o powalę i zwałała mu się przez plecy.

- No co ty robisz, psie? Zabić chcesz? No to ja ci za to każę dwadzieścia razy wokół placu przebiec. O zesz ty! - dodał, widząc jego zdziwione spojrzenie. - To tyle razy, ile masz palców u rąk i nóg, no jazda! Stój!!! A plecak co? Zapomniałeś?

Zignorował wysiłki tych, którzy usiłowali pomóc leżącej na ziemi dziewczynie, ale tylko na chwilę.

- A wy co? Pracować nie chcecie?! No to teraz każdy z "was wyjmie miecz, wymachuje i krzyczy: „Będę bronić mojego dziesiątnika!”. Głośniej! Głośniej! I podłogę czyścić przy tym! Jak to czym, kretynie? Drugą rękę masz wolną! Krzycz i machaj! A ty co? - Szturchnął jakąś dziewczynę, która nie mogła sobie poradzić z bojowym okrzykiem, machaniem mieczem i czyszczeniem podłogi jednocześnie. - Nie chcesz mnie bronić? Taka jesteś zajadła suka? Dwadzieścia razy wokół placu, dogoń kolegę! A ty? - Dopadł jakiegoś sapiącego chłopca. - Nie chcesz mnie bronić? Toż cesarz Luan wojska przeciwko mnie wyprawił. W tobie jedyna nadzieja... Krzycz! Krzycz, to go może przestraszysz. O nieeeee... Tak nawet kurwy z burdelu nie wypłoszysz. Dwadzieścia razy...

Achaja odwróciła wzrok, żeby nie być świadkiem tych upokarzających scen. Po powrocie musi powiedzieć ojcu, co się tu naprawdę wyrabia. Już ona pokaże tym wszystkim zezwierzęconym chamom. A mówili nauczyciele: „z gminem nie zadajemy się nie z powodu ich niskiego urodzenia, ale dlatego, że nie ma po co”. Zaiste! Nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego powodu do jakiegokolwiek obcowania z nimi po zaledwie jednym dniu spędzonym wśród gminu. Ale z drugiej strony nie sądziła, żeby coś takiego...

- A co to za hałas? - Pisarz dowództwa otworzył drzwi, ale zamarł w pół ruchu. Naprawdę widok trzydziestu ludzi czyszczących podłogę na kolanach, a jednocześnie wymachujących mieczami pośród gromkich okrzyków: „Będę bronił swojego

dziesiątnika!", nawet tutaj nie należał do rzeczy codziennych. Pierwsze skaleczenia u kilku osób barwiły już nowe tuniki na czerwono, jeszcze chwila, a potoczą się głowy.

- Ćwiczenia bojowe - zaraportował dziesiątnik.

- Aha - uśmiechnął się pisarz. - A co oni takiego zrobili? - Nic nie zrobili..

- Aha. - Pisarz spojrział w stronę siedzącej na ławeczce Achaj

i domyślił się wszystkiego. Służył w wojsku od dwudziestu lat. - Masz pecha, dziecko - szepnął i zamknął drzwi.

Księżniczka zignorowała jego słowa. Jeszcze jeden z, jak to się określało w pałacu, „cizby ludzkiej”. Dziesiątnik jednak nie dawał za wygraną. „Sprzątacze” słabli, co prawda, coraz bardziej, ale tych najbardziej osłabionych wysyłał kilka razy wokół placu na „orzeźwienie” i już po paru modlitwach mdlejący, ale z nowym wigorem, wracali do pracy. Był środek nocy, kiedy skończyli. Dziesiątnik ustawił wszystkich w chwiejącym się i łamiącym szeregu.

- No... - ziewnął. - Nie żebyście to jakoś tak ładnie posprząтали... - Zerknął na lśniącą podłogę. - Ale po prostu mi was żal, niedojdy.

Przeszedł pomiędzy skonanymi, ledwie trzymającymi się na nogach ludźmi. Kilku powiedział, że będą sprzątać tu do własnej śmierci, bo pot z ich twarzy znowu brudzi podłogę, kogoś obsztorcował za to, że miał oczy przymknięte, kogoś innego za to, że miał oczy za szeroko otwarte. Potem znowu stanął przed frontem oddziału.

- No! - Powoli powiódł wzrokiem po wszystkich obecnych. - A wiecie dlaczego tu sprzątałyście brud... hm... dodatkowy?

Nikt nie śmiał się odezwać.

- Ano z tej przyczyny - kontynuował nie zrażony brakiem odzewu dziesiątnik - że wasza koleżanka - wskazał na ciągle siedzącą na ławce Achaję - nie chciała pracować razem z wami. Nie chciała, ponieważ jest księżniczką i pewnie nie wie, jak to się robi. No to wy pokazaliście jej, co to jest praca - uśmiechnął się szeroko. - I jutro też będziecie pokazywać.

Achaja wzruszyła ramionami. Miała wrażenie, że cały oddział ukarano i to za nią. To jakiś bezsens. Ale też nie miało sensu analizowanie tego, co czynił gmin.

Dziesiątnik nie wyzłościł się więcej. Bez dalszych szykan zaprowadził ich do ogromnego namiotu, gdzie mieli spędzić noc. Achaja ze zgrozą obserwowała, że sienniki, co prawda grubo wypchane słomą, położono wprost na gołej ziemi. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko, co przeznaczono im do spania, zanim współuczestnicy niedoli nie zaczęli walić się na nie, w większości zasypiając w ubraniu. Sama usiadła gdzieś w kącie, zastanawiając się, co ma na siebie włożyć. Nie miała nocnej koszuli. Czy gmin śpi nago? Chłopcy i dziewczęta razem? Nie wiedziała, jak z tego wybrnąć. Czuła obrzydzenie do wszystkiego wokół, do tego strasznego, niezrozumiałego, głupiego i śmierdzącego świata, jaki ją otaczał. Czuła tęsknotę za

domem i coraz mocniejsze osamotnienie. Postanowiła siedzieć tak do rana, aż ktoś przyjdzie, zobaczy jak strasznie cierpi i coś z tym wreszcie zrobi. Nie mogła jednak utrzymać głowy w pionie. Nie sprzątała, co prawda, feralnej podłogi, ale i tak zrobiła dzisiaj więcej kroków niż dotąd przez całe życie. A niech tam... W jakimś sensie była jednak silna. Ten ktoś, kto miał przyjść i zobaczyć jak strasznie cierpi, może to zrobić jutro. Po chwili wahania zdjęła „pancerz” i skórzaną spódnice. Położyła się w samej tunice od razu nakrywając bezbarwnym, choć czystym kocem. Znowu miała wrażenie, że nie zaśnie w tym poniżeniu, ale trwało to tylko chwilę. Zmęczenie i mocny zapach świeżej słomy z siennika sprawiły, że zasnęła natychmiast.

Tym, co ją obudziło, nie był bynajmniej śpiew skowronków. Ale nie był to również dziesiątnik wzywający na poranny apel. Gruby koc zakrywał szczelnie jej głowę, skutecznie tłumiąc krzyk, kiedy na całe ciało spadały mocne ciosy. Ręce czy nogi?... Nie miała pojęcia, co uderzało ją, raz za razem, sprawiając, że dławiała się krzykiem, nie mogąc zaczerpnąć oddechu. Brzuch, głowa, plecy, znowu brzuch i znowu... Oszołomione snem ciało nie było w stanie odkryć, gdzie budzą się nowe ogniska bólu. Strach dławił ją, walcząc o lepsze z kompletnym zagubieniem. Umiera! Na pewno umiera! To już koniec, Bogowie, już po wszystkim... Ale gdzie jest? Co oni robią? Co... Grad ciosów ustał nagle. Achaja leżała zupełnie nieruchomo. Usiłowała zaczerpnąć powietrza do płuc. Jeszcze raz i jeszcze raz... Coś strasznego działo się z jej ciałem. Jakieś przerażające gorąco, suchość w ustach, a jednocześnie pot, zupełnie tak, jakby przebiegła nagle tysiąc kroków.

Czemu tak ciemno? Umarła już? Naprawdę nie żyła? To dlaczego wszystko tak boli... Usiłowała poruszyć ręką. Niespodziewanie coś zakuło ją w boku. Aaaaach! Lewa dłoń, udało się z trudem zewrzeć palce na fałdzie koca. Skubnęła go lekko. Jeszcze raz. Tym razem jęcząc ściągnęła go z twarzy. Świtało już. Wnętrze namiotu rozjaśniała leciutka jeszcze szarość. Coś ciepłego płynęło po skórze. Usiłowała wstać i nawet, na przekór bólowi i drzeniu rąk zdołała się oprzeć na łokciach. Wszyscy wokół leżeli nieruchomo. Spali? Jeśli nie, to udawali dobrze. Nie widziała, żeby ktoś choćby drgnął. Spróbowała zsunąć się z siennika, ale ból w plecach sprawił, że zamarła w bezruchu.

- Pobudka! Pobudka! - Coś załomotało w ścianę namiotu. - Nie lenić się łajzy! Wstawać!

Dziesiątnik odchylił szeroką płachtę i wszedł do środka.

- No co jest?!?! Jazda na dwór, psiekrwie!!!

Kopał wstające powoli postacie, a tych, którzy już byli na nogach, pchał w stronę wyjścia.

- No! No szybciej! No... Kur... A tobie co? - Nagle zmienił ton, nachylając się nad Achaję. Choć sam sprowokował całe zajście, to jednak widząc jej pokrwawioną twarz, przestraszył się nagle. - Nawet tego nie potrafia załatwić! - syknął, nachylając się nad

leżącą. - Chłopskie syny, psiakrew! - wyrwało mu się, ale nie miał racji. Chłop nawet tutaj, nawet w takiej sytuacji, nie podniósłby ręki na jaśnie panienkę. Do armii przychodził coraz gorszy element i dziesiętnik kręcił głową, nie wiedząc, co zrobić. Kocówka? Nie ma sprawy, nic tak nie utrzymuje dyscypliny jak porządna kocówka zrobiona przez własnych kolegów. Parę siniaków, może podbite oko, pręgi na plecach od razów pasami. Ale nie krew! Co oni, zabić ją chcieli czy jak?

Dziesiętnik wściekły i nieźle przestraszony kazał reszcie oddziału biegać wokół namiotów, a sam znowu nachylił się nad Achają.

- Możesz wstać?

Dziewczyna uniosła się lekko, zagryzając wargi. Pomógł jej wstać, a właściwie uniół i wyprowadził na zewnątrz. Rześkie powietrze przyniosło pewną ulgę rozpalonemu ciału, ale tylko z trudem dotarła, prawie niesiona przez podoficera, do najbliższego koryta z wodą. Pomógł jej umyć twarz, kawałkiem szmaty przetarł nawet ranę na puchnącym teraz łuku brwi.

- No nie maźcie się, Achaja. - Przybrał bardziej oficjalny ton. - W końcu nic się nie stało.

- Ch... - Odkaszlnęła z trudem, była zbyt otępiała, żeby obrazić się za to, co powiedział. - Chcieli mnie zabić.

- Eeee... zara zabić. - Wzruszył ramionami i rozejrzał się, jakby skądś miało przybyć rozwiązanie.

- Prowadź do setnika. - Kręciło się jej w głowie.

- Do setnika? A po co? - Zdziwienie w jego głosie było autentyczne. - Widziałas, kto cię bił?

- Nie.

- Noto...

Spojrzała na niego tak, że stracił część pewności. Przez chwilę coś analizował w myślach, wydymając wargi (jeśli oczywiście umysł człowieka z gminu był w ogóle zdolny do analizy czegokolwiek). Potem wzruszył ramionami.

- Jak tam sobie chcesz. - Ruszył w stronę domu setników, tym razem nie zamierzając jej pomagać.

Achaja westchnęła ciężko. Z trudem oderwała się od koryta. Nie starała się go dogonić, jej ciężki krok nie pozwalał na to, ale przysięgła sobie, że dziesiętnik będzie pierwszą osobą, którą dosięgnie straszliwy gniew jej ojca. On... On... Wielki Książę po prostu zmiecie to miejsce z powierzchni ziemi! Kamień na kamieniu tu nie zostanie, ziarnko piasku na ziarnku piasku! Popamiętaj ją, popamiętaj ją... O mało nie uderzyła w ścianę domu. Z zaciśniętymi zębami, starając się zachować równowagę, weszła do środka z rozpędu opierając się o stół, za którym zasiadał właśnie setnik. Żadne krzesło nie było dla niej przewidziane. Po-pamiętaj ją...

- Słucham! - Setnik zerknął na swojego podoficera prężącego się obok, potem przeniósł wzrok na dziewczynę. Poznała go, ten sam co wczoraj, tym razem jednak trzeźwy.

- Chcieli... mnie zabić!

- Cooooo? - Oczy oficera o mało nie wyskoczyły z orbit. - Kto?!!!

- Nie wiem - bąknęła. - Ci... ci co ze mną spali - dodała po chwili.

- A skąd niby to wiecie?

Achaja chciała zrobić jakąś kąśliwą uwagę na temat mówienia do niej w liczbie mnogiej, ale zrezygnowała. W tej chwili, tak naprawdę, chciała już tylko jak najszybciej się stąd wy dostać.

- A kto inny mógłby? - westchnęła. Ty też mnie popamiętasz, chamie - dodała w myślach.

Setnik patrzył na nią dłuższą chwilę, potem przeniósł wzrok na dziesiętnika.

- Jak było? - rzucił.

- Eeeee... zwykła kocówka. Poniosło młodziaków...

- Jak było, pytam?!!! - ryknął setnik.

Dziesiętnik przez chwilę wyglądał, jakby uderzył w niego piorun. Potem wyprężył się tak, jakby mimo swojego nikczemnego wzrostu chciał jednak oprzeć głowę o powalę.

- Po ogłoszeniu pobudki wszedłem do namiotu - krzyczał, skandując równomiernie pojedyncze słowa. - Wszyscy wyszli, natomiast żołnierz Achaja leżał... znaczy leżała dalej, nie odpowiadając wzmożonymi ruchami ciała na wezwanie!

- Kretyn - mruknął setnik.

- Tak jest, proszę pana! - ryknął dziesiętnik.

- Ślady jakieś widziałeś?

- Nie widziałem, proszę pana!!!

- Ktoś z zewnątrz się nie przedostał?

- Nie, proszę pana!!!

- Wszyscy spali na swoich miejscach, jak wszedłeś?

- Tak jest, proszę pana!!! Setnik pokiwał głową.

- No i widzisz - zwrócił się do dziewczyny. - Nie ma winnego... to kogo ukarać?

- Wszystkich.

Obaj: oficer i podoficer spojrzeli na nią w szczerym zdziwieniu.

- No, jak to wszystkich? W wojsku jest odpowiedzialność... odpowiedzialność... - pamięć długo nie podsuwała odpowiedniego słowa - eeeee... mmmm... indywidualna! - padło wreszcie wraz z pełnym dumy uśmiechem.

- Ja... - gdyby miała dość sił, udusiłaby ich własnymi rękami. Z wielu powodów zrezygnowała jednak z szybkiego spełnienia zabójczych zamiarów. - Dobrze... - westchnęła. - No to mnie zwolnijcie i zawieźcie do...

- Co mamy zrobić? - przerwał jej setnik.

- Jak to co? Zwolnić mnie :z wojska!

Dziesiętnik nie śmiał nawet odetchnąć głębiej. Nie zdarzyło mu się być świadkiem takiej sceny podczas całej, długiej służby. Setnik patrzył na nią podejrziwie, zastanawiając się, czy od pobicia nie postradała zmysłów. Przelknął ślinę, nie wiedząc, co o tym sądzić. Dziewczyna z pozorów patrzyła na niego zupełnie normalnie. Dla pewności przybrał oficjalny ton.

- Dziesiętnik! Odprowadzić żołnierza!

- Tak jest, proszę pana!

- Zostaw! - Achaja wyszarpnęła mu ramię, za które zdołał już chwycić. - Co wy sobie tu myślicie? Chcecie, żebym została w...

- Milczeć! - Setnik uderzył pięścią w stół. Tylko dlatego nie zareagował ostrzej, bo on też widział coś takiego po raz pierwszy w życiu.

Achaja zrozumiała, że najwyraźniej zamierzają obaj ją zamęczyć. Z trudem powstrzymała łzy napływające do oczu.

- Chcę napisać do ojca - chlipnęła.

- To ty pisać umiesz?... Ach, prawda - zachnął się setnik. - Księżniczka... - Zaraz jednak wrócił do poprzedniego tonu: - Odprowadzić! Ile razy będę powtarzał?!!!

Dziesiątnik znowu chwycił ją za ramię.

- No co wy? - Szarpnęła się znowu. - Chcecie mnie dać do tych morderców? - Pojedyncza łza popłynęła jej po policzku.

- A gdzie? - wyrwało się setnikowi. - Tfu! - zreflektował się nagle. - Do jakich morderców, śmiertelna zaraza?!!!

Nie mogła w to uwierzyć, nie mogła w to... Oni naprawdę sprawią, że tu zostanie!

- Chcę... - Nie wiedziała, co powiedzieć. - Proszę mnie przenieść gdzieś indziej.

Setnik po raz kolejny tego dnia oniemiał (a był świt dopiero). Dziesiątnik nie zdzierzył. Ryzykując swoją dalszą karierę, w obecności przełożonego i bez rozkazu nachylił się do ucha dziewczyny.

- Nie rób tego, mała - syknął.

Oficer podrapał się po brodzie. Podniósł brwi i powiedział dość cichym nawet, jak na niego, głosem.

- Zgoda. Przenieść do innego oddziału. Wykonać!

- Tak jest!

Dziesiątnikowi tym razem udało się ją wyprowadzić bez dalszego oporu. Zaraz jednak, o kilka kroków od budynku dowództwa zwolnił trochę i spojrzał na dziewczynę.

- Ale se załatwiłaś - mruknął. - Ojciec nie uczyli, że w wojsku, to aby się nie wychylać?

- Mój ojciec jest... - urwała jednak, przypominając sobie, że nie ma sensu rozmawiać z chamem.

- Wiem, wiem... - Dziesiątnik wzruszył ramionami. - Wielkim Księciem. - Mimo iż było to wbrew regulaminowi, sam wślizgnął się do namiotu po jej worek i oporządzenie. W gruncie rzeczy nie był złym człowiekiem - robił co mógł, żeby utrzymać się w jednostce szkoleniowej, której przecież nigdy nie wysyłano na wojnę. - Wiem, że księżę - powrócił do tematu, pomagając jej założyć worek na plecy. - Ino po co robi ci taką krzywdę? - Machnął ręką. Mówił teraz szczerze i od siebie, więc gdzieś zniknął wojskowy żargon płynący dotąd z jego ust. Był chłopem. To, że dosłużył się stopnia dziesiątnika zakrawało na cud. - No nic, córko, idziem cię zdać w ręce innego dziesiątnika.

Przez całą drogę Achaja milczała zawzięcie. Dziesiątnik też nie odezwał się więcej, przynajmniej do niej. Poszeptał chwilę z napotkanym kolegą i oddalił się bez: pożegnania. Nowy podoficer zaprowadził ją na sam skraj pola, wskazał jakiś namiot i również odszedł. Niepewna weszła do środka, ale na szczęście, ciemne wnętrza z poukładanymi pod sznurek siennikami było

puste. Usiadła, opierając się o centralny słup, nawet nie zdejmując z pleców worka. Czuła się... nie... była najbardziej nieszczęśliwym człowiekiem na świecie. Tak, na pewno. Przypomniała sobie o książce, którą czytała jeszcze kilka dni temu. Opowieść o dziewczynce zagubionej w lesie podczas gdy wokół, w straszliwych ciemnościach, czają się krwiożercze bestie. Nie sądziła wtedy, że kiedykolwiek sama znajdzie się w podobnych okolicznościach. Chciało jej się spać, bolało ją całe ciało, szczególnie rana na głowie i puchnące wargi. Nie wiedziała, czy nie dostanie gorączki.

Samotność przerwało jej tylko przybycie funkcyjnego żołnierza, który przyniósł jej nowy siennik i jak się sam wyraził, suchy prowiant (dwa niewiadomego pochodzenia placki oraz kawałek, całkiem niezłego, sera). Żołnierz wyjaśnił, że jej oddział jest na ćwiczeniach i będzie pewnie dopiero wieczorem. Potem poszedł sobie, nie zaszczycając ją nawet spojrzeniem. Achaja siedziała ciągle w tej samej pozycji większą część dnia. Czasem płakała cicho, choć usiłowała nie robić tego za wszelką cenę. Czasem drzemała chwilę: Czuła się tak osamotniona, jak dziewczynka z kart książki, którą ciągle rozpamiętywała. Nie mogła nawet podejrzewać, że jest na świecie tak straszna samotność. Ach...

Musiała zasnąć. Obudziło ją wieczorem nagle wejście kilkunastu ludzi, zmęczonych, spoconych i klnących na cały głos. Na jej widok jednak kilka twarzy rozjaśniło się uśmiechem.

- Ty, Durban... - Jakiś krępy chłopak szturchnął kolegę łokciem. - Patrz, nowa.

- No, ale jej ktoś przyładował.

W całym oddziale były jedynie trzy dziewczyny. Żadna z nich nie zwróciła uwagi na Achaję. Za to chłopcy przeciwnie.

- Ty, nowa. Daj dupy! - krzyknął ktoś z tyłu. Nie mogła zauważyć kto z powodu tłoku, który zrobił się, kiedy wszyscy naraz zdejmowali oporządzenie.

- Bogowie! Nowy siennik! - Jakiś barczysty chłopak w przy- krótkiej tunice zwałił się na posilanie Achai. - W sam raz dla mnie.

- To mój! - Zerwała się spod słupa.

- Odpieprz się! - warknął. - Weź se mój.

- Z pchłami? - zażartował ktoś spod przeciwległej ściany.

Achaja czuła, że znowu do oczu napływają jej łzy. Powstrzymała się jednak, myśląc, czy jeśli rzuci się na niegodziwca, to zdoła przytrzymać go pod sobą. Ktoś jednak chwycił ją za kołnierz.

- Ty, nowa! - Żołnierz nazwany wcześniej Durbanem podał jej kubek. - Biegnij po wodę.

Oszołomiona nieprawdopodobnie bezczelną propozycją cisnęła mu kubek pod nogi. Ale Durban nie oponował. Podniósł naczynie i uśmiechnął się przymilnie.

- Nie to nie. Ja skoczę po wodę dla ciebie. - Ruszył w stronę wyjścia z namiotu. - Musimy sobie pomagać.

Nareszcie jakiś cham wie, gdzie jego miejsce - pomyślała. Może ten oddział będzie inny? Zdziwiło ją jednak, że tu żołnierze, przecież tylko trochę starsi od niej stażem, nie zamierzali najwyraźniej spać w tunikach. Już wszystkie dziewczęta położyły pod kocami zupełnie nagie, kilku chłopców również... Nie wiedziała, gdzie patrzeć, ale z konsternacji wyrwał ją Durban, przynosząc napełniony kubek.

- Masz! - Podeszedł do niej z uśmiechem. - Dopiero drugi dzień w wojsku, co? Ciężko?

Rzeczywiście chciało jej się pić. Przytknęła naczynie do warg i... o mało nie zwymiotowała w nagłym paroksyzmie, rozlewając zawartość. On... On tam... normalnie nasikał!!!

Cały namiot trząsł się ze śmiechu.

- Jestem tu Starszy - wyjaśnił Durban, wypowiadając przymiotnik tak, jakby był jakąś nazwą. - I moje rozkazy to jak rozkazy od Bogów, dupo!

Chciała wymierzyć mu policzek, ale ktoś kopnął ją w tyłek. Odwróciła się, ale z tyłu każdy patrzył w inną stronę. Nie mogła zgadnąć, kto się ośmielił. Kolejny cios znowu spadł na plecy, odwróciła się tylko po to, żeby znowu ktoś mógł ją kopnąć w siedzenie. Skoczyła do przodu, ale Durban usunął się zręcznie tak, że wylądowała na kimś, kto leżał już pod kocem.

- Co? Chcesz się dupczyć? - usłyszała niewyraźnie. - Najpierw się popieścimy. - Czyjaś pięść ugodziła ją w czoło.

Spadła na ziemię i już sama nie wiedziała, czy to ona sama uderzyła w czyjaś nogę, czy czyjaś noga w nią.

Rozległ się odgłos czyichś kroków i cały oddział, oczywiście oprócz Achai, błyskawicznie znalazł się pod kocami. Jakaś dłoń szarpnęła zasłonę i ukazał się jej nowy dziesiętnik.

- Co się tu dzieje?! - ryknął. - Ja wam... - urwał, patrząc na dziewczynę prawie pod jego nogami. - A ty co tu robisz?! Noc jest, masz spać!!!

- Pobili mnie! - Achaja niezgrabnie gramoliła się na nogi. - Te świnię...

- Co??? Ze mną chcesz dyskutować?! - zapiał dziesiętnik. - Worek na plecy, oporządzenie i dziesięć razy wokół placu!

- Nie! - Achaja zachłysnęła się własną wściekłością. - Przecież mówię, że oni...

- Nie to nie - dziesiętnik uśmiechnął się nagle. - Możesz tu zostać. - Dłuższą chwilę patrzył w rozszerzające się ze zdumienia oczy dziewczyny, a potem ryknął: - Oddział wstać!!! Ubierać się! Oporządzenie, broń, plecaki... Włóż! Dziesięć razy wokół placuuuu... - zawiesił głos, obserwując spowodowane swoją komendą zamieszanie. Zakończył niespodziewanie cicho: - Albo nie... Widzi mi się, pobiegniecie jutro, - Przez moment napawał się nagłą ciszą i dezorientacją, a potem wyszedł uśmiechnięty. Wiedział, że nie musieli biec. I bez tego osiągnął to, co było jego celem.

Achaję, śpiącą na czymś, nie pachnącym najładniej, sienniku, znowu obudził koc zarzucony na głowę. Ci,

którzy to zrobili, byli jednak bardziej doświadczeni od nieopierzonych rekrutów z poprzedniego namiotu. Bili pasami, dodatkowo owiniętymi w szmaty. Ból był ten sam, a może nawet gorszy. Następnego dnia jednak prawie nie było śladów, nie utraciła też sił. Zagryzając wargi i jęcząc, mogła przecież ćwiczyć razem z innymi.

Andrzej Ziemiański

MAŁY

- Kto nie zamknął drzwi? - Cicho wypowiedziane słowa osadziły Małego w miejscu.

- Znowu nie zamknąłeś za sobą tych pieprzonych drzwi - powiedział Janusz znacznie ciszej i jeszcze spokojniej, podchodząc do dygoczącego ze strachu chłopaka. - Masz coś na swoje usprawiedliwienie, mongole jeden?

- Mały nie... - wyjąkał z trudem zapytany, kuląc się i zasłaniając rękami.

- Co znaczy, nie. Chcesz powiedzieć, że to nie ty, konusie - ryknął rozeźlony Zalewski, stając przed chłopakiem. - Tak się składa, że czekałem przy wejściu i musiałem za tobą zaciągnąć rygle!

Przy dwóch metrach wzrostu z okładem, stu dwudziestu kilogramach żywej wagi i płaskiej twarzy boksera, okolonej teraz nierównym zarostem, i spletanymi, brudnymi włosami, wyglądał przy skulonej postaci dzieciaka jak olbrzym z tandetnych horrorów.

- Mały nie... Mały nie chciał... - wykrztusił przerażony nieuchronną i bolesną karą chłopak. Tyle tylko zdążyło wydobyć się z pokrytych śliną ust, zanim silne uderzenie otwartej dłoni nie posłało go na pokrytą warstwą kurzu betonową posadzkę.

Zalewski nie wysiłał się, nie musiał. Ten były kierowca ciężarówki i uczestnik konkursów „Strong Man”, mógłby, gdyby tylko zechciał, jednym ruchem pozbawić życia niepełnosprawnego nastolatka. Mógłby, ale mimo wszystko, gdzieś w głębi duszy, pod maską twardego przywódcy, był nadal spokojnym facetem z przedmieścia. To jednak w żaden sposób nie mogło mieć wpływu na pobłażanie dla któregośkolwiek z mieszkańców Azylu. Ustalili regulamin, który musiał być bezwzględnie przestrzegany przez każdego. Pałace jak rozżarzony węgiel spojrzenia współlokatorów zebranych po drugiej stronie kotary nie pozwalały mu o tym zapomnieć. Nie musiał się oglądać, by wiedzieć, że tam stoją, obserwując każdy jego ruch.

- Skop *scheisemachera* - syknął mężczyzna zwany przez wszystkich Niemcem, łysawy blondyn o wąskich jak szparki oczach i pociągłej twarzy, wykrzywionej w grymasie wściekłości - niech wreszcie *arschloch* jeden, *vixen* w mordę dziobany zapamięta, że drzwi muszą być *zu*.

Janusz odwrócił się. Powoli, z wyniosłością zwycięzcy. Reinhard cofnął się pod naporem jego zimnego spojrzenia.

- Ja tu decyduję, kto jaką karę poniesie - powiedział Zalewski, wpatrując się w spoconą twarz współlokatora. - Nie ty.

- Jasne. - Mężczyzna wypluł słówkę, którą nerwowo żuł i podniósł ręce w przeproszającym geście. - Bez urazy Januszku. Zrobisz, jak uważasz...

Zalewski spojrzął na pozostałą dwójkę. Profesor siedział przy stole i spokojnie przecierał okulary. Na jego wychudłej twarzy nie było widać żadnych emocji. Jak zwykle zresztą. Mariusz wyglądał za to na wyraźnie znudzonego powtarzającym się regularnie, niemal każdego wieczora, rytuałem. To właśnie on przerwał przedłużające się milczenie.

- Niemiec ma, kurna, rację. Trza nauczyć gnojka moresu - powiedział, odkładając gwałtownie karty, z których układał przed chwilą pasjansa. - To już będzie szósty raz, kurna, jak złamał zasady Azylu...

Profesor skinął głową w milczeniu. Reinhard wymierzył oskarżycielsko rękę w skuloną postać, ale też nic nie powiedział.

- Wstawaj! - Zalewski trącił czubkiem buta zwijającego się z bólu Małego. - Wstawaj, ale już!

Chłopak jednak nie reagował. Nawet tak lekki, w mniemaniu Janusza, cios oszołomił go na dłuższą chwilę.

- Zostaw gówniarza, Januszku. - Profesor wstał od stołu i ruszył w głąb korytarza, do klitki zwanej sypialnią. - Teraz nie będzie w stanie zrozumieć co do niego mówimy. Jutro, na spokojnie, wymierzysz mu dodatkową karę.

Zniknął za nadpalonym dywanem, który służył za drzwi. Nie było go już widać, ale usłyszeli wyraźnie ostatnie słowa: - Porządek musi być.

Niemiec i Mariusz skwapliwie przytaknęli.

- Masz zakaz wychodzenia na zewnątrz przez tydzień - powiedział Janusz, pochylając się nad leżącym. - Jeszcze raz nie zamkniesz za sobą drzwi i pożegnamy się na zawsze.

- A kibel? - zapytał Niemiec.

Janusz podszedł do filara, na którym wisiał sporządzony przez Profesora rozkład zajęć.

- Nie ma sensu o tym mówić - powiedział, odwracając się do stojącego w wyczekującej pozie Reinharda - i tak przez najbliższy miesiąc miał zagwarantowane wszystkie psie roboty...

Mały pojawił się w Azylu niespełna dwa tygodnie wcześniej. Przyprowadził go Profesor. Chłopak błąkał się bez celu po placu Grunwaldzkim. Chociaż wyglądał bardzo schludnie, od razu dało się zauważyć, że coś z nim jest nie w porządku. Miał nieobecne spojrzenie i bardzo wolno reagował na jakiegokolwiek bodźce. Ślinił się, mówił wolno i niewyraźnie. Często się zaciął. Nigdy nie wypowiedział więcej niż kilka słów naraz. Rzadko też wypowiedzi te miały jakikolwiek sens.

Niemiec od razu przezwiał go „Downem”, chociaż, według Profesora, chłopak na pewno nie cierpiał na tę przypadłość. Jego zachowanie było raczej wynikiem przeżytego szoku, niż jakiegokolwiek zespołu chorobowego. Z tym zdaniem trudno było się nie zgodzić. Mieszkańcy Azylu sami z trudem zachowywali pozory normalności.

Janusz wybrał mu jednak inne miano. I tak do przybysza przyłgnęło określenie Mały, choć stronę Reinharda, w pierwszej chwili wziął Mariusz, a Profesor, jak zwykle, nie zajął wyraźnego stanowiska. W rzeczy samej było to racjonalne przewisko. Chłopak miał około półtora metra wzrostu i góra pięćdziesiąt kilogramów wagi. Był najmniejszy ze wszystkich i najsłabszy. Nie nadawał się do pracy na zewnątrz, dlatego dostał „przydział” do sprzątania Azylu. Robił to mało dokładnie, ale i tak lepiej niż którykolwiek z pozostałych. I nie pyskował, kiedy zrzucali na niego dodatkowe, brudne roboty. Niestety, miał też i wady. Popadał często w apatię, zapominał o podstawowych zasadach, nie nadawał się nawet do rozmowy. Minęło już trzynaście dni od czasu, gdy przekroczył próg ich schronienia, a nie poznali nawet jego prawdziwego imienia. Nie wiedział, bądź nie potrafił powiedzieć, jak się nazywa i skąd pochodzi. Ale to nie miało większego znaczenia. W Azylu nikt nie przejmował się prawdziwymi nazwiskami pozostałych lokatorów. Liczyło się tylko to, co sobą reprezentowali.

Profesor został Profesorem, choć ukończył zaledwie technikum i to dobre czterdzieści lat wcześniej. Potrafił jednak naprawić większość sprzętów, jakie posiadali w swoim schronieniu i wyjaśnić w sposób przystępny niemal każdą sporną kwestię, jaka pojawiała się podczas wieczornych rozmów. Tym zaskarbił sobie wdzięczność pozostałych i szacunek.

Mariusz był kiedyś dobrym murarzem. Przyjechał z wioski leżącej niedaleko Wrocławia i przez wiele lat pracował w prywatnych firmach. Postawił wiele domów w tym mieście, zanim recesja nie zepchnęła go na margines. Rozpił się, stoczył, nie odważył wrócić w rodzinne strony. Nadal jednak miał pewną rękę i ścianki jakie postawił w Azylu trzymały się dobrze, pomimo ewidentnych braków w składnikach wiązania cegieł. Ogólnie rzecz biorąc nie wyróżniał się niczym. Nie był za wysoki ani za szczupły. Raczej małomówny i spolegliwy. Ot, przeciętniak, jakich miliony zapełniały ulice miast przedwojennej Polski. Człowiek na tyle nijaki, że nie dorobił się żadnego przydomka. Dla wszystkich był po prostu Mariuszem. I tylko czasami, gdy kogoś zdenerwował, nazywali go Kurniakiem albo Waldusiem.

Niemiec był natomiast jego absolutnym przeciwieństwem. Zgorzkniały, cyniczny, złośliwy, a do tego wygadany. Typ faceta, którego lepiej omijać z daleka, ale jednocześnie jedyny dostawca rozrywki w tym towarzystwie. Lubił opowiadać. Potrafił opowiadać. Zwłaszcza o tym, że mieszkał kilka lat na Zachodzie. Uwielbiał przechwalać się, czego to wtedy

nie miał. Mercedesy, stewardesy, bryczesy. Nie brali go na poważnie, ale uwielbiali słuchać wieczorami jego gawęd o światowym życiu, podróżach i odległych miejscach, których nazw nawet nie znali. To pozwalało na jakiś czas zapomnieć o tym, co czekało za drzwiami. Pozwalało uniknąć myśli o bezkresnym morzu wypalonych ruin pograżonych w mroku atomowej nocy, zaledwie kilkadziesiąt metrów nad ich głowami.

- Jeśli tak dalej pójdzie, to za czterdzieści siedem dni skończą się nam zapasy wody pitnej - powiedział Profesor, odkładając na blat spis, jaki zrobił tego przedpołudnia.

- A jeśli zaczniemy oszczędzać? - zapytał Janusz, patrząc mu prosto w oczy.

- Zyskamy jakieś dwanaście, czternaście dni. Nie więcej.

Lakoniczna odpowiedź Profesora nie nastrajała optymistycznie. Spoglądali na siebie przez dłuższą chwilę, zastanawiając się nad konsekwencjami wynikającymi z tych słów. Każdy na swój sposób.

- A jeśli pozbedziemy się downa? - Niemiec wyszczerzył poźółtkę zębów w parodii uśmiechu.

- Niewiele to zmieni - westchnął starszy mężczyzna, rzucając ołówek na otwarty i pokryty wyliczeniami brulion. - Kilka dni w tę czy w tamtą stronę nie mają znaczenia.

- Dla mnie to nie jest *scheisse egal*. Niewiele to więcej niż nic - Reinhard nie dawał za wygraną.

Janusz pochylił się nad stołem i sięgnął po sporządzone przez Profesora notatki. Lustrował zeszyt w skupieniu, po czym powiedział spokojnym, opanowanym tonem:

- Musimy opracować plan awaryjny.

- Czystej wody, kurna, raczej nie znajdziemy - wtrącił pospiesznie Mariusz.

- Przynajmniej nie w wystarczającej ilości - poparł go Profesor. - To, co jest na powierzchni nie nadaje się do niczego, prócz mycia i spuszczenia wody w kiblu. A i to z umiarem.

- Trzeba by znaleźć inne schrony - mruknął Janusz.

- Myślisz, Janusz, że tutaj są jeszcze jakieś *verfluchte* bunkry? - zachnął się Niemiec.

- Mały nie spadł z nieba - przypomniał mu Zalewski.

- To fakt. - Profesor spojrział na oślinionego chłopaka, siedzącego na skołtunionym posłaniu i gapiącego się bezmyślnie! w ścianę. - Miał na sobie czysty skafander, buty nie były znoszone. Nie mógł przyjść z daleka. "

- Daleko, nie daleko. Dwadzieścia kilometrów wystarczy, żeby to miejsce znalazło się poza naszym zasięgiem, a tyle mógł przejść - uciął te dywagacje Janusz.

- Szkoda tylko, kurna, że nie idzie wyciągnąć z głupka, skąd wylał. - Mariusz nerwowo tasował karty, ostatnio nie rozstawał się z nimi nawet na moment, gdy

siadali do stołu. - Zaparł się i nie chce, kurna, powiedzieć.

- Może nie wie... - mruknął Janusz.

- *Kein fall.* - Niemiec zacisnął dłonie w pięści. - Niemożliwe! Ja bym go, w dupę kopanego szczawia...

- To autyzm albo coś podobnego - przerwał mu Profesor. - Biciem niczego nie wskórasz. Jeszcze bardziej się w sobie zamkniesz.

- To czym *arschlocha* przekonać? - syknął Reinhard.

- Mam go po główce pogłaskać? Piosenkę zaśpiewać?

- Prawdę mówiąc - odparł Profesor po chwili milczenia - takie potraktowanie Małego odniosłoby lepszy skutek.

Niemiec i Mariusz roześmiali się, słysząc te słowa. Tylko Janusz siedział bez cienia radości na twarzy. Jego nigdy nie bawiły żarty z kaleki.

- Nie ma się z czego śmiać - mruknął tymczasem Urażony Profesor. - Taka jest prawda.

- Może warto spróbować - powiedział po chwili Zalewski, przyglądając się badawczo Małemu.

- Ja nie zamierzam robić za *babysitter* dla niedorozwoja - , prychnął Niemiec. - Jeśli mamy coś robić, to zrobimy lepiej ten *Funk*, no, *radiostazion*, o której profesorka *sprecha* od miesiąca.

Ta uwaga odciągnęła chwilowo uwagę mieszkańców Azylu od problemu Małego. Gorąca dyskusja przeciągnęła się do późnego wieczora. Nikt nie zauważył nawet, że chłopak wstał i poszedł w kierunku służby wyjściowej. Nie miał zegarka, ale z dokładnością godną lepszej sprawy potrafił wyczuć, kiedy nadchodzi zachód słońca. Zawsze, o ile nie zabronił mu tego Janusz, przysiadł na oddalonej o kilkadziesiąt metrów kupie gruzu, jedynej j pozostałości z Muzeum Narodowego i kołysząc się miarowo obserwował horyzont, jakby czekając na cud i rozstąpienie się? gęstej zasłony pyłów, za którymi na lata całe zniknął czerwony krąg słonecznej tarczy. Zaraz potem wracał na swoje posłanie, o ile nie zapomniał zamknąć masywnych, pancernych drzwi służby strzegącej bezpieczeństwa Azylu i jego mieszkańców...

Za mostem Szczytnickim, patrząc od placu Grunwaldzkiego, rozciągała się przed wojną ekskluzywna dzielnica willowa. Eksplozja nuklearna, która spustoszyła centrum Wrocławia, także i tutaj odcisnęła swoje piętno, choć efekty były znacznie mniejsze. Także głowica detonowana nad Brochowem nie była w stanie zrównać z ziemią solidnych ponemieckich murów.

Boczne uliczki nadal były przejezdne. Część domów ocalała, choć ściany ognia, które przetoczyły się nad parkiem Szczytnickim, zamieniając go w wypalone do gołej ziemi pogorzelsko, pochłoneły ich wnętrza i lokatorów w niegaszonym, trwającym kilkanaście dni pożarze. Gruzy tych domów, które nie oparły się fali uderzeniowej -jedno-, góra dwupiętrowych, nie zablokowały chodników i krętych uliczek. Niewielkie

ogrody okalające każdą z posesji przyjęły na siebie większość skruszonych ścian i zawałonych stropów.

Profesor z Mariuszem od dawna myszkowali w tej okolicy, sprawdzając ulicę po ulicy, ruinę po ruinie. Każda rzecz, któraś mogłaby się przydać w Azylu, była skrzętnie wydobywana spośród odłamków cegieł, dachówek i zwęglonego drewna. Pomimo wielu tygodni wyłożonej pracy nie znaleźli jednak niczego wartościowego z ich punktu widzenia. Trochę ubrań w jednej z zasypanych piwnic, kilkanaście słoików z kompotami w innej, pojedyncze konserwy, które traktowali z wielką ostrożnością, pamiętając o zabójczym promieniowaniu czyhającym w metalu.

Niestety, większość znalezisk nie nadawała się do spożycia czy użytku, ale nie zrażali się, dopóki mogli coś przywieźć z takich wypraw. Każde, najmniejsze nawet znalezisko, dawało im poczucie, że gdzieś, może wcale nie tak daleko, kryją się w trzewiach martwego miasta skarby, które pozwolą im przeżyć.

- Zostaw to. - Profesor podszedł do Mariusza i położył mu rękę na ramieniu, wskazując na zegarek opinający jego przegub. - Już po piątej, zaraz zacznie się ściemniać.

Mariusz pokręcił głową. W kulistym hełmie żółtego zestawu antyradiacyjnego był to gest niewidoczny z zewnątrz, o ile nie patrzyło się prosto w wizjer. Profesor, stojąc z tyłu, nie mógł tego zauważyć.

- Za kwadrans, kurna, dokopię się do nowej piwnicy... - słowa w interkomie kombinezonu brzmiały dziwnie metalicznie.

- Daj spokój, przyjdziemy tu jutro. Nikt ci nie ukradnie tego, co w niej znajdziesz.

Mariusz z niechęcią odłożył saperkę i wstał z kolan.

- I tak mieliśmy niezły dzień. Siedem kompotów, wszystkie nienaruszone, bez pleśni, klarowne. Mamy też trochę całkiem porządných ciuchów i pół pudełka proszku do prania. Janusz będzie zadowolony.

Ruszyli w dół niewielkiego osypiska sięgającego niemal do niskiego płotu. Za nim rozciągała się kręta uliczka wychodząca wprost na park. Teraz, prócz spalonych wraków samochodów, stał na niej wózek, na którym wozili swoje łupy. Przedziwna, koślawa konstrukcja z kół rowerowych i kilku desek. Wspólne dzieło Azylantów. Chyba każdy dołożył do niego coś swojego.

Cały dzisiejszy urobek, wzbogacony o niepełne wiadro węgla wyniesionego z piwnicy sąsiedniej willi, znajdował się już w skrzyni pojazdu. Założyli sznury i ciągnąc dobytek, ruszyli ulicą w kierunku parku.

Zanim dotarli do mostu Zwierzynieckiego, Mariusz zatrzymał się. Pyły jakie wciąż unosiły się w atmosferze sprawiały, że nie mogli dojrzeć czystego nieba, słońca, gwiazd. Noc była tylko morzem czerni, a najjaśniejszy dzień przypominał burzową pogodę sprzed wojny. Czasem jednak, tak jak dzisiaj, silny wiatr rozwiewał nieco tumany i widzieli niewielki skrawek błękitu, niewielki, czasem wcale nie tak niebieski jak by się chciało.

Zaskoczony Profesor spojrział najpierw na swojego kompana a potem w górę. Obłoki skondensowanego pyłu, a może chmury powoli zamykały trójkątna wyrwę, ale była jeszcze na tyle szeroka, by zobaczyć jasnoniebieską, prawie siną płaszczyznę przeciętą. .. białą smugą kondensacyjną.

- Co to, kurna, jest? -jęknął w mikrofon Mariusz.

- Sądząc z kształtu smugi, rakietka...

- Rakieta?! Przecież, kurna, ta pieprzona wojna już dawno się skończyła.

- Dla ciebie. - Rozbawiony uwagą Profesor przeniósł wzrok z zasklepiającej się właśnie pokrywy chmur na Mariusza. - Tamci, jak widać, nie mają dość.

Podniósł sznur i ponownie przełożył go przez ramię.

- Zbierajmy się, bo nie dojdziemy przed zmierzchem - powiedział to dość głośno, ale w jego głosie nie było nagany.

Spóźnienie mogło być bolesne. W egipskich ciemnościach nocy musieli używać świateł, a to kosztowało. Nie traktowali tego jak kary, raczej jak obowiązek. Wyczerpanie baterii w reflektorach, skazywało ich właściciela na kilka godzin kręcenia dynamem. Tej roboty nie dało się zrzucić na Małego, chłopak był zbyt słaby.

Mimo świadomości nieuchronnego korzystania z akumulatora i wiążącego się z tym wysiłku Mariusz nadal się nie ruszał.

- Cieszymy się, że nie była przeznaczona dla nas. - Profesor klepnął go w ramię i podał sznur. - Obudź się wreszcie i ruszajmy, bo do zachodu tylko kilkanaście minut.

- Tak sobie, kurna, pomyślałem - powiedział Mariusz, zakładając swoje chomąto - że to mogła być, ta, kurna, Kasandra.

Ruszyli. Pozbawione opon koła wózka zaturkotały miarowo po granitowej kostce brukowej.

- Kasandra to mit - powiedział po chwili Profesor. - Nikt nigdy nie dowiódł, że ona istnieje.

- A jednak, kurna, sam widziałeś.

- Widziałem ślad po latającym obiekcie. Może to był samolot?

- Sam, kurna, powiedziałeś, że to, kurna, mogła być rakietka.

- Rakietka, nie znaczy Kasandra - Profesor uciął dyskusję.

- A ja tam, kurna, wierzę, że ona istnieje - nie dawał za wygraną Mariusz.

Za mostem teren opadał, a szeroka jezdnia prowadziła wprost na plac Grunwaldzki. Teraz szło im się o wiele lepiej. Obaj milczeli i rozmyślali nad tym, co przed chwilą zostało powiedziane.

- Przecież to absurd - pierwszy odezwał się Profesor. - Skomplikowany system raketowy, który ma dobijać takich nieszczęśników jak my?

- A co w tym takiego, kurna, absurdalnego, - Mariusz zatrzymał się nagle i omal nie wywrócił, gdy wózek uderzył go boleśnie w nogi.

- Wiesz ile kosztuje taka rakietka? - zapytał Profesor.

- Nie wiesz, to ci powiem. Miliony dolców, dziesiątki

milionów, a cały system z satelitami odpornymi na impuls elektromagnetyczny to koszt miliardów dolarów. Miliardów, człowieku. Wydałbyś takie pieniądze, żeby załatwić paru facetów zbierających po wypalonych ruinach resztki jedzenia? Ja z pewnością nie inwestowałbym w takie gównno...

- Ale tyle się, kurna, mówiło o tym przed wojną. To miało być odstraszenie, kurna, taka broń ostateczna, żeby nikt nie myślał, że przeżyje.

- Bzdura na kółkach. Pamiętasz co mówiono o UFO, BSE, kręgach zbożowych...

- Jakich, kurna, kręgach? - zdziwił się Mariusz. - To jakaś choroba czy co?

- Skończ głupio gadać - zachnął się Profesor coraz bardziej poirytowany perspektywą pedałowania przez kilka godzin. - Już mamy przesrane bez tej twojej Kasandry.

- Ja tam, kurna, głupio nie gadam. - Mariusz posłusznie ruszył z miejsca, ale nie przestał mówić. - Chcemy zrobić, kurna, radio, a ta cholera namierza się, kurna, na fale radiowe.

- Dobrze, że nie na głupie gadanie, bo już byś miał drugą dziurę w dupie.

Janusz czekał na nich przy wejściu do schronu. Siedział na stosie cegieł, który ułożyli nie tak dawno, oczyszczając teren wokół wjazdu. Zauważyli go dopiero, gdy podeszli na kilka kroków, on widział ich światła z daleka. Nie ruszył się, dopóki nie dociągnęli wózka w pobliże przemy.

- Co tak długo - zapytał, wstając i otrzepując kombinezon z pyłu.

- Mariusz zauważył ślad na niebie - mruknął Profesor, zdejmując sznur i rozmasowując zdrętwiałe ramię.

- Nie ślad, tylko, kurna, Kasandrę.

- Sam jesteś Kasandra. - Janusz nie potraktował serio jego wypowiedzi. Bardziej interesowała go zawartość wózka. - Co tam macie?

- Kilka weków i ubrania. - Profesor zaprezentował swoje znaleziska. - Jest też węgiel, będzie z pięć kilo.

- Znakomicie, dawajcie to wszystko na dół. - Zalewski obejrzał kilka słoików w świetle reflektora. - Dajcie te dwa Niemcowi, niech je otworzy i sprawdzi, czy są jadalne.

- A ty, Januszu? - zapytał Profesor. - Nie idziesz z nami?

- Ja zaraz przyjdę - powiedział olbrzym, odkładając słoiki na miejsce. - Mam tu jeszcze coś do załatwienia.

Odprowadzili go wzrokiem. Gdy tylko zniknął za załomem muru, zaczęli rozładowywać wózek. Robili to w milczeniu. Przenieśli wszystkie znaleziska w pobliże metalowej kłapy wjazdu, po czym wstawili wózek do wnęki w stercie cegieł. Zastawili wejście kilkoma odłamkami betonu, by nocny huragan nie porwał lekkiej konstrukcji i ruszyli do wejścia.

Zachód o tej porze roku oznaczał iście egipskie ciemności. Na terenie miasta nie paliło się żadne światło, a przy takim stężeniu pyłów w atmosferze trudno było marzyć o blasku księżyca i migotaniu gwiazd. O tym, że Odra nadal płynie swoim korytem wiedzieli tylko dlatego, że woda cicho szemrała przy filarach zawalonego mostu.

Profesor zapalił lampkę na kasku. Mariusz natychmiast poszedł w jego ślady, zawsze naśladował swoich partnerów.

- Zgaś to - upomniał go Profesor. - Oszczędzaj baterię, wystarczy, że ja oświetlam drogę.

- Jasne, kurna - odparł speszony Mariusz i zrobiło się ciemniej. - Szkoda, że down nie potrafi pedałowac jak inni, byłoby lżej i jaśniej - roześmiał się ze swojego żartu.

- Dlaczego ty go tak nie lubisz? - To pytanie pozostało przez dłuższą chwilę bez odpowiedzi. Opuścili zdobyczą na linie w głąb szybu zejściówki.

- Kogo, kurna? - odpowiedział w końcu pytaniem na pytanie Mariusz.

- Nie udawaj, że nie rozumiesz.

- Bo to, kurna, głupek...

- To nie jest powód.

- Dla mnie, kurna, jest. Zobaczysz. Jeszcze, kurna, ściągnie na nas jakieś nieszczęście. Taki przesąd u nas był, i zawsze się sprawdzał.

Profesor sprawdził, czy wszystko leży na dole jak trzeba i wspiął się na stopnie z cegieł, żeby jego światło było widoczne z większej odległości. Wprawdzie Janusz nie należał do szaleńców, ale w tych warunkach każdy mógł zblądzić.

- Słyszałeś, kurna, co powiedziałem? - zawołał z dołu niewidoczny już Mariusz.

- Głuchy nie jestem.

- I co ty, kurna, na to?

- Pieprzysz jak porąbany, kurna, Mariuszu.

- Nie pieprzę. Niemiec ma rację. Trzeba go, kurna, wywalić. Zanim coś spieprzy. Tacy jak on, kurna, nie mają prawa...

- Tacy jak on - Profesor przerwał mu tyradę - nie wywołali tej pierdolonej wojny. To biedny, niepełnosprawny dzieciak. Jeśli go wywalimy z pewnością zginie.

- Jeśli go, kurna, nie wywalimy, to i my zginie.

- Boisz się go? - Ostatnie zdanie Mariusza rozbawiło Profesora. - Boisz się kaleki?

- Mam, kurna, złe przecucia.

- Wszyscy je mamy. Po tym, co się stało ze światem, trudno nie śnić koszmarów.

- Ja tam swoje wiem, - Tym razem Mariusz uznał rozmowę za skończoną.

Rzadko dawał się przekonać, nawet w przypadkach, gdy ewidentnie się mylił i wszyscy go poprawiali. Taką już miał naturę. Mówił, co myślał, a myślał niewiele. Opuścił się szybko do wjazdu i zniknął w ciemnym szybie zanim jego rozmówca zdążył zareagować.

Profesor podkręcił jasność latarki na maksimum. Czas mijał, a Janusza nie było widać. Stanął na

najwyższym punkcie stosu cegieł i powoli obracał głowę to w lewo, to w prawo, by światło widziane było w miarę szeroko. Trwało to chwilę, ale w końcu dostrzegł lekki poblask na prawo od ruin muzeum. Stanął tak, by światło latarki padało dokładnie w tamtą stronę.

Ktoś szedł od strony Odry, teraz widział wyraźnie podrygujące rytmicznie światelko. Czekał spokojnie, aż Janusz - co do tego, że to on, nie miał żadnych wątpliwości - zbliży się do pierwszej warstwy cegieł i skręcił jasność do niezbędnego minimum. Nawet w tym oświetleniu zauważył, że Zalewski nie jest sam. Jasnożółta barwa kombinezону pozwoliła mu na bezbłędne zidentyfikowanie drugiego nadchodzącego.

- Wszystko w porządku, Januszu? - powiedział, zeskakując na ziemię.

- Nasz przyjaciel wybrał się tym razem dalej niż można - mruknął olbrzym, popychając Małego do wjazdu.

- Skąd, kurna, wiedziałeś? - Chłopak nie zszedł, w otworze tkwił hełm należący do Mariusza. - I po cholere, kurna, po niego szedłeś?

Janusz spojrzał na niego z pogardą.

- Ten chłopak przetrwał wojnę, chociaż zginęło w niej dziewięćdziesiąt dziewięć koma dziewięć procent ludzi. Dotarł do nas w zupełnie nowym skafandrze, z torbą pełną jedzenia. Wiesz, co to znaczy?

- Spieprzył, kurna, skądś... albo się go pozbyli...

- Jeśli jest gdzieś miejsce, z którego pozbywają się ludzi niepotrzebnych, dając im takie wyposażenie, to ja chcę to miejsce odwiedzić. Zwłaszcza, że niedługo zaczniemy żreć tynk ze ścian.

Mariusz nie odpowiedział, patrzył na Małego.

- Jak już tu, kurna, jesteś, to rusz dupę i bierz się, kurna, za noszenie rzeczy. - Hełm zniknął w otworze, ale głos w interkomie był nadal wyraźny. - I to, kurna, migiem!

Profesor spojrzał na Janusza, ale ten tylko wzruszył ramionami. Nie chciał kolejnego konfliktu, zwłaszcza że Mały posłusznie wykonał polecenie Mariusza.

- Jakie mamy szansę na skonstruowanie radia? - zapytał Janusz, gdy skończyli skromniejszą niż zwykle kolację.

- Niewielkie - odparł Profesor. Tylko on mógł powiedzieć cokolwiek konkretnego w tej sprawie. - Mógłbym zrobić prosty odbiornik, oczywiście przy założeniu, że zdobędziemy kilka części, ale zdaje się, że wam chodzi o nadajnik.

- Ja - przytaknął Niemiec.

- A czego potrzeba, żeby zbudować taki nadajnik? - kolejne pytanie znów zadał Zalewski.

- Wielu rzeczy. Działających scalaków raczej nie znajdziemy, ale gdyby udało się wykopać jakieś stare radio lampowe...

- Przerobiłbyś je, kurna? - zainteresował się nagle Mariusz.

- Przerobiłbym.
 - Kurna, panowie, miałem przed wojną w chałupie takiego Pioniera... - Mariusz zapalił się do pomysłu.
 - To skocz po niego - zakpił z niego Niemiec.
 - Dajcie spokój. - Profesor położył dłoń w uspokajającym geście na ramieniu szykującego się do riposty murarza. - Skończcie z osobistymi wycieczkami, mamy problem do rozwiązania, a to nam w niczym nie pomoże.
 - Racja, kurna - przyznał Mariusz.
 Po chwili i Niemiec skinął głową na zgodę.
 - Znaleźliśmy trochę różnych bebechów na mieście - Profesor kontynuował myśl, wyciągając zza kotary magazynku zawiniątko. - Wprawdzie nie da się z tego zrobić normalnej radiostacji, ale...
 - Ale co?
 - Gdybym miał dostęp do lamp...
 - Lalampy, lalampy...
 Zamilkli, słysząc bełkotliwą wypowiedź dobiegającą z legowiska pod ścianą. Spojrzeli na Małego.
 - Ja ci dam lala, to nie lekcja śpiewania - ryknął Niemiec. - Zamknij pysk jak mądrzejsi gadają.
 Chłopak skulił się i zamilkł. Janusz pokręcił głową i spojrzeniem nakazał zamknąć się Reinhardowi. Wstał od stołu i podszedł do skulonego na materacu chłopca.
 - Wiesz coś o lampach? - zapytał.
 Nie otrzymał odpowiedzi. Szeroko rozwarł oczy patrzyły na niego z wyraźnym strachem.
 - Gadaj, bo ci przyłożę - powiedział Zalewski, podnosząc rękę jak do uderzenia.
 Mały skulił się jeszcze bardziej, opuścił wzrok.
 - Liczę do trzech - kontynuował Janusz. - Raz, dwa...
 - Lalampy - szepnął chłopak. - Mały wie lalampy gdzie...
 - Nam trzeba lamp do radia, nie żarówek - powiedział Profesor.
 - Radio, lalampy - chłopak kiwał głową, patrząc cały czas w oczy Zalewskiego. - Mały znać, przynieść, teraz, zaraz...
 Janusz odwrócił się do pozostałych, na jego twarzy malowało się zdziwienie. Takie samo jak na twarzach pozostałych mieszkańców Azylu.
 - No proszę - mruknął. - Ktoś mówił, że Mały do niczego się nie nadaje.
 - O ile wie, co szprecha - Niemiec nerwowo przeżuwał króciutką, wypaloną zapalną, jedną z ostatnich.

Nie wypuścili go w nocy, choć bardzo chciał iść. Dopiero po świcie, gdy światło niewidzianego słońca roztopiło mroki na tyle, by nie błądzili, Zalewski zabrał Małego na zewnątrz. Wzięli zapas wody i kompotu - jedzenie odpadało z prozaicznej przyczyny, nikt przy zdrowych zmysłach nie rozhermetyzowałby kombinezonu poza Azylem - na wypadek, gdyby wyprawa potrwała trochę dłużej.

Zalewski w skrytości ducha liczył, jak pewnie i pozostali, że chłopak doprowadzi go do bunkra, w którym przebywał, zanim dotarł do tej części miasta. Pomylił się jednak. Zrozumiał to ledwie ruszyli wzdłuż brzegu Odry do mostu Tumskiego. Znaleźli go przecież z zupełnie innej strony...

Mały szedł pewnie przed siebie, nie zwracając uwagi na swojego anioła stróża. Przedostał się przez resztki mostu na Ostrów Tumski, potem dalej na dawną ulicę Jedności Narodowej. Azylanci unikali tej części miasta, zgodnie z planem penetrowali dzielnice willowe, w których łatwiej było dostać się do piwnic. Tam też, zgodnie z ich stanem wiedzy, mieszkali bogatsi ludzie, zatem i znaleziska mogły być wartościowsze. Jednakże Janusz spokojnie podążał śladami chłopaka, znał tę okolice sprzed wojny, orientował się trochę w rozkładzie ulic, ale po wybuchu ani razu nie zapuścił się poza Odrę. Zgadzał się z Profesorem, że wyższa zabudowa stanowiła duże zagrożenie. Wypalone, naruszone dziesiątkami huraganów ściany ponemieckich kamienic mogły w każdej chwili zawalić się i pogrzebać nieostrożnego przechodnia.

Dotarli, idąc bez przystanku aż do Nowowiejskiej, tam chłopak skręcił nagle do betonowych ruin plomby powstałej w latach dziewięćdziesiątych minionego stulecia i zniknął w jednej z bram. Janusz wolał nie ryzykować. Usiadł na stopniach spalonego tramwaju i z dała od szarej, na wpół zawalonej masy płyt żelbetowych, czekał na powrót Małego. Trwało to chwilę, dlatego zdążył przyjrzeć się wszystkim szczegółom tak tego bloku, jak i okolicznych. Jedną z reklam, zdobiących ścianę nad witrynami po prawej od drzwi, w których zniknął chłopak, mimo śladów ognia i częściowego zniszczenia, ukazywała uśmiechnięty telewizorek na krótkich pałkowatych nóżkach. Przed wojną musiał mieścić się tutaj sklep elektroniczny, a może jakiś komis, kto wie? W każdym razie było to miejsce, w którym mogły znajdować się zabytkowe radia. Zanim zdążył rozwinąć tę myśl, w ciemnym otworze bramy pojawił się żółty kombinezon. Mały, potykając się na gruzie, niósł przed sobą tryumfalnie stare, "pozbawione obudowy i nieco porozbijane... radio lampowe.

- Zuch z ciebie. - Janusz poklepał go po ramieniu. - Wracajmy do Azylu. Może teraz dadzą ci spokój.

Nie dali.

Zaczął Niemiec. Opieprzył Małego za to, że tak długo ukrywał przed innymi fakt istnienia radia. Potem do akcji wkroczył Mariusz i tylko ostra interwencja Zalewskiego zapobiegła cięższemu pobiciu chłopaka. Widać było, że w miarę kurczenia się zapasów malała też tolerancja dla niepełnosprawnego współ-lokatora.

- To jest idealny materiał - mruzczał pod nosem Profesor, oglądając przyniesione radio. - Za kilka godzin, najdalej do zmierzchu, będzie działało.

- Jesteś tego pewien? - zapytał Janusz.
 - Pewności nigdy nie ma, ale wszystkie lampy są dobre, płytki też wyglądają całkiem, całkiem...
 - Działaj. - Zalewski odszedł od stołu i skierował się do materaca, który zajmował Mały.

Siniec pod okiem chłopaka nie wyglądał najlepiej. Nie mieli lodu ani wody w takiej ilości, by marnować je na okłady. Janusz usiadł obok chłopaka i poklepał go delikatnie po ramieniu, ale to spowodowało jedynie mocniejsze skulenie wątego ciała.

- Januszu... - Mariusz stanął nad nimi, zasłaniając światło jedynej żarówki w tym pomieszczeniu. - Ja bym tego radia, kurna, nie składał.

- Dlaczego?

- No wiesz, kurna...

- Nie wiem.

- No, Kasandra i te, kurna, sprawy...

- Oszalałeś? - krzyknął Zalewski aż wszyscy zwrócili na niego wzrok. - Nie ma żadnej Kasandry, to dyrdymały dla dumnych wsioków.

- Nie jestem, kurna, wsiokiem - zachnął się Mariusz, patrząc ze złością na roześmianego Niemca.

- Przepraszam, nie chciałem cię urazić. - Janusz zreflektował się trochę za późno, widział, że awantura wisi na włosku.

- Powiedz Profesorowi, żeby, kurna, zostawił to radio - poprosił murarz.

- Sam go poproś.

- Mnie, kurna, nie posłucha...

- A dlaczego sądzisz, że mnie posłucha?

- Ty tu, kurna, jesteś najsilniejszy i najważniejszy. - To była prosta i celna odpowiedź.

- Nie zrobię tego - odparł po chwili namysłu Janusz.

- Dlaczego?

- Kończą nam się zapasy. Jedzenie z powierzchni jest zbyt skażone, żeby stanowiło podstawę posiłków. Jeżeli nie nawiążemy kontaktu z innymi ludźmi, to za kilka tygodni sami skoczmy sobie do gardeł w walce o resztki jedzenia.

- Sępolno, kurna, dostało najmniej - powiedział Mariusz, jakby nie słyszał tej odpowiedzi. - Tam, kurna, możemy znaleźć jakieś jedzenie.

- Możemy, albo i nie...

- Widzę, kuma, że trzymasz z nimi.

- Staram się ocenić sytuację jak najrozsądniej - powiedział Janusz. - A zdrowy rozsądek nie pozwala mi przyjmować do wiadomości systemów raketowych przeznaczonych do niszczenia resztek ludzkości ocalałych z atomowej pożogi. Istnienie Kasandry to kaczka dziennikarska. Naszym problemem jest zdobycie pożywienia, nie wymyślone rakiety!

- Wymaiganowane, kurna, czy nie, one tam są i tylko czekają na sygnał...

Janusz wstał z materaca Małego.

- A niechby nawet i czekały. Może to lepsze rozwiązanie niż powolne zdychanie z głodu.

Dokładnie o siedemnastej radio ożyło.

Zebrał się wokół stołu już wcześniej i obserwowali w nabożnym milczeniu, jak Profesor lutuje ostatnie kabelki. Czekali cierpliwie i doczekali się. Szum statiku wypełnił ciasne pomieszczenia Azylu.

- Panowie. Oto wasz kontakt ze światem - rozpromieniony monter przesunął pokraczny zestaw płyt, lamp i przewodów na środek stołu, by wszyscy mogli go podziwiać.

- To? - zdziwił się Mariusz. - Przecież to, kurna, zwykłe radio... - powiedział z pewną nadzieją w głosie.

- Sam jesteś zwykłe radio - zgasił go Reinhard. - Profesorek odwalił *niefachowy* nadajnik i odbiornik w jednym. Mam *recht*?

Skinienie głowy zadowolonego z siebie Profesora potwierdziło jego przypuszczenia.

- A ja wam, kurna, mówię, ściągniemy sobie, kurna, na głowę tę Kasandrę. - Murarz usiadł na krześle i patrzył z coraz większym obrzydzeniem na dzieło swojego kolegi.

- Niczego nie łapiemy... - mruknął tymczasem Janusz, kręcąc potencjometrem.

- Tutaj nie mamy zasięgu - wyjaśnił Profesor - beton stropu tłumi wszelkie fale.

- Trzeba wyjść na dwór. - Niemiec od razu ruszył po kombinezon.

- Spokojnie - Janusz odsunął nadajnik i popatrzył na pozostałych. - Zaraz zacznie się zmierzchać.

- *Radiowellom* ciemność nie przeszkadza - rzucił Reinhard, wkładając nogę do połatanego, pomarańczowego kombinezonu antyradiacyjnego. - Sprawdźmy, czy nasz *funk* \jest *zicher*.

Janusz spojrzął na Profesora, ten tylko wzruszył ramionami, ale już po sekundzie skinął głową. Wszystkim spieszyło się do wypróbowania nadajnika. Wszystkim prócz Mariusza... i Małego, który sprzątał po kolacji wyraźnie zadowolony, że nikt nie zwraca na niego uwagi.

- Dobrze, sprawdzimy radio jeszcze dzisiaj - zdecydował Janusz i sam ruszył do szafek przy śluzie.

- A ja... - Mariusz nadal siedział i patrzył z wyraźnym strachem na kolegów.

- A ty zamkniesz *kłape zu, herr Kassander* - zgasił go Niemiec, zakładając hełm.

Okazało się jednak, że nie do końca mogą sprawdzić, czy radio działa. Kombinezony nie pozwalały na odsłuch sygnałów dźwiękowych z zewnątrz, a bez nich nikt przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby na powierzchnię. Dlatego zdecydowano się na nieco inne rozwiązanie. Ze szpuli miedzianego drutu przeciągniętego przez śluzę i włączając na powierzchnię zrobili antenę. Jej koniec przymocowano do kilkumetrowej wędki przytarganej kiedyś przez Niemca i ustawiono na szczycie przemy cegieł nad wejściem. W ten sposób udało się uzyskać połączenie z powierzchnią przy maksymalnych środkach bezpieczeństwa. Mieszkańcy Azylu zrezygnowali jedynie z hermetyzacji kołnierza włazu. Janusz sprawdził dozymetrem, czy nie ma poważniejszego

zagrożenia, ale okazało się, że władzy zatrzymują promieniowanie.

Gdy wszystko zostało przygotowane zasiedli wokół stołu, nawet Mariusz nie wybrzydzał, by razem uczestniczyć we włączeniu radia. Janusz skinął głową i leżący obok wybebeszonej skrzynki głośnik ożył.

Początkowo słyszeli tylko szum statyku, ale po chwili przez trzaski zaczął przebijać się jakiś głos. Niewyraźny, uciekał momentami całkowicie, by po chwili powrócić na dwa, trzy słowa i znów zaniknąć.

- Nie da się wyregulować? - zapytał Janusz, ale skupiony nad potencjometrem Profesor tylko pokręcił głową.

- Mały pytać... - Ciche szepnięcie sprawiło, że Zalewski odwrócił głowę.

Chłopak stał obok z niewyraźną miną, widać było, że chce coś powiedzieć, ale boi się Niemca i pozostałych. Janusz wstał i odszedł z nim na kilka kroków, pozostali nie zwrócili na nich uwagi.

- Czego chcesz?

- Iść... prosi... - wyszeptał chłopak.

- Chcesz wyjść? - zapytał rozkojarzony Zalewski.

- My... iść - chłopak pociągnął go za rękaw i pokazał szafki na kombinezony.

- Gdzie chcesz teraz iść? Słońce niedługo zajdzie...

- Zachodzić - ucieszył się Mały - zachodzić...

- Nie. - Janusz odsunął go od siebie i przytrzymał za ramiona. - Dziękuję za zaproszenie. Dzisiaj mamy radio, to ważniejsze niż zachód słońca. Tobie też nie radzę wychodzić... Pamiętasz, co się działo wczoraj?

Chłopak pokiwał głową i znów usiłował pociągnąć Zalewskiego do wyjścia.

- Puść downa, Januszu - krzyknął Niemiec. - Niech wypieprza *nach oben* i nie wraca.

- Mam tu coś ciekawego - dodał Profesor.

To przesądziło. Janusz odsunął chłopaka, jakby był szmacianą lalką i wrócił do stołu.

- Tłumacz! - powiedział Janusz do Niemca. Nikt z nich nie j znał angielskiego, dlatego następny komunikat nadawany po niemiecku przyjęli z dużą ulgą. j

- Centrum kryzysowe... informuje... - Reinhard ze słuchawka przy uchu starał się wyłowić z szumu kolejne słowa, pozostali -t pochylili się, jakby zmniejszenie odległości o te kilkanaście centymetrów mogło sprawić, że usłyszą coś innego. - Każden... kto... słyszy te *nachrichten*...

- Co? Co to jest *nachtrich*-coś tam? - zapytał Mariusz ,

- *Maul hapten* - zirytował się Niemiec, tracąc wątek, słuchał chwilę i podjął tłumaczenie. - ...skontaktować się... *sofort*, znaczy od razu. W central Europa... możliwy jest... *ewakuzazion*... do...

W tym miejscu jego słowa utonęły w okrzykach radości. Nawet Mariusz zaczął skakać z innymi. Nie byli sami, inni też przeżyli. Co więcej, mieli środki, by

ocalić następnych. Zalewski i uściskał po kolei każdego. Wtedy też zauważył, że nie ma między nimi Małego. Rozejrzał się, ale nie zobaczył chłopaka na posłaniu ani w głębi pomieszczenia. Jego szafka była uchylona...

- Hej! - Niemiec walnął ręką w stół, by przywołać pozostałych do porządku. - Chcecie słuchać mój *uberzetzung* czy nie?

- Jasne! - Janusz uciszył pozostałych. - Co mówią?

- Trzeba nadawać ciągły *funk signal* z miejsca pobytu...

- Możemy? - To pytanie Janusz skierował do Profesora, zapominając o niedorozwiniętym chłopaku.

- Jasne.

- To lecim z tym koksem!

Mały szedł szybko środkiem ulicy. Szarość dnia przechodziła powoli w ołowiany zmierzch, do zachodu pozostało jeszcze kilkanaście minut, a budynek Poczty Polskiej z wielkimi parabolicznymi antenami na dachu był już o kilkadziesiąt metrów od niego.

Wymachując rękami dla zachowania równowagi, wspiął się na stertę gruzu, po której tak wiele razy wchodził do wnętrza budowli. Skierował się na wprost zarwane, betonowe schody. Pokonanie ich zajęło mu minutę, może dwie. Doskonale wiedział, gdzie nie może postawić nogi, gdzie czyhają w mroku pułapki. Wyjście na dach było otwarte, tak jak je zostawił wiele dni temu. W tym mieście nie było nikogo, kto mógłby je zamknąć...

Mały usiadł na krawędzi jedynej czaszy, która jeszcze trzymała pion i popatrzył wprost na zachód, gdzie powinno znajdować się czerwone słońce. Odruchowo sprawdził czy ma przy sobie chlebak. Wypełniona konserwami i butelkami z wodą płócienna torba leżała obok jego prawej nogi. Poklepał ją z czułością jak psa, swojego największego przyjaciela sprzed wojny, która zabrała tak wiele istnień ludzkich, i nie tylko.

Gdyby potrafił porównać widok zapadającej nocy nad Wrocławiem do jakichś wspomnień, zapewne pomyślałby o przygaszanych światłach w kinie. Pokryte grubą warstwą chmur i pyłów niebo nad martwym miastem ciemniało stopniowo, nabierając barwy ołowiu, by przejść w kilka zaledwie chwil w atramentową ciemność.

W momencie, gdy niewidoczne słońce zniknęło za horyzontem, rozległ się przeraźliwy ryk i ziemia zakolysała się mocno. Nie zrobiło się jaśniej, głowica penetrująca wybuchała zazwyczaj pod ziemią na tyle głęboko, by niewielki ładunek nuklearny nie przebił się na powierzchnię.

Ta informacja kołatała się gdzieś po zakamarkach pamięci chłopaka, tak jak powiązana z nią nazwa. Wstrząs sprawił, że zjechał z metalowego siedziska i znalazł się na pokrytej papą płaskiej powierzchni dachu. Przycisnął chlebak do boku i patrzył obojętnym

wzrokiem na znikające powoli w ciemności budynki. Nie zamierzał ruszać się z tego miejsca przed świtem. Nie dlatego, że ciemność była jego wrogiem. Wiedział, że śmierć z nieba przychodzi o zmierzchu, tylko o zmierzchu.

Wiedział o tym, choć nie pamiętał tak wielu rzeczy.

Nie pamiętał jakie nosił nazwisko, zapomniał o własnym imieniu. Nie pamiętał o tej nocy, gdy chcąc zaimponować dziewczynie, włamał się po raz pierwszy do banków pamięci rosyjskiego Strategicznego Centrum Nadzoru Przestrzeni Powietrznej. Zapomniał o jej wdziękach, które zdobył po tym włamie. Zapomniał o wizycie ludzi w czarnych garniturach i ciemnych okularach kilka dni później. Nie miał już pojęcia o wirusie, który napisał i zostawił w rosyjskim komputerze. O Kasandrze - nie tej, wymyślonej wcześniej przez pismaków, ale prawdziwej, niszczycielskiej, stworzonej przez genialnego, nieuchwytnego mistrza intelektu. O Kasandrze, która była tylko okrutnym żartem genialnego nastolatka, ale potrafiła przyporządkować sobie w ciągu zaledwie kilku miesięcy sporą część, pozbawionego należytego nadzoru, systemu sterowania raketami i rozpętała piekło na Ziemi.

Mógł o tym nie wiedzieć, mógł zginąć w dniu Sądu Ostatecznego, jak sześć miliardów innych istot ludzkich. Niestety, został wcześniej namierzony przez służby specjalne i speców od wywiadu elektronicznego. Osadzono go w tajnym ośrodku rządowym i starano nakłonić do współpracy. Zgodził się, kto by się nie zgodził, słysząc te wszystkie groźby, widząc sterylne do bólu, futurystyczne sale tortur. Ludziom, którzy go zatrzymali nie chodziło jednak o usunięcie zmutowanej Kasandry. Nie wiedzieli

O niej: Skasowali go za naruszanie stron rządowych. Teraz musiał odpracować swoje błędy i odpracowywał je sumiennie, tyle, że postanowił przy okazji naprawić i to, o czym nikt nie wiedział. Jednak dzieło przerosło mistrza. Kasandra była zaiste wirusem doskonałym, nie dała się usunąć z systemu, co więcej, potraktowała próbę skasowania jako atak i zgodnie z procedurami przystąpiła do fizycznej likwidacji zagrożenia.

Nikt nigdy nie poznał całej prawdy. Zwłaszcza -ci, którzy przeżyli, ukryci głęboko pod ziemią i trwali w złudnej nadziei, że nadejdzie taki dzień, gdy powrócą na powierzchnię. Żywili ją, nie znając wszystkich faktów, ale czy człowiek odpowiedzialny za te okropieństwa mógł żyć normalnie, mając świadomość, że jest sprawcą zagłady własnej rasy?

Nie chciał żyć, ale przeżył. Jego mózg zadziałał jak bezpiecznik, coś przepaliło się w nim, odcinając dostęp do niemal wszystkich informacji i wspomnień dotyczących tamtych wydarzeń. Żył, chodził, oddychał, ale nie pamiętał. I nie czuł się winny, choć już dziewięciokrotnie musiał opuścić bezpieczne schronienia. Dziewięć razy obserwował zachód niewidocznego słońca i tyleż razy czuł konwulsyjne drgania ziemi - jedyne echa niewielkich, podziemnych eksplozji kończących czyjś żywot, czyjeś marzenia.

Nie czuł przywiązania do tych, którzy zostawali. Zawsze, odkąd sięgał pamięcią, był obiektem drwin z ich strony, zawsze wykorzystywali go i bili. Chciał być blisko ludzi, bał się samotności, był w stanie znieść wiele, byle widzieć ich twarze, słyszeć głosy. Dość szybko przekonywał się jednak, że za tę obecność musi zapłacić wysoką cenę, z czasem ból, upokorzenia, lęki brały górę. Dlatego pomagał im wzywać śmierć z nieba. O ile sami jej nie wzywali...

Gdy nadchodził czas Kasandry, pakował się i wychodził ukradkiem, by obejrzeć kolejny zachód i uniknąć losu swoich prześladowców. Śmierć przychodziła zawsze o zmierzchu, dokładnie o zmierzchu, tak jak dawno temu zaplanował. Gdy słońce wstawało ruszał, ku nowemu celowi. Znał doskonale lokalizację każdego bunkra i schronu w promieniu setek kilometrów. Spędził sześć długich miesięcy, studiując mapę, na której zaznaczono wszystkie Azyle, Schronienia, czy jak je tam zwali. Nie pamiętał jakie nosił nazwisko, zapomniał o własnym imieniu, ale wciąż miał przed oczami czerwone kropki układające się w przedziwny wzór na ogromnej mapie wiszącej na ścianie Centrum dowodzenia.

Wędrował od jednej do drugiej w poszukiwaniu odrobiny ukojenia i nadal niósł śmierć...

Robert J. Szmidt

RATTUS NORVEGICUS

Kuchnia wyglądała zupełnie jak ta z reklam płatków śniadaniowych. Laboratoryjna czystość, barwne naczynia z pstrokatym ornamentem, jasny obrus, bukiet margerytek pośrodku stołu...

Młoda kobieta stała przy oknie, patrząc na wiecznie ruchliwą ulicę - na szczęście nowe, plastikowe okna skutecznie wyciszały hałas. Jej dłoń lekko zdrząła, kiedy podnosiła kubek z kawą do ust.

- Wychodzę, Pat! - krzyknął przez niedomknięte drzwi mężczyzna. Ubrany w trzyczęściowy garnitur, w dłoni trzymał podróżny, pakowny neseser. Z bocznej kieszeni wystawał wciśnięty niedbale bilet lotniczy.

- Myślałam, że zjesz ze mną śniadanie... - W jej głosie był wyrzut.

- Boże, Pat! Ja się śpieszę... - Stanął niezdecydowanie w drzwiach.

Oczy małżonków spotkały się na moment. Westchnął:

- Znowu ci się śniły, prawda?

- Nie - skłamała. Była bledsza niż zwykle.

- Chcę, żebyś poszła do lekarza. - Ciężki neseser z trudem wylądował na kuchennym blacie.

- Nie.

- Obiecałaś mi to.

- Nie potrzebuję twojego zasranego lekarza!

- Dobrze. - Podniósł ręce w pojednawczym geście. Potem sprawdził raz jeszcze, czy niczego nie zapomniał. - Wróć za...

Głucha już na jego słowa z powrotem odwróciła twarz do szyby.

- Kocham cię, Pat. - Pocałował żonę w środek głowy.

- Ja ciebie też.

- Pat... - Zatrzymał się w progu. - Myślę, że naprawdę powinnaś pójść...

- Idź już. To tylko zmęczenie. Słyszała zgrzyt przekręcane go klucza.

- To tylko sny, Bruce...

Z całej siły uderzyła potylicą w ścianę.

Kawa w dzbanku była zimna, a tłuszcz zastygł na jajeczniczy; zdecydowanym gestem wrzuciła oba naczynia do śmieci.

Zegar wybił dziewiątą: pora iść do pracy.

Były dni, kiedy ludzie mijający Pat na ulicy, oglądali się za nią. Były, ale minęły... Pozornie nic się nie zmieniło - nie przybyło jej zmarszczek, nie przefarbowała krótkich blond włosów, nie ubierała się gorzej. Jednak ta jasność, czar, którym emanowała wokół siebie znikł pod skorupą strachu i zmęczenia; pod pancierzem niechęci do wszystkich i wszystkiego, którym otoczyła się, sama nie wiedząc kiedy.

- Jak chodzisz, idiotko! - warknął ktoś, kiedy na czerwonym świetle wparadowała na ulicę. Kierowca o twarzy przypominającej księżyc w pełni zmiął w ustach jeszcze jakieś przekleństwo, które już do niej nie dotarło. Wzruszyła ramionami.

Tamten też nie zwrócił na nią dalszej uwagi. Jego zielono-granatowa półciężarówka ruszyła z piskiem. Na bocznych drzwiach dostrzegła jeszcze napis: „Spencor i S-ka. Deratyzacja” oraz „Wytrujemy wszystkie szczury w tym mieście!”.

Wolne żarty - pomyślała i rozejrzała się w panice. Wokół niej tłum błyskał tysiącem par oczu i z grymasem zaciśniętych ust na twarzach parł przed siebie w wyścigu o ser, gniazdo i milion doków. Biegająca tłuszcza pociągnęła Pat za sobą.

Kiedy wsiadała do windy spostrzegła kątem oka Adama, ale udała, że go nie widzi. Zignorowała znaki, jakie jej dawał. Znaki mówiły: „hej, zaczekaj”... Metalowe drzwi zasunęły się i Pat popłynęła do góry w cichym szumie.

- Cześć, Pat - powiedziała Mary-Anne. Była wysoka, naturalizowaną Hinduską. Starsza od Pat o dobre piętnaście lat wciąż przypominała wulkan na moment przed erupcją. - Powiedz Bruce'owi, żeby nocą trochę wyhamował, bo w pracy wyglądasz jak zwłoki. - Puściła perskie oko. - Bo to Bruce, prawda?

- Proszę, daj mi dzisiaj spokój.

- Jasne, przepraszam. Wiesz, przyszły te materiały, o które prosiłaś. Zrób je w miarę szybko, chciałabym za tydzień zamknąć dział.

Mary-Anne była przełożoną Pat. Pracowały w dziale urody małego, ale bardzo elitarnego magazynu kobiecego. „Po co nam wielkość, skoro mamy siłę” - brzmiało motto.

- Aha, Adam nie oddał jeszcze wszystkich zdjęć...

Pat wzruszyła ramionami:

- Mary-Anne, nie mogę odpowiadać za to, co robią styliści.

- Ale masz na niego dobry wpływ. A ja muszę mieć te zdjęcia do rankingu tuszów. Na wczoraj.

Pat klapnęła ciężko na krzesło:

- Dobra. Już się za to biore... - Sięgnęła do sterty papierów i przełożyła parę z nich, czytając pobieżnie. - Hej! To jest cudze! Podrzuczone. Kukułczych jaj nie wysiaduję. Koza, Szczur, Małpa... Co to?

- Aaa, to faktycznie moje. Fragmenty *Wielkiego Chińskiego Horoskopu*.

- Fucha na wczoraj, śniada czarownicę? - Pat siorbnęła kawę.

- Na przedwczoraj, blond aniele. Adam stanął w drzwiach

- Blond anioł wygląda tak, jakby miał się zaraz przekreślić, a one podobno nie umierają. - Chciał ją cmoknąć w czoło, ale odchyliła się. Gdy stawał obok Pat można było przysiąc, że jest jej rodzonym bratem. W przeciwieństwie do Bruce'a, który z pochodzenia był Włochem i nawet przy osiemdziesięciolatce wyglądał jak południowy kochanek.

Mary-Anne zajęła się pracą.

- Hej! - Stylista zamachał Hindusce teczką przed nosem. - Zdjęcia.

- Dzięki.

- Powiedz - wyszeptał konfidencjonalnie - co jest z Pat? Nieszczęśliwie zakochana?

Pat obrzuciła ich wściekłym wzrokiem.

Było jej raz zimno, raz gorąco, bo klimatyzacja w tym supernowoczesnym budynku wciąż mocno zawodziła. A tu czekały ją jeszcze dwa miesiące tego cholernego lata. Wcale nie martwi cię teraz klimatyzacja, ty głupia cipo - pomyślała i mało brakowało, a powiedziałyby to na głos. W porę przygryzła język.

- Szczury - odpowiedziała spokojnie Mary-Anne. - Boi się szczurów. Przeprowadziła się z Bruce'em do nowego... To znaczy nowego, ale starego mieszkania, a tam są szerokie rury odpływowe. Boi się, że szczur przyjdzie z kanałów i ugryzie ją w śliczną pupę.

Skąd wiesz? - pytały oczy Pat.

Spokojnie, zaraz go spławię - odpowiadały czarne węgle szefowej.

- Rury, rury... - Podrapał się po czuprynie. - Chyba też mi coś o tym wspominała. Pamiętasz Pat?

- Nie. - Wstała. - Muszę na chwilę wyjść... - Cały świat zawirował jej przed oczami.

O szyby zastukały pierwsze krople gorącego, letniego deszczu.

- A propos - podjął Adam. - Szczur jest bardzo płodnym gatunkiem. Gdyby nie jego ciągle trzebienie, to kto wie, czy

gryzonie żywcem by nas nie zjadły. Albo przynajmniej nie zaraziły jakimś świństwem...

Znieruchomieli, kiedy Pat wypadła z gabinetu, kopiąc z całej siły w drzwi.

- Zostaw ją w spokoju, Adam - odezwała się Mary-Anne. - Nie psuj jej tego, do czego doszła.

Tymczasem Pat stała na niezmiennie przepelnionej ulicy -nawet zalewanej potopem deszczu - i pozwalała się zmoczyć do ostatniej nitki w sobie tylko znanym, oczyszczającym rytuale.

Kończył się wieczorny talk-show, w którym gogusiowaty redaktorzyna wypytywał o prawdziwe życie aktora grającego w filmach o zabijaniu i miłości. Pat ziewnęła; była senna, jednak przed snem musiała zajrzeć do ubikacji. Kobięcie wciąż dudniły w głowie słowa o szczurach, jednak kiedy parcie na pęcherz stało

się nie do zniesienia i każda sekunda zwłoki groziła kompromitującą katastrofą, wygramoliła się z łóżka. Boso - bo nie było już czasu na szukanie pantofli - podreptała do toalety.

Zapalone światło ukazało znane wewnątrz małej, różowej łazienki. Bardzo słodkiej, takiej z tapetą zamiast kafli, jak nakazywała moda z lat dwudziestych, z których to pochodził cały budynek. Coś cicho zachrobotało w rurze.

- Cholerna archaiczna kanalizacja - burknęła.

Kiedy złapała cały sens wypowiedzianych słów, zamarła w progu.

Zapomniała o swej potrzebie. Ostrożnie, tyłem wycofała się z pomieszczenia. Zachichotała nerwowo - gdyby Bruce nie wyjechał, deska klozetowa na pewno byłaby podniesiona, a wtedy...

Mogłyby wyjść!

Z drugiej strony mężczyzna w domu pomógłby je utłuc... - Myśl dziewczyno, myśl! - zdenerwowana zaczęła rozmawiać sama ze sobą. - Ha!

Ruszyła do saloniku.

Trzynaście tomów encyklopedii, z mozołem przenoszone po dwie, trzy sztuki skutecznie przywaliły klozetową deskę.

- Nawet szczurzy superman się nie przedrze. - Przeciągnęła się uradowana pomysłem, i wtedy ogromna potrzeba oddania moczu wróciła.

Pat usiadła na brzegu wanny i sikając, machała z zadowolenia bosymi stopami.

Gdyby Bruce mógł mnie teraz zobaczyć...

- Och Pat, idź do lekarza! Och Pat, nie sikaj na antyki! -przedrżniała go. - Co za trujdupa.

Potem jednak przyszły.

Całe czarne (zawsze były czarne), uśmiechały się, szczerząc te swoje żółte zębiska. Zębiska, które rosły i rosły. Niespiłowane kły przebijały im szczęki i skrobały po podłodze. Ot co.

I miały chorobliwie ciepłe łapki. Ich pazury wstrętnie łaskotały jej jasną skórę.

Śniła, że wchodzi pod pościel, wciskają swoje łby pod nocną koszulę. Brzuch Pat rusza się, faluje. Tak jak wszystko wokół... Drepczą, ocierając się trójkątnymi łbami o biodra, wciskają pomiędzy uda.

Bruce!

Drrrrń, drrń...

Telefon stojący tuż obok dzwoni i dzwoni, ale sen jest jeszcze zbyt głęboki, by zdołała się z niego wyrwać i podnieść słuchawkę.

Wczesnym rankiem otworzyła drzwi: mleko, które przyniósł roznosiciel było rozlane; kartonik wywrócony i rozerwany, a dokładnie rzecz biorąc, rozgryziony. Z pyszczkiem w białej kałuży zdychało ohydztwo... Wrzasnęła przeraźliwie. - To tylko mysz! Nie ma

powodu, żeby się tak wydzierać... - Zniesmaczona sąsiadka mieszkająca po drugiej stronie korytarza nie miała jeszcze siedemnastu lat. Jej biała, króciutka koszulka nie sięgała džinsowych spodni, ukazując opalony brzuch. - Nie poźre pani... - Małolata podniosła zwierzątko za ogon. Grube krople mleka spływały po wąsach na kamienną mozaikę. - Trzeba wyrzucić to do zsypu.

Odeszła, kręcąc pupą.

Pat nie potrafiła oderwać od dziewczyny wzroku. Patrzyła, póki ta na powrót nie zniknęła w wynajmowanym dla niej przez rodziców mieszkaniu. Po chwili rozległa się tam odrażająca, łomotliwa muzyka. W zamierzchłych czasach Pat słuchała dokładnie takiej samej, tylko że to była inna Pat. Nie z tego świata.

- Spencer i S-ka, deratyzacja - rozległ się tubalny głos w słuchawce. - Wytrujemy wszystkie szczury w mieście!

- Zaczniemy od mojego mieszkania, szefie. - Pat miała schrypnięty głos, a słuchawka ślizgała jej się w spoczonej dłoni.

- No, kochana, nienawidzisz szczurów? A może się ich boisz, co? - Słyszała wyraźnie, jak jego zarost drapie plastik słuchawki.

- Nienawidzę.

- Nienawidzisz! Tak trzymać! Podaj adres...

Podyktowała nazwę ulicy, numer domu i mieszkania. Ścisłała telefon tak mocno, że pobiełały jej knykcie. - Chciałabym, aby to zrobić jak najszybciej.

- Ooo, szef jest we wszystkim szybki. A najszybszy w tępieniu tych cienkoogoniastych, wrednych skurwysynów.

-No tak...

- A wie pani... - Nagle zmienił ton. - Jak toto nazywa się fachowo?

- Fachowo?

- No, po łacinie... *Rattus norvegicus* - zniżył głos. - *Rattus norvegicus!* Ale jaja! - Zarechotał nagle.

Wyobraziła sobie, jak ten imbecyl wali się z uciechy tłustą łapską po udzie. Cóż, w tym mieście jest pełno wariatów. Jak w każdym innym.

Mary-Anne nie podobało się to, co ostatnio działo się z Pat. Zmiana, którą wcześniej tylko wyczuwała, teraz zaczynała być widoczna gołym okiem. Coś wydostawało się z Pat każdym porem skóry i wykańczało ją. Co to było? Mary-Anne ukradkowo obserwowała blondynkę. Pat siedziała jak mumia; nieruchome dłonie oparte na blacie biurka, rozluźnione palce - długopis wytoczył się spomiędzy nich, czego nawet nie zarejestrowała. Spoglądała gdzieś w dal przez wielkie redakcyjne okno, chociaż teraz było ono zasłonięte papierowymi żaluzjami. Błada twarz Pat

sprawałaby wrażenie wykutej z marmuru, gdyby nie lekkie drganie podbródka.

- Pat? Pat! Halo, tu ziemia!

- Mary-Anne... - Gwałtownie zamrugła oczami.

- Musiałś zasnąć - skłamała Hinduska. Kierowana instynktem zamknęła małą głowę koleżanki w swoich dłoniach koloru cappuccino. Pocałowała ją wprost w usta.

Pat nie odezwała się, nie drgnęła, dopiero kiedy Mary-Anne chciała odejść od biurka ścisnęła jej rękę. Mary-Anne uśmiechnęła się leciutko.

- Musisz się bardziej wysypiać.

Pocąc się i dysząc, grubas w drelichu pokonał schody i dotarł na trzecie piętro.

- Moglibyście zreperować tę windę albo wyrzucić gówno na szmelc.

- To zabytkowy budynek - stwierdziła Pat, a obrzucając cielsko Spencera długim spojrzeniem, dodała cicho pod nosem: - Zresztą winda towarowa nadal działa...

Nie zwrócił uwagi, bo patrzył już na kogoś innego.

- *Rattus nowegicus* - bąknął, co miało być niejasnym komentarzem rzuconym pod adresem nieletniej sąsiadki.

Dziewczyna była ubrana w coś różowego, co pod mikroskopem mogło uchodzić za minispódniczkę. Wyciągnęła w stronę ciekawskiego środkowy palec i lekko pognęła na dół.

Grubas był zaczerwieniony i zły.

- Nie mówiła mi pani, że ten dom jest pod zarządem miasta.

- A co to zmienia? - odsunęła się od drzwi, by go wpuścić. Nie kwapił się jednak.

- Miasto ma własnego deratyzatora.

- Więc? - Zacisnęła zęby. Wzruszył ramionami i potarł kark.

- Ile?

- Znam tego waszego, tfu, szczurołapa. Kawał skurwiela, nie chciałbym się wcinać... A i niezapowiedziana deratyzacja... Są tu pewnie domowe zwierzęta... Zdechnie jakiś pudel i kłopoty gotowe.

- Szefie, niech pan się trochę rozejrzy - poprosiła omdlewającym głosem.

Westchnął jak człowiek śmiertelnie chory, ale wszedł.

Obejrzał łazienkę, kuchnię i ubikację. Szerokie rury, stara robota - podumał. Zajrzał do zsypu - czysto. Pokonał jeszcze dwukrotnie schody, klnąc jak szewc, ale sprawdził też piwnicę.

I nic. To znaczy coś jednak było -jeszcze jedno spotkanie z małolată.

- Ta z gołą... powiedziała, że znalazła pani niedawno zdechłą mysz... - wysapał po powrocie na górę i odczekał stosowną chwilę dla polepszenia efektu dalszej wypowiedzi. - Mniej więcej w tym samym czasie ci od burmistrza truli tu gryzonie! Ech, trzeba

być ślepy, żeby nie zobaczyć kartki, która wisi na dole - mrucał strapiiony, bo myślał o sobie.

Podawała mu wypisany czek.

- Wystarczy? Było za dużo.

- Zwykle biorę więcej - odparł. - Ale w tej sytuacji...

Zatrzasnęła drzwi, kończąc utyskiwanie.

- I proszę do mnie nie dzwonić więcej...

Położyła się na łóżku w ubraniu. Tylko na chwileczkę, żeby wyciągnąć zmęczone nogi...

Sen zmorzył ją, chociaż było jeszcze bardzo jasno. Pat przyśniły się czarne szczury.

Tym razem nie czekała na nie zbyt długo. Były niezdecydowane - nie wdrapwały się na łóżko, lecz otaczały je falującym morzem nastroszonych grzbietów.

- Terę fere, pierdziele - zagrała im na nosie. Nagle poczuła, że przegryzają się od spodu.

Zacząła przeraźliwie rzucać się na boki, chcąc zmiażdżyć intruzów, jednak po kolejnym gwałtownym ruchu zsunęła się z mebla i czarna fala poniosła ją gdzieś w nieznane, popiskując z triumfem.

Obudziła się zlna potem. Wokół panował porządek i cisza. Słońce majestatycznie zachodziło, zamieniając brudne, wielomilionowe miasto w lukrowaną dekorację do filmu z okresu złotych lat kina.

Poszła napić się wody. Idąc do kuchni zapalała wszystkie światła. Z głodu ścisnęła ją w dołku. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś jadła ani nawet co to było. Straciła apetyt, a żołądek kurczył się z głodu, bo wszystko co wrzucała teraz do ust miało smak wilgotnej tektury. Pomarańcza, zeschnięta bułka z jakąś wędliną, makrela...

W zamrażalniku czekały jeszcze lody czekoladowe. Wyciągnęła je i postawiła przed sobą na stole.

- Jedna łyżka za mamusię...

- Druga łyżka za tatusia...

- Trzecia łyżka za braciszka...

To co zjadła zwymiotowała z powrotem do pojemnika. Wytarła usta grzbietem dłoni, rozglądając się, czy ktoś jej nie podpatruje.

Znowu zostawiliście małą Pat samą. Mała Pat się boi. Boi się samotności.

W pracy, na biurku, obok zdjęcia uśmiechniętego i prężącego opalony tors Bruce'a stało drugie, które przedstawiało jej rodzinę. Posiwiwały ojciec w hawajskiej koszuli, kupionej dla zgrywy do eleganckich spodni. Matka ze wzrokiem przewierającym na wskroś zza mocnych okularów - ufarbowana na czarno, aby nikt nie posądził jej, że kiedykolwiek była blondynką... No i brat stojący pomiędzy nimi: ją trzyma za kibić, drugą rękę opiera na ramieniu ojca. Bliźniaczy brat Pat, ubrany nawet w tak upiornie gorący dzień w trzyczęściowy garnitur.

Biznesmen napuszeniec.

Trzymajmy się razem, Pat! Wszystko zostaje w rodzinie.

Nie może jeść, spać, pracować. Telefonów nie odbiera - z wyjątkiem tych nocnych, od męża, bo chce być dobrą żoną. Jest potwornie pusto - teraz nawet szczury nie przychodzą. Zapomniała, że przecież je wytruła.

Bruce zadzwonił jak zwykle późnym wieczorem.

- Dlaczego nie odbierasz telefonów?

- Cześć, Bruce. - Uśmiechnęła się krzywo do słuchawki.

- Spałam. Zresztą mogłeś zadzwonić do gazety...

(Nie, nie mogłeś, bo ostatnio nie mam siły, aby tam pójść. To chyba grypa).

- Spałaś - ucieszył się. - Odsypiasz koszmary?

- Och Bruce, wsypiam się w koszmary... Może je zrozumieć.

Usłyszała jak niespokojnie wstrzymał oddech.

- Nie zostawaj sama wieczorami. Zaproś jakąś koleżankę...

Zapatrzyła się w tonący w mroku sufit. I w harujące po ścianach za sprawą małej nocnej lampki cienie.

- Słuchasz mnie, kotku?

- Tak. Przepraszam... Naprawdę jestem śpiąca.

- Trochę nas tu przetrzymali, ale wkrótce będę w domu. Kocham cię.

- Bruce.. - Mimowolnie ugryzła się w palec. Z całej siły. Spojrzała ze zdumieniem na skaleczony kciuk, ale zaraz odbiegła od niego myślami. - Bruce, w którym roku się urodziłeś?

- Moja kochana żona nie pamięta, kiedy się urodziłem! - parsknął w słuchawkę. - A co by się działo, gdybym ja zapomniał o rocznicy ślubu...

- Skoro nie możesz mi odpowiedzieć na proste pytanie...

- Pat, nie odkładaj słuchawki! - dobiegło rozpaczliwie. - W marcu, dwudziestego trzeciego, siedemdziesiątego drugiego.

- Dzięki, Bruce - powiedziała wyraźnie. - Idę śnić. Śnić

- powtórzyła. - Aaa, jeszcze jedno. Mieliśmy tu małą deratyzację.

Coś zatrzeszczało na linii.

- Co?

- Nieważne. Pa.

- Pat, kocham cię, pa!

- Ja ciebie też, Bruce - przerwała połączenie, nim zdołał powiedzieć cokolwiek więcej.

Sięgnęła po przygotowany właśnie do składu *Wielki Chiński Horoskop 2000*.

„Zaciekawilo cię to, Pat? Och, proszę bardzo, zaraz zrobię ci wydruk. Swoją drogą, wiele możesz się z niego dowiedzieć o bliskich ci ludziach” - stwierdziła kiedyś w pracy Mary-Anne.

Skupiona Pat zaczęła szukać po kolumnach dat przypisanych do chińskich znaków. 23.03.1972. Znalazła.

-Szczur...

„Urodzeni pod znakiem szczura mają szczęście do pieniędzy. W miłości uwodzicielscy i namiętni. Uwaga, mają tendencję do kontroli, kierowania partnerem...”

Och, Bruce. Ty szczurze!

Cisnęła horoskopem, uderzył w ścianę; rozszczępione w locie kartki opadły i rozłożyły się na podłodze niczym trupy na pobojowisku. Tak przynajmniej to wyglądało.

Bez lęku przekroczyła próg ubikacji i z ulgą usiadła na desce. Wokół pachniało świerkowym odświeżaczem powietrza. Później sięgnęła po miękki, różowy papier toaletowy.

Wstała. Zawsze wstawiała, by sięgnąć do spłuczki.

Coś zabulgotało. Zaniepokojona spojrzała w głąb muszli. Na wodzie unosiły się pęcherzyki powietrza. Szybko pojawiły się następne.

- Co jest, kurwa!

Olbrzymi, ociekający wodą szczur wynurzył swe cielsko i zaczął przełazić przez krawędź. Radośnie wyszczerzył zęby.

- Jak tędy przeszedłeś, skurwysynu...

Z całą siłą spuściła mu deskę klozetową na łeb.

Łkając, wybiegła z ubikacji i z trudem łapiąc oddech, oparła się plecami o drzwi.

Nagły i dawno nie słyszany dzwonek przeraził ją równie mocno co szczur. Nie chciała otwierać, jednak świdrujące brzęczenie nie ustawało.

- Pat! Proszę cię, otwórz. Mary-Anne strasznie się o ciebie niepokoi. Wszyscy się niepokoiimy... Dlaczego nie zadzwoniłaś?

- Czego chcecie? Dział jest zamknięty w terminie. Wszystko oddałam.

- Pat...

- Prawda?!

- Prawda.

Inne drzwi na korytarzu otworzyły się, dobiegła zza nich głośna muzyka.

- Wejść do niej, zanim do końca sfiksuje - pisnął głos małolaty.

- Pat, proszę. Wpuść mnie na moment. Porozmawiamy. - Adam przyłożył usta do samych drzwi.

- Boję się szczurów...

- Obronię cię, Pat. Zabiję wszystkie złe szczury. Uśmiechnęła się jakoś dziko i podeszła do drzwi. Otworzyła.

- Wychodzą z muszli klozetowej i chowają się w mieszkaniu. - Otarła pot z czoła. - Taka jestem zmęczona...

- OK, będę twoim szczurołapem. - Nieudolnie zaimprovizował grę na piszczałce.

Pozwoliła wziąć się na ręce. Zaniósł ją do skotłowanego łóżka. Miała zamknięte, lekko podkrążone oczy, ale półotwarte usta uśmiechały się kusząco. Pierś wznosiła się i opadała pod cienką

bluzką. Pieszczotliwie dotknęła jego szyi, aż zaczął szybciej oddychać.

Sięgnął do zapięcia jej obcisłych spodni.

- Myślałem, że zwariuję... Jesteś wspaniała. Nie odstawiaj mnie na boczny tor, nie po tym, co razem przeszliśmy...

Obudziło go światło.

- Nie możesz spać, Pat? - ziewnął przeciągle i wciągnął slipy.

- Boję się szczurów.

- Jezus Maria, te kurewskie szczury! - Trzepnął się otwartą dłonią w czoło.

Pat ubierała się. Bardzo wolno.

- Pat?

- One są w ubikacji.

- Dobrze, idę tam.

- Myślę, że powinieneś wziąć nóż. Z kuchni. Podreptała za nim. Blisko. Nawet kiedy nie patrzyła pod

nogi, czarne szczury ocierały się o jej stopy. Stapała po nich jak po dywanie.

- Adam, one są wszędzie.

- Tak, tak... Gdzie ten nóż... Co tu tak śmierdzi? - Rozejrzał się, marszcząc nos.

Jedna z jarzeniówek mrugała wściekle w ostatnich podrygach.

- Powiniście założyć zwykły żyrandol.

- Taki jak z reklamy - zgodziła się Pat. - Noże są w górnej szufladzie.

Dziwacznie poprzestawiane krzesła tarasowały przejście. Omijając je, otarł się o stół.

- Co to jest? - Skrzywił się z obrzydzenia.

- Lody czekoladowe.

- I coś jeszcze, Pat.

Odłożył wyciągnięty nóż na blat.

- Trzeba to posprzątać...

- Szczury! - ryknęła.

Czarne gryzonie - całe mrowie - w jednej chwili wypełzły ze wszystkich możliwych zakamarków i rzuciły się na mężczyznę.

Przestraszony krzykiem Adam odwrócił się gwałtownie i poślizgnął. Padając na plecy, próbował podeprzeć się rękami, ale one też rozjechały się na boki w kałuży rozlanego soku. Głową huknął o posadzkę i otuliła go ciemność.

Czarne morze gryzoni pokryło go od stóp do głów. Biegały, kąsały, piszczały.

Pat przyglądała się przez długą chwilę, po czym gniotąc szczurze ciała i wyduszając przeraźliwe piski, spokojnie podeszła do stołu. Pudełko z roztopionymi lodami wyrzuciła do śmieci. Suchą jak pieprz ściereczką starannie wytarła stół. Tarła i tarła, a kiedy się zmęczyła i zdrzemnęła, przyśniła jej się deratyzacja.

Gruby Spencer uczył ją, jak je zabijać. Patrz kochana: szczurzy trup. Na szczurzym trupie szczurzy trup! I następny, i jeszcze jeden...

Ktoś miał klucze. Ktoś otworzył drzwi. Ktoś wszedł.

- Pat, kochanie! Jestem! Dlaczego nie zabierasz mleka?... Hej, Pat!... Rany boskie, co tu się stało?!

To było straszne, głupie i groteskowe jednocześnie: wielki szczur w trzyczęściowym garniturze, zwracający się do niej po imieniu. Zachichotała.

- Pat, czy ty coś wzięłaś? Czy ty mnie poznajesz?! Uciekając niezdarne, zaprowadziła go wprost do Adama,

który częściowo rozebrany, leżał nieruchomo na środku kuchni.

- Pat, usiądź... Dzwonię po pogotowie. Potem mi wszystko wyjaśnisz. - Bruce próbował wyczuć puls u leżącego. Nie wyczuwał. - Pat, idź do sypialni. Ja...

- Do sypialni, Pat! - wrzasnął odwrócony plecami szczur. Prawie nie oddychając, sięgnęła po leżący na blacie nóż

i z całej siły uderzyła. Usłyszała wściekły, szczurzy pisk, więc uderzyła jeszcze raz. I znowu. Dźgała wściekle, dopóki wielkie, zakrwawione cielsko nie zaczęło się osuwać na podłogę.

Krew wypłynęła z ust mężczyzny i zaczęła kapać na białą, wymiętą w podróży koszulę.

Szczur opadł pyskiem na zwłoki Adama. Zaczęła obrzucać olbrzymiego gryzonia wszystkim, co miała pod ręką; kubkami, sztućcami, pojemnikami na warzywa, nawet częściami miksera..." Kończyny szczura drgały. Próbował odpełznąć, więc złapała za sterczący z pleców trzonek i przytrzymała go niczym krnąbrne dziecko za szelki.

- Pat... - wycharczał. Krew wypłynęła obficie z ust. Zastanowiło ją, kiedy nagle Pan Szczur zamienił się w Pana Bruce'a.

- 23 marzec, 1972 rok - stwierdziła. - Szczur. Tse. *Rattus norvegicus*.

Po chwili wahania wyciągnęła mu nóż z pleców.

Śmiertelnie ranny Bruce doczołgał się do wnętrza przedpokoju, gdzie znieruchomiał wykręcony dziwacznie niczym śruba.

Znów był zachód słońca.

Mały przedpokój obwiesili dużymi lustrami pokrywającymi całe ściany. Sprawiało to niesamowite wrażenie; lustro odbijało się w lustrze, tamto lustro w następnym i tak dalej... Pat nie chciała ich, ale Bruce się uparł. Stwierdził, że to przynajmniej optycznie powiększy tę klitkę. Przez pierwszy tydzień starała się przebywać w przedpokoju jak najmniej, bo gdy tylko tu wchodziła zbierało jej się na mdłości. Później pogodziła się z nimi, ale ilekroć znalazła się w tym pomieszczeniu przechodziły ją ciarki. Teraz biedny Bruce, ten pozał się Boże dekorator wnętrz, był martwy. Jego samotne, rozciągnięte na podłodze ciało odbijało się i odbijało, odbijało...

Pat, nie ruszając się z miejsca, mogła je sobie oglądać pod różnymi kątami i z różnych stron.

Zmęczona, zdrzemnęła się, ale krótko. Spojrzała znowu i pokręciła głową.

- Bruce - cmoknęła z niesmakiem.

Dla pewności podeszła do niego na czworakach i szarpnęła.

Nic.

W porządku. Wszystkie szczury były martwe.

Odrzuciła z czoła poklejoną grzywkę i poprawiła palcami włosy... Coś jednak było nie tak. Odruchowo spojrzała w lustro. Wprost w czerwone ślepia i nastroszone szczurze wąsy.

Izabela Szolc

MGŁA

Nad wczorajszym ogniskiem unosił się wąty dym. Słońce weszło pół godziny wcześniej, ale ostatnie pasemka mgły nie zdążyły się jeszcze rozwiać. Przepływały sennie przez niewielką polanę między stojącymi wokół tłącego się ogniska dwoma namiotami i starym jeepem Cherokee. Omijały przeszkody jak senne węgorze opływające kamienie w strumieniu. Zdawały się być żywe, choć naturalnie każdy, kto by je zobaczył po raz pierwszy, uznałby, że mgła w pierwszych promieniach słońca tak właśnie powinna się zachowywać.

Zgrzytnął suwak w pierwszym namiocie. Postać w rozsznurowanych butach i goretexowej kurtce, narzuconej na wymięty dres, podreptała do lasu. Załatwienie swojej sprawy zajęło jej pół minuty. Potem wróciła, rwąc ostatnie pasma mgły. Suwak zgrzytnął ponownie i rozległ się stłumiony chichot. Cisza zapanowała na prawie dwie godziny.

Słońce nagrzewało dachy namiotów. Rosa kończyła parować. Dwie postacie siedziały przy okolonym kamieniami popielisku, próbując na nowo rozpalić ogień.

- Boisz się niedźwiedzi? - zapytał Adrian, patrząc na Magdę z lekko ironicznym uśmiechem.

- Nie - odpowiedziała. - Boję się, że przyjdzie strażnik i nas stąd wypieprzy. To Park Narodowy. Tu nawet nie wolno wchodzić, a my wjechaliśmy 'samochodem.

- Straż parkowa jeździ UAZami bez katalizatorów. Hałasują i miesięcznie wycieka z nich pół litra oleju.

- Wytłumaczysz im to osobiście.

- Nie sądzę. UAZ to nie jeep i tą drogą nie podjedzie.

- A jeśli jednak?

- Powiem, że jesteś z Wydziału Geodezji.

- Jakiego wydziału geodezji?

- Nie będą dociekać. Wydział Geodezji brzmi poważnie. W razie czego mam legitymację Wydziału Geodezji Politechniki Warszawskiej. Drugi rok studiów.

- Studiujesz geodezję?!

- Nie, ale mam legitymację.

Pokręciła z rezygnacją głową i zaczęła kroić chleb na śniadanie.

- Górale chodzą po górach piechotą - powiedział Marcin, wychodząc ze swojego namiotu i przeciągając się - a rajdy terenowe wygrywają UAZy.

- Bo ich nie szkoda porysować.

- Spójrz lepiej na swój lakier.

- Daj spokój - wtrąciła Magda, smarując chleb masłem. - Zły przykład. Jak ten mu zdechnie, to dostanie od taty. nowego.

- Dotknęłaś istotnego problemu - powiedział Adrian. - Mój ojciec jest bogaty, owszem. Bardzo bogaty. Płaci podatki, a ten Park jest utrzymywany z podatków. Skoro płaci podatki sto razy większe niż przeciętny obywatel to powinien mieć większe prawa. Naturalne, nie?

- A ty płacisz podatki?

- Ja po nim dziedziczę.

- Jesteś bogatym, zepsutym...

- Rok temu na Teneryfle nie narzekałaś.

- Jak dają, to biorę - uśmiechnęła się, spuszczaając nieco z tonu.

- Wolalabyś teraz mieszkać na polu namiotowym?

- Tam byłby przynajmniej prysznic.

- Upraszczasz. A ten samochód kupiłem sam.

- Skończmy z tym. Chodźcie na śniadanie. Jest chleb z masłem.

- A ser? Kupiłam ser - powiedziała zaspana Renata, wychodząc z namiotu Marcina.

- Mrówki zeżarły. Został na wierzchu.'

- Cały zeżarły?

- Zeżarły trochę, a resztę obśliniły.

- *No more questions...* Zaczęła zakładać buty.

- Nawet nie wiesz, ile razy założyłaś buta z pajakiem w środku - powiedział Adrian.

- Pieprzysz, poczułabym...

- Jego ciało jest stosunkowo delikatne. Ginie od razu, nim zdąży cię ugryźć. Potem wysycha, a jego szczątki przez kilka tygodni wyciągasz przyczepione do skarpetek. Może i zapominam czasem torby z prowiantem, ale co nieco wiem o życiu pod namiotem.

Poskutkowało. Spojrzała na niego kwaśno, ale wysunęła stopę z buta i potrząsnęła nim kilkukrotnie. To samo zrobiła z drugim.

W milczeniu żuli chleb z masłem. Nad ogniskiem, w okopconym kociołku, zaczynała się gotować woda na herbatę.

- Czyli że mam iść sam? - zapytał po raz kolejny Adrian.

- Nie obraż się, ale nikt poza tobą nie wierzy w istnienie tego domu - odpowiedziała Renata. - Jeszcze trafimy na jakiś patrol.

- Czy nie po to tu przyjechaliśmy? Czy nie chodzi po prostu o przygodę, zanim wrócimy do codziennego młyna? Jaki patrol? Przecież nas nie zastrzela! To, co

robicie, to nie jest żadna turystyka. Dupa rośnie tak samo od siedzenia w biurowym fotelu i na pieńku.

- Ja się boję nawiedzonych domów...

- Powiedziałem kiedyś, że jest nawiedzony? - Adrian zapiął plecak i zarzucił go na ramiona.

- Coś mi się tak zdaje.

- Będziemy ci wieczorem wskazywać drogę powrotną flarami - zażartował Marcin, leżąc na słońcu z twarzą ukrytą w cieniu namiotu.

- Dzięki, nie trzeba. Mam GPSa. Zostańcie tu, szczury lądowe! Idę sam.

Magda pocałowała go namiętnie w usta, ale nie zmieniło to jego humoru. Poprawił szelki plecaka i ledwie widoczną ścieżką ruszył pod górę. Nie znał dokładnego położenia domu, ale z notatek wywnioskował, że jest w stanie go odnaleźć i wrócić do obozu przed wieczorem. Włączył GPSa, by zapamiętywał przebytą trasę, i umieścił go w pokrowcu na pasku plecaka.

Kamienista ścieżka, będąca prawdopodobnie dnem potoku, jaki spływał tędy po każdym deszczu, po kilku minutach marszu zamieniła się w wąską wyboistą szczelinę między wilgotnymi skarpami pokrytymi mchem. Adrian musiał ją porzucić i dalej wspinać się po śliskim i miękkim jak gąbka podłożu. Stwierdził szybko, że było to znacznie bardziej męczące, niż początkowo przypuszczał. Nie przeszedł kilometra, gdy usłyszał za sobą ciche kroki, tłumione przez mech. Odwrócił się gwałtownie.

- Myślisz, że naprawdę pozwoliłabym ci iść samemu? - zapytała Magda. Odetchnął z ulgą.

- Już zaczynałem w ciebie wątpić...

Dziewczyna nie była nawet w połowie tak zmęczona, jak on. Mniej piwa, więcej basenu, postanowił sobie w myślach. Usiadł na mokrym mchu i spojrział w górę. Smukłe świerki celowały w błękitne niebo, pokryte pojedynczymi, niewielkimi obłoczkami. Wyciągnął bidon i pociągnął dwa łyki wody. Bicie serca stopniowo stawało się spokojniejsze.

- Chodźmy - powiedziała Magda, wyciągając do niego rękę. Chwycił ją. Była zimna.

- Zmarzłaś - stwierdził, wstając. - Załóż coś na siebie, bo się przeziębisz.

Posłusznie pociągnęła za wystający spod klapki plecaka polar.

- Chodźmy dalej - powiedziała, zapinając suwak.

- Dlaczego tak ci się spieszy?

- Nie chcę potem nocować w lesie.

Wypuścił głośno powietrze z ust i ruszył za nią pod górę. Po pierwszym potknięciu się o korzeń przestał patrzeć na jej nogi w obcisłych legginsach i zajął się omijaniem przeszkód. Dla niedzielnych turystów trochę dziwnie wyglądał dziki las, bez wrytych koleinami dróg, czy choćby ścieżek z odciskami butów. Szli szybkim tempem przez pół godziny.

- Zwolnij, babo - nie wytrzymał w końcu Adrian. - Jak strzeli mi bezpiecznik od serca, to będziesz musiała sama tachać moje ciało do obozu.

Zatrzymał się i wyciągnął aparat fotograficzny.

- Co ty! - Uśmiechnęła się. - Zejdę do najbliższej wsi i z automatu anonimowo podam lokalizację twoich szczątków.

- Zatrzymajmy się na dwie minuty.

- Dobra, ale pamiętaj, że im szybciej dotrzemy do domu, tym szybciej dostaniesz swoją nagrodę.

- Jaką nagrodę?

Magda zmrużyła uwodzicielsko oczy i oblizała usta. Potem zamknęła prawą dłoń a środkowy palec lewej zaczęła rytmicznie wsuwać do środka i wysuwać. Porozumiewawczo mrugnęła okiem. Chłopak zrobił jej zdjęcie i już wiedział, że w przyszłości będzie działało na niego jak afrodyzjak.

- Choć tu, małeńka - wyszczerzył zęby i zaczął ją gonić.

- O, nie! - zaprotestowała i chichocząc zaczęła mu uciekać. - Dopiero na górze. Inaczej cała wyprawa zakończy się tutaj.

- To mi tylko doda sił!

- Zwykle zaraz potem przewracasz się na drugi bok i zasypiasz.

- Niczego takiego nie pamiętam!

Złapał ją za plecak, przewrócił na plecy i przycisnął ciałem do ziemi. Śmiejąc się rozłożyła ręce i objęła go nogami, czując wyraźnie przez spodnie, że jest gotów zrobić to tu i w tej chwili. Próbował ją pocałować, ale uchyliła głowę i w efekcie dotknął twarzą mchu, ledwo muskając jej czarne włosy. Wyślizgnęła się spod niego i otrzepała z kolek i kawałków runa.

- Cierpliwości - szepnęła.

Adrian westchnął z zawodem i usiadł. Wyciągnął GPSa i stwierdził, że do celu, jaki wyznaczył, czytając zapiski dziadka, zostało jeszcze około trzech kilometrów.

- Dobrze, już dobrze - powiedział. - Idąc na północny zachód, za kilometr powinniśmy natrafić na zarośniętą drogę. Może uda się jej nie przegapić. Potem mniej niż godzina stromego podejścia i już. O ile wszystko dobrze zrozumiałem...

Poklepał dziewczynę po pupie i ruszyli dalej. Drzewa stawały się niższe, bardziej poskręcane i rzadsze. Raz nawet musieli ominąć nasłonecznioną polanę na stoku, by uniknąć przypadkowego ujawnienia swojej obecności. Potem znów zagłębili się w gęstszy las świerkowy, schodząc stromo w dół, a momentami zsuwając się na plecach lub lawirując między wielkimi, popękanymi gałęziami. Kilometr w prostej linii w górskim terenie okazał się w praktyce kilkukilometrowym nadrabianiem drogi wokół przeszkód terenowych.

Prawie przeoczyli dziadkową drogę - tak zarosła. Stał przy niej niewielki, spróchniały, przekrzywiony i zapadnięty w ziemię, krzyż bez żadnych napisów.

- Jednak jest - powiedział z niedowierzaniem Adrian. Wyciągnął mapę i oznaczył ich aktualną pozycję, odczytaną z GPSa.

- Tu nie ma zaznaczonej żadnej drogi - zauważyła Magda, opierając brodę na jego ramieniu.

- To mapa sprzed piętnastu lat, a dziadek był tu ostatni raz czterdzieści lat temu - wyjaśnił. W międzyczasie teren dołączono do Parku, a wszystkie drogi i szlaki, które tędy przebiegały, przestały oficjalnie istnieć.

Niespodziewanie chwycił dziewczynę za kark, odchylił głowę i pocałował w usta. Były zimne.

- Zmarzłaś.

- Zawsze tak reaguję na rozrzedzone powietrze. Nic mi nie będzie. Powiedz lepiej, co zrobisz, jak ktoś nas tu złapie?

- Zapłacę mandat. Stać mnie. Jeśli mają nas znaleźć, to prędzej odkryją obóz na dole... Zadzwoń do nich i zapytam, co słychać.

Wyciągnął z kieszeni telefon, ale Magda powstrzymała go ręką.

- Daj im spokój - uśmiechnęła się.- Pewnie ćwiczą kolejną pozycję na masce samochodu.

- OK. Jak będziemy wracać, musimy głośno kaszleć już kilometr wcześniej.

W doskonałych humorach zjedli kanapki z masłem, popili wodą i ruszyli dalej, łapiąc równowagę na chybotających się kamieniach.

Chatka jednak istniała, wtulona między potężne drzewa. Przez lata nie używania wrosła w zbocze góry. Solidne, poczerniałe od deszczów belki, oparły się działaniu czasu. W oknach nadal były szyby. Brudne, bo brudne, ale całe. Dach z gontu nieco oklapł i na pewno już przeciekał. Drewno okazało się być w dosyć dobrym stanie – spróchniały tylko schody na ganek.

Adrian przez chwilę poddał się wzruszeniu, patrząc na dom wybudowany przez swojego przodka. Dom, w którego istnienie nikt nie wierzył. Czy to możliwe, że żaden strażnik nie zajrzał tu przez wszystkie te lata? Wyciągnął z kieszeni kluczyk i wetknął w otwór starej, ciężkiej kłódki, na którą zamknięte były drzwi. Pasował, ale jego romantyczne wzruszenia nieco osłabły, gdy kłódka okazała się być skorodowana w stopniu uniemożliwiającym jej otwarcie. Po kilku nieudanych próbach musiał wyłamać skobel kamieniem. W środku było dosyć ciemno i duszno, ale nie zniechęciło to Adriana do dokładnego zbadania wnętrza. Tak jak na rysunku dziadka, była tu jedna duża izba z prymitywnym, kamiennym kominkiem, i dwie mniejsze, mogące dziś służyć za sypialnie. W jednej stało łóżko i skrzynia. W głównej izbie znajdowały się strome schody na stryszek i kłapa w podłodze prowadząca do mrocznej piwniczki. Jej eksplorację Adrian postanowił odłożyć na później.

Wnętrze rozjaśniło się nieco, gdy Magda przetarła z kurzu pojedyncze szyby okien. Było tu mało sprzętów, ale na szczęście na środku dużej izby stał stół i dwie ławy po obu jego stronach.

- Jemy obiadek? - zapytał Adrian, wyciągając z plecaka puszkę z parówkami w sosie pomidorowym.

- Rozpalę w kominku - odparła Magda, wycierając kurz ze stołu.

- Dym zaalarmuje strażników. Wziąłem małą butlę, palnik i garnek... Zaraz! To dlatego ja się zmęczyłem, a ty nie! Przecież mój plecak waży z dziesięć kilo! Co za ulga..

- Ulga? - zapytała Magda, zdejmując polar.

- Ulga, że z moją kondycją nie jest tak źle.

- Sprawdźmy to... - zamruczała zmysłowo i zaczęła rozpinąć koszulę. Adrian poczuł przyływ gorąca.

- Zapomniałem o nagrodzie - powiedział i objął dziewczynę w talii. - Ciągłe jesteś zimna.

- To mnie rozgrzej!

Ściągnął jej t-shirt, odsłaniając nagie piersi. Wziął je delikatnie w dłonie. Dziewczyna oddychając szybko zaczęła go rozbierać. Wessała się w jego usta, wpychając mu język między zęby. Przewróciła go na stół i nerwowo zaczęła rozwiązywać mu buty. Szybko rozebrała go do końca. Ściągnęła spodnie, naga weszła na niego i zaczęła pokrywać jego ciało pocałunkami. Nie wytrzymał długo. Brutalnie przewrócił ją na plecy, docisnął do blatu. Była wilgotna i gotowa. Znalazł miejsce i pchnął. Krzyknęła, objęła go mocno i zaczęła unosić biodra, wychodząc na przeciw jego coraz szybszym ruchom. Drzewa za oknami kołysały się sennie na lekkim wietrzyku, a słońce powoli zniżało lot. Doszli jednocześnie.

Światło znalazło drogę między gałęziami i wpadało smugami do zakurzonego wnętrza, na krzywe deski podłogi, błyszczące w nierównych odstępach łebkami gwoździ. Leżeli w miłym bezwładzie, nie próbując nawet zmieniać pozycji. Nogi dziewczyny zwiślały swobodnie po obu stronach stołu. Oddychała powoli, unosząc leżącą na jej piersiach głowę chłopaka. On pierwszy zebrał się, zszedł na podłogę i bosy doszedł do otwartych na oścież drzwi. Widok nie był najgorszy. Mimo gęstwy lasu, dokładnie na wprost drzwi, w koronach drzew widniała niewielka luka, przez którą widać było zbocza gór po przeciwnej stronie kotliny.

Odwrócił się i spojrzał na dziewczynę, siedzącą w prowokującej pozycji, okrakiem na podłużnym stole. Podpierała się z tyłu rękoma, wypychając piersi do przodu.

- W środku też byłaś zimna - rzucił jakby od niechcenia.

- Ale chyba nic sobie nie odmroziłeś, biedaczku... - zamruczała ponętnie. - Mówiłam ci, że mój organizm tak reaguje na górski klimat.

Opierając się na rękach lekko podskoczyła i uklękła na stole. Przeciągnęła się jak kotka. Co jak co, ale prowokować to umiała. Podszedł do stołu i pocałował ją w szyję. Schyliła się, chwytając go ręką od dołu i lekko zacisnęła palce, niemal sprawiając mu ból.

- Przeleć mnie jeszcze raz... - szepnęła cicho spod zmierzwionych włosów.

Nie mógł się jej oprzeć. Przyciągnął ją do krawędzi, rozsunął jej nogi, a dłonie zacisnął na pośladkach. Była miękka i twarda jednocześnie. I cały czas zimna.

Jedzenie z puszki z suchym chlebem od dawna nie smakowało tak wyśmienicie. Adrian miał nogi jak z waty i zastanawiał się, czy da radę zejść na dół Magda ocierała się o niego i przeciągała, maksymalnie rozluźniona.

- Powinniśmy wracać - stwierdził.
- Znalazłeś to, po co przyszedłeś?
- Tak. Chciałem tylko zobaczyć, czy ta chatka istnieje.
- Tylko?... Adrian westchnął.
- Jest jeszcze coś... Dziadek wyjechał z domu i zaszył się w lesie. Rok po śmierci babci postanowił uciec od ludzi. Tak po prostu. Zakończył wszystkie sprawy, sprzedał sklep w Krakowie i zniknął. Przez kilka lat nie było od niego znaku życia. Potem niespodziewanie wrócił. Mój ojciec próbował z nim porozmawiać, ale dziadek nie odezwał się ani słowem. Zjadł kolację, zmęczony położył się spać, a rano już nie żył.
- Smutne. Musiał bardzo kochać twoją babcię.
- Na to wygląda. Wszyscy mówili, że zwariował i przez te lata zebrał pod kościołami. Faktycznie, był brudny i nosił łachmany, ale w jego tobołku znaleziono to. - Wyjął z kieszeni plecaka powycierany zeszyt w twardej oprawie. - Pamiętnik. Napisał w nim o tym domu i jak w nim żył. Nie miał po co zbierać, bo nie potrzebował pieniędzy. Odnajdując ten dom chciałem udowodnić, że tego wszystkiego sobie nie wymyślił.
- A dlaczego wrócił?
- Nie wiem. Może czegoś się bał, może nie chciał umierać sam w lesie. Miałem nadzieję, że tutaj znajdzie odpowiedź i na to pytanie.
- Nie ma jej w pamiętniku?
- Pamiętnik jest zapisany do ostatniej kartki i urywa się w połowie wątku. Myślę, że gdzieś jest ukryta jego druga część.
- Przeszukałeś wszystko?
- Nie zajrzałem tylko do piwnicy, ale tam jest wilgotno, i nawet jeśli tam kiedyś był...
- Może po prostu przestał pisać, jak zeszyt się skończył.
- Drogi Watsonie! - Pokazał jej ostatnią stronę - Człowiek wkładający tyle pracy w zapisanie swoich przeżyć, widząc, że kończy mu się miejsce, zaczyna co najmniej pisać gęściej i mniejszymi literami, a nawet pokrywa maczką wewnętrzną okładkę. Tutaj do ostatniej linijki widać staranne, równe gryzmoły. Musiał mieć drugi zeszyt.
- Ale skoro mówisz, że zwariował...
- Cóż to zmienia? Ale fakt. Sadząc z tego, co napisał pod koniec, to zwariował.
- A co napisał?
- Że babcia do niego wróciła.

Wyczyścili naczynia i spakowali się. Adrian wyliczył, że powrót zajmie im o połowę mniej czasu.

- Zdążymy zejść przed nocą? - zapytała Magda.
- Tak... - Adrian spojrzał na nisko wiszące słońce, potem na zegarek. - Jak to możliwe? Jest siódma wieczorem!
- Spojrzał na Magdę, ale ta wzruszyła ramionami.
- Przecież wyszliśmy przed południem! - Wstał i wziął do ręki GPSa, ale opuścił go. - Żeby zobaczyć czas przybycia tutaj, musiałbym go przypiąć do laptopa... Co nam zajęło tyle czasu?
- Dziewczyna uśmiechnęła się przepraszająco, powtarzając gest wsuwania palca w zamkniętą dłoń.
- Tyle czasu?! - zapytał z niedowierzaniem. - Dałbym głowę, że jest najpóźniej czwarta! Nie zdążymy zejść. Słońce zachodzi za godzinę.
- Mój ty ogierze... Więc przenocujmy tu - zaproponowała.
- Nie podoba mi się to. Im bliżej... nocy, tym mniej przytulnie tu się robi.
- Prześpimy się z kocem na głowie - zażartowała.
- Minka ci zwiędnie koło północy, zobaczysz. Ale i tak nie możemy ryzykować nocowania w lesie... Zadzwoń tylko do Marcina, o ile jest zasięg.
- Ja zadzwonię, a ty w tym czasie zobacz, do czego nadaje się to łóżko. I wygoń z niego robactwo!

W materacu, a raczej podłużnym worku wypełnionym zeschniętymi, bliżej nieokreślonymi szczątkami roślin, o dziwo, nie było żadnych domowników. Adrian zaprzestał trzepania, gdy okazało się, że z każdym uderzeniem kurzu robi się coraz więcej. Kilka koców było w lepszym stanie. Prawie pół wieku leżenia w suchej skrzyni nic im nie zaszkodziło.

- Chodź, coś zobaczysz - usłyszał wołanie Magdy, gdy skończył trzepać pierwszy koc.
- Wyszedł przed niewielką werandkę, omijając najbardziej spróchniałe schodek.
- Tutaj!
- Odwrócił się. Dziewczyna stała na zboczu góry, nieco wyżej od domu, i zaczynała się rozbierać.
- Skoro się rozbierasz, to chyba wymaga mojej obecności - stwierdził i ruszył w jej kierunku.
- Dziewczyna nago weszła do okrągłego, wyłożonego kamieniami oczka wodnego. Krystalicznie czysta woda z mikroskopijnego strumyczka została w sprytny sposób zatrzymana.
- Dziadek zrobił jacuzzi, ale zapomniał o podgrzewaniu - powiedziała, wyciągając się na plecach. Miejsca było akurat tyle, by jej głowa i stopy dotykały przeciwnych brzegów. - Wskakujesz?
- Nie wziąłem czepka.
- Nie śpię z tobą, jak będziesz brudny.

Adrian westchnął i zaczął się rozbierać. Dziewczyna usiadła, obserwując go.

- Jesus! Jak ty możesz w tym wysiedzieć? - zapytał, dotykając palcem wody.

- Jestem zahartowana.

Stękając i klnąc pod nosem chłopak wsunął się do lodowatej wody i usiadł obok Magdy. Nad powierzchnię wystawały im tylko głowy.

- Czy już jestem dość czysty? - zapytał po chwili, szcękając zębami.

Dziewczyna zaczęła się śmiać, objęła go i pocałowała.

- Właśnie sobie przypomniałam, że nie mamy ręcznika - powiedziała.

Ślizgając się na omszałych kamieniach zebrali ubranie i pobiegli do domu. Wytarli się kocem, który Adrian zdążył wytrzeć.

Słońce w kotlinie skryło się za czubkami świerków. Cień posuwał się po zboczu. Pojedyncze pasemka mgły płynęły pod górę wzdłuż zarośniętej drogi mimo nieruchomego powietrza. Omijały pnie drzew i spróchniały krzyż. Gdyby ktoś tam był i wczuł się w atmosferę wokół, włosy na jego karku same zaczęłyby się podnosić. Gdyby ten sam ktoś spojrział w dół zbocza, zobaczyłby coraz więcej coraz wyraźniej szych woali, a kilkaset metrów niżej mgłę tak gęstą i kłębiącą się, jak mleko wlane do zbiornika z wodą. Ale nikogo tam nie było. Poza mgłą.

- Jak dziadek samodzielnie zdołał to wszystko zbudować? - zastanawiał się Adrian, siedząc obok Magdy na werandzie. - Oczko wodne rozumiem, meble też, ale jak dał sobie radę z wystruganiem desek na podłogę? Albo, jak przywłókł tu belki na ściany i strop?

- Może babcia mu pomagała...

Powiedziała to takim głosem, że aż na nią spojrział. Wydawała się .nieobecna. Dopiero po dłuższej chwili otrząsnęła się i uśmiechnęła, powracając do niego wzrokiem.

- Ale nie będziesz mnie straszyl w nocy? - zapytała, opatulając się szczelniej kocem.

- Zobaczymy... - Wysunął dolną szczęką i zmarszczył brwi, aż dziewczyna klepnęła go w ramię.

Pomarańczowe słońce dotykało już prawie odległych świerków. Dno kotliny od pół godziny ginęło w mroku. Zrobiło się chłodniej, więc wzięli lampę naftową i weszli do środka, z miejskiego przyzwyczajenia zamykając drzwi na skobel.

Pierwsze pasemka mgły pojawiły się między drzewami.

- Co na kolację? - zapytał Adrian.

- To, co zrobisz...

- Choć no tu... - Zrobił straszną minę, zgarbił się i wyciągnął przed siebie dłonie z palcami wygiętymi jak

szpony, i stawiając wielkie kroki ruszył w jej kierunku. Dziewczyna chichocząc zaczęła mu uciekać naokoło stołu. Po kilku okrążeniach przeskoczył go i złapał ją w pól.

- Ja ci dam emancypację! - powiedział, śmiejąc się.

- I tak jest tylko kawałek chleba i miętówki... - Wtuliła się w niego. - Jak mam być prawdziwą kobietą, to powinnam mieć prawdziwego mężczyznę... - Uśmiechnęła się złośliwie, odsuwając się. - Takiego, co nie zapomina z domu torby z prowiantem!

Wysunęła się z jego ramion i ze śmiechem uciekła na drugą stronę stołu. Nie chciało mu się jej gonić

- I tak nie jestem głodny. Jutro rano zjemy ten chleb, a potem zejdę do jakiegoś sklepu.

- Choć no tutaj - zamruczała ciepło i wyciągnęła ręce. podszedł do niej i przytulił ją, a ona zarzuciła mu ręce na ramiona.

- Nie chciałam być złośliwa - powiedziała. - Oni już wystarczająco ci nadokuczali. Schudnę trochę i to bez wyrzeczeń.

- Bo się nie masz czego wyrzekać... Wynagrodzę ci to w inny sposób.

Dotknął jej piersi i pocałował w szyję.

- Chodźmy do łóżka - szepnęła. - Bez telewizji i internetu nie ma co robić wieczorami...

- Można rozmawiać... chociaż... niekoniecznie... Jego dłonie już wsuwały się pod jej t-shirt.

- Wyłączę telefon.

- Wyłączyłam... Oszczędzamy baterie. Ekstremalne sytuacje wymagają zdecydowanych... posunięć...

T-shirt wyładował na podłodze. Ręka dziewczyny zwinnie rozpiniała guziki jego spodni. Jej legginsy sprawiły chłopakowi jeszcze mniejsze trudności.

Wtedy na zewnątrz coś trzasnęło, jakby pękła gałąź. Dziewczyna odruchowo zasłoniła piersi.

- Niedźwiedź? - zapytał cicho Adrian.

- Strażnik?

Chłopak wyciągnął z kieszeni scyzoryk. Krótkie ostrze wyglądało dosyć śmiesznie jak na broń przeciw niedźwiedziowi. Podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Powoli robiło się ciemno.

- Mgła idzie - powiedział po chwili, odwracając się. - Nie możemy się przejmować takimi odgłosami. To jest las.

Próbował ją uspokoić, powracając do pieszczot, ale szybko zauważył, że jej podniecenie zastąpił niepokój.

- Chodźmy spać - powiedziała, ściągając majtki. Znał ją dobrze i wiedział, że nie było to zaproszenie do dalszych igraszek - niezależnie od okoliczności Magda nie była w stanie przespać nocy mając na sobie majtki. Adrian pozostał w bokserkach.

Z trudem zmieścili się w wąskim łóżku. Dziewczyna ułożyła się tak, by jak największą powierzchnią dotykać jego ciała. Położyła mu głowę na piersi. Adrian objął ją, próbując ogrzać. Czekali na sen, ale ten jak zwykle w takich sytuacjach nie nadchodził.

- Śpisz? - zapytała po kwadransie.

- Myślę.

- Co?

- Myślę. Niektórzy ludzie robią to czasem...
 - Męcę się zawsze nie mogąc zasnąć.
 - Ja się nie nudzę ze swoimi myślami.
 - Nie o to chodzi. Jak bardzo chcę zasnąć, to mi się nie udaje.

- Sen to brak aktywności, a chcenie jest aktywnością. W życiu tak nie zaśniesz.

Gdzieś w lesie znów trzasnęła gałąź. Dziewczyna przyłgnęła bardziej do chłopaka.

- Co było najstraszniejszą rzeczą, jaką widziałeś? - zapytała.

- Pijawka amazońska.

- Boże... Brzmi okropnie.

- Brzmi znacznie lepiej, niż wygląda. Można by z nimi nakręcić horror bez użycia efektów specjalnych. Tarantula przy pijawce amazońskiej to miłe pluszowe zwierzątko.

- Nabierasz mnie...

- No... Pijawka nie jest jadowita, ale sto razy bardziej wolałbym wziąć do ręki tarantulę.

- Nie...

- Ta pijawka to jeden wielki mięsień. Skurczona jest twarda i wygląda jak... gruba zmutowana cukinia. W ułamku sekundy potrafi się rozciągnąć do długiej na metr sznurówki. Nie sposób jej złapać, a jak się przysię do ciała, można ją oderwać dopiero ciągnąc z całej siły... - przerwał czując, jak jej mięśnie napinają się.

- Sama pytałaś...

Leżeli dłuższą chwilę w milczeniu.

- Ale żyje tylko w wodzie... - mruknął, czując potrzebę zamknięcia wyjaśnienia.

- Przestań!

- I to w Amazonii... Chciałem, żebyś się uspokoiła...

- Och... nic już nie mów.

Po chwili milczenia zapytała jednak:

- Gdzie ją widziałeś?

- W telewizji.

Trzaśnięcie za oknem tym razem było głośniejsze.

- Zobaczę, co to było - powiedział Adrian, wstając z łóżka.

- Lepiej nie... - Magda próbowała przytrzymać go za rękę, ale i tak wstał.

Włożył buty nie zawiązując ich, narzucił kurtkę, przeszedł do głównej izby i wyrzwał przez okno. Przez mgłę nic nie było widać. Wziął więc latarkę i podszedł do drzwi. Chwilę nasłuchiwał nim odsunął skobel i uchylił je na tyle, by wysunąć głowę i latarkę. W wąskim strumieniu światła widać było ledwie koniec werandy i zarysy pni kilku najbliższych drzew. Pasemka mgły wpływały do środka, omijając nogi Adriana. Stał chwilę, omiatając latarką jednorodną mleczną zawiesinę. Potem zamknął drzwi i odwrócił się w kierunku wejścia do ich sypialni. Napotkał rozszerzone ze strachu oczy dziewczyny siedzącej na łóżku. Nic nie powiedziała, tylko pokazała palcem na środek izby, za jego plecy. Odwrócił się błyskawicznie, świecąc tam latarką. W cieplejszym powietrzu wnętrza

domu rozwiewała się resztką mgły. Spojrzał na Magdę pytająco.

- To tam było... - szepnęła.

- Jakie, kurwa, „to“?!

- Nie wiem...

- Nie strasz mnie! Widziałaś cień latarki. W środku jest przecież ciemno.

- Zostaw zapaloną lampę...

Westchnął, nerwowym ruchem sięgnął do kieszeni po zapalniczkę. Zapalił lampę naftową i postawił ją na stole. Słabe światło zamieniło mrok w nieco jaśniejszy półmrok, pozostawiając jednak kąty pełne drżących cieni. Poza Adrianem w izbie nie było nikogo.

- Co konkretnie widziałaś? - zapytał, gdy nieco ochłonął.

- Nie wiem... Zdawało mi się, że ktoś stał za tobą. - I gdzie on teraz jest?

- Zdawało mi się tylko. - Spuściła oczy.

Adrian omiół izbę latarką i dosyć szybkim krokiem wrócił do łóżka.

- Nie martw się - próbował ją pocieszyć. - Mówiłem, że minka ci zwiędnie.

Leżeli nieruchomo, patrząc na drzwi wejściowe i kawałek ściany z małym oknem. Tylko tyle widzieli przez przejście łączące sypialnię z główną izbą. Światło na przemian przygasało i rozjaśniało się, czasem przez chwilę pulsując. Ruchome cienie w łączeniach belek i desek podłogi męczyły wzrok, ale i usypiały.

Obudził go stłumiony krzyk dziewczyny. Oprzytomniał natychmiast. Włączył latarkę i omiół sypialnię.

- Co?.. - zapytał nerwowym szeptem.

- On stał w nogach łóżka... - Magda była biała i drżała jej szczęka.

- Kto? Jak wyglądał?

- Nie wiem. Ciemno jest. Myślałam, że śpię, ale nie spałam.

- Jesteś zdenerwowana...

- Nie jestem histeryczką i nie boję się ciemności..

- To dlaczego mówisz szeptem?

- Ty też mówisz szeptem..

Adrian zdał sobie sprawę, że faktycznie, od chwili przebudzenia szepczą konspiracyjnie. To tak, jakby sami dawali przyzwolenie na istnienie... kogo? czego?

- Tu nikogo nie ma - powiedział głośnie, ale jego głos nie zabrzmiał naturalnie.

- Widziałam go - szepnęła z przekonaniem Magda. - Wiem, kiedy śpię, a kiedy nie.

- Na tej wysokości jest trochę rzadsze powietrze. Organizm reaguje inaczej.

- Jak inaczej?

- Jak to, jak? Ciągłe jesteś zimna, a skoro spada ci temperatura ciała, to i kojarzysz inaczej.

Adrian nie miał najmniejszej ochoty wychodzić z łóżka, ale wiedział, że musi iść do głównej izby, „living roomu”, jak ją nazywał w myślach, i upewnić się, że nie

ma tam nikogo. Wiedział, że nikogo tam być nie może, ale pierwotny instynkt kazał mu to sprawdzić. Potrzeba ta wierciła go tak, że czuł niemal fizyczną presję.

Znów założył buty, kurtkę i zaczął skradać się w kierunku drzwi. Natychmiast skarcił się za to w myślach i pewnym krokiem wmaszerował do izby. Nie było w niej nikogo. Lampa paliła się na stole, plecaki leżały tam, gdzie je zostawili, na podłodze nie było żadnych śladów. Jego wzrok padł na mroczne wejście do pustej izby bocznej, oddzielonej ścianą od ich sypialni. Z bijącym mocno sercem zaczął powoli iść w tamtą, stronę. Nie mógł tym razem zmusić się, by zrobić to bardziej zdecydowanie. Minął kamienny kominek, leżące obok od czterdziestu lat polana, i przesuając się stopa za stopą dotarł do ciemnego otworu. Latarka oświetlała fragment przeciwległej ściany, ale jeśli ktoś miałby się tam ukrywać, to nie będąc skończonym idiotą, na pewno schowałby się tak, by go od razu nie zobaczono. To logiczne. Trzeba więc tam zajrzeć. Jasne, ale czy ktoś, kto tam jest, jeśli jest (choć przecież na pewno go nie ma...), schował się zaraz za wejściem z lewej czy z prawej strony?

Ja pierdole. Co za sytuacja!, pomyślał. Nie mógł zmusić się do ostatniego kroku, ale i nie mógł zawrócić bez zdobycia informacji. Kilkanaście sekund wahał się, po czym wykonał szybki ruch głową z jednoczesnym oświetleniem latarką lewej strony pomieszczenia. Wyprostował się. Nic się nie stało. Lewa strona czysta. Teraz przesuując się do lewej framugi nieistniejących drzwi powoli wychylił się i zbadał prawą stronę. Nic, nawet pajęczka. Westchnął z ulgą.

Odwrócił się i krzyknął na widok bladej postaci, stojącej metr za nim. Poczł, jak serce zatrzymuje się na chwilę.

- Nie strasz mnie! - wrzasnął na Magdę.
- Bałam się sama...
- Przecież byłem kilka metrów od ciebie!
- Bałam się...

Zaczęła płakać. Chłopak przytulił ją. Drżała.

- Już dobrze... Po prostu mogłem cię niechcący walnąć. Zmarzłaś... Jak ty w ogóle masz się rozgrzać, jeśli chodzisz w samym t-shircie?

- Wracajmy do łóżka.

Nad ich głowami rozległo się ciche skrzypnięcie. Zamarli. Adrian poświecił do góry, natrafiając na ziejący czernią otwór wiodący na strych.

- Jasna dupa! - szepnął. - Zapomniałem o tym... Patrzyli w milczeniu do góry na szczyt stromych schodków. Dziewczyna ścisnęła ramię chłopaka.

- On tam jest... - wyszeptała cichutko wprost do jego ucha. Adrian zerknął na zegarek. Była dwunasta piętnaście. Do,

świtu co najmniej sześć godzin. Nie mógł tak zostawić problemu i czekać.

- Powiedz, co widziałeś wcześniej? - zapytał ją na ucho.

- Nie wiem - szepnęła cichutko.'

- Bardziej niedźwiedzia, strażnika, czy bardziej psychopatę?

- Nie wiem. Gdyby nie to, że będziesz się śmiał, to... ducha.

Adrian nie zaczął się śmiać. Atmosfera nie sprzyjała żartom. Był nawet gotów uwierzyć w to, że dziewczyna widziała ducha, co nie znaczy, że ten naprawdę istniał.

- To może być mysz, wiewiórka, cokolwiek - powiedział, łapiąc ręką za stopień schodów.

- Nie idź tam. - Ścisnęła jego ramię jeszcze mocniej.

- Chcę to sprawdzić, żebyśmy mogli spokojnie spać.

Nie, wcale nie chciał wchodzić po tych schodach i sprawdzać „tego”. Miał podświadomą nadzieję, że dziewczyna przytrzyma go za ramię. Będą mogli wtedy wrócić do łóżka i wyspać się do rana. Jednocześnie wiedział, że po prostu musi wejść na górę i mieć pewność.

Łagodnym ruchem zsunął jej dłoń z ramienia i zaczął wchodzić po schodach. Gdzie zacząłby się... ktoś? Z tyłu Tak więc obrócił się i ostatnie kilka stopni pokonał trąc o schody plecami i pomagając sobie łokciem.

Wysunął głowę nad poziom stropu, trzymając latarkę koło ucha. Obrócił się, sprawdzając trzysta sześćdziesiąt stopni. Spodziewał się co najmniej nietoperza, który zerwie się do lotu i przestraszy go tak, że spadnie z drabiny, ale strych był pusty. Tylko w kątach falowała delikatnie mgła, która prawdopodobnie przenikała tu przez szczeliny w dachu.

Zszedł na dół.

- Nic tam nie widzę - Oznajmił.

- Duchy mogą być niewidzialne.

Westchnął, zerkając jeszcze raz na mroczne wejście do pustej izby. A jeśli obcy wisiał nad wejściem? Nie miał najmniejszego zamiaru tego sprawdzać wiedząc, że i tak jego rozgorączkowana wyobraźnia jest gotowa wymyślić jeszcze kilkadziesiąt możliwych kryjówek. W kominku, pod łóżkiem, w skrzyni...

Wrócili do sypialni. Magda wskoczyła do łóżka, a Adrian zaczął wciągać spodnie.

- Co robisz?

- Czuję, że zaraz znów będę wstawał, więc nie chcę marznąć.

Usiadł w nogach łóżka, podciągając stopy i opierając się plecami o ścianę.

- Co dziadek jeszcze napisał o tym domu? - zapytała po kilku minutach dziewczyna.

- Niewiele. Jak teraz pomyślę, to z pamiętnika nie wynika wcale, że zbudował go sam. Zakładałem to jako pewnik, ale technicznie byłoby to przecież niewykonalne. Musiał odnaleźć go przypadkowo i zamieszkać w nim.

- Razem z historią tego miejsca.

- Myślisz, że zwariował, bo tu straszyl? Pokiwała głową.

- Pierwsza część pamiętnika to zaledwie kilka dni - ciągnął. - Dziadek pisał, że ciężko mu się zasypia z powodu „odgłosów” wokół domu i w samym domu. To była jednak tylko mała wzmianka. Sądziłem wtedy, że nowy dom osiada i trzeszczy. Ale to nie był nowy dom. A potem, właśnie... potem pojawiła się babcia.

- Czyli że oczekujemy wizyty?

Spojrzał na nią, ale nie wyglądała na kogoś, kto ma tyle odwagi, by żartować.

- Myślałem, że dom był zakonserwowany środkiem, którego opary wywołują halucynacje, ale potem dotarło do mnie to, że takich środków nie było czterdzieści lat temu. Dziadkowi mogło odwalić z samotności, tyle że nie po kilku dniach.

- Może odwaliło mu wcześniej?

- Przed wyjazdem z Krakowa był może smutny, ale na pewno normalny.

- Więc?

- Muszę mieć drugą część pamiętnika.

- To po niego tak naprawdę tu przyszedłeś? Przeczytaj mi kawałek pierwszej części.

Adrian przyniósł zeszyt z plecaka i przewrócił kilka kartek.

Nie mogę powiedzieć, że czuję się tu zupełnie szczęśliwy. To nie jest tak. Owszem, wstaję kiedy chcę i kiedy chcę mogę iść spać, żaden człowiek nie przerywa mi rozmyślań. Jednak brakuje mi czegoś. Natłok codziennych spraw, jaki atakował mnie w mieście, tutaj nie istnieje. Nie tłumi więc tego, co siedzi głęboko w duszy. Zapomniane cienie przeszłości powracają, nękając mnie przed snem. Stara maszyna przedstawiona na inne obroty nie będzie dobrze działać.

Trochę boję się nocy. Trzaski, jakby ktoś chodził po lesie. Raz zdawało mi się nawet, że widzę postacie. Tłumaczę sobie, że las to jest las i żyją tu zwierzęta, przy księżycu wychodząca żer. Cóż z tego - mieszcuch w lesie nigdy nie będzie czuł się swobodnie.

Może powinienem wrócić? Nie wiem. Czuję, jakbym na coś stale czekał. Ale na co?

Kolejny dzień. Znow ta mgła. Niepokoi mnie. Po prawdzie nigdy nie lubiłem mgły. Zacierają się kontury, dźwięki rozchodzą się inaczej - czasem nie słychać tych bliskich, czasem znow odległe wydają się dochodzić z najbliższego drzewa.

Adrian zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu widzi coś dziwnego. Przez szczelinę pod drzwiami wejściowymi przepływała mgła. Zupełnie jakby ktoś ją od zewnątrz wdmuchiwał. Zsunął się z łóżka, odkładając zeszyt, i zajrzał do dużej izby. Na środku, obok stołu, sunąca przy podłodze mgła unosiła się, formując kłęb sięgający niemal powały. Nie rozplątała się w powietrzu, pozostając w ciągłym, powolnym ruchu. Chłopak uprzedził strach, który zaczynał kiełkować w jego umyśle. Zdjął kurtkę i machając nią, rozpedził po całym pomieszczeniu nietrwałą chmurę.

- Rozpalę w kominku - powiedział i zaczął układać suche polana w stosik. - Jest tu za zimno i wilgoć wlatuje.

Dlaczego ja się tłumaczę? Czy zacząłem się już naprawdę bać?

Odwrocił się w poszukiwaniu kawałka papieru i zobaczył, że kłęb mgły znow zaczyna gęstnieć w poprzednim miejscu. Ponownie go rozwał i nieużywanym kocem uszczelnił drzwi. Zapalił papierową chustkę do nosa i podłożył pod drewno. Wypaliła się po kilkunastu sekundach. Podłożył następną, a na niej drobne patyczki i większe drzazgi z polan. Tym razem drewno przyjęło ogień. Odwrócił się i zobaczył pochylającą się nad sobą mglistą postać. Mrugnął powiekami. W miejscu postaci były już tylko niewyraźne kłęby mgły. Dmuchał, drąc je na pół.

Takiego ducha widziała, pomyślał, ale nie uspokoiło go to ani trochę. Prawdę mówiąc, teraz wiedział już z całą pewnością, że boi się naprawdę.

- Strażnik nie zobaczy dymu? - zapytała z sypialni Magda.

- W nocy nie widać dymu... ani strażników, a tu jest, za dużo wilgoci.

Zaczynam świrować, pomyślał, wstając. Upewnił się, że płomień nie zgaśnie, i już miał wracać do łóżka, gdy pod nogą wyczuł nierówność podłogi. Spojrzał w dół. Metalowe kółko od kłapy do piwnicy. Piwnica! Nie sprawdził piwnicy. Poczł się rozczarowany, bo dopiero co był pewien, że sprawdzanie wszystkich ciemnych kątów ma za sobą.

O, nie! Nie wejdę tam, pomyślał.

Stał na niewielkiej klapie. Małe pasemka mgły sunęły po podłodze i wnikały w szczeliny wokół kłapy. Zachowywały się bardziej jak pasemka dymu niż mgły. Rozejrzał się. Mgła niczym w puszczonej od tyłu filmie pełnym efektów specjalnych pokrywała teraz podłogę cienką warstwą, w niezrozumiały sposób ciągnąc do piwnicy - jak woda w wannie po wyjęciu korka. Wpatrywał się w to zjawisko w osłupieniu przez dobrą minutę, nim mgła znikła zupełnie. Zdawało mu się, że nagle nastąpiła cisza, choć wcześniej nie słyszał przecież żadnego dźwięku.

Otrząsnął się i ustawił pionowo na klapie kilka polan - w charakterze alarmu, gdyby ktoś lub coś chciało ją unieść. Nie miał żadnego pomysłu na to, co miałby zrobić, gdyby alarm zadziałał.

Oparł się o framugę drzwi do sypialni i ocenił konstrukcję. Powinna runąć przy delikatnym poruszeniu kłapy. Wyciągnął z kieszeni pogniecioną paczkę papierosów, włożył do ust pierwszego z brzegu nadłamanego papierosa i przypalił. Rzucił palenie (po raz kolejny) miesiąc temu, ale profilaktycznie nosił ze sobą kilka sztuk.

- Co tam widziałeś? - zapytała Magda, unosząc się na łokciach.

- Nic... takiego. Rozpaliłem ogień, żeby było cieplej. Zaciągnął się mocno i wypuścił dym. Zobaczył na moment

gwiazdki przed oczami. Dym leciał rozszerzającym się pasmem przez nieruchome powietrze. Nad stołem zwolnił i rozplątał się na boki, jakby pod wpływem przeciwnego prądu powietrza. Po chwili znow zaczął gęstnieć w miejscu, gdzie przedtem gromadziła się mgła. Adrian poczuł niemiły dreszcz. Miał ochotę

rozpędzić obłok dymu, ale powstrzymał się. Zamiast tego wypuścił kilka kolejnych chmurek, w ciągu pół minuty wypalając papierosa do połowy. Zakręciło mu się w głowie, tak że musiał nachylić, się i oprzeć dłonie na kolanach, by nie stracić równowagi. Gdy podniósł głowę, dym formował się w słup wysokości dorosłego człowieka. To nie mogło być złudzenie. Nawet w słabym i drżącym świetle lampy naftowej. Adrian wypalił papierosa do końca, posyłając cały dym w jednym kierunku. Niewidzialna siła przechwytywała go i pchała w to samo miejsce. Po minucie dało się rozpoznać widmowy korpus, głowę, nogi i ręce. Chłopak pod wpływem nagłego olśnienia schylił się i wyciągnął z bocznej kieszeni plecaka aparat fotograficzny. Wycelował i błyskając fleszem zrobił zdjęcie. Postać wykonała ręką powolny, nieokreślony gest i rozplynęła się w powietrzu, jakby wiążąca ją w całość siła przestała istnieć.

Adrian wypluł końcówkę papierosa, w którym zaczynał się już palić filtr, i rozpląszczył go butem. Nie ruszał się z miejsca. Czy przypadkiem wykrył obecność... mieszkańca domu? Gdzie on się teraz podział? A może to był zwykły przeciąg, a strach dopowiedział resztę?

Co tu się dzieje?, pomyślał. Muszę mieć ten pamiętnik.

To, czy miał halucynacje, okaże się dopiero po wywołaniu filmu. Schował aparat do kieszeni i zerknął na Magdę. Spała. W myślach powtórzył jeszcze raz przetrząsanie domu. Było tu niewiele sprzętów, więc i niewiele możliwych schowków. Wszystko, łącznie ze szczelinami w ścianach i krokwiach na strychu, sprawdził starannie - przynajmniej tak mu się wydawało.

Poza piwnicą.

Ponownie skarcił się w myślach za to, że wcześniej, za dnia, odpuścił sprawdzanie piwnicy. Teraz myśl o zejściu na dół sprawiała, że nogi odmawiały mu posłuszeństwa przy próbie wykonania choćby jednego kroku w kierunku kłapy.

Wyjrzał przez okno. Mgła jakby cofnęła się trochę, ale zejście w nocy do obozu i tak było zbyt niebezpieczne. Zresztą., las był jeszcze mniej przyjazny od tego domu. Uchylił drzwi. Zimne, wilgotne powietrze owiało mu twarz. Mgła faktycznie cofnęła się, zostawiając wokół domu niemal całkiem przejrzysty krąg o średnicy kilkunastu metrów.

Z tą mgłą jest coś nie tak, pomyślał Adrian, stwierdzając jednocześnie, że powinien dojść do tego wniosku dużo wcześniej. Na granicy kręgu widać było powoli formujące się w równych odstępach zgęstnienia, jakby ktoś próbował stworzyć filary podtrzymujące sklepienie okrągłej sali. Zamknął szybko drzwi, dopchnął uszczelniający je koc i oparł się o nie plecami. Spojrzał z niechęcią na klapę do piwnicy i stojącą na niej piramidkę z polan. Nie czuł się specjalnie odważnym człowiekiem, a ostatnie wydarzenia przesuwają j ego umysł powoli w stronę paniki. Muszę tam zejść, póki jeszcze mogę racjonalnie myśleć. Nie

ruszył się jednak. Gdyby zszedł tam pięć minut temu, już by to miał za sobą. Dlatego właśnie odważni ludzie są szczęśliwsi.

Polano na samej górze stosu na klapie zatrzęsło się. Adrian zdrewniał. Zobaczył, że niebieskawy dym z papierosa, którego wypalił, delikatnymi nitkami sunie po podłodze do kłapy i znika pod nią. Nie czuł przy tym najmniejszego ruchu powietrza.

Zebrał się w sobie i wykonał dwa kroki w kierunku kłapy. Wyzywając się od tchórzy zrobił jeszcze jeden krok, ale na więcej nie mógł się zdobyć. Wysunął do przodu rękę i zamarł w tej pozycji, gdy polano ze szczytu stosu spadło na podłogę.

Przez minutę nic się nie działo i zaczęły go boleć plecy. Przeciąg..., pomyślał, wcale w to nie wierząc, i zsunął na bok polana. Chwycił zimne metalowe kółko. Policzył do trzech, uniósł skrzypiącą zawiasami klapę o kilka centymetrów. Zaświecił latarką w dół, ale zobaczył tam jedynie ciemność. Serce waliło mu w piersi jak po dwustumetrowym sprincie. Zdziwiony swoim zdecydowaniem, unosił klapę dalej, i cicho, by nie budzić Magdy, oparł wierzchem na podłodze. Latarka oświetlała teraz pierwsze stopnie drabiny i coś w rodzaju prymitywnego regału piwnicznego. Czuł się jak spadochroniarz-amator na progu lecącego samolotu, niepewny, czy po pociągnięciu rączki spadochron się otworzy.

Z lasu dało się słyszeć przeciągłe westchnienie. Ciche, ale silne, jakby głośne w oddali, dochodziło tu cichnąc po drodze. Tyle że ono nie dochodziło z oddali. Czuł to.

Wzdrygnął się i stanął na krawędzi otworu, jak kiepski pływak na słupku nad basenem. Strach pchał go na dół i strach go powstrzymywał. Całym wysiłkiem woli zmusił się, by postawić stopę na pierwszym stopniu. Był niemal pewien, że zaraz jakaś oślizgła i zimna ręka złapie go za łydkę. Czuł ją już niemal, ale nie cofnął nogi. Ku własnemu zaskoczeniu postawił drugą na kolejnym stopniu. Z-szedł w ten mechaniczny sposób kilka stopni, aż nad podłogę wystawała tylko jego głowa.

- A miała być zwykła wycieczka w góry... - mruknął pod nosem, by dodać sobie otuchy.

Schylił się oświetlając drżącym światłem regał, na którym stało kilka brudnych słoików. Pachniało... grobem. Tak dokładnie określił to w myślach, choć naprawdę nie miał pojęcia, jaką woń wydziela grób. Rozluźnił nieco dłoń, w której trzymał latarkę, i światło ustabilizowało się odrobinę. Oczekując wpatrującej się w niego pary oczu rozejrzał się wokół. Niewielka piwnica miała nieregularne ściany, zastawione niemal całkiem pustymi regałami. Ilość zakamarków była wprost nieprawdopodobna, jeśli wziąć pod uwagę niewielkie wymiary pomieszczenia. Oczu nie zobaczył. Pamiętnika też.

Z ogromną niechęcią zszedł z drabiny na ubitą ziemię. Spojrzał przelotnie na prostokątny otwór wejścia jak na raj utracony. Straszne uprzednio wnętrze domu wydawało mu się teraz wzorem przytulności.

Pospiesznie zaczął przeglądać zawartość półek, wąskim strumieniem światła rozpraszając mrok. Słoiki, szmatki, wiązki ziół rozsypujących się przy najłżejszym dotknięciu. Przez chwilę żałował, że nie wzięty lampy naftowej, ale potem wyobraził sobie, co czułaby Magda, gdyby obudziła się sama w ciemności.

Odwrocił się ze stłumionym w ostatniej chwili krzykiem. Poczłł czyjąś obecność. Dysząc, omiatał panicznie przestrzeń światłem, odkrywając coraz to nowe załomy i tańczące na ścianach cienie. Gdyby spojrział w tym momencie do góry, poznałby przyczynę swojego podświadomego strachu. Głowa pokryta śliską, ziemistą skórą, obserwująca go parą czarnych, mętnych oczu, wycofała się, ale chłopak nadal nie wiedział, co wyczuł. W pewnym momencie światło latarki padło na wąskie wejście do jamy, prowadzącej w głąb góry. Była wilgotna, wręcz ociekająca wilgocią. Liczne kropelki wody odbijały światło drobnymi, jasnymi igiełkami. Wtem, na półce przed sobą, zobaczył płaski pakunek starannie zawinięty w brązowy, nawoskowany papier. Wiedział, co jest w środku. Po prostu czuł to. Wiedział też, że jeśli przecucie go oszuka, to za nic nie wejdzie ponownie do tej piwnicy, co więcej - nigdy w życiu nie zbliży się na mniej niż piętnaście kilometrów do tego domu.

Ponownie zerknął do wnętrza jamy, z trudem opanowując drżenie rąk. Błyski w kropelkach wody znaczyły dalszy bieg krętego korytarza, gdzie nie sięgało bezpośrednio światło latarki. Dwie kropelki poruszyły się. Adrian wyteżył wzrok. Kropelki ponownie zmieniły położenie, a jego wyobraźnia dorobiła do tego resztę: to odbłaski w oczach monstrum, pełznącego w ciemności w jego stronę! Problem w tym, że po odbłasku nie sposób poznać odległości. Piętnaście metrów, dziesięć? Trzy? A może nic tam nie ma?

Nie chciał czekać i sprawdzać, czy to złudzenie. Chwycił pakunek, nie mając najmniejszej chęci nadawać tej czynności, nawet odrobiny nabożeństwa. Wskoczył na drabinę i kilkoma susami znalazł się na górze. Zatrzasnął klapę i przesunął ciężki stół, blokując ją prowizorycznie. Usiadł na podłodze ściskając w jednym ręku latarkę, w drugim znalazł. Oddychał szybko. Na wprost niego stała Magda ubrana w sam t-shirt. Patrzyła pytającym wzrokiem. Pokazał jej paczkę.

Gdy złapał oddech, wstał i rozerwał papier. W środku był zeszyt, taki sam, jak pierwsza część pamiętnika. Otworzył go i przeleciał kilka kartek.

- Bingo! - zawołał.

- Dowiemy się czegoś o tym miejscu? - zapytała dziewczyna słabym głosem.

- *I think so.*

Podszedł do okna i wyjrzał, przykładając prawie twarz do szyby. Było zbyt ciemno. Uchylił więc drzwi i chwilowa euforia znikła natychmiast. Słupy z gęstej, przelewającej się mgły, wyraźnie odcinały się od otoczenia. Chłopak podejrzewał, co z nich powstanie, a co więcej, skoro trwa to tyle czasu, spodziewał się, że końcowego efektu nie da się łatwo... rozwiązać. W polu

widzenia miał siedem kłębow mgły, a było ich pewnie więcej.

Co tu się, kurwa, dzieje?!, pomyślał, zamykając drzwi.

- Co tam widziałeś? - zapytała dziewczyna, widząc jego przestraszona twarz.

- Sprawdzalem, czy mgla sie rozwiewa.

- A rozwiewa sie?

- Tak... jest juz znacznie rzadsza... miejscami. - Nie umial klamac. - Do rana sytuacja sie wyklaruje.

Przytulil ja niepewnie, czujac jej dystans. Wiedziala, ze klamie, ale nic nie mowila.

- Zobaczmy, co napisal dziadek - powiedzial w koncu i usiadl na lawie przy stojacym teraz w poprzek izby stole. - Chcesz koc?

- Nie, dzieki. Cieplo mi jest.

Nie sadzil, zeby bylo jej naprawde cieplo, ale postanowil nie naciskac. Usiadla obok, przysuwajac sie blisko. Adrian otworzyl zeszyt, nabral powietrza i zaczal czytac:

Kolejny poranek przyjmujac z ulga. To straszne, jak uzalezniamy sie od miasta, elektrycznosci, biezacej wody i gazet czytanych przy sniadaniu. Tutaj wszystko jest inne. Rytm dnia wyznaczaja wschody i zachody slonca. Nocą odczuwam silny niepokoj. Niewyjasniony. Mgla przychodzi co wieczor, a kiedy jest mgla, to wszystko wydaje sie inne. Krzaki staja sie zgarbionymi postaciami, ruszaja sie niemal, gdy sie na nie patrzy katem oka. Za dlugo zylem w miescie i chyba juz sie nie przyzwyczaję do lasu.

Gdy sie ściemnia, nie wychodzę na zewnątrz. Nawet teraz, gdy Alma wróciła, nocą mam wrażenie, że wszystko wokół jest obce i wrogie. W dzień czuję, że całe życie spędzone na lataniu codzienności było stratą czasu, ale gdy słońce zbliża się do wierzchołków drzew, nerwowo zerkam za plecy i unikam ciemnych miejsc. Jeśli sobie z tym nie poradzą, będę musiał wrócić. Alma uważa, że powinienem wrócić, ale czuję, że nie jest szczerą...

- Czekaj - przerwała mu Magda. - Alma to twoja babcia? -Tak.

- Nieżyjąca wtedy od roku? -Tak.

- I on tak po prostu?... Czytaj dalej...

Adrian przeleciał wzrokiem pół strony i zaczął czytać następną wpis:

Z każdym kolejnym dniem wydaje mi się, że mgła wokół domu jest gęstsza, a słońce z coraz większym trudem rozpędza ją nad ranem. Jak się nad tym zastanawiam, to wydaje mi się, że mgła powinna zakrywać doliny, a nie zbocza gór. Z tą mgłą jest coś nie tak. Nie wiem co, ale coś w niej jest, bo zwykła mgła tak się nie zachowuje. Wczoraj w nocy na naszym „podwórku” zaczęła gęstnieć tworząc coś, jakby pień drzewa. Nie potrafię wytłumaczyć tego zjawiska. Przez chwilę wydawało mi się nawet, że to zwalista postać wielkiego trolla stoi na wprost drzwi, ale w nocy wzrok

plata różne figle, a wyobraźnia dodaje do tego całe opowieści. Zdawało mi się potem, że słyszę kroki wokół domu, ale i tego nie jestem pewien. Zastawiłem drzwi stołem i udało mi się zasnąć. Rano, widząc tę barykadę, sam z siebie się śmiałem.

Kolejny dzień, zgubiłem rachubę już dawno. Rano znalazłem w lesie glinianą kukłę. Z początku myślałem, że to człowiek, ale podszedłem bliżej i stwierdziłem, że to przypomina człowieka tylko z oddali. Nie wiem, kto ani po co zrobił coś takiego. Wielkości była dorosłego człowieka; głowę miała, w przybliżeniu, jakby w kształcie jajka, którego czubek stanowił brodę. Oczy bez powiek: duże, mętne i całkiem czarne. Gdyby nie popękana na słońcu powierzchnia, zdradzająca strukturę i niewątpliwie sztuczne pochodzenie, uciekłbym stamtąd, gubiąc buty po drodze. Odważyłem się dotknąć ramienia kukły. Zwykła, wyschnięta glina.

Kolejny dzień. Nawet nie próbuję się zastanawiać czy dziś sobota, czy wtorek. Rzeczywistość przepływa mi między palcami. Alma jest taka dobra.

Kolejny dzień. Próbowałem znaleźć miejsce, gdzie leżała glinianą kukła, ale nie udało mi się. A właściwie myślę, że znalazłem to miejsce, ale jej tam nie było. Kto mógłby ją zabrać?

Z pozoru wszystko jest normalne, ale czuję się, jakbym miał gorączkę, albo jakbym zażył opium. Czyja to ja?

- Narkoman, normalnie - powiedział Adrian
 - Nie pisze, że brał - sprostowała Magda - tylko że czuje się, jakby brał.
 - Wiem... Może tu są jakieś... źródła gazów?
 - A ty masz przywidzenia?
 - Tak jakby... - Zerknął w stronę okna. Odniósł nagle wrażenie, że zaraz coś się wydarzy. Było to równie nagle, co irracjonalne. Zmusił się, by czytać dalej:

Próbuję wziąć się w garść, coś zrobić, żeby znów poczuć grunt pod nogami. Skończyłem kamienną sadzawkę i teraz czekam, aż napełni się wodą. Wiem, że będzie zbyt zimna, by móc do niej wejść, ale może wpuszczę tam kilka ryb. Muszę coś zrobić. Cokolwiek, co wymaga planowania i wytrwałości. To chyba cena za możliwość pozostania tutaj i przy zdrowych zmysłach.

Alma jest taka dobra. Martwię się o nią. Ona wcale nie narzeka, ale widzę, że nie czuje się dobrze. Próbowałem ją posadzić przy kominku i ubrać w dwa swetry. Po prostu nie jestem w stanie jej ogrzać. Jest taka zimna.

Adrian poczuł gęsią skórę na całym ciele. Poderwał się, zrzucając pamiętnik na podłogę. Kilka kartek przeleciało, ukazując niezdamny rysunek popiersia chudej istoty o wielkich, czarnych oczach. Podniósł wzrok. Magda wydała mu się nagle nieostra. Nie, to

było coś innego. To tak, jakby przypomnieć sobie znaną z dzieciństwa piosenkę w obcym języku. Potem, kiedy już się ten język zna, te same, leżące na dnie pamięci dźwięki zamieniają się w jasny przekaz.

Wpatrywał się w dziewczynę, widząc nagle przemianę, choć nie byłby w stanie powiedzieć, na czym polegała. Na miejscu Magdy siedziała gliniana kukła. Patrzyła na niego wielkimi, ciemnymi oczami. Były mętne i zdawały się być martwe. Mały nos i wąskie usta poruszały się delikatnie.

Adrian stał nieruchomo, zbyt zdziwiony, by wystarczająco się przestraszyć. Czuł woń wilgotnej, zatęchłej nory. Grobu.

- Teraz widzisz, jak wyglądam - powiedziała istota głosem Magdy. - Iluzja nie może trwać wiecznie. Ja... też wiem dopiero teraz.

Schyliła głowę i przerażająco ludzkim gestem zasłoniła twarz glinianymi dłońmi. Adrian cofnął się o krok, próbując poukładać sobie w głowie, zrozumieć to, co widzi. Istota opuściła niżej głowę, przesuując dłońmi po nieistniejących włosach. Zaczęła szlochać.

- Zabij mnie... - szepnęła.

Z cichym plaśnięciem upadła na kolana i dotknęła głową podłogi. Chłopak byłby w stanie uwierzyć, że to sen. Niestety, wiedział, że to się dzieje naprawdę.

- Zabij mnie! - krzyknęła kukła chropowatym, gardłowym głosem, podrywając się na równe nogi. Adrian cofnął się, opierając plecami o ścianę. Czarne oczy wpatrywały się w niego. Strach sparaliżował go do reszty. Nie był w stanie wykonać najmniejszego ruchu. Wtedy kukła wykonała dwa kroki i rozprężyła się; ramiona bezwładnie zwisły wzdłuż tułowia, głowa opadła na piersi. Całość zachwiała się i przewróciła wprost na niego.

Krzyknął ze strachu, gdy opadł na niego zimny ciężar. Zasłonił się odruchowo, chwytając kukłę za ramię. Palce zagłębiły się w ciało nie napotykając prawie oporu. Szarpnął ręką, wrywając przy tym spory kawałek glinianego mięśnia. Miał konsystencję rzadkiego żelu. Z mieszanką obrzydzenia i zdziwienia strząsnął go na podłogę. Ten plasnął głośno, rozpryskując się u jego stóp. Adrian odepchnął od siebie kukłę. Upadła na ziemię, z cmoknięciem pękając na kilka części. Prawie natychmiast zaczęła się rozpylać, jak porcja lodów czekoladowych na słońcu.

- Magda?... - zdołał wyksztusić. - To jest szaleństwo. Zwariowałem...

Usiadł na ławie. Dobre pięć minut zajęło mu dojście do siebie i opanowanie drgawek. Patrząc na kałużę rzadkiego błota wyciągnął papierosa i miał już przypalić, gdy przypomniał sobie o tym, co poprzednio stało się z dymem.

- Z błota powstałeś i w błoto się obrócisz... - powiedział i zaczął się nagle głośno śmiać.

Błoto wyciekło prawie całkiem szczelinami między deskami. Adrian otarł łzy i zerknął w stronę okna. Wstał i podszedł do niego. W polu widzenia stało kilka zwalistych postaci otoczonych przelewającą się mgłą. Przyjmując nierzeczywiste za rzeczywiste wyglądało to

na prawie ukończoną pracę -cokolwiek miało być jej efektem i ktokolwiek autorem. Adrian zawahał się chwilę i przypalił papierosa.

- Zrobię sobie własnego trolla... - Znów się zaśmiał.

Wypuścił dym w kierunku środka izby. Dym, jak poprzednio, poruszony niewidzialną siłą, zaczął formować nieregularny obłok. Adrian postanowił odzyskać jasność umysłu. Odetchnął i powiedział na głos:

- OK. To się dzieje naprawdę, a ja chcę z tego wyjść w jednym kawałku.

Wypalił całego papierosa, potem drugiego. Gdy chciał zapalić trzeciego, okazało się, że paczka jest pusta. Z mieszkanką niedowierzania i fascynacji obserwował kształtowanie się na środku izby widmowej postaci. Odkrył, że nie czuje przed nią strachu. Uważając, by jej nie rozwiać, zdmuchnął z powierzchni stołu pozostały kurz. Drobiniki pyłu poszybowały w kierunku postaci. Adrian nerwowo zaczął się rozglądać wokół w poszukiwaniu dostępnego budulca. Jego wzrok padł na materac. Powoli, by nie powodować gwałtownego ruchu powietrza, przyniósł go z sypialni i położył na stole. Zaczął go okładać patykami, którego uprzednio używał jako pogrzebacza. Po kilku minutach postać była prawie nieprzejrzysta.

- Powiedz mi, jak się stąd wydostać - zwrócił się do postaci Adrian, akceptując nową rzeczywistość.

Widmo wykonało powolny gest ręką i rozwiało się na chwilę. Minęło prawie pół minuty, nim ponownie się wyostrzyło.

- OK, rozumiem - powiedział chłopak. - Za mała gęstość. Już myślę...

Rozpruł scyzorykiem materac i podrzucił do góry siano, znajdujące się w środku. Kurz pofrunął w kierunku postaci, a większe kawałki opadły na ziemię. Wypatroszył w ten sposób cały materac. Potem wyciągnął z plecaka dezodorant i opróżnił go, kichając przy tym co chwilę.

Podszedł do okna. Dwie postacie stały kilka kroków bliżej od pozostałych i były gotowe. Tak przynajmniej wyglądały: drwale z wielkimi toporami w dłoniach. Reszta ciągle stała w kłębiących się oparach mgły.

Popiół!, pomyślał i podbiegł do kominka. Dmuchał i machał rękoma, aż cały popiół wzniósł się w powietrze i poszybował wolno w kierunku zjawy. Przybrała teraz bardziej realną formę. Wyglądała niemal jak to coś, co udawało Magdę. Adrian wzdrygnął się i podszedł bliżej. Zdawała się patrzeć na niego, przekrzywiając wolno głowę. Dlaczego się jej nie bał? Może dlatego, że na zewnątrz czekało coś znacznie gorszego, a może dlatego, że sam dał jej ciało? Ciało niedoskonałe. Wiedział o tym, ale nie miał czasu ani pomysłu, jak kontynuować pracę.

Twarz miała niemal kształt odwróconego jajka, jak to opisał dziadek. Chłopak przyjrzał się jej dokładniej i ujrzał przez chwilę twarz starszego mężczyzny. Gdy mrugnął powiekami -ta znikła. Złudzenie? Znał już jedno takie złudzenie - bardzo realne i długotrwałe. Wiedział, że iluzja powróci ze zwiększoną siłą. Czuł się

jak przestępca, ale wyciągnął z kieszeni aparat i zrobił dwa zdjęcia.

Postać wskazała okno. Mgła napierała na dom; za szybą przelewała się jak dym, tworząc teatr cieni. Adrian widział tam na przemian pijawki amazońskie, macki ośmiornicy i oślizgłe larwy owadów, a wreszcie twarze o wielkich, czarnych oczach. Słysząc było powolne ciężkie kroki, zbliżające się ze wszystkich stron.

Postać przesunęła rękę, wskazując kłapę do piwnicy. Adrian pokręcił głową.

- O, nie! Już raz tam byłem i założę się, że mam gdzieś na głowie kępkę siwych włosów.

Podłoga drgnęła kilkakrotnie. Chłopak zrozumiał, co to oznaczało. Coś ciężkiego weszło na werandę. Drzwi skrzypnęły, ale nie otworzyły się - były zablokowane od wewnątrz drewnianym skoblem. Kolejne wstrząsy anonsowały następnych gości. Co ciekawe, nie pękła żadna ze spróchniałych desek.

Skrzypnięcie na strychu było zaskoczeniem. Jak tam wleźli? Adrian uniósł głowę, czując niemiłe ssanie gdzieś w dole brzucha. Strach. Gorszy niż wcześniej. Strach realny. Nie bał się dziwnych istot jako takich, bo zaakceptował ich istnienie. Bał się o własne życie.

Koc, którym uszczelnił drzwi, uderzył go w nogi, wypchnięty podmuchem powietrza. Adrian cofnął się o krok. Do wnętrza domu wpływała gęsta mgła. Zasłoniła niemal drzwi, zachowując wyraźny dystans od postaci z dymu i popiołu. Skobel uniósł się i drzwi zaczęły się otwierać.

W szczelinie Adrian zobaczył wielkiego trolla, może drwala, o okrutnej, przesadnie pobrużdżonej twarzy i zapadniętych głęboko małych oczach. Gęsta broda i wąsy były niemal karykaturalne, podobnie jak gigantyczny topór, który monstrum trzymało w wielkiej dłoni. Za jego potężnymi barami widniało kilka identycznych postaci.

Skrzypnięcie drabiny na strych odwróciło na chwilę uwagę chłopaka. Wielka stopa, zamknięta w ciężki skórzany but wiązany na rzemienie, dotykała właśnie pierwszego szczebla.

Z gliny i kurzu nie da się zrobić topora, pomyślał Adrian. Gdyby topory były prawdziwe - rozwaliliby nimi drzwi, zamiast bawić się ze skoblem.

Wiedział to, ale w to nie wierzył. Zresztą jego serce, które czuł w przelyku, nie przejmowało się racjonalnymi wyjaśnieniami.

Postać z popiołu i dymu rozwiała się, wnikając w szczelinę wokół kłapy. Chłopak został sam ze swoim przerażeniem Cofając się, przesunął stół blokujący kłapę. Trolle ciężkimi krokami weszły do izby i stanęły wokół niego luźnym kręgiem. Czekwały. Odblaski słabego światła w ostrzach ich toporów wyglądały aż nadto realnie. Adrian spojrzął w oczy najbliższego trolla. Były groźne i okrutne, choć były przecież tylko złudzeniem. Jak i cała postać. Zastanowił się przez chwilę, czy gdyby skupił się dostatecznie mocno, iluzja by prysła i zostałyby tylko gliniane kukły. Nawet jeżeli,

to pewnie nic by nie zmieniło w kwestii ich możliwości.

Trolle, jak na komendę, zaczęły unosić topory. Chłopak nie czekał na rozwój wydarzeń. Szarpnął do góry klapę i zeskokczył w dół, zatraskując ją za sobą. Ogarnęła go ciemność. Przez chwilę w panice przetrząsał kieszenie, nim znalazł latarkę. Włączył ją i krzyknął, siadając na ziemi. Tuż przed nim stała gliniana kukła - taka sama, jaką widział przed kilkoma minutami na górze.

- Przepraszam - powiedziała kukła, zmieniając się w starszego mężczyznę z siwymi włosami, brodą i sumiastymi wąsami. - Tak chyba lepiej.

- Kim... jesteś?

- Jestem echem sprzed lat. Własnego dziadka nie poznasz?

Mężczyzna rozłożył ramiona, jakby chcąc uściskać nie widzianego od lat krewnego. Adrian nie ruszył się z miejsca i dziadek, westchnąwszy, opuścił ręce.

- No, tak... Wiesz przecież, kim jestem naprawdę - powiedział. - Ale śmiało, pomacaj. - Wysunął do przodu rękę. Adrian niepewnie dotknął mankietu kraciatej koszuli. Poczuł pod palcami świeżo wypraną flanelę. Poczuł też jej zapach.

- Idealne złudzenie, nieprawdaż? - Dziadek uśmiechnął się z satysfakcją. - Własnej dziewczyny też nie poznałeś.

- Różniła się - powiedział cicho chłopak. - Była zimna. Dziadek machnął ręką.

- Zginęła, bo mgła straciła nad nią kontrolę. Gdybyś ją przeniósł do piwnicy, żyłaby nadal. Ale co to za życie... Ja nie mogę umrzeć, przynajmniej na razie. Cokolwiek zrobię, odrodzę się na nowo, korzystając z tych samych mechanizmów co Mgła. Ja nawet nie mogę zwariować.

Jednak to nie było złudzenie, te błyski, uświadomił sobie Adrian, to jego widziałem poprzednio w norze.

- Oddzieliłem się od masy macierzystej i jeszcze się powiększam. - Spojrzał do góry. Z wnętrza chaty dochodziły stłumione odgłosy powolnych kroków. - Nie wejdą przez jakiś czas do piwnicy, bo to moje terytorium i tu jestem silniejszy. A ty, chłopcze, musisz uciekać. - Wskazał wejście do wilgotnej nory.

- Mam tam wejść?! Dziadek rozłożył ręce.

- Możesz zawsze wrócić na górę. Do nich.

- A nie mogę tu zostać do świtu? Słońce rozpędzi mgłę.

- Mgłę tak, ale oni mogą tam czekać i rok.

- OK. Dokąd prowadzi to przejście?

- Wylot jest wystarczająco daleko stąd, na zboczu małego wąwozu. Ukryjesz się gdzieś i doczekasz do rana.

Kroki na górze ucichły. Adrian nie miał siły, by się przeciwstawić propozycji dziadka. Nie miał też żadnego innego pomysłu na wydostanie się z pułapki.

- Dla ścisłości: to, na co patrzysz - dziadek wskazał na siebie - to tylko obraz mojej świadomości, wykonany, bym mógł z tobą rozmawiać. To coś, jak...

- ...interface.

- Nowe słowo - uśmiechnął się pod wąsem dziadek. - Ile to już lat tu siedzę... Cóż, muszę uważać, żeby się nie rozczulić i nie stracić kontaktu z moją resztą... ze mną, właściwie - wykonał nieokreślony ruch w stronę góry. - Twoja dziewczyna właśnie to zrobiła. Oderwała się od masy macierzystej, bo, jakby rzec... wczuła się do tego stopnia w rolę, że pokochała ciebie naprawdę i jej cel nadrzędny przestał się liczyć... Zresztą - to samo stało się kiedyś z Almą i ze mną.

- Czy to coś... co udawało Magdę... czy ona wiedziała, kim jest?

- Nie. W swojej świadomości była Magdą. Tylko w pewnych momentach, domniemam, czuła dziwną potrzebę wykonania czegoś nienaturalnego, czegoś, po co ją stworzono.

- Dlaczego akurat ona?

- Przypadek. Może wczesnym rankiem przeszła przez rozwiewającą się Mgłę, która przygotowywała się do replikacji? Dlaczego akurat ta mucha wpadła w sieć pająka? Kto wie?

- Jak to wszystko działa?

- A czy ty wiesz, jak działa twój organizm? Na jakiej zasadzie pracuje twoja wątroba albo trzustka? Nie pytaj mnie, bo albo nie wiem, albo nie potrafię odpowiedzieć... To, że możemy się porozumieć, to już i tak niezła sztuka.

- Czy trzeba... umrzeć, aby być skopiowanym? - zapytał z niepokojem w głosie.

- Bynajmniej! Trupa skopiować się nie da. Twoja dziewczyna żyje i nie wie nic o swoim sobowtórce.

- A Alma?

Dziadek zamyślił się i mruknął cicho:

- Mgła wyciągnęła ją z mojej pamięci. Ta Alma, która przysłała do mojego domu, nie była prawdziwa. To był mój ideał...

- Kto zbudował ten dom?

- Dom... To długa historia...

Przez klapę nad ich głowami zaczęła przesączać się mgła. Dziadek spojrzał na nią smutno.

- No, idź, wnuku. Czeka mnie tutaj kolejna mała... jakby to rzec, sąsiedzka kłótnia.

- A co się stało z babcią?- zapytał Adrian, gramoląc się do wylotu nory.

- Alma... została wchłonięta ponownie. Ja mam nadzieję wytrzymać jeszcze parę lat.

Chłopak uściskał przodka, choć zdawał sobie sprawę że to idiotyczne i wczuł się do wysokiego na metr otworu.

- Co się ze mną stało, gdy wróciłem do Krakowa? - zapytał za nim dziadek.

Adrian zastanawiał się chwilę, po czym rzekł po prostu:

- Umarłeś...

Nie oglądając się za siebie i nie myśląc o tym, co może być przed nim, zaczął posuwać się na czworakach, oświetlając sobie drogę latarką.

Świtało. Adrian obudził się zmarznięty, z bolącymi plecami. Kilka godzin przespał w niewygodnej pozycji, oparty

o pień drzewa. Śniło mu się, że jest w przelyku jakiegoś ogromnego potwora i sam pełnie do jego żołądka. Wstał, rozprostował kości i wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy. Nie działał. Może zamókł, a może... może zepsuła go fałszywa Magda, żeby nie dowiedział się prawdy. Po chwili namysłu skłonił się do tej drugiej możliwości.

Rozejrzał się. Na skale kilka metrów za nim stała kozica. Wyciągnął z kieszeni aparat fotograficzny. Postawił go na kamieniu, sprawdzając, czy kadr jest dobrze wybrany. Wcisnął samowyzwalacz i ustawił się plecami do zwierzęcia. Błysk flesza spłoszył kozicę. Pobieгла za swoim stadem.

Niezłe zakończenie albumu fotograficznego, pomyślał, schodząc w dół. Najpierw przygotowania do drogi i wspólne zdjęcie całej czwórki przy jeepie, potem nocny klub w Zakopanem, kilka fotek z wyciągania samochodu z błota, obozowisko, później... właśnie, zdjęcia glinianych postaci. Niezła historia mroząca krew w żyłach, ale zakończona śmiesznym zdjęciem - jeśli kozica zmieściła się w kadrze i jeśli nie zasłonił jej własną głową.

Postanowił zejść nie do obozowiska, tylko do najbliższej osady. Był zbyt zmęczony, a do tego GPS i mapa zostały w plecaku (leżącym teraz wiadomo gdzie), więc nadkładanie drogi byłoby nieuniknione.

Zejście zajęło mu dwie godziny i na końcu był padnięty. Mieścina była niewielka, ale miała coś na kształt ulicy handlowej. Przypomnił sobie, że nie jadł nic od czasu wczorajszego skromnego obiadu i zaczął się rozglądać za barem, karczmą, restauracją. Czymkolwiek, gdzie dawaliby jeść. Jego wzrok padł na szyld zakładu fotograficznego. Zignorował na chwilę swój żołądek i wszedł do środka. Ukłonił się dziadkowi, siedzącemu na krześle przy drzwiach, i stuknął dłonią w hotelowy dzwonek na ladzie. Przewinął film w aparacie do początku

i wyciągnął rolkę.

- Słucham pana - zapytała otyła kobieta, wychodząc z zaplecza. Spojrzała podejrzliwie na Adriana i ten zdał sobie sprawę, że jest cały ubłocony.

- Chciałbym wywołać zdjęcia. Format 10 na 15 na matowym papierze.

- Jest tylko błyszczący. Dobre, czy wszystkie?

- Proszę zrobić odbitki ze wszystkich trzydziestu sześciu klatek. Na którą będą gotowe?

- Mogą być za godzinę.

- Będę tu więc za godzinę.

Gdy wychodził, zauważył, że krzesło obok drzwi było puste.

Znalazł niewielką karczmę sto metrów dalej. Zamówił kwaśnicę, placek zbożniczy i duże piwo. Poszedł do toalety, doprowadzić się nieco do porządku. Próbował też zadzwonić na komórkę Magdy, ale numer nie odpowiadał. Gdy wrócił na salę, przy jego stole siedział staruszek. Ten sam, którego widział u

fotografa. Adrian usiadł na swoim miejscu i pociągnął łyk piwa, które właśnie podała kelnerka. Czekał. Staruszek uśmiechnął się i powiedział, zerkając łakomie na piwo:

- Miałeś małą przygodę, prawdą?

Adrian gestem zamówił jeszcze jedno piwo. Może i dziadek to zwykły naciągacz. W końcu, jak ktoś wchodzi do karczmy bez plecaka, za to ubłocony aż po uszy, to można się domyślić, że co najmniej zgubił szlak. Z drugiej jednak strony dziadek może wiedzieć coś ciekawego.

Staruszek przezornie poczekał na piwo i pociągnął spory łyk, mlaskając z uznaniem. Usiadł wygodniej i dopiero wtedy zaczął mówić:

- Raz do roku, może częściej, przychodzi ktoś taki, jak ty. Odnaleziona zguba.

Staruszek nie mógł być pierwszym lepszym wieśniakiem, na jakiego wyglądał. Wystawiał się zbyt poprawnie.

Kelnerka przyniosła parującą miskę kwaśnicy i trzy grube pajdy ciepłego jeszcze chleba. Adrian zaczął łapczywie jeść, dmuchając na zawartość każdej łyżki, by ostudzić zupę.

- Widziałeś dziwne postacie - ciągnął staruszek. - Uszedłeś z życiem, a to fart, oj fart...

- Co to za postacie?

- Golemy. Rodzą się z mgły, a kończą jako kupka gliny. Można je zabić, ale są silne i nie wiedzą, co to ból ani strach.

- Gdy tu przyszedłem, zaczynałem powoli wierzyć, że to wszystko to był sen...

- To się nam w głowie nie mieści... więc łatwiej zapomnieć, niż uchodzić za wariata. Baby dzieci nimi straszą, jak te już w czarownice nie wierzą. Pamiętam dokładnie: w czterdziestym trzecim, na wiosnę, dwunastu ich zeszło z gór. Wyglądali jak drwale. Niewysocy byli, ale w barach - jak dwóch solidnych chłopów. Rodzinę całą wytlukli w domu na końcu wsi, dwóch żandarmów niemieckich solidnie poobijali. Dopiero jak się chłopcy z całej wsi zebrali, to zdołali ich przepędzić. Dwa golemy padły, reszta odeszła w las - powolnym krokiem, ale nie było odważnego, by je gonić. Przez tydzień oficerowie z Abwehry wypytywali tu wszystkich. Po wojnie nikt nie chciał się przyznać, co widział. Ojciec opowiedział mi tę historię, jak miałem szesnaście lat. Nie uwierzyłem mu wtedy.

- Widziałem dwunastu drwali. Widziałem, jak rodzili się na nowo.

Kelnerka wymieniła pustą miskę na talerz z drugim daniem. Staruszek z własnej inicjatywy zamówił kolejne piwo.

- Mogą wyglądać różnie - mówił dalej. - Rzadko opuszczają las i pokazują się tam, gdzie jest więcej ludzi. Czasem jednak się zdarza. Ze dwadzieścia lat temu stary Chowański spotkał w lesie zmarzniętą dziewczynę. Przyprowadził do domu, nakarmił. Dwa miesiące później na zapowiedzi miał dawać. Znalazł rano w łóżku glinianą lalę wielkości człowieka.

Całkiem odszedł od zmysłów, powiesił się... To było solidne rozczarowanie.

- Znam to uczucie...

- Wyjedź z gór. Mgła nie da ci spokoju, skoro raz jej uciekłeś. Golemy nie mogą przetrwać daleko stąd. - Nachylił się, konspiracyjnie ścisząc głos: - Nie będą cię ściagać, jeśli odejdziesz. Uciekaj...

Adrian skończył swoje piwo i rozejrzał się za kelnerką, chcąc zamówić następne. Gdy pokazała się w drzwiach kuchni, kiwną ku niej głową.

Chciał kontynuować rozmowę ze starszakiem, ale jego miejsce było puste. Zanim się ulotnił, zdążył jednak opróżnić swój kufel.

Adrian odebrał zdjęcia. W cenę wliczony był mały album z tekturowymi okładkami zadrukowanymi reklamą fotografa. Był chyba jednym z nielicznych klientów tego dnia, bo kobieta z nudów powkładała zdjęcia w kolejne foliowe przegródki. Gdy wypisywała mu rachunek, była błada i zdenerwowana. Adrian wiedział, dlaczego.

Wyszedł na słoneczną ulicę i zaczął przeglądać kolejne zdjęcia. Uśmiechnął się oglądając wygłupy Magdy i Renaty w nocnym klubie, Potem spowaźniał, widząc kolejne zdjęcia, robione w obozie. Wiedział już, co zobaczy za chwilę. Poczul ciarki, przekładając kolejną stronę. Wiedział, co tam zobaczy: to było to zdjęcie, zrobione wtedy w lesie... Usiadł na ławeczce przystanku autobusowego i zakrył dłonią usta. Zdjęcie przedstawiało zbliżenie kukły, pokazującej upiorny gest wsuwania środkowego palca w zamkniętą dłoń.

Coś rzuciło na niego cień. Adrian podniósł głowę. Słońce zasłaniał wysoki mężczyzna w czarnym garniturze. Kilka metrów dalej stał drugi w takim samym stroju. Rękę opierał na otwartych, tylnych drzwiach czarnego Mercedesa 300. Samochód miał zapalony silnik. Pierwszy mężczyzna wyjął Adrianowi z ręki album i schował go do kieszeni. Tym samym ruchem wyciągnął legitymację służbową na metalowym łańcuszku i podetknął chłopakowi przed nos. Powiedział coś, ale Adrian go nie słuchał - zrezygnowany wstał i pozwolił się zaprowadzić do samochodu.

Piwnica przypominała bunkier z czasów drugiej wojny światowej. Czarne, błyszczące kable szły wierzchem po gołych betonowych ścianach, na których widać było odciski desek szalunku. Zimne światło jarzeniówek i echo powtarzające każdy dźwięk czyniły to miejsce niezwykle mało przyjaznym. W dosyć przestronnym pomieszczeniu stało biurko, a na nim telefon, otwarty aluminiowy laptop i monitor połączony kablem z kamerą na statywie, wycelowaną w Adriana. Chłopak siedział na twardym drewnianym krześle. Drugie, identyczne, stojące po przeciwnej stronie

biurka, zajmował ten sam mężczyzna w czarnym garniturze. Adrian w myślach nazwał go „Agentem”. Po dwóch stronach drzwi wejściowych stali milczący faceci. Też w czarnych garniturach.

- Wiesz, dlaczego tu jesteś? - zapytał Agent, przerywając trwającą od kilku minut ciszę.

- Dlatego, że wjechałem do Parku Narodowego samochodem? - Adrian wysilił się na ironię, ale nie odniosło to żadnego skutku. .

- Nie. Byłeś świadkiem pewnego wydarzenia. Miałeś kontakt.

- Uznacie mnie za wariata, jak wam to wszystko opowiem.

- Nic podobnego. Te informacje mogą być dla nas bardzo cenne.

Adrian poprawił się na niewygodnym krześle i założył nogę na nogę. Nie był do końca pewien, czy to się dzieje naprawdę. W ciągu ostatniej doby jego definicja rzeczywistości stała się bardzo pojemna.

- Z czym miałem niby kontakt? - zapytał ostrożnie.

- Mam nadzieję, że pomożesz nam w poznaniu tego czegoś.

- Nie jestem idiotą. Wiem, że chodzi wam o tę mgłę, ale ja prawie nic nie rozumiem z tego, co widziałem.

- Wymienimy się wiedzą. W 1987 roku pewien francuski turysta zginął na szlaku - zaczął Agent. - Spadł w przepaść, a ciało odnaleziono po dwóch dniach. Martwe ponad wszelką wątpliwość, bo już rozkładające się, pojechało w chłodni do Marsylii. Mimo to widziano go miesiąc później, jak w jednym ze schronisk popijał kawę. Mgła rzadko kopiuje umarłych, a i to tylko wtedy, jeśli zapisze wzorzec tuż po śmierci. W większości wypadków oryginał żyje i nie ma pojęcia, że został skopiowany. W 1991 polski turysta zabłądził we mgłę, ale jego golem dotarł do schroniska i przez cały wieczór bawił się w towarzystwie znajomych. Gdy rano zmarznięty oryginał dowłókł się do celu, w swoim łóżku znalazł kilkadziesiąt kilogramów błota. Dokładnie mówiąc, golem nie są wykonane tylko z gliny, ale z pozlepianych ze sobą wszelkiego rodzaju latających drobin, które dają się łatwo formować przy użyciu minimalnych sił i wilgoci. Jeśli chodzi o powodzenie akcji, to przypadek tego turysty był kłapą. Ustaliliśmy, że golem musi wrócić. Inaczej zebrane przez niego informacje nie są przekazywane do masy macierzystej. Ale prawdę mówiąc, i tego nie jesteśmy pewni.

- Nikt nie robił analiz? Badań?

- Chłopcze... To było PRL. W dodatku w stanie rozkładu Jedyne, co zrobiono, to rozszerzono granice Parku. Park nie istnieje po to, by chronić przyrodę - istnieje, by chronić ludzi. Badania, owszem, były. Dwóch naukowców-zapaleńców z cieniutkimi portfelami... Traktowano ich tak jak łowców duchów. Zainteresowaliśmy się ich pracą, gdy przeanalizowaliśmy statystyki zjawisk tego typu z dzienników milicyjnych, a później policyjnych. Założyliśmy oczywiście, że zgłaszano znikomy procent przypadków. Sprawa okazała się poważniejsza, gdy w

1995 roku jeden z naukowców, będących już wtedy u nas na etacie, został skopiowany. Przeciwnik wykazał się inteligencją, zdobywając wyniki badań z okresu piętnastu lat. Automatycznie musieliśmy przestać traktować Mglę jako zjawisko naturalne, czy raczej paranormalne, w stylu kręgów wypalanych na polach przez statki kosmiczne. Badania Mgły nie są proste. W teren możemy wysyłać tylko ludzi nie obeznanych w sprawie, czyli również nie wiedzących dobrze, czego szukać. Z oczywistych względów obawiamy się, że poufne informacje zostaną wyciągnięte prosto z umysłu. Ty byłeś w samym centrum. Dlatego jesteś dla nas tak cennym źródłem danych - pierwszym od dłuższego czasu.

- OK, panie Mulder. - Adrian w końcu zebrał się w sobie. - Skserowano wam naukowca... Znam swoje prawa. Nie możecie mnie tu trzymać bez powodu. Wjechałem samochodem do parku, ale za to grozi mi co najwyżej mandat. Słucham więc, jak mogę wam pomóc. Zrobię, co będę mógł, a potem sobie pójdę.

- Skoro tak stawiasz sprawę... Opowiedz nam po prostu, co wydarzyło się od wczorajszego świtu. Inaczej poczekasz w areszcie czterdzieści osiem godzin.

Adrian westchnął zrezygnowany i opowiedział po kolei wszystko, pomijając tylko szczegóły zabawiania się z fałszywą Magdą. Agent słuchał uważnie i co jakiś czas przerzucał strony albumu ze zdjęciami. Zaczekał na koniec opowiadania i pokazał chłopakowi zdjęcie domku, wykonane na krótko przed zachodem słońca. Adrian przypomniał sobie, jak je robił. Obawiał się, że wyjdzie poruszone, bo Magda wplatała mu palce we włosy i...

- Potrafiłbyś odnaleźć to miejsce?

- Za nic na świecie tam nie wrócę!

- Twoja dziewczyna powiedziała, że miałeś odbiornik satelitarny.

- Rozmawialiście z nią? - Adrian poderwał się. - Jest tutaj? Agent uspokoił go ruchem ręki.

- Nic jej nie jest. Obóz znaleźli strażnicy. Mandat był spory, ale musimy jakoś odstraszać ludzi z tego obszaru. Więc jak z tym odbiornikiem? To nam może bardzo pomóc.

- Pozycję zapisałem w GPSie. Niestety, został w tej chatce... - Spojrzał na oczekującego odpowiedzi agenta. - Przez dziesięć lat nie potraficie znaleźć chatki w górach? Ja ją znalazłem w trzy godziny.

- Sprawa nie jest taka prosta, jak ci się wydaje.

- Czym jest mgła? Po co produkuje te golemy?

- Nie wiemy, co to jest. To jakiś rodzaj świadomej istoty. Ta istota nas bada. Często, jak szczury laboratoryjne. Jeśli nadal chcemy wierzyć w to, że jesteśmy gatunkiem, który włada tą planetą, nie możemy na to pozwalać.

- Inteligentna mgła?

- Dlaczego niby cząstki wody i specyficznych dla tego rejonu zanieczyszczeń składających się na nią nie mogą stworzyć świadomości? Przecież ciało człowieka to też struktura powstała z pierwiastków występujących w martwej naturze.

Agent pokazał kolejne zdjęcie. Przedstawiało istotę z dymu i popiołu. Zdjęcie było bardzo ciemne.

- Mówisz, że sam go zrobiłeś? - zapytał.

- Pomogłem mu powstać. Dostarczyłem mu budulca, ale pole siłowe, czy coś... czy ja wiem... to coś, co trzymało go w kupie, już tam było... Potem połączył się z moim dziadkiem czekającym w piwnicy.

- Dlaczego to zrobiłeś?

- Miałem przecucie, że pomoże mi się stamtąd wydostać.

- Skąd się wzięło to przecucie?

- Jak to przecucie - gdzieś ze środka. Nie wiem..

Czy mogę już iść?

- Posłuchaj! - Agent przestał być miły. Wstał z krzesła i usiadł na brzegu blatu. - To, że marnuję czas na dyskusję z tobą, dowodzi tylko jednego: chcemy nawiązać kontakt z tą istotą. Zależy nam na tym. Chcemy to zrobić dla nauki i dla naszego bezpieczeństwa. Ty możesz nam w tym pomóc. Do niczego innego cię nie potrzebujemy.

- Ja nawiązałem z nią kontakt. Dokładniej mówiąc, z moim dziadkiem...

- Nie ma pewności, że nastąpiło porozumienie. Rozmawiałeś również z golemem swojej dziewczyny, co nie znaczy, że porozumiałeś się z masą macierzystą. Może ona wcale nie jest zdolna do wymiany informacji z ludźmi.

- Brak kompatybilności?

- Można to tak nazwać. Musimy to sprawdzić.

- Dlaczego więc uważacie, że ja mogę wam pomóc?

Agent westchnął i oparł się ciężko na kolanie, kciukiem przytrzymując album.

- Pamiętasz to dziwne przesunięcie w czasie, kiedy zgubiłeś gdzieś kilka godzin?

- Tak. Nagle okazało się, że jest wieczór. Przez to musieliśmy nocować w chatce.

- W ciągu tych kilku zgubionych godzin wydarzyło się coś...

- Czy coś się komuś stało?

- Zależy, jak to rozumieć... Cała czwórka wraca teraz bezpiecznie do domu.

- Cała czwórka?

- Tak, cała czwórka.

- Nie bardzo rozumiem... O, tak, rozumiał doskonale.

- Masz bardzo zimne ręce, chłopcze.

Agent pokazał mu ostatnie, niezbyt ostre zdjęcie z albumu. Świt w górach i twarz glinianej kukły z kozicą w tle.

Rafał Kosik

OPUS MAGNUM

Marta właśnie przypalała sobie papierosa, gdy rozregulowany dzwonek u drzwi rozwrzeszczał się natarczywie piskliwą melodyjką z *Gwiezdných Wojeń*. Chociaż miała na sobie domowe, rozciągnięte ciuchy i kapcie, to, biegnąc do przedpokoju, nie omieszkała poprawić przed lustrem włosów. W końcu nigdy nie wiadomo, kto...

Na klatce schodowej stał mężczyzna, rozglądając się nerwowo. Przeształ się z nogi na nogę, śmiesznie zniekształcony przez szkieleto judasza. Nieogolony, szpakowaty brunet ze zmierzwioną czupryną; wysoki, żylasty, w starym płaszczu nieokreślonego koloru. Jacek.

Szybko otworzyła oba zamki. Razem z nim wszedł do mieszkania jakiś dziwny, jakby lekko metaliczny zapach.

- Jacek, nie spodziewałam się. Co ty tutaj... - zaczęła, uśmiechając się niepewnie. Nie dokończyła - gość, starannie przekreśliwszy za sobą klucze, zamknął jej usta pocałunkiem.

- Ale... No coś ty, przecież... - broniła się bez przekonania, zaskoczona, podczas gdy on bez słowa zaczął zdzierać z niej starą, flanelową koszulę, nie przestając jednocześnie całować twarzy i szyi.

Upadli oboje; nagle - ale jakoś miękko, delikatnie. Papieros poleciał w kąt, zostawiając po sobie cienką smużkę stalowego dymu. Gdy w pośpiechu zdzierali z siebie ubrania, przez głowę Marty przeleciały tysiące mniej lub bardziej niepotrzebnych myśli. Jak ona strasznie wygląda, czemu nie zadzwonił, czy nie zapomniała wczoraj wziąć pigułki, że nie zdąży dokończyć artykułu na jutro, czy nie powinni jednak pójść do pokoju, czy na pewno drzwi wejściowe są zamknięte... Wszystko to stało się wkrótce zupełnie nieistotne, ginąc w duszącej mgiełce wilgotnej, dyszącej, irracjonalnej namiętności. Kochali się w przedpokoju, na brudnej podłodze, rozrzucając stojące na wycieraczkach zabłocone buty, przewracając staroświecki stojak na parasole wraz ze schnącymi na nim płaszczami. Kochali się dziko, zachłannie, niecierpliwie, aż do nagłego, boleśnie krótkiego spełnienia.

W ciszy mieszkania wyraźnie słychać było ich szybkie, płytkie oddechy.

- Ty wariacie nienasycony - mruknęła leniwie Marta, nieco uspokoiwszy płuca. - Co cię naszło? Najpierw nie pokazujesz się cały tydzień, a teraz...

Jacek nie odpowiadał, dysząc ciężko. Nie patrzył na nią jego oczy płonęły dziwnym blaskiem. Omijały jej łagodną, okrągłą twarz, otoczoną burzą zmierzwionych teraz, nienaturalnie rudych włosów. Omijały jej szczupłe, zgrabne ciało. Wpatrywały się w jakiś

nieokreślony punkt na ścianie. Marta była rozkosznie zmęczona, zbyt rozkojarzona, żeby się nad tym logicznie zastanawiać; ale w głębi duszy coś ją niepokoiło. Podczas całego jej związku z Jackiem, nigdy jeszcze nie zdarzyło się coś takiego. Choć słowo „związek” było tutaj mocno względne - stanowili od lat raczej luźną parę („nowoczesną”, jak lubiła swego czasu mówić), będącą razem, czasem nawet mieszkającą wspólnie (dwa razy: trzy miesiące, a potem jeszcze pół roku), potem zrywającą z hukiem i nie widującą się w ogóle - tylko po to, by za jakiś czas znowu do siebie powrócić. Oczywiście, unikali wielkich słów i deklaracji. To byłoby nie na miejscu. Zarówno ona - dynamiczna, ceniona dziennikarka, jak i on - obiecujący, nowoczesny naukowiec, zdawali się być w pełni zadowoleni z takiego trybu życia: Potrafili sobie wiele wybaczyć (jak wtedy, gdy wynędziały Jacek zapukał do drzwi Marty po ostatecznym zerwaniu z narkotykami i horrorze odwyku), potrafili o wiele nie pytać. Idealny układ dla pary ambitnych i niezależnych trzydziestolatków.

A jednak, mimo wszystko, układ raczej spokojny. Taki, w którym stosunkowo rzadko zdarzały się rzeczy spektakularne. Marta jednak wołała tego zbyt dogłębnie nie roztrząsać. To, co czuła w tej chwili, ten spokój i ciepło - było zbyt blisko „abstrakcyjnego stanu ducha zwanego niekiedy szczęściem”, jak ujęła to w jednym ze swych artykułów. Zbyt blisko, by psuć to szukaniem dziury w całym.

- Wiesz, już prawie mi się udało - odezwał się nagle Jacek, patrząc na nią jasnymi, niemal uśmiechniętymi oczyma.

- Och... co? - Drgnęła, zaskoczona. - O czym mówisz?

- Zdobyłem bezcenne źródła. Dzieła, o których mogłem wcześniej tylko pomarzyć. Ze składnikami i substancjami także nie mam już żadnych problemów. Myślę, że to już niedługo.

- Twoje doświadczenia! - Zrozumiała nareszcie Marta, rozpoznając ten charakterystyczny błysk w spojrzeniu Jacka. - Tak dawno nic nie mówiłeś... I co, udało się ruszyć z miejsca? W tych starych papierzyskach był jakikolwiek sens?

- Te papierzyska, te stare śmieci... - uśmiechnął się lekko Jacek; w końcu dobrze znał stosunek Marty do swojej pracy - ...jak raczysz określać średniowieczne traktaty alchemiczne, to źródło bezcennej wiedzy. Przekonuję się o tym każdego dnia. Ci głupcy, oświeceniowi naukowcy z Bożej łaski - okrzyknęli je stekiem bzdur, mistycznych bujdy, magicznych receptur. Nie mogli się bardziej mylić!

- Zaraz, zaraz. - Zmarszczyła brwi Marta. - Coś się za bardzo zapaliłeś... Ty naprawdę ciągle bawisz się w alchemika? Naprawdę przelewasz dziwne substancje z jednej menzurki do drugiej, zmieniając metale w złoto?

- Spływasz - zachnął się Jacek, wyraźnie urażony. - Złoto... To był tylko półśrodek, etap na drugiej drodze. Złoto przez wieki po prostu najlepiej działało na wyobraźnię. Transmutacja metali to tylko szczególnie przypadkowy; oni dążyli do celów bardziej wyrafinowanych.

- I ty dążysz razem z nimi - pokręciła głową. - W ten sposób może i rozwijasz swoje hobby... ale jednocześnie tracisz pozycję na uniwersytecie. Co z twoim doktoratem? Założę się, że na Wydziale Chemii nie pozwolą ci robić doktoratu z transmutacji.

- To głupcy - syknął Jacek. - Nie zamierzam wcale tam wracać. I nie chcę już robić doktoratu. Są sprawy ważniejsze, niż jakiś papierek sygnowany przez tych tak zwanych naukowców.

- No, no... - uśmiechnęła się Marta, mrużąc oczy. - Nie zapominaj, że to właśnie tak zwani naukowcy umożliwiają ci pracę i badania.

- Już nie - niemal krzyknął. - Skończyłem z nimi. Mam teraz niezależne źródło finansowania badań. O nic nie muszę prosić tych buców z uniwerku.

- Taaak? Ciekawe... któż był tak hojny, by wspomóc młodego, ambitnego naukowca... Szukającego sposobów przemiany żelaza w złoto?

Jacek nie odpowiedział. Na jego twarzy pojawił się nikły uśmiech.

- O nie, pani reporter. Mój mecenas jest z gatunku tych dyskretnych. Niemniej jednak, proszę się nie obawiać. W swoim czasie zostanie pani poinformowana o wynikach badań i będzie materiał na niezły artykuł.

- Zaraz, co ty masz na ręce? - zmieniła nagle temat Marta. Dopiero teraz bowiem dostrzegła na nadgarstku Jacka starą, dziwną bransoletkę w kształcie węża pożerającego własny ogon.

- A... to - podniósł dłoń do góry bez specjalnej uwagi. - Można powiedzieć, że dostałem w zestawie. Sprzedawca dołączył bransoletkę do rzadkiego wydania Awicenny.

- Jacek... - westchnęła Marta. - Skąd ty masz kasę na to wszystko? Ostatnio akurat robiłam artykuł o starodrukach. Wczesne niemieckie wydania Awicenny schodzą na aukcjach za kilkaset tysięcy marek! Czy ty się w coś nie pakujesz? Powiedz szczerze...

Przerwała jej fałszywa melodia z *Gwiezdnego Wojen*. Ochryple: „Poczta!”, nie pozostawiło już żadnych wątpliwości co do tożsamości stojącego na klatce człowieka.

Roześmieli się oboje - zrywając się z podłogi, w udawanej panice zbierając rozrzucone ubrania, pośpiesznie okrywając swoją nagość.

Marta nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Jacek śmieje się jakoś dziwnie, wymuszenie.

Suchy, metaliczny zapach ciągle stał w powietrzu.

Dostawa przybyła jak zazwyczaj - przed czwartą rano. Pierwsza od dwóch miesięcy. Jacek przeklął pod nosem, odrywając się od swoich retort. Oczywiście, nie spał jeszcze. Cichy, szary czas tuż przed świtem był przecież najlepszą porą na pracę, na badania, na... odkrycia? Tymczasem musiał zostawić wszystko i wpuścić natarczywie dobijających się gości. Szybko wbiegł po schodach na górę, by otworzyć boczne drzwi do garażu. W środku najwyraźniej trwała już krzątanina.

Było ich tym razem dwóch, niemal nierozróżnialnych w swej zakaukaskiej, smagłej urodzie; w dodatku obaj nosili prawie jednakowe, skórzane kurtki i duże sygnety na palcach. Jeden stał przy drzwiach, pałac papierosa; drugi sprawnie wyładowywał wielkie kartony ze stojącego w garażu volkswagena busa.

- Nu, chimik - uśmiechnął się ten z papierosem, błyskając złotymi zębami. - Ty nie spał, a?

- Nie - odburknął Jacek, otwierając szerzej drzwi do budynku. - Wcześniej jeszcze.

Drugi Ormianin (a może Gruzin albo i Afgańczyk? Jacek nigdy nie pytał) rzucił coś w dziwnym, gardłowym języku i obaj przybysze zanieśli się krótkim, nerwowym śmiechem, w którym nie było cienia wesołości. Jacek nie odezwał się, gdy sapiąc, zaczęli znosić kartony do piwnicy.

Tym razem pudła były pełne chińskich zupek. Równe rzędy niewielkich paczuszek błyszczały kolorowymi inskrypcjami w bladym świetle jarzeniówek. Dziesięć kartonów chińskich zupek, w każdym pięćset błyszczących opakowań.

Wszystko razem warte jakieś kilka milionów dolarów.

Ormianin z porozumiewawczym uśmiechem chwycił jedną zupkę i wprawnym ruchem rozerwał plastik. Trzymał teraz w ręku niepozorną, dokładnie oklejoną paczuszkę, wypełnioną śnieżnobiałym proszkiem.

- Najlepszy towar - wyszczerzył złote siekacze, ale oczy zaświeciły mocniej - na zachód od Kaukazu.

Jacek wiedział, że przemytnik mówi prawdę. Rzeczywiście, zawsze dostarczali najczystsza heroinę; lepszą od kolumbijskiej i albańskiej; najlepszą, z jaką kiedykolwiek się zetknął. Zarówno kiedyś, jako upodlony narkoman, który sięgnął dna, jak i teraz, jako chemik na usługach prominentnego gangu. Wiedział również, że kiedy proszek przejdzie przez jego ręce, będzie jeszcze lepszy. Że zamiast kilku milionów, będzie wart kilkanaście. Bo nawet minimalna, śladowa działka będzie dla wielu bramą do świata, o którym nie mogli wcześniej nawet pomarzyć.

Ogarnął wzrokiem kartony. Jakies osiemdziesiąt kilo towaru, może trochę więcej. Już dawno przestał się zastanawiać, jak oni szmuglują takie transporty narkotyku przez granicę. To był ich problem. Jego problemem była odpowiednia rafinacja tak wielkiej ilości. Rafinacja... tak to zawsze nazywał, choć jego

dawni koledzy z uniwersytetu pewnie by go wyśmiali. Nieważne; oni są już nieważni. Nieistotni. Grzęzną w swoich jałowych, bezsensownych badaniach, podczas gdy to on robi coś naprawdę, naprawdę ważnego. Dokonuje prawdziwych odkryć...

Za pieniądze mafii, uzyskane ze sprzedaży podrasowanej przez siebie heroiny.

To był ten szczegół, którego nie sposób pominąć. Nie, Jacek już dawno przestał mieć z tym jakiegokolwiek problemy natury moralnej; o ile w ogóle kiedyś miał. On dawał im to, czego potrzebowali: towar niedostępny gdziekolwiek na rynku, już poszukiwany przez ćpunów w całym kraju. Ulepszany własną, niepowtarzalną metodą Jacka, którą odkrył zresztą zupełnym przypadkiem, podczas swoich wczesnych prac. W zamian chemik otrzymywał to, co było dlań najcenniejsze: możliwość prowadzenia własnych badań, nie nadzorowanych w żaden sposób. Miał własne laboratorium, nieograniczone fundusze. Idealny układ. Wystarczyło tylko od czasu do czasu przepuścić przez specjalną aparaturę taką ilość białego prochu, która nawet dla niego wydawała się abstrakcyjna.

I przede wszystkim, nie myśleć zbyt wiele. Nie widzieć i nie słyszeć.

Nie widzieć ludzi, którzy mu płacili - ponurych i prymitywnych głupców, od których był całkowicie zależny. Ich aroganckiej pewności siebie, zbudowanej na przemocy i ludzkim strachu.

Nie słyszeć opowieści smagłoskórych przemytników; historii o tym, jak pacyfikowali wsie na jakiejś odległej, azjatyckiej wojnie. Nie dostrzegać błysku zła, okrutnej śmierci w ich wodnistych oczach.

Nie myśleć o narkomanach. O tych tysiącach ludzi upadających na samo dno. Przez niego, dzięki niemu. O tych, którzy raz spróbowawszy tego towaru, będą go pragnąć już zawsze; po kryjomu sprzedadzą dom, samochód, okradną żonę - byle zapewnić sobie następną działkę. O tych, którzy przez chwilę będą myśleć, że trafili do rajów - podczas gdy bezwiednie wstąpili już w przedsionki najgorszego z piekieł. O tych, którzy skończą, leżąc gdzieś, na podłodze w kałuży moczu i rzygowin, błagając bełkotliwie o cokolwiek, co uśmierzyłoby dziki ból w rozedrganym wnętrzu; ale usłyszą ich tylko puste ściany, śmierdzące kąty i puste okna, z których dawno wybito wszystkie szyby. Doskonale wiedział, jak to jest. Sam żył tak prawie dwa lata, w najzimniejszym zakątku piekła, a chciwe demony narkotycznego głodu przychodziły do niego, rozdzierając na części chore ciało, w którym zabrakło już ochryplego krzyku. Nie było innej drogi. Koniec zawsze był taki sam. Znał to jak nikt i dlatego wołał o tym nie myśleć, nie zastanawiać się. Tak było lepiej.

Zepsuta jarzeniówka wciąż mrugała, gasnąc i zapalając się w nieregularnych odstępach czasu. Piwnica na ułamki sekund pogrążała się w mroku.

Człowiek pochylony nad laboratoryjnym stołem nie zwracał jednak uwagi na takie drobiazgi; wy[^] dawał się być całkowicie pochłonięty pracą. Sprawnie poruszał się między gratami nieokreślonego przeznaczenia, kartonami pełnymi chińskich zupek, regałami zastawionymi butlami i słojami z podejrzaną zawartością. Odsunięte w kąt, zakurzone spoczywały liczne maszyny i aparaty, milczące teraz i ślepe, patrzące z wyrzutem swoimi zgaszonymi diodami i ciemnymi ekranami. Komputery, analizatory, lśniące pojemniki, rurki, instrumenty - wszystko leżało wzgardzone, zapomniane, podczas gdy człowiek uwijał się pośród archaicznie wyglądających alembików, retort i menzurek z grubego szkła.

Jacek już dawno przestał używać nowoczesnego sprzętu. Wydawał się przydatny na początku; wyniki uzyskiwane za pomocą specjalistycznych maszyn były obiecujące, pozornie przyspieszały i wzmacniały reakcje. Dopiero po jakimś czasie przekonał się, że wiodą go jedynie w te same ślepe zaułki, w których ugrzęzła chemia akademicka. Okazało się, że - paradoksalnie - wszystkie eksperymenty opisywane w dawnych księgach udają się najlepiej w tradycyjnych naczyniach, używanych od wieków, może nawet tysiącleci. A ponieważ to właśnie w tych księgach szukał prawdziwej wiedzy - naturalną koleją rzeczy powrócił do tradycyjnych metod. Stosunkowo najdłużej używał nowoczesnych urządzeń do reakcji w wysokich temperaturach, ale z czasem zarzucił i to; teraz jego *athanor*, jego piec alchemiczny również był dokładnie taki, jakiego używać mógł choćby Sędziwój.

Raz jeszcze zerknął do rozłożonego tomu Bacona, zastanawiając się przez chwilę nad poprawnością własnego tłumaczenia. Westchnął, przysmykając oczy. Skoro powiedziało się „a”, trzeba powiedzieć i „b”. Zrzucił poplamiony chałat; nie miał na sobie nic poza nim i kilkoma starymi amuletami. Stanął nagi nad stołem, gdzie w trzewiach butli i retort wciąż przebiegała reakcja FB-214 (według jego własnej notacji). Odetchnął głęboko, ledwie rejestrując nieprzyjemny, intensywny zapach setki wymieszanych substancji i odczynników. Przywykł do niego już dawno. Z półki po prawej stronie zdjął buteleczkę z zielonkawą cieczą. Z końca stołu przysunął miseczkę z grafitowo połyskującym proszkiem. To były rezultaty jego pracy, jedno z wielu. Stopy, substancje, nawet izotopy, o których jego uczeni koledzy z uniwersytetu mogli sobie pomarzyć. Mimo całej swojej nadętej wiedzy i błyszczącej techniki. Ale te materialne świadectwa sukcesu, to był dopiero pierwszy krok. Dawne traktaty nigdy go jeszcze nie oszukały - a teraz traktaty mówiły, że trzeba pójść krok dalej.

Ostrożnie, z lekką obawą uniósł chłodny skalpel! Przygryzając wargi do krwi, powoli zaczął robić krótkie nacięcia na przedramionach. Gdy ciepła krew zaczęła leniwie sączyć się z płytkich ran, odłożył ostrze - by, zacerpnąwszy zielonego płynu z buteleczki, wcierać go w otwarte właśnie nieciągłości skóry.

Z okrzykiem bólu upuścił naczynie, padając na brudną, poplamioną podłogę. Lewa ręka, w którą zdążył wprowadzić substancję, drżała konwulsyjnie, zyskując własne, roztrzęsione bólem życie. Zbierając całą siłę woli, Jacek uniósł się na klęczki; mamrotał poranionymi ustami:

- *Mercurius... Terra... Cornu Cervi...*

Przewrócił się znowu, starając się upaść tam, gdzie wypływający z pękniętej butelki płyn utworzył mętną, niewielką kałużę. Jęknął głośno, przykładając prawą rękę do wilgotnej posadzki; jego krew zmieszała się z pyłem, brudem, a także ciemnozieloną cieczą - owocem eksperymentów VB od 12 do 344.

Potworny ból pozwolił mu litościwie osunąć się w ciemność, zanim zadławił się własnym, ochryplym krzykiem.

W komnacie bez ścian, rozświetlonej mdłym, bladym, sinym poblaskiem, panowała absolutna cisza. Siedzący w pozycji lotosu, spokojnie oddychający Jacek obserwował spod półprzymkniętych powiek zgromadzone postaci. Oto naprzeciw niego stały trzy ludzkie sylwetki. Trzech starców, o których wiedział, że to Awicenna, Geber i Raimundus Lullus. Najwięksi alchemicy średniowiecza. Ich oczodoły były tylko głębokimi, ciemnymi jamami, z których wypływały błyszczące łyzy: rtęć, srebro i złoto. Ich usta zastygły, jak zakonserwowane. Ciszy nie mącił żaden dźwięk. Lullus wyciągnął rękę do Jacka, podając błyszczący, zakrzywiony nóż. Geber wyciągnął dłoń, na której spoczywała kupka szarego proszku. Awicenna uniósł ramiona, a wtedy w prześwitach jego luźnej szaty zakłębiły się połyskujące metalicznie robaki. Jacek przyjął nóż, przyłożył krawędzią ostrza do piersi i powoli, nie czując bólu, pociągnął delikatnie wzdłuż linii mostka; od jabłka Adama aż do pępka. Płytką raną urodziła kilka białych kropelek krwi. Następnie zaczerpnął proszku z zimnej, twardej ręki Gebera i sypnął nim po uczynionym nacięciu. Świat zawirował.

Obudził go własny, słaby krzyk. Leżał obolały, zwinięty w pozycji embrionalnej na zimnej podłodze piwnicy, w śmierdzącej kałuży własnego moczu i krwi, wciąż czując w ustach słodkawą, cierpką smak.

Był zbyt słaby, by płakać ze szczęścia.

Kawa smakowała dziwnie. Sztucznie, nienaturalnie. Jacek nie mógł zmusić się do dokończenia zawartości mikroskopijnej filiżanki. Nie pomagał mu w tym wcale zgłębienie kawiarni: ludzie, dziesiątki ludzi mówiących, gadających, chichoczących, śliniących się, przekazujących sobie nieistotne informacje, tysiące nic nie wartych słów.

- Jacek! - W głosie Marty zabrzmiała autentyczna troska. - Co się z tobą dzieje? Nie możesz mi odpowiedzieć?

Odpowiedzieć... Ach tak. Przecież pytała, o tyle spraw. O jego pracę, o badania. O to, czemu się nie odzywał. Nie odpowiadał na telefony. Czy na pewno

wszystko w porządku. Co się dzieje. Czy się w nic nie wpakował. Czy nie ma kłopotów. Problemów, zmartwień.

O, nie. Wręcz przeciwnie.

- Nie martw się - postarał się uśmiechnąć. - Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Idzie mi znakomicie.

- Ale... - zawahała się. - Jakoś słabo wyglądasz. Jesteś blady, wymęczony...

- Długo pracuję - odparł natychmiast. - Wiesz, wyczerpujące badania. Mam teraz bardzo dużo pracy.

- Opowiedz mi, co robisz ostatnio - zmrużyła oczy; na moment zobaczył przed sobą Martę - bezwzględna dziennikarkę. - Mówiłeś tylko, że dobrze ci idzie. Chciałabym wiedzieć coś więcej. A wiem tylko, że zakopałeś się z kretelem w jakichś średniowiecznych traktatach.

Jacek zastanawiał się dłuższą chwilę, zanim odpowiedział.

- Cały czas w nich tkwię - zaczął ostrożnie. - I cały czas przekonuję się, że starzy mistrzowie mieli rację. Powtarzam ich doświadczenia, dodaję coś od siebie... Ciągle idę do przodu. To byli geniusze.

- I co, doznałeś już oświecenia? Przemieniasz metale w złoto? - uśmiechnęła się lekko. - To, zdaje się, szczyt marzeń alchemika.

- Już ci mówiłem, to tylko etap na drodze. Przemiana jednej substancji w drugą to tylko kolejny krok do odkrycia struktury materii. Podstawowych zasad rządzących materialnym światem. I to zasad, o których naukowcy zbrojni w swoje spektrometry i mikroskopy elektronowe nie mają bladego pojęcia. Błędem oświeceniowych chemików było całkowite odrzucenie strony duchowej, tej mistycznej podszewki naszej realnej rzeczywistości. Myśleli, że można doskonale wyizolować atomy, cząsteczki, siły; opisać je równaniami, zaszufladkować w odpowiednich przegródkach, a wszelkie tajemnice budowy materii zobaczą wtedy jak na dłoni. To był ich największy błąd! Starożytni i średniowieczni alchemicy byli także filozofami, myślicielami, lekarzami. Zdawali sobie sprawę, że tak zwana materia nieożywiona nie może być oddzielona od całej reszty świata. Od bogactwa ducha, umysłu. Wiedzieli, gdzie szukać ostatecznej wiedzy. Rozwiązania zagadek rzeczywistości. Wiedzieli, że prawda i poznanie leży w syntezie, nie w analizie. Dlatego badacza nie mogą zastąpić maszyny!

On także musi dać z siebie wiele, aby wiele osiągnąć. Substancje, które powstają w laboratorium są tak samo ważne jak fluidy ludzkiego ciała i mądrego, otwartego umysłu. Jedynie ich połączenie...

Przerwał nagle, dostrzegając przestraszony wzrok Marty. Cholera. Zagalopował się.

- Jacek... - zapytała cicho, patrząc mu prosto w oczy. - Cytowałeś mi jakąś starą książkę, prawda? Jakąś rozprawę nawiedzonego mistyka o jedności elementów...? Ty przecież nie...?

- Nie... to znaczy tak - chrząknął zmieszany. - Cytowałem. To jeden z wykładów Paracelsusa. Ale

wiesz, to wcale nie jest głupie. Oni mieli w wielu sprawach rację...

- Rację? - zachnęła się Marta. - Daj spokój. Przecież dzisiaj to brzmi jak jakiś bełkot New Age. Kto może to brać poważnie? Jeszcze rozumiem: nawiedzony laik, ale ty? Chemik z dyplomem?

Ukrył twarz w dłoniach. To chyba nie miało sensu. Jak mógł rozmawiać ze ślepym o kolorach? Zresztą, doskonale rozumiał jej punkt widzenia. Sam jeszcze dwa lata temu myślał przecież podobnie i wiedział, że próby wyjaśniania czegokolwiek tamtemu Jackowi byłyby z góry skazane na porażkę. Bo jak mógłby mu wytłumaczyć dokonywane w prymitywnym, staroświeckim laboratorium udane eksperymenty, skutkujące uzyskaniem niespotykanych stopów? Zupełnie nowych substancji o zaskakujących właściwościach? Jak wytłumaczyłby fakt traktowania zupełnie serio i dosłownie traktatów o jedności twórcy-eksperymentatora i jego dzieła? Wprowadzania otrzymanywanych substancji do organizmu, co skutkowało niesamowitymi sensacjami psychosomatycznymi, a jednak - wbrew logice - najwyraźniej nie było jednoznacznie szkodliwe? Przecież to kompletne szaleństwo. Nie, racjonalistka Marta prędzej od razu zadzwoniłaby po karetkę, niż uwierzyła w choć jedno słowo.

- Jacek - usłyszał jej cichy, dziwnie drżący głos. - Powiedz mi prawdę. Czy ty... znowu...

Zrozumiał natychmiast. W oczach Marty szklily się zwyczajne, ludzkie, jasne łzy.

- Nie! - powiedział zdecydowanie. - Nie wróciłem do narkotyków. Nic nie biorę. Nic nie palę. To już zamknięty rozdział w moim życiu. Od dawna.

Powiedział jej prawdę. I Marta to czuła: ten Jacek, który siedział przed nią, w ogóle nie przypominał tamtego, sennego, wychudzonego, przećpanego, z wodnistymi oczyma rozpalonymi niezdrowym blaskiem. Ten Jacek był inny. Nawet zewnętrznie: jego cera była jakby ciemniejsza, rysy ostrzejsze, oczy zimne, odległe. Zachowywał się zupełnie inaczej... A jednak coś nieuchwytnego kazało jej kojarzyć dwóch Jacków: „tego z samego dna nałogu, nie mogącego złożyć jednego sensownego zdania - i tego dzisiejszego, z zapalem, .wylewnie opowiadającego o swojej dziwacznej pasji. Może to jakieś opary, pomyślała. Przecież wdycha w tym laboratorium różne świństwa. Uśmiechnął się, gdy powiedziała to głośno.

- Opary... Nie martw się ó mnie - powiedział uspokajająco. - Mówiłem ci, że alchemicy byli najczęściej lekarzami. Wiedzieli, co szkodzi człowiekowi. Nic mi nie będzie.

Sam starał się nie zastanawiać zbyt wiele nad następstwami badań dla organizmu. Nad tym, co tak naprawdę widział i czuł po przyjęciu wytworzonych substancji (co zresztą było niezbędne dla całego procesu, całej ścieżki). Makabryczne, niepokojące wizje: puste komnaty, rozległe przestrzenie, dziwnie okaleczeni ludzie witający go w swoim świecie... Jednego był pewien: w niczym nie przypominało to

narkotycznych omamów, sztucznie sprokurowanych tripów. Swego czasu próbował naprawdę wielu świństw: opiatów, grzybów, wszelakiej chemii (nierzadko własnoręcznie udoskonalanej). A jednak niczego, co przeżył na haju przez te kilka lat (które teraz wydawały się wiekiem), nie dało się nawet porównać do tych krótkich chwil zespolenia, kiedy alchemik jednoczył się z materialnym owocem swojej pracy. Myślał o nich „wizje”, ale tylko z braku lepszego określenia. Były zbyt... boleśnie realne. Zbyt dotykalnie prawdziwe. Właśnie dlatego nie mógł ich w żaden sposób utożsamiać z onirycznymi, surrealistycznymi odjazdami w narkotyczne niebo-piekiło. To także utwierdzało go w przekonaniu, że podąża właściwą drogą.

Czasami tylko w oko wpadały drobne okruchy, bolesne grudki zwątpienia. Jak teraz, gdy patrzył na Martę jak nigdy przestraszoną, zatroskaną, zmartwioną. Martę - silną, samodzielną, cyniczną kobietę, twardo idącą przez życie... i tak przejmującą się jego losem.

Nie mógł jej powiedzieć wszystkiego. I tak by nie zrozumiała. Zamiast tego, wyciągnął rękę i dotknął jej dłoni, spoczywającej na kawiarnianym stoliku.

Cofnęła ją natychmiast, odruchowo, już w tej samej chwili żałując swojej niezamierzonej reakcji.

Dłoń Jacka była boleśnie lodowato zimna.

Ruch na górze zwiastował przybycie gości. Jacek potarł zmęczone oczy, ostrożnie zamykając grubą księgę. Na schodach już słyszał ciężkie kroki. Domyślał się, kto to - i zrobiło mu się niedobrze.

Zgodnie z oczekiwaniami, do piwnicy wkroczył „Jeżyna” ze swoim ochroniarzem, zwanym „Bólem” czy „Bysiem” (Jacek nigdy nawet nie starał się zapamiętać). „Jeżyna”, mimo że był teraz jednym z bossów grupy, wciąż miał wygląd PRL-owskiego cinkciarza. Rozbiegane oczka, włosy ulizane żelem, gruby złoty łańcuch. Dziobata twarz na chudej szyi, ruchliwe, drobne dłonie. Oczywiście skórzana kurtka i błyszczące czarne buty do białych skarpetek. Człowiek o mentalności drobnego złodziejaska, który wskutek niezbadanych wyroków losu zawędrował na sam szczyt - we własnym rozumieniu. „Bolo” również prezentował się typowo - ogolony do skóry paker o grubym karku, w czarnej kurtce do niebieskich dresów i w markowych adidasach. Żołnierz, mówił o sobie z pewną dumą. Pionek, myślał o nim Jacek. Nie zaszczylił go nawet spojrzaniem.

- Cześć, magister! - rzucił wesoło „Jeżyna”; tak ochrzczili chemika na samym początku. - Słabo wyglądasz, jakbyś balował całą noc. Gały podkrążone, ręce ci się trzęsą. Kurwa, chłopie, wyglądasz jak trup, he he! No ale... jak robota?

- Nie najgorzej - mruknął Jacek, słabo ściskając wyciągniętą dłoń. - Już prawie kończę z tą partią.

- To nieźle - uśmiechnął się bandyta, błyskając metalowym zębem. - Powiedz mi, magister, jak ty to

robisz? Z tym całym badziewiem obrabiasz tyle towaru w trzy miga... W tych butelkach? Przez te rurki? - wskazał na alembiki i pelikany. - Mój stary pędził w czymś takim bimber, ale żeby towar przerabiać... He he...

- Jakbym ci powiedział, jak to obrabiam, to już bym nie był potrzebny, nie? - uśmiechnął się Jacek, kątem oka obserwując „Bola”, przyglądającego się uważnie stojącym na półkach słojom.

- Taaa...- w małych oczkach „Jeżyny” błysnęło coś złowrogiego, ale już za chwilę się rozpromienił. - Ty jesteś potrzebny, magister! Co my byśmy bez ciebie zrobili, he he... - poklepał go protekcyjnie po policzku, odwracając się do wyszczerzonego pakera. - Pracuj dobrze, pracuj, a będziesz tir u nas miał zawsze jak w niebie!

Jacek nienawidził go w tej chwili. A jeszcze bardziej nienawidził siebie - za to, czym się stał; i za fakt, że nic nie robi, by to zmienić. Zbyt wiele miał teraz do stracenia. Dalej będzie się wysługiwał tym półgłówkom, kreaturom złym, małym i obrzydliwym. Będzie dla nich pomnażał zyski z handlu śmiercią. Uczestniczył w wielkim, przestępczym procederze. Pośrednio przyczyniał do tragedii tysięcy mniej lub bardziej niewinnych ludzi. Dostarczał najpierw fałszywego szczęścia, potem prawdziwej gehenny.

Bo gra była tego warta. Taka okazja mogła się już nigdy nie powtórzyć. Poza tym, doszedł już tak daleko, że głupotą byłoby się cofać.

O nie, nawet tego nie rozważał.

- Mamy dla ciebie prezent - odezwał się nagle „Jeżyna”. Na jego znak „Bolo” niedbale rzucił na stół trzymaną dotychczas w rękę sporą reklamówkę.

- No, zobacz - uśmiechnął się gangster.

Jacek sięgnął do torby i zrobiło mu się bardzo gorąco. Ochroniarz tak nonszalancko obnosił tom Dżabira Ibn Hajjana. Najśłynniejszego z arabskich alchemików. Zaginione dzieło, którego jedyny znany egzemplarz skradziono prywatnemu kolekcjonerowi w Irlandii czternaście lat temu. Światowy rarytas. Jego księga-marzenie.

- Jak... skąd? - zdołał tylko wykrztusić, patrząc na książkę wielkimi, okrągłymi oczyma. Odpowiedział mu prostacki rechot „Bola”.

- Ty nie pytaj skąd, magister - powiedział wreszcie szeroko uśmiechnięty „Jeżyna”. - Dałeś listę książek, które byś chciał? Dałeś. Dostarczamy? Dostarczamy. Ty robisz swoje, my robimy swoje. Według umowy. Uczciwy układ, nie? I możesz sobie tutaj pędzić, co tylko chcesz.

Jacek już go właściwie nie słuchał, wpatrzony w bezcenną księgę, którą obnosili jak cegłę w reklamówce. Za nią jedną gotów był teraz błogosławić tych, których przed chwilą najchętniej by zamordował. Czuł podświadomie, że to tam znajdzie wszystkie brakujące elementy, potrzebne receptury, niezbędne informacje. Tajemnica leżała w zasięgu ręki.

- Magister - mruknął „Jeżyna”, nachylając się konfidencjonalnie, choć oczywiście w piwnicy nikt nie mógł ich usłyszeć. - Jest jeszcze jedna sprawa.

- Tak... co? - Jacek niezbyt przytomnie spojrzął w nagle spoważniałą twarz gangstera. Niech teraz wyjdą. Niech dadzą poczytać. Popracować. Teraz.

- Ostatnio kofnęło kilku gości, co kupowali nasz towar. Tylko ten twój. - Spojrzął z ukosa „Jeżyna”.

- To się zdarza - zmrużył oczy chemik. - Pewnie przedawkowali.

- Ponoć nie. Oni brali rasowany proch od samego początku, ale w równych działkach. To było paru ćpunów z dworca, ale też jeden taki dziany gościu. I to już niedobrze.

- No i...?

- No i uważaj, magister - „Jeżyna” już się nie uśmiechał. - Ja nie wiem, co jest grane. Ja jestem prosty biznesmen. Ja zakładam, że ty jesteś, he, uczciwy facet. Ale jak zacząłeś coś kantować, jak coś kręcisz na boku, jak teraz proch jest inny, niż był... To uważaj. Jak wszystko dalej będzie, jak było - to git. Będziesz miał książki, stare flaszki i wszystko. Ale ty nie próbuj tu nic kręcić. Niech będzie po staremu. I wszyscy będą szczęśliwi.

Jacek przełknął ślinę. Było po staremu. Cały czas było po staremu. Ale teraz zaczął dostrzegać w tym problem.

Siedział w kręgu świec (jarzeniówka dawno już zepsuła się ostatecznie). Odblaski pełgały po ścianach, pokrytych wzorami, formułami i rysunkami. Umieścił je właśnie tam, by nie musieć nieustannie wertować grubych tomiszcz. Jego biblioteka alchemiczna, zgromadzona przy pomocy niemal niepiśmiennych bandytów - była już naprawdę pokaźna. A przez to niełatwa w przeszukaniu. W rzadkich już chwilach otrzeźwienia, kiedy był w stanie spojrzeć na wszystko chłodnym okiem - stwierdzał, że jego pracownia wygląda imponująco; jak dekoracja do filmu niemieckich ekspresjonistów.

Światło świec lizało także nagie ciało Jacka, pokryte śladami po oparzeniach, ozdobione rozległym, skomplikowanym ornamentem blizn, upstrzone pajęczynami nacieć. Oddychał głęboko, powoli gęstym powietrzem piwnicy, przesiąkniętym oparami właśnie dokonujących się eksperymentów AV 19 i AW 201. Przed nim, na posadzce, spoczywała miska z gęstym, matowym płynem. Zdecydowanym ruchem dosypał do niej trochę białego, drobnego proszku i odrobinę metalicznych opiłków. Mikstura zasyczała, gdy zamieszał ją stalową szpatułką. Obok leżała duża, szklana strzykawka.

- Mars... Luna... *Caput Mortuum*... - szeptał gorączkowo, ujmując ją w drżące dłonie, zanurzając w naczyniu, odciągając tłoczek.

Zaiste, traktat arabskiego uczonego sprzed setek lat bardzo mu pomógł. On ostatecznie nakierował go we

właściwą stronę. Powiedział, gdzie szukać. Właśnie dzięki niemu trzymał teraz w ręce owoc kilkuset eksperymentów, niepozorną substancję, stojącą już o włos od końcowego celu. Snu, który niebawem miał się ziścić.

Od *Opus Magnum*. Kamienia filozoficznego. Ostatecznego rozwiązania zagadki materii.

Był już naprawdę blisko. Wyniki jego eksperymentów zadziwiłyby niejednego poważnego profesora. Niepozorne butle i pojemniki, stojące w nieładzie na półkach, zawierały niemożliwe stopy. Teoretycznie nietrwałe pierwiastki i izotopy. Substancje o niespotykanych właściwościach transmutacyjnych, nieistniejące gdzie indziej kwasy, zasady, sole. Tak, w dziedzinie doświadczeń praktycznych doszedł już prawie do końca. Teraz niezbędnym krokiem na ścieżce było kolejne zjednoczenie pierwiastka martwego z żywym. Twórcy z jego dziełem. Był gotów.

Wciąż mamrocząc słowa w martwym języku, wbił igłę strzykawki w zgięcie ramienia, w gotową, zgłodniałą żyłę. W ostatniej chwili prawie roześmiał się na myśl o tym, jak kiedyś, lata temu, robił to setki razy by uciec w świat heroinowych snów; kolorowych, fantastycznych rojeń, będących tak daleko od rzeczywistości, jak to tylko możliwe. Tym razem było wręcz przeciwnie: karmił swoją żyłę czymś, co pozwoli zbliżyć się do istoty świata. Przeniknąć opone rzeczywistości i poznać jej najtajniejsze mechanizmy.

Odpłynął bez bólu. Bez krzyku. Spokojnie, jak nigdy, osunął się na drugą stronę.

Czekali na niego, tym razem w czwórce. Była z nimi kobieta, której nie znał. Wysoka, ubrana w coś w rodzaju rzymskiej tuniki. O twarzy przysłoniętej brązową maską. Nie stali w pustej komnacie; był to plac o średnicy około dwudziestu metrów. Ze wszystkich stron nachylały się domy: niskie, rozlatujące się kamienice i potężne, strzeliste wieżowce. Wszystkie w różnych stadiach rozkładu; zniszczone, spalone, na wpół zburzone, straszące szkieletami zniszczonych konstrukcji, pustymi oczodołami okien. Pochylone pod nieprawdopodobnym kątem, zawieszane w nicości, oświetlane upiorną, pastelowoczerwoną poświatą bez widocznego źródła. Nie było nim na pewno opasłe, czarne Słońce wiszące nisko nad horyzontem.

Trzej alchemicy rozstąpili się. Na niewielkim podeście leżała grudka o trudnym do określenia kolorze. Raz bezbarwna, raz mieniąca się wszystkimi barwami tęczy, raz czarna jak noc. Jacek nie mógł oderwać od niej wzroku. Wewnątrz wciąż zachodziły jakieś procesy, coś się tworzyło, coś umierało; mikro-kosmosy rodziły się i ginęły w ułamkach sekundy mechanizmy istnienia pracowały w pełnym świetle; żarna rzeczywistości miały na jego oczach potok czasu; tak widoczne, tak... dostępne.

Opus Magnum.

Kamień filozoficzny. Szczyt i ukoronowanie pracy, badań, całego życia; całego wszechświata. W ciszy wyciągnął dłoń.

Przed podestem stanęła kobieta w brązowej masce. Powolnym, leniwym ruchem rozchyliła tunikę. Jej klatka piersiowa była otwarta: wewnątrz tłuło się żywe, bijące ludzkie serce. Pośród cichej martwoty groteskowego miasta, pośród suchego, metalicznego nie-życia trójki umarłych alchemików -szybkim, ale równomiernym rytmem biło prawdziwe, czerwone, pulsujące serce.

Między nim a jego ostatecznym celem.

Pojął wszystko w jednym przeblysku. Wszystkie niejasne fragmenty w dawnych traktatach. Sens wyrafinowanych metafor, zawoalowanych aluzji, niezrozumiałych porównań. Obudził się na podłodze w piwnicy, wstrząsany bezsilnym płaczem.

Nie było odwrotu.

Marta podtrzymała go, gdy się zatoczył. Szedł twardo przed siebie, z rękami wbitymi w kieszenie, wpatrzony w popękane płyty chodnika.

- Jacek - powiedziała kolejny raz, niemal błagalnie. - Co się z tobą dzieje? Nie poznaję cię! Wyglądasz strasznie...

O tak, to musiał być fakt. Gdy po raz pierwszy od miesięcy spojrział w lustro, patrzyła na niego stamtąd straszna twarz wychudzonego psychopaty o płonących oczach i miedzianej skórze, okolona długą brodą i tłustymi włosami. Nie był w najlepszej formie. Ręce drżały coraz mocniej; w zasadzie nie był już w stanie przeprowadzać nowych doświadczeń - ale i nie musiał. Wszystkie składniki, „półprodukty”, już dawno wytworzył. Oprócz ostatniego. Najważniejszego.

Bandyci na szczęście także dawno go nie odwiedzali - może za Kaukazem zaczęła się kolejna wojna i następne transporty białej śmierci spóźnią się o jakiś czas.

Powinien zdążyć.

- Jacek! - krzyknęła; jej głos zadrżał. - Chodźmy, nie stój tak! Chodźmy do lekarza!

Dziwne, dopiero teraz się zorientował, że stoją od dłuższego czasu przy jakiejś wystawie, a wokół zaczynają przystawać gapie.

- Tak... chodźmy - wybełkotał, ruszając przed siebie. - Do żadnego lekarza. Nie jest mi potrzebny.

- Jesteś chory - płakała Marta. - Proszę cię! Nie wiem, co ze sobą robisz, co teraz bierzesz... Ale to cię zabija! Nie przejdiesz przez to wszystko drugi raz. Jacek, proszę cię, chodź...

- Nie! - krzyknął, aż odwróciło się kilku przechodniów. - Jestem zdrowy! Nie wiesz nawet, jak bardzo. Nie biorę żadnych prochów. To byłby marny ersatz! Omamy i projekcje... Ja jestem teraz na granicy prawdziwego widzenia, prawdziwego poznania, rozumiesz? Na granicy idealnej syntezy. Pierwiastki... Siły, żywioły... Rozumiesz... Już prawie wszystkie, tylko ostatni... brakuje... piąty żywioł... Dopełnienie...

- Jakie dopełnienie? - Po ładnej, okrągłej twarzy Marty płynęły łzy. - Jacek, proszę... Chodźmy do

lekarza, potem będziesz dalej szukał swojego dopełnienia, swojego żywiołu... Tylko pozwól mi... Ja nie mogę patrzeć, jak się kończysz...

Zaniósł się śmiechem, który szybko przeszedł w suchy kaszel.

- Kończę... ja! - zarechotał. - Ja dopiero zaczynam. Stoję u progu i niedługo go przekroczę, jeśli... jeśli... daj mi spokój! - wyrwał się, gdy spróbowała wziąć go pod rękę.

- Jacek, nie rób mi tego - powiedziała cicho. - Jeśli nie chcesz dla siebie... To pomyśl chociaż o mnie. Przecież ja cię kocham, wariacie. Słyszysz, pieprzony egoisto? Kocham cię.

Spojrzał na nią, zmarszczywszy czoło. Na usta wypłynął mu niedobry uśmiech.

- Nigdy... jeszcze nigdy... - zaczął nieskładnie.

- Tak - przerwała mu, uciekając wzrokiem. - Też mi głupio, że musiałam ci to powiedzieć akurat teraz, ale...

- Nieważne. Pójdę z tobą do lekarza - uniósł rękę, gdy chciała mu przerwać, rozpromieniona. - Ale najpierw muszę ci coś pokazać.

Ruszyli razem w dół ulicy, trzymając się za ręce, zataczając i opierając o ściany domów. Przechodnie patrzyli za nimi, zgorzeleni.

Zakapior przy bramie willi cokolwiek się zdziwił, widząc magistra prowadzącego jakąś cizję. Ponieważ tamci kompletnie go zignorowali, najpierw długo myślał, a potem złapał za komórkę, nerwowo wybierając numer „Jeżyny”.

Jacek domyślał się, że ma mało czasu. Zresztą i tak miał go niewiele: jego rasowana heroina zbierała w mieście krwawe żniwo. Klienci umierali cicho, bez bólu, na ostrym haju - po kolejnej, zupełnie normalnej działce. Liczba ofiar szła już zapewne w setki. Cóż, nieprzewidziane skutki uboczne: nie znał się specjalnie na biologii ani medycynie; wiedział jednak, że jeden ze składników niezbędnych do „rafinacji” hery może długofalowo działać bardzo niekorzystnie na naczynia krwionośne. Zatory, zawały... Nie spodziewał się tylko, że skutki objawiają się tak szybko: dawał klientom co najmniej jeszcze kilka lat. Na szczęście sam nigdy nie brał tego towaru; tak się złożyło, że przygodę z „rafinacją” zaczął już po definitywnym zerwaniu z nałogiem. W każdym razie teraz nie miał złudzeń, że grupa położy na nim kreskę - i to raczej wcześniej, niż później. Miał tylko nadzieję, że zdąży, zanim cała sprawa wypłynie. Widział, że jest szansa.

Poprowadził trochę przestraszoną Martę do piwnicy, belkocząc coś o nowych doświadczeniach i eksperymentach. Aż pisnęła, kiedy ujrzała ponure wnętrze w świetle padającym z korytarza.

- Jacek, co to jest? - Jej głos drżał. - Gdzieś ty mnie przyprowadził? Co to za miejsce? Ten goryl przy bramie... Luksusowa willa i taka piwnica... Co to za satanistyczna nora? Te rysunki na ścianach... Ten

smród... Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to właśnie twoje przesławne laboratorium?

Odmruknął coś pod nosem, drżącymi rękami zapalając świece. Pośpiesznie zerknął jeszcze w kilka ksiąg - żeby mieć pewność, absolutną. Chociaż i tak ją miał. Od czasu, gdy ujrzał kobietę o bijącym sercu w czerwonym mieście.

- Kochasz mnie? - zapytał nagle, wbijając w Martę szalony wzrok.

- Tak... tak, ale czemu... - odpowiedziała niepewnie, wciąż stojąc na progu. Podeszedł do niej, zahaczając rękami o regały, podnosząc jakieś szmaty.

- To bardzo ważne - uśmiechnął się szeroko, przykładając jej do ust brudną gazę, nasączoną obficie eterem. Szamotoła się tylko chwilę, przytrzymał ją w silnym uścisku. Gdy osuwała się na posadzkę, w jej oczach gaś niewypowiedziany, straszny wyrzut.

- Piąty żywioł - sapał Jacek, ciągnąc bezwładną Martę w kierunku stołu laboratoryjnego. - Dopełnienie. Już starożytni wiedzieli, że cztery pierwiastki materialne to nie wszystko. Woda, ogień, ziemia, powietrze. Mało. Potrzeba jeszcze piątego, który zwiąże i dokona syntezy. Piątego. Duchowego. Miłości. To takie banalne.

- Tak samo tutaj - dyszał, zrywając z niej żakiet. - Jest to element niezbędny. Ostatni konieczny, by zsyntetyzować *Opus Magnum*. Moje *Opus Magnum*. Miłość. Kto by pomyślał.

Pochylił się nad bezwładnym ciałem, trzymając w drżącej ręce ostry nóż.

- Esencja życia, esencja miłości - zasyczał, nacinając głęboko, niecierpliwie rękę Marty. Gdy krew buchnęła z rany, podstawił szybko niewielkie naczynie, po czym naciął własne ramię.

- Magisteer! - usłyszał nagle krzyk, gdzieś z góry.

- Cholera - mruknął, zabierając z podłogi miseczkę z krwią. Przelał ją do dużej retorty; następnie zaczął tam pospiesznie zlewać i zsypywać zawartości zgromadzonych na stole naczyń: płyny, proszki, opilki, koloidy.

- *Sol, Sulfur, Alkahest...* - szeptał, nerwowo mieszając w naczyniu drżącą ręką.

Nic się nie stało. Zawartość retorty wyglądała jak mętna, nijaka ciecz. Straszliwy robak zwątpienia nie miał jednak czasu, by nadgryźć duszę Jacka: słysząc kroki na schodach, bez wahania uniósł retortę i wypił aż do dna, krztusząc się i kaszląc.

Świat wyglądał normalnie tylko przez chwilę. Potem Jacek wiedział już, że się udało. Widział prawdziwą rzeczywistość. Strukturę materii. Nie jakieś tam cząsteczki czy atomy: on widział drobne, małe włókienka, zaplecione wokół siebie w misterny sposób, połączone, tworzące najdziwniejsze struktury. Wiedział jednak, że wizualizacja nie jest tu najważniejsza: ktoś inny mógłby zobaczyć kulki, gwiazdy, struny. On widział włókienka. Co więcej, mógł je przedstawiać, rozplątywać, zmieniać układ tak, by stworzyć coś zupełnie innego. Transmutacja żelaza w złoto zdawała się być w tym momencie igraszką.

- *Opus Magnum* - szepnął Jacek zachwycony, podczas gdy w drzwiach stanął bandyta o proweniencji cinkciarza.

„Jeżyna” zawahał się tylko chwilę, widząc leżącą w kałuży krwi Martę. Potem, miotając przekleństwa, sięgnął pod skórzaną kurtkę, by dobyć pistoletu.

Jacek obserwował to ze spokojem. Bez wysiłku skondensował powietrze nad głową gangstera, szybko zmieniając jego strukturę wewnętrzną na zbliżoną do kamienia. Szara bryła o wadze ponad dwustu kilogramów powaliła „Jeżynę”. Spod dziwnaczego głazu powoli wypływała ciemna, gęsta krew.

Już go to nie interesowało, bo w ścianie za stołem odkrył przejście do innego świata. Ściana miała teraz konsystencję woalu, zasłony; za nią rozciągała się czerwona, jasna równina. Gdzieś na horyzoncie majaczyły ponure sylwety pochylonych wieżowców; na krawędzi pola widzenia przesuwwały się jakieś zamglone istoty, wydając z siebie upiorne, piskliwe ryki - bowiem po raz pierwszy kraina nie była niema. Pulsowała niepokojącymi, nieludzkimi odgłosami; sykiem i bulgotaniem, szelestem i jękiem, krzykiem i szeptem.

Niedaleko, tuż pod olbrzymim, czarnym Słońcem, stało trzech alchemików, przyzywając go do siebie. Ruszył. Wiedział, że musi tam iść.

Gdy był już prawie po tamtej stronie, coś go zatrzymało. Szarpnął zdziwiony, próbując rozsunąć woal, do końca otworzyć wrota. Na próżno. Utknął w ścianie, utknął w ulotnej zasłonie, nie mogąc poradzić sobie z tworzącymi ją włóknami. Nie mógł się również cofnąć. Pozostał na krawędzi światów, przerażony, unieruchomiony, oszalały ze strachu.

- Oszukaliście mnie! - krzyknął w kierunku trzech postaci. Jego głos brzmiał głucho w czerwonym powietrzu. I wtedy zrozumiał, jak bardzo się myli.

Nie oszukali go. Piąty żywioł, dopełnienie, był niezbędny. Potrzebna była miłość prawdziwa - i żywa.

A Marta właśnie w tej chwili zmarła. Jej słabe serce nie wytrzymało szoku i upływu krwi.

Kiedy znaleźli go ludzie „Jeżyny”, Jacek już nie żył, groteskowo tkwiąc zanurzony w ścianie do połowy. Nie zastanawiali się długo nad tym fenomenem. Tak, jak im kazano, permanentnie uprzątnęli wszystkie dowody; niszcząc i paląc laboratorium, naczynia, retorty, alembiki wraz z całą willą.

Stare książki posłużyły za świetną podpałkę.

Marcin Czyszczak

PASTERZ UPIORÓW

Kiedy zapłonął dach, przerażona kobieta, tuląc do piersi kilkuletniego chłopca, rozkazała otworzyć drzwi. Nie chciała, by z jej przyczyny ginęli niewinni ludzie. Nie chciała, żeby szczyły w ogniu jej dzieci. Machinalnie głaskała po głowie dziewczynkę uczeponą kurczowo matczynej spódnicy.

Do środka, chrząc kolczugą i ostrogami, wtargnął potężny woj, a zaraz za nim kilku innych. Wywlekli wszystkich na zewnątrz. Obietnica zaniechania gwałtu okazała się łgarstwem. Rozpoczęto bezlitosną kaźń.

Jeden za drugim czeladź kładła głowy na pień, bez wyboru i mężczyźni, i okrutnie pohańbione niewiasty. Na koniec wyrwano dzieci zrozpaczonej matce. Chłopiec ogromnymi z przerażenia oczami wpatrywał się w twarz oprawcy. Ten roześmiał się i powiedział coś, co wywołało śmiech pozostałych.

- Ciebie, suko - zwrócił się do kobiety, łamiąc twardo słowiańską mowę - zawiedziemy do nowego pana. On cię wydoli pocieszyć, jak miemam, choć różnie o nim powiadają w tym względzie.

Jego słowom towarzyszył rechot żołdaków.

- A może my ją wpiery pocieszymy, Udo?

- Zamknąć się! - warknął dowódca. - Mało wam było dziewczek?

Umilkli natychmiast. Udo popchnął brutalnie chłopca.

- Zadzierzgnąć go gdzie przy bramie. Krwi bękartów przelać nam pan zabronił, ale wszak w ten sposób jej i nie utoczmy.

Kobieta rzuciła się do przodu, ale zatrzymało ją mocne ramię, dzierzące skrwawiony miecz. Szarpała się przez chwilę z oprawcą, po czym bezsilnie zwiśla, patrząc z przerażeniem i rozpaczą na to, co miało się zaraz stać. Chłopiec posłusznie poszedł za żołnierzem, w martwym bezruchu patrzył, jak tamten przerzuca linę przez belkę. Z oczu płynęły mu łzy, zupełnie jak idącemu na rzeź jagnięciu. Pętla na dziecięcej szyi wyglądała niczym okazały kołnierz. Nim zbrojny dobrze podciągnął drobne ciało na powrozie, kobieta chwyciła oburącz ostrze zagradzającego jej drogę miecza, skierowała sztych w swoją pierś i zanim zaskoczony wojak zdążył cokolwiek zrobić, postąpiła energicznie naprzód. Dziewczynka za jej plecami zaniósł się płaczem.

Przed Udem stanął mąż słusznej postury. Do tej pory trzymał się z boku, nie biorąc czynnego udziału w wydarzeniach.

- Nie podziękujecie wam Ostępa za takie wywiązanie się z zadania - odezwał się niskim, zdartym od wydawania komend głosem, wskazując na zwłoki kobiety.

Przywódca zbójów wzruszył ramionami.

- Ano nie podziękujecie - warknął i splunął ze złością na trupa. - Ścierwo głupie. Sam widziałeś, Żegota, żeśmy babie krzywdy nijakiej nie uczynili. A ją jeno Topór kazał przyprować. O szczeniętach nic nie mówił. Ba, nawet wskazywał, żeby jakoś się ich pozbyć. Sam słyszałeś, tak i siak gadał, że dokładnie nie szło odgadnąć o co mu chodzi.

Żegota bez słowa bardzo długo patrzył mu w oczy. Potem odwrócił się gwałtownie.

- Tę małą też na sznur. - Wskazał łkającą dziewczynkę. - I pogrzebać ich w jednym dole, tutaj na wzgórk. Krzyża jeno nie waźcie się stawiać. Pan Ostępa zakazał!

Życie od śmierci pozostaje oddzielone jedynie zwiewną mglistą zasłoną, muślinem nicości, w którym żadna istota nie ma prawa przebywać.

Życie tętni różowością, napiętą harmonią istnienia, zmienia oblicze swoje i oblicze świata. Śmierć, ściśle zawinięta w kokon o łagodnych, ciemnych barwach, otulona spokojem, napięciem bezruchu, przygląda się drwiąco beztróskiemu ruchowi życia, wiedząc, że trwa to tylko chwilę, że życie jest jedynie bezustannym, wytrwałym umieraniem sekunda po sekundzie, nieustającą podróżą ku jej dziedzinie.

Gdy przesycona miłością para kochanków zasypia znużona, a wydane nasienie podąża ku spełnieniu, gdy matka tuli niemowlę pewna, że może je przed czymkolwiek uchronić w ciepłe ramion, śmierć spogląda czerwonymi z bezsenności oczami i szczerzy w uśmiechu poźółkłe, zęby. Przez mglistą zasłonę spogląda na życie - to jej przywilej i nagroda za grobowe bytowanie po koniec czasu. A życie nie potrafi jej dostrzec - to jego kara za mgnienie przyjemności.

Tylko czasem we śnie, kiedy zawiły koszar spęta ciało i zetnie krew bezwładnym przerażeniem, życie może przebić wzrokiem muślinowe zawoje i dostrzec niewyraźny kształt, od którego natychmiast odwraca oczy, budząc się w przepeconej strachem pościeli.

Wtedy po przebudzeniu, strzeż się i miej oczy szeroko otwarte. Patrz czujnie na bliźnich, uważnie śledź ich poczynania i staraj się odgadnąć, czyje złe życzenia zesłały na ciebie okropną wizję. Może odgadniesz, kto ma tyle złej woli i mocy w sobie, żeby zepchnąć cię w mdłe oploty mglistej zasłony. Bądź czujny i módl się, ale bacz, żeby modlitwa nie stała się przekleństwem. Czyń pokutę, lecz uważaj, by nie wyniszczyła ona twojego ducha i nie zabiła w tobie człowieka.

Bo wtedy pewnej nocy ockniesz się nagle przerażony, ale obraz nie zniknie. Będiesz jak motyl zaplątany w pajęczą sieć, zbyt słaby by ją zerwać. Świat stanie się rozmazany, niewyraźny. Odczujesz strach przed ludźmi, a jednocześnie zaczniesz pragnąć spróbować ich bezbronno ciepła.

Miłość i nienawiść. Chcesz zbliżyć się do nich, a jednocześnie są odpychający, tak że nabierasz ochoty, żeby mordować...

Wykopujesz trupy, tarzasz się w ich zgniliznie, napawasz obrzydliwym smrodem, bierzesz je w taneczne obroty w nadziei, że przez zwyrodniały gest wskrzeszenia dotrzesz bliżej życia.

Ze stanu pół snu, pół śmierci budzi cię księżyc, bo tylko w jego skradzionym świetle można cokolwiek dostrzec. Ale i on jest wrogi - niepokoi i podsuwa okrutne myśli, pcha w pobliże ludzkich siedzib.

Gdy ogarnie cię żalność większa od twego szaleństwa, wołasz o pomoc. Ale twoja skarga jest dla ludzi jedynie potwornym, przerażającym wyciem w środku nocy.

Na Boga, Szatana, Nyję czy w co tam wierzysz, dlaczego uczyniłeś mnie strzygą?!

Lambertus, biskup krakowski, patrzył na przechadzającego się po komnacie- Jędrzeja Topora. W niepewnym blasku łuczywa kasztelan wyglądał na kilka lat starszego niż był w rzeczywistości. Milczenie przedłużało się, stawało krępujące. Pytanie, rzucone przez kasztelana przed chwilą, zawisło w powietrzu na kształt burzowej chmury, czyniąc atmosferę spotkania duszną i nieprzyjemną.

- Złe zawitało w nasze strony, ot co sądzę o sprawie - odezwał się w końcu biskup. - Co innego mam sądzić? Bywa tak, gdy ostrza mieczy czerwienią się jeszcze krwią przelaną w bratobójczej wojnie. Zresztą i wiek się kończy. Są tacy, co gadają, iż niebawem nastąpi powtórne przyjście Pana i Sąd Ostateczny...

- Nie powiadałobyście byle czego, biskupie - zachnął się Jędrzej, przystając o krok przed dostojnikiem. - Mój naddziad wspominał, jak to w roku, gdy przybył do Chrobrego niemiecki cesarz, także wieszczono o końcu świata. Głupi pozbywali się dóbr, a sprytni je przejmowali i gromadzili. Dziś widać, że ci ostatni mieli słuszość, bo jak łatwo zauważyć, świat nadal istnieje i dalej rządzi nim pieniądz, a nie sprawiedliwość boska. A mnie mnisi zadreczają prośbami o pomoc! I to dzisiaj już, a nie na koniec świata dopiero!

Przysiadł ciężko na ławie przy okiennym wykuszu, podparł głowę dłonią.

- Bo też im strzygi żyć nie dają! Każdej pełni księżyca dobijają się do bramy! Coraz są też śmielsze i bardziej bezczelne. Patrzyć tylko jak do środka wtargną!

- Niech sobie braciszkwowie bramę srebrem obiją - mruknął Jędrzej. - Stać ich!

- Obili, a jakże, obili. Srebrzone okucia niby żebra na wrotach gęsto zostały ułożone. Ale potworów to nie odstrasza. Z bólu wyją, o srebro łapy smażą, ale ze szturmów nie rezygnują! Zupełnie jakby w środku znajdowało się coś, co je przyciąga tak silnie, że nie zważają na żadne niebezpieczeństwo ni ból.

- O czym myślicie?

Biskup wzruszył ramionami, na pozór obojętnie, jednak ukradkiem łypnął badawczo na kasztelana. Ten pochwycił spojrzenie, zerwał się jak oparzony.

- Ach, zatem i wy! - krzyknął. - I wy uważacie, że strzygi dobijają się o truchło mego świętej pamięci brata?

- Wątpię w to - Lambertus chrząknął niepewnie - jednak nietrudno dostrzec, że nękanie klasztoru zaczęło się od czasu, gdy złożono tam zwłoki dobrodzieja naszych benedyktyków... Dla maluczkich to wystarczający powód do gadania...

- I dla maluczkich, i dla wielkich, jak widzę. - Jędrzej uspokoił się równie nagle jak wybuchnął. - Każdy powód dobry, by rzucić na kogoś osławę... Ale i mnie samemu zaczęło to przychodzić na myśl...

- Co też powiadacie, kasztelanie - biskup zmarszczył brwi. - Czego mogłybyście chcieć piekielne poczwary od tak zacnego człowieka jak Ostepa, od dobroczyńcy Kościoła?

Chciał jeszcze coś dodać, ale przerwał mu zgrzytliwy śmiech Topora.

- Zacny człek mówicie, biskupie? Dobroczyńca Kościoła? - Spoważniał. - Spowiadaliście go na łożu śmierci, wiecie równie dobrze jak ja, a pewnie i lepiej, jakie sprawy na sumieniu miał mój braciszek, ilu ludzi ukrzywdził. Wiecie zapewne i to, że parał się rzeczami wcale nieprzystojnymi bogobojnemu chrześcijaninowi, a co najgorsze, wysługiwał się nieczystym dla swoich celów! Tak po prawdzie to cień na imieniu Toporczyków położył. Nie on jeden zresztą - dodał ciszej. - Pewnie nie był gorszy niżli Sieciech.

- Nie gadajcie byle czego - szepnął biskup, blednąc. - Ściany mogą mieć uszy nawet w waszym własnym dworcu. Palatyn wszędzie ma swoich ludzi, a ręce długie, że i w obcym kraju potrafi dosięgnąć wroga, zważać też nie zwykł na więzy krwi w swych porachunkach... Obaj wiemy, co myśleć, nie trzeba więc po próżnicy strzępić języka. Macie rację, że wasz brat, świeć Panie nad jego duszą, był grzesznym człowiekiem. Skoro już zaczęliście o tym mówić, nie wypada mi przeczyć. Zdarzało mu się pobiłdzić, osobliwie w sprawie" Przedślaw Ostrzewa, ale i miał swoje powody.

Kasztelan znowu usiadł, wsparł głowę na rękę.

- Przypodobać się chciał Ostepa księciu Włodzisławowi - odezwał się głuchym głosem - i nienawiść swoją nasycić, którą żywił do Ostrzewa, odkąd ten ubiegł go w zalotach do białogłowy. Wiem, wiem... - Machnął niecierpliwie ręką. - Była mu obiecana i gdyby nie poparcie Śmiałego, musiałby Przedślaw obejść się smakiem. Krzywda Ostepie była, jeno nie taka, co tłumaczyć może branie pomsty na

bezbronnej niewieście czy małych dzieciach... Nie ta jedna zresztą zbrodnia na jego sumieniu. Wiem, że i w otruciu młodego Mieszka Bolesławowicza maczał palce. Przeklęła go za to stara królowa. Wiem, bo byłem przy jej śmierci... Do dziś śni mi się jej wychudła, zniszczona twarz... Krzyczała, że upiory pomordowanych upomną się o przelaną krew... Sama wtedy wyglądała jak upiór.

Biskup poczuł przechodzący po plecach dreszcz.

- Ostro oceniacie swojego brata...

- Prawdę wszak gadam, a mogę, bo to moja krew! Innym tego nie powiem i mówić źle o nim nikomu nie pozwolę, ale wam ufam i nie mam co się przed wami kryć.

Otrząsnął się nagle, jakby wyszedł z lodowatej kąpieli.

- Wróćmy jednak do rzeczy. Radźcie, co wypada czynić w tynieckiej sprawie. Bo że mnichom strzygi, mnisi wam, a wy mnie z kolei spokoju nie dacie, to pewne.

Lambertus zamyślił się, twarz mu zmierzchła.

W tej samej chwili rozległy się szybkie kroki i do komnaty wpadł zadyszany pacholik. Był błąd jak kreda, a po twarzy ściekały mu strużki potu.

- Jego wielmożność opat Jan doprasza się waszego przybycia do klasztoru. Coś tam się wydarzyło straszliwego, że mnich, którego wieść przyniósł słowa więcej wykrztusić nie umiał.

Strażnica nad bramą klasztorną była zbryzgana krwią niczym miejska jatka w zapusty. Opośdalał trupa roślego, przybranego w pancerz, mężczyzny z rozerwaną grdyką, spoczywało nagie ciało dziecka, kilkuletniej może dziewczynki. Jak wszystko wokół, i ono było pomazane posoką. Pod ścianą mnich w pokrytym rdzawymi plamami habicie oddawał ostatnie tchnienie.

- Nawet go nie tknęła - wyszeptał opat, wskazując zakonnik. - Z samego przestachu serce musiało mu pęknąć.

Lambertus przyłożył do twarzy rąbek szaty. Słodkawy zapach surowizny przyprawiał o mdłości.

- Jeżeli dobrze widzę - odezwał się Jędrzej, patrząc na trupa w kolczudze - to niejaki Udo, człowiek świętej pamięci Ostępy. Myślałem, że wyjechał. Ale widać nie miał nawet na tyle przyzwoitości...

- Po śmierci waszego brata, ofiarował nam swoje usługi - opat nadal mówił szeptem. - Odkąd strzygi poczęły podchodzić pod klasztor, każdą noc spędzał na wieży bramnej. Wierny był jak pies.

- Opowiedzcie, jak to się stało. - Biskup podszedł do okna. Powiew powietrza łągodził nieco odór panujący w pomieszczeniu.

- Nigdy jeszcze... - Opat pokręcił głową, zamilkł i dopiero po chwili podjął na nowo: - Nigdy jeszcze nie widziałem takiej furii u tych potworów - splunął i przeżegnał się. - Szturmowały bramę, choć swąd

palonego ciała dochodził aż do mojej celi. Parzyły się o okucia, ale nie przestawały. Zaraz przybiegłem tutaj, słysząc straszny krzyk. Porzuciłem modlitwy, chwyciłem krucyfiks i przybiegłem...

Urwał, podszedł do okna, odsuwając na bok biskupa. Zacerpnął świeżego powietrza.

- Zobaczyłem, jak straszliwy upiór, klęcząc na piersi tego woja, chłepce krew... Brat Leon leżał pod ścianą, myślałem, że i jego ubiła poczwara... Nimem zdołał się zastanowić, przyskoczyłem do strzygi i wyciąłem ją w łeb krucyfiksem... Tak jakoś utrafiłem, że ramię krzyża przebiło skroń... Bryznęła posoką dookoła jakby pękł wielki pęcherz z krwią... A potem... potem...

Wskazał na dziecko.

- Ni stąd, ni zowąd ujrzałem w miejscu utrupionej strzygi tę dziewczuszkę tak, jak tu mnie leży...

- Tak - mruknął Jędrzej. - Znaczy, że poświęcone miejsce nie jest dla strzyg całkiem niedostępne.

- Właśnie - podchwycił Lambertus - zatem innego wyjścia nie widzę, jak obsadzić zbrojnymi klasztor i bronić bestiom dostępu za wszelką cenę, a jeśliby się dało, to i ubić. Dobrac do tego trzeba ludzi spośród najdzielniejszych, co cięższych pacholków z waszego rodowego hufca. Zaś przez cały czas szukać komyszy strzygoni, bo przecież gdzieś się podziewać muszą gdy nie ma pełni lub gdy dzień je ze świata zegna...

- Tyle tylko z tego będę miał pożytku, że choć przez jakiś czas moi ludzie będą objadać mnichów zamiast pustoszyć zamkowe spiżarnie. - Niewesoło uśmiechnął się kasztelan.

- We wszystkim trzeba odnajdywać dobre strony. - Odpowiedział uśmiechem biskup.

Opat patrzył na nich oczyma, w których widać było jeszcze ogromny strach, jaki stał się jego udziałem. Wglądało na to, że wszystko, co dzieje się dookoła, dociera do jego umysłu z pewnym opóźnieniem.

- A co z tym? - Wskazał na dziewczynkę.

- Sami wiecie najlepiej. - Wzruszył ramionami Topór. - Głowę odjąć i członki, a potem zakopać w różnych miejscach, w cztery strony świata.

Opat przeżegnał się.

- Toż to pogańskie obyczaje... To wbrew naukom... Jędrzej pochylił się nad zakonnikiem. Górował nad nim więcej niż o głowę.

- Jak chcecie - wycedził, zbliżając swoją twarz do twarzy opata - możecie sobie pogrzebać tę małą w swojej kaplicy. A ona następnej pełni odplaci wam za dobroć. Pogański czy nie, obyczaj nie wziął się znikąd. Albo zrobicie jak mówię, albo możecie nie liczyć na moich zbrojnych i na moją kieszę!

- Nie czas, opacie Janie, na roztrząsanie, czy coś jest zgodne z naukami ojców Kościoła, czy nie - poparł kasztelana biskup. - Oni nie miewali do czynienia z upiorami. Przynajmniej nie z takimi...

Można było przypuszczać, że duch nawiedził pogorzelnisko w księżycową noc, gdy zbrojny mąż stał bez ruchu z przymkniętymi oczyma, wdychając cierpką woń spalenizny.

- Co powiesz, Panie? - Wzniósł twarz ku niebu. - Pozwoliłeś i na to? Wszak jesteś miłosierny, wszechmocny... - Głos mu się załamał. - Czy Ty w ogóle istniejesz? A może jesteś tylko tym, co sam stworzyłeś? Może jesteś tak samo podły jak cały ten świat?!

Chłop stojący przy wozie opodał, patrzył na woja z przerażeniem. Pewnikiem pan Ostrzew oszalał, gdy z niebem taką zaczął rozmowę. Na resztę niebezpiecznie przebywać w pobliżu takiego, bo to wiadomo, że złe szaleńca zwykło się trzymać. Zaczął się chyłkiem wycofywać, porzucając pod drzewem przyniesione narzędzia. Tańsze one niż zbawienie. Niech się možny pan sam nimi parają po nocy. i

Przedślaw nie odwrócił się nawet słysząc skrzyp kół. Towarzysz nie był mu już do niczego potrzebny. Nawet lepiej, że odszedł. To, co miał do zrobienia nie było sprawą nikogo innego, tylko jego własną.

Ponoć już dwa lata minęły od tragedii, a zgliszcza wciąż oddawały niebu ostry zapach skargi. Tak cuchnęły wsie dookoła Akki, gdy przybyli tam dzień po wojskach przedniej straży. Wtedy właśnie postanowił powrócić do domu, porzucić Gotfryda i jego sprawę. Obmierzło mu mordowanie pod znakiem krzyża. Zbyt wiele razy widział, jak wielcy panowie łamią święte przysięgi, by nie zacząć wątpić w przyrzeczenia jakichkolwiek książąt z Hermanem włącznie.

I miał rację...

A miało chronić jego rodzinę książęce prawo, gdy wyruszał na wyprawę! Tyle ono warte, co i rzekomy majestat bratobójcy... Złe nasienie. Jakże to się stało, że Kazimierzowi synowie byli tak różni?

Niespiesznie podszedł do drzewa, pod którym zostały złożone narzędzia, wziął łopatę i skierował się w stronę wyrzucenia ziemi wyrastającego opodał pogorzelniska. Kiedy odjeżdżał do Ziemi Świętej, tego wzgóreczka tutaj nie było.

- Witajcie, najmilszy - mruknął. - Witajcie, skarby moje. Czas was pogrześć w poświęconej ziemi. I nikt nie waży się wam tego odmówić...

Kasztelan rzucał się gwałtownie na łożu. Wiedział, że śpi, śniąc straszliwy koszmar, ale nie potrafił się przebudzić. Wyciągały się ku niemu szponiaste, potworne dłonie, a świszczący szept rozbrzmiewał wprost w głowie, grożąc straszliwymi mękami. Miał okrutne poczucie obcowania z czystym złem. Jego czoło pokrył lodowaty, lepki pot, a ciało drżało w strachu nigdy nie zaznanym na jawie. Kiedy w końcu wyrwał się z sennego oparu, leżał przez chwilę, ciężko dysząc, zanim klasnął w ręce i nakazał przynieść do komnaty światło.

Ostrzew długo patrzył w wykopany dół, chwycił się za głowę, potem spojrzął z wyrzutem w niebo.

- Za co?! - zawałał. - Czyż nie walczyłem na Twą chwałę, czyż nie mordowałem z Twoim imieniem na ustach?! Za co mnie tak doświadczasz? Za co ukarałeś moich bliskich?! Dlaczego uczyniłeś z nimi to,, właśnie to...

Zgrzytnęła stal. W świetle księżycy zaśniło ostrze wąskiego, wschodniej roboty sztyletu.

- Niech zbrodnia dołączy do zbrodni. Nie ma już na tym świecie tego, na kim miałbym się pomścić. Pójdę po niego tam, gdzie jest teraz... Słyszysz mnie, Boże, Panie na niebiesiach? Ja, Twój sługa, idę do Ciebie, by pomścić krzywdę! I nie próbuj mnie powstrzymać! Niech na ten świat przyjdzie, kto ma dokonać za mnie pomsty! Panie mój... - szepnął. - Królu... Jeśli gdzie jest, wróć i pomścij... Przekleństwo na was, krzywdziciele niewinnych!

Spojrzał w głębię mogiły, zasłonił dłonią oczy.

- Dlaczego?!

Sztylet zatoczył krótkim błyskiem łuk i zakończył drogę w odsłoniętej piersi. Ciało zważyło się ciężko na ziemię. Jeszcze tylko przez chwilę drżąca w konwulsjach ręka wyciągała się w stronę nieba zaciśniętą pięścią.

Twarz Jędrzeja Topora wyrażała złość i niepewność pomieszane w równych proporcjach. Opat, biskup i Żegota, setnik rodowej drużyny, patrzyli na niego z wyczekiwaniem. Zostali wezwani nagle, oderwani od zajęć, których w ostatnim czasie żadnemu z nich nie brakowało.

- Kilka pacierzy temu przyznał posłaniec z Płocka. - Kasztelan oparł się ciężko o stół. - Przywiózł książęce rozkazy w naszej sprawie - przerwał, przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby wsłuchiwał się w ciszę, przez którą przebijał się szum zacichającej powoli ulewy. - Otóż, moi panowie, miłościwie nam panujący książę Włodzisław zabrania nam zabijać albo w jakikolwiek sposób krzywdzić strzygi, jeżeli wprawdzie nie przekonamy się, że któraś z nich nie jest - urwał i zaczął ciężkodyszeć - nie jest upiorem Bolesława! - wyrzucił gwałtownie.

- Czym?!

- Jak powiadacie?!

- Nie zabijać?

Trzy okrzyki zwały się w jeden. Topór roześmiał się.

- Dobrze usłyszeliście. Nim zabijemy upiora, mamy wprawdzie się przekonać, czy to nie świętej pamięci książęcy braciszek powrócił, by podziękować za wszystko dobro, które uczyniono jemu i jego synowi!

- Ale jak?! - nie wytrzymał setnik. - Jak poznać, czy diabłu podobny stwór jest tym, czy kim innym? Wszak to widać dopiero po ubiciu ścierwa...

- Ty, Żegota... - Jędrzej uśmiechnął się złośliwie. - Nie nazywaj pochopnie ścierwem czegoś, co może się okazać krewnym miłościwie nam panującego. To mogłoby zostać przez pewnych możliwych ludzi bardzo źle odebrane.

Setnik zamilkł i spojrzał niepewnie na kasztelana. Mówi poważnie czy kpi? Z jego twarzy niewiele można było wyczytać.

- Co radzicie uczynić? Zapadło ciężkie milczenie.

- No, mówcie. - Jędrzej zajrzał w twarz Lambertusa.

- Radźcie, biskupie. Rozkaz księcia jasno mówi...

- Do licha z rozkazem! - Żegota zerwał się z ławy. - Mamy dać się pozarzynąć jak bezradne owce?! Róbmy dalej tak, jakby żadnego posłańca nie było!

- I ja tak uważam - poparł go opat. Biskup pokręcił głową.

- Nie może mieć pojęcia książe, co się tu u nas dzieje. Gdyby to zobaczył na własne oczy, zapewne nie wydałby podobnych poleceń. Jednakowoż wydał rozkazy i nie pozostaje nic innego, jak dać im posłuch. Winien mu posłuszeństwo i kasztelan, i my wszyscy.

Topór patrzył ciężkim wzrokiem na swoich doradców.

- Wydał rozkazy - rzekł głucho. - I jak słusznie rzekł eminenca, jako kasztelan grodu i rękodajny jego książęcej wysokości zobowiązany jestem dopilnować, aby zostały wypełnione.

- Naprawdę zamierzacie to zrobić? Inaczej założycie sobie na szyję pętlę. - Biskup z napięciem wpatrywał się w twarz Jędrzeja.

Odpowiedziało mu milczenie.

Z zamyślenia wyrwało kasztelana głośnie walenie w drzwi.

- Wejść! - warknął groźnie. - Czego, Miłek, larum podnosisz? Czesi nas napadli?

Pachołek spojrzał nieprzytomnie.

- Czesi? - wymamrotał. - Czesi? Skądże, pokój przecie mamy. - Spojrzał niepewnie.

- Czego więc tak hałasujesz?

- Powiadają - złapał głęboki oddech - że Przedśław Ostrzew powrócił!

Topór poczuł dreszcz przebiegający mu po plecach. Ostrzew? Przecież miał zmarnieć gdzieś na szalonej wyprawie do grobu Chrystusa!

- Skąd wiadomość?

- Berkas, chłop z Morawicy o świtanu przybiegł. Mówi, że sam Ostrzewa nie tylko widział, ale wraz z nim na pogorzeliisku był.

- Dawać go tu natychmiast!

Pachołek zniknął. Po chwili pojawił się, ciągnąc za sobą słabo opierającego się chłopca.

- Tyś jest Berkas? - Topór spojrzał surowo. - Palatyna Sieciecha poddaniec?

- Ano ja. - Chłop zgął się w nieporadnym ukłonie.

- Powiadaj, jak to z Przedśławem Ostrzewem było?

Berkas spojrzał przestraszony na groźnego kasztelana i zaczął coś bełkotać pod nosem. Dopiero kiedy Miłek wymierzył mu lekkie uderzenie w potylicę, zaczął składniej opowiadać.

- Pod wieczór było, dnia łośkiego, gdy wszedł do mojej chałupy pan Ostrzew. Zrazum go nie poznał, bo mocno był odmieniony. Ogorzały na gębie i w szatach jakichś dziwnych, com nigdy takich nawet u wielmożów nie widział. Niewiele czekając, za łeb mnie wziął i pyta, zali prawda to, iż Ostępa Topór, brat wasz znaczy, nie żywię. No, com miał odrzec, jak to prawda jako słońce na niebie? Tom przyświadczył, że będzie z rok już jak go pochowano. Straszna miał twarz pan Ostrzew, gdy imię waszego brata wymawiał... Jakoby o jakim diable mówił... Wybaczcie panie, mówię jak na spowiedzi... - dodał szybko, widząc, że rozdrażnił kasztelana.

Jędrzej opuścił rękę, którą szykował się skarcić chłopca.

- Mów! - rzucił zdławionym głosem.

- Ano kazał mi zebrać narzędzia jakie mam i pójść ze sobą. Bałem się odmówić, bo patrzył na takiego, co to dla niego ubić kogoś to jak spluć, wiecem poszedł nic nie gadając. Straśne to było miejsce, gdzieśmy poszli, a dobrze już w noc było. Dawne pomieszkanie Ostrzewa, zanim je... - Berkas zaciął się, spojrzał czujnie na Topora. Ten siedział bez ruchu z zaciśniętymi szczękami. - Myślałem, iż mi dusza piętami wycieknie, ale co tam, pomyślałem, pan Ostrzew nie lękają się, to i ja nie będę. Ale kiedym sobie przypomniał, że tam ponoć pochowana jego żona i dzieciśka, tom się poczuł mocno nieswojo. A jeszcze jak samemu Bogu pan Ostrzew zaczął wygrażać, uszedłem zaraz ile sił w nogach, sprzęty swoje pozostawiwszy. Ze dwa pacierze biegłem co sił, nimem obejrzał się za siebie. I bodaj bym tego nie czynił, panie, bo ujrzałem od tamtej strony światło sine bardziej niżli bywa księżyc w zimowej osnowie. Jakby kto upiorowi w oczy spojrzał. - Berkas zatrząsł się na wspomnienie i przybladł wyraźnie. - Takim był przestraszony, że w chałupie ciągiem siedział, zanim mnie stara wygnała do pana kasztelana iść. Że to, powiada, za wieść taką może się pańska łaska okazać...

Topór drgnął, wbił twardy wzrok w chłopca. Ten skulił się pod spojrzeniem, jakby się spodziewał tęgich razów.

- Uciekłeś więc, Berkas?

- Ano tak, wielmożny panie. Każdy by uciekł, bywszy na moim miejscu...

- I nie wiesz, co tam się dalej działo?

- Ano nie, wielmożny panie.

- Precz! Miłek, daj mu tam grosz jaki za to, że przyszedł i dobrze po karku, że nie przyniósł wieści od razu w nocy! Konie gotuj i przykaż Żegocie, by z kilkoma zbrojnymi przy bramie czekał. Pojedziemy miejsce obejrzyć.

- Boże, jak tam jest strasznie! - Miłek pochylił się do ucha Latocha. - Niby nic wielkiego, pogorzeliśko jak pogorzeliśko, ale zgroza wisi w powietrzu... Raz czułem coś takiego, gdym kiedyś sam wracał koło cmentarza. Ale wtedy to była ciemna noc, wietrzyśko takie, że zdawało się, jakby ci kto prosto w ucho klątwy krzyczał. A tu był dzień jasny, słońce na niebie wysoko, a mimo to po plecach ciary jak mrówki. Powiadam ci, Latoch, ponuro niby w grobie.

- Było co tam chociaż?

- Nic, właśnie. Tyle, że mogiła rozkopana i pusta, ale to pewnie Przedślaw truchła wykopał, żeby gdzieś je przystojniej pogrzebać. Nie dziwota, boć to grzech, by w nie poświęconej ziemi leżeli. Ale strasznie tam... Czuleś, jakby zza pleców miał ci się pokazać z nagłą upiór jakowyś albo sam diabeł... Jakby kto z każdego zakamarka spoglądał na ciebie przesywając.

- E tam. - Stary żołnierz machnął ręką. - Czego to człek sobie nie pomyśli, gdy mu straszno.

- Powiadasz? - Miłek zaperzył się. - Dobra, może ja i strachliwy jestem, ale nasz kasztelan to chyba nie? Zaprzeczysz?

- Ano nie. - Latoch z szacunkiem zdjął z głowy mykę. - Pan Topór dzielny mąż i też by była twierdzić, że podszyty tchórzem. Gdyśmy jeszcze razem ze świętej pamięci Bolesławem wojowali, nieraz widziałem, jak sobie w bitwie poczynął.

- Widzisz! A i pan nawet nietęgą miał minę. „Złe to miejsce - rzekł - pewnie dlatego, że zła tu wiele się wydarzyło i krwi niewinnej w ziemię wsiąkło. Strasznie tu, aż uwierzyć można w babskie gadanie o miejscach, gdzie upiory a strzygi tańczą”. I przeżegnał się trzy razy, a my wszyscy razem z nim. Nawet Żegota, choć mówią o nim, że to zbrodzień co ze stryczka się zerwał i w Boga nie wierzy, a też znak krzyża uczynił. I co powiesz, Latoch?

- Ano, skoro sam pan tak rzekli i bożyli się, iście straszne musi być ono pogorzeliśko.

- Potem kasztelan z setnikami na stronę się udali i naszeptowali coś długo, po czym Żegota zbrojnych zawinął i co koń wyskoczy pognał ku traktowi na Kraków. Nie dziwne to?

- Dziwne zaiste. - Latoch podparł głowę dłonią, pociągnął tęgi łyk piwa. - Nie na nasze to głowy, Miłek, a tyle ci powiem, że kasztelanowi naszemu zbrodnie jego brata żyć nie dają, jak powiadają, albo też i udział w grzechu księcia Włodzisława względem króla. A może, Miłek, wszystko razem?...

- Słusznie gadasz, Latoch. Nie na mój to rozum.

Biskup niepewnie popatrywał w stronę kasztelana. Jędrzej, rozparty przy kominie, bez zmruczenia powiek patrzył na ogniki pełgające po pokrytych gorącą siwizną kawałkach drewna. Przed oczami wciąż miał ruiny domu na pogorzeliśku, swąd spalenizny i karbowane podobnym popiołem belki. Po ścianach refektarza ogień odbijał się fantazyjnymi mozaikami.

Opat Jan zdawał się podrzemywać, jednak kiedy biskup odezwał się, spojrzął na niego przytomnym, trzeźwym wzrokiem.

- Zdecydowaliście, kasztelanie? Jędrzej obrzucił go ponurym spojrzeniem.

- Zostawię tu trzydziestu zbrojnych, jakem przyobiecał. Jeno co do poszukiwań potworów, tego uczynić nie mogę. Wiąże mnie rozkazanie książęce, jak sami dobrze wiecie. Tyle, że posłałem Żegotę z dwoma ludźmi, by się w okolicy rozpatrzył. On tam na żadne rozkazy zważał nie będzie, jak go znam, choć mu to przykazałem.

Opat odetchnął z ulgą.

- Dobre chociaż tyle.

Drzwi refektarza otworzyły się z impetem. Stań w nich kasztelański żołnierz.

- Co tam, Rybik? - rzucił Topór. - Stało się co?

- Strzygi pod klasztorem! Opat przeżegnał się.

- Toż pełnia dawno minęła!

- Widać tym strzygom to nie wadzi - mruknął kasztelan. - Chodźmy zobaczyć.

W izbie nad bramą wciąż jeszcze przebijał się mdlący zapach krwi, mimo iż podłoga została dokładnie wyszorowana, a całe pomieszczenie okadzone siarką.

- Odsuńcie łuczywo! - Topór machnął niecierpliwie ręką. - W oczy prosto świeci i ślepi, że nic nie widzę! Obie strzygi przyszły?

- Obie? - Rybikowi zatrzęsł się głos. - Panie, ich jest zaś trzy!

- Trzy?! - zdumiał się biskup. - Wszak jedną sam opat...

- Zabierzcie wreszcie łuczywa - popędził Jędrzej - i dajcie samemu popatrzeć.

Wychylił się głęboko przez ciasne okienko. Na zewnątrz, oświetlone nikłym światłem księżycy w trzeciej kwadrze, wolno przesuwały się trzy sylwetki. Trzy! Dobrze gadał Rybik!

- I co? Co tam widać? - Lambertus niecierpliwie targnął za połą kasztelana. - Ile ich jest?

- Trzy! - Kasztelan z trudem wydobył z okiennego otworu krzepkie ciało. - Tyle, że przedtem miały być dwie mniejsze i jedna duża, tak?

- Nie inaczej - przyświadczył opat.

- No, to teraz są dwie duże i jedna mała!

Biskup przeżegnał się. Opat i Rybik poszli w jego ślady. Kasztelan znowu wyjrzał przez okno. Potwory zatrzymały się kilka stóp przed okutą srebrem bramą. Jędrzej przetarł oczy. Od wytężonego wpatrywania się w ciemność zaczynały łzawić.

- Co tam widzicie? - Lambertus znowu pociągnął płaszcz Topora.

- Idźcie do drugiego okna, sami zobaczycie! - Szarpnął się zagadnięty niecierpliwie.

Usłyszał drobne kroki, skrzypnęła okiennica obok. Tymczasem na dole strzygi stały bez ruchu. Patrzyły w górę, na wychylających się ludzi. Zbyt jednak było ciemno, żeby Topór mógł dostrzec jakieś szczegóły.

Coś jednak było nie tak, coś nie pasowało w tym, co widział. Cofnął się do izby.

- Przynieść wiązkę zapalonych pochodni, migiem!

Lambertus patrzył pytająco ze swojego miejsca przy drugim okienku. Ale już w pomieszczeniu uczyniło się widno. Rybik podał kasztelanowi pochodnie. Ten chwycił je i natychmiast cisnął przez okno.

- Co robicie? - krzyknął opat. - Rozeźlicie je tylko! Jędrzej nie słuchał. Na powrót wychylony, spoglądał w dół.

Strzygi nie zwróciły na ogień żadnej uwagi. Z natężeniem wpatrywały się w wyżkę nad bramą. Dwa zaślinione, pełne zębów pyski. Dwie pokraczne poczwary o pazurzastych, sięgających ziemi rękach. Dwie! Bo trzecią był niewątpliwie człowiek, albo ktoś, kto człowieka przypominał. Spod głęboko nasuniętego kaptura połyskiwały oczy, świecące zupełnie jak u napotkanego w głębi lasu wilka. Jednak postać była ludzka. Biała dłoń wysunęła się z szerokiego rękawa, wyciągnęła się w kierunku patrzących i wykonała gest błogosławieństwa.

- Jezu Chryste! - Doleciał kasztelana zduszony okrzyk biskupa.

Obok Jędrzeja przepchnął się opat. Kasztelan słyszał jego świszczący oddech i czuł szybkie uderzenia serca.

Tymczasem zakapturzony zbliżył się ku pochodniom i niespiesznymi ruchami rozkopał je na wszystkie strony, po czym gasił szybkimi ruchami płaszcza. W tym czasie obie strzygi zaczęły wykonywać dziwne, płynne ruchy, jakby tańczyły w rytm niesłyszalnej muzyki.

Człowiek w kapturze wyjął z zanadru spore zawiniątko, szerokim gestem rzucił je ku bramie, a potem odwrócił się i powoli poszedł w stronę lasu. Strzygi, nie zaprzestając płasów, podążyły z nim.

- Zawołać mi Latocha - warknął kasztelan. - Natychmiast! I przynieść z dołu ten tłumok!

- Pasterz Upiorów - wyszeptał pobladłymi wargami Latoch, wpatrując się w leżącą na ławie głowę Żegoty.

- Co tam mruyczysz, stary? - Opat niecierpliwie szturchnął go w ramię.

- To musiał być Pasterz Upiorów!

Lambertus otworzył szerzej oczy, kasztelan jęknął przeciągle.

- Myślałem, że to tylko głupie babskie gadanie. - Biskup skrzywił się niechętnie.

- O strzygach pewnie mniemaliście to samo - odparł Topór. - Jest jedno, może być i drugie.

- Co to jest ten upiorny pasterz? - spytał opat. - Wiecie wszak, że nie są mi znane wszystkie opowieści tego kraju. W mojej rodzinnej Moguncji...

- Nie upiorny pasterz - poprawił go kasztelan - ale Pasterz Upiorów.

Latoch przeżegnał się trzy razy.

- Strzeż nas, Panie, ode złego - wymamrotał.

- On go zabił. - Kasztelan wskazał głowę na ławie. - Sam Pasterz to zrobił. Widzicie, że brak śladów zębów, a cięcie równe jak od miecza.

- Jakby garść zboża ściał sierpem - szepnął Lambertus. - I kropli krwi przy szyi nie widać...

- Czy w końcu dowiem się czegoś więcej? - zniecierpliwił się opat.

- Mów, Latoch - rozkazał Jędrzej. - Tyś najstarszy i najbardziej doświadczony. Pono jeszcze nawrót pogaństwa pamiętasz.

- Szczeniciem wtedy byłem - odparł - ale wiele mi w pamięci zostało. Wtedy pierwszy raz usłyszałem gadki o Pasterzu Upiorów. Powiadali, że Bolko, niewzdany syn Mieszka Wtórego, po śmierci w takiego potwora się obrócił i legionom złych duchów przewodniczyć począł. Gwałtownik to był i w gniewie miary nie znał, zupełnie jakby Chrobrego był synem, a nie łagodnego Mieszka. Widać tak to już jest. Wszak i Szczodry z lędźwi człeka wielkiej dobroci i cierpliwości wyszedł, a jaki był, wszyscy pamiętamy...

- Ty mów, stary, do rzeczy - mruknął kasztelan - a nie opowiadaj nam o Bolku, którego imię skazano na zapomnienie.

- Powiadają - podjął Latoch - że za owym Pasterzem wedle jego woli wszelki upiór, jak to wapiierz, strzyga, leszy czy topielica nawet, idzie. Sami wiecie, że stwory te głupie są z natury i do rządowego działania niezdolne. Samopas też zwykły chadzać, a nawet gdy się stowarzyszą to nie na dłużej niżli jedną noc i to tylko w czas pełni. Bo to wapiierz pono w pogardzie ma strzygę, a leszy to i na wapierza, bywa, zapoluje. Lecz gdy się zjawi Pasterz Upiorów, wszystkie one w niezwykłej zgodzie zewsząd ściągają i wkoło niego się gromadzą, przyświeca im miesiąc czyli nie. Tak było i z Bolkiem Mieszkowicem, jak powiadał mój ojciec, a nie zwykł on słów na wiatr rzucać ni babskimi plotkami się zabawiać. Ponoć Pasterzem ten jest, kto pokrzywdzony za życia, po śmierci spokoju zaznać nie może i w poświęconej ziemi nie dano mu spocząć.

- Miej nas, Panie, w opiece - szepnął opat. - Myślicie, że to Szczodry upiorem powrócił, jak to stara księżna w oczy rzuciła Hermanowi? A może to otruty knieźyc Mieszko przybył o swoje się upomnieć?

Lambertus machnął ręką.

- Ciało Mieszka spalone właśnie po to, by po śmierci nie wrócił. Sam świętej pamięci Ostępa tego dopilnował. A i w święconej ziemi popioły jego spoczęły. Tegom ja z kolei dopatrywał, bo jakże to prochy niewinnego młodzieńca miał wiatr po polach rozwiewać.

- Myślicie, że to król? - spytał opat z drżeniem w głosie.

- Tak by wychodziło. - Biskup zapatrzył się w płomień na kominie. - Tak by wychodziło - powtórzył. - A to znaczy, że bez książęcego zezwolenia nic nam uczynić nie wolno.

Zapadła cisza.

- Jedno mi tylko nie pasuje - odezwał się po chwili kasztelan. - Dlaczego upiory napały się na klasztor, w

którym wręcz Stanisławowi schronienia odmówiono, gdy go Bolko ściagał, miast prześladować jeśli nie Sieciecha samego, to przynajmniej jego dziedziny?

- Co nam pozostaje robić? - Opat spojrział wyczekująco na Jędrzeja.

- Czekać - odparł krótko Topór. - Czekać i mieć nadzieję, że Włodzisław swój nierozsądny rozkaz cofnie. Rano wyjechali do Płocka posłańcy.

- Jako do ojca naszego i opiekuna do was przychodzim. - Postawny chłop w haftowanej świątecznej sukmanie pochylił się, prawie zamiatając długimi siwymi włosami ziemię. - Ratujcie nas, panie, bo przyjdzie gospodarstwa porzucić i na tułaczkę się udać!

- Prawdę sołtys gada - odezwał się przybyły wraz z nim starzec. - Nie pomnę ani ja, anim nawet od mego ojca i dziada słyszał, by tyle złego w okolicy się pokazało, nawet kiedy grasowały pogańskie kupy, nim je książę Kazimierz uśmierzyli! Ot, wyszła z lasu jaka strzyga, tośmy ją widłami przegonili albo i zakłuli, porwała południca jakie dziecko, to i trudno, bywa tak, gdy matka nie dopilnuje, ale to, co teraz... - Machnął bezradnie ręką. - Mów, Gadek, dalej, mów...

Sołtys odchrząknął.

- Ano, wielmożny panie, rozzuchwaliło się złe tak, że i we własnym domu człek spokoju nie zazna. Tłuką po nocy do drzwi, blade jakieś twarze przez okna zaglądną a pchają kosmate łapska.

- Czego ode mnie chcecie, ludzie? - Kasztelan pochylił się do przodu na zydłu, jakby miał zaraz powstać.

- Ratujcie nas! - wykrzyknął starzec i padł na kolana. Po chwili Gadek niechętnie poszedł w jego ślady. - Tylko patrzeć jak w biały dzień Pasterz najedzie wsie z watahą upiorów!

- Mam związane ręce - mruknął Topór. - Nie mogę wam powiedzieć nic więcej, ale sam jestem bezradny, jako i wy!

- Wy, bezradni? - Gadek powstał z kolan, a w oczach pojawiły mu się złe błyski. - Wy macie swój kasztel, a mnisi klasztor warowny, jeno my wystawieni jesteśmy na pastwę złego! Wiemy, że wam książę zabronił na strzygi polować, że to niby król może być między nimi, ale nam za jedno kto z nas krew wyssie!

Jędrzej poderwał się, chwycił za gardło sołtysa.

- Skąd to wiesz, kto ci powiedział?

- Puśćcie go, panie - odezwał się starzec. - Tajemnica jest gdy wie jeden. Jeśli wie dwóch, wiadomo, kto zdradził, ale jeśli wtajemniczonych jest więcej, kto zdradził, prawdy nie dojdzie.

- Za wasze zuchwalstwo zawisniecie jeszcze dziś! - warknął kasztelan puszczając Gadka.

- Nas możecie i zabić. - Starzec zbliżył się do Jędrzeja. - Ale wiedźcie, że jeśli czegoś nie uczynicie, pewnego dnia kupy waszych własnych chłopów możecie ujrzyć pod zamkiem. My za jakieś wasze

sprawy umierać nie chcemy! A za sprawki waszego brata, niech spoczywa w pokoju, tym bardziej!

Jędrzej poczuł, jak krew bije mu do głowy, a przed oczami zatańczyły czerwone płaty.

- Straż! - zawołał zachrypłym od wściekłości głosem. - Powieścić tych dwóch przed bramą ku przestrodze! I niech wiszą dopóki sami ze sznurów nie odpadną!

Lambertus z wykrzywioną złością twarzą wpadł do komnaty kasztelana.

- Coście uczynili najlepszego? Kazaliście zabić tych, w których ludzie położyli zaufanie!

- Moja sprawa - warknął Topór. - Moi ludzie i moja sprawa!

- Ludzie może i wasi, ale kiedy się wieść rozniesie, jak sobie z wysłańcami poczynacie, nie będzie chętnych, żeby do was przyjść!

Ci chłopci ośmielili się grozić! Mnie grozić!

A nie przyszło wam do głowy, jak bardzo muszą być przerażeni, jeżeli ośmielili się do was przemawiać tak zuchwale! Prawdę na koniec rzekli, żeście ich powinni bronić.

Nikt nie ma prawa... - zaczął kasztelan, ale przerwało mu machnięcie ręki biskupa.

- To teraz nieważne. Teraz musicie wraz ze mną udać się do klasztoru.

Co się znowu stało?

Opat przysłał do mnie posłańca. Do mnie-podkreślił. Do was bezpośrednio najwyraźniej się obawiał...

- Dalibyście już spokój - mruknął Jędrzej.

- Wyspowiadacie się, odbędziecie pokutę, to dam wam spokój. A na razie jedźcie ze mną. Wszystkiego dowiecie się na miejscu. A, i weźcie ze sobą silny poczet. Nigdy nie wiadomo, czy co nie zajdzie w drodze albo i chłopci się nie ruszą.

Spróbowałiby!

- Poczet weźcie!

Co powiadasz?! - Jędrzej ze zdumienia wytrzeszczył oczy na spoglądającego ponuro człowieka. - Bredzisz, Chościk!

- Z wami chce Pasterz Upiorów gadać - powtórzył chłop. - Był u syna tego sołtysa, co go wczora kazaliście powieścić, jak... - zacisnął zęby, jakby nie chciał, żeby wyrwało mu się jakieś nieopatrne słowo. - Jeśli nie, zacznie wraz z poddanym mu pomiotłem wsie pustoszyć, gdy do klasztoru dostać się nie może.

- Dlaczego nie przyszedł z tym syn sołtysa? - spytał Topór podejrzliwie. - Z nim wszak, nie z tobą, ów stwór rozmawiał.

- Mnie posłali - odparł, patrząc mu prosto w oczy chłop. - Rodzina mnie onegdaj odmarła, więc i wszystko mi jedno. Ludzie boją się, byście nie uczynili

z wysłańcami tego, co z tamtymi, którzy wiszą przy bramie.

Lambertus posłał kasztelanowi znaczące spojrzenie.

- Hardyś - rzucił Jędrzej. - Bacz, by ci...

- Nie czas na to - przerwał biskup. - Nie kłamiesz aby? - zwrócił się do chłopca.

- Co mam kłamać - mruknął Chościk, wzruszając ramionami. - Przysięgnąć mogę na krzyż i na co chcecie, bom sam owego Pasterza widział. Dziś przybędzie pod klasztorną bramę. A wy róbcie, co chcecie. My zaś - głos chłopca nabrał twardości - uczynim, co nam wypadnie.

- Grozisz? - Kasztelanowi włosy zjeżyły się na głowie z wściekłości. - Ośmielasz się grozić, chamski synu?!

- Ośmielam się. - Wysłannik wsi zmrużył oczy. - Mnie za jedno, będę żył, zali wy mnie każecie zabić czy zrobią to strzygi! Ino ludziom w waszej dziedzinie za jedno nie jest! Życ chcą w spokojności, a wasz obowiązek ich bronić!

Topór przyskoczył do chłopca i dzielił go pięścią w twarz. Chościk zachwiał się i cofnął pół kroku.

- To wasza odpowiedź? - spytał zimno. - Ją mam zanieść waszym wioskom?

Topór uspokoił się.

- Mogę cię jeszcze kazać oćwiczyć i powiesić - wycedził. - Ale nie uczynię tego. Nie dziś w każdym razie. Odpowiedzi żadnej nie będzie, bo z własnymi poddanymi układać się zamiaru nie mam. Co zrobię, moja rzecz, a wy macie siedzieć w chałupach i nie gromadzić się nigdzie pod karą gardła!

- Co chcecie zrobić? - Chościk masował stłuczoną potężnym ciosem kasztelana szczękę. - Topór nam nie daruje, żeśmy ośmielili się mu stanąć okoniem. Wypada to przemyśleć, Wilik, jeżeli nie chcesz skończyć jak ojciec.

- A co nam za wybór? - Młody mężczyzna uderzył pięścią w ławę. - Z jednej strony kasztelan, a z drugiej strzygi! Sam słyszałeś, co Pasterz powiedział. Nie dam swoich na ztratę. A zechce się mścić Jędrzej, w lasy ujdziem i tyła z nas będzie miał!

- Z gromadą trza rzecz uzgodnić. Ty czyja możemy uciec, ale reszta...

- Reszta niech powie, żeśmy ich przymusili albo i oszukali. Wszystkich kasztelan wyciąć nie może, bo kto mu będzie tyrał. Na resztę nie taki on jak jego brat.

- Ojca twego zabić kazał...

- Boi się, jako i my. - Wilik poderwał się i przemierzył w obie strony ciasną izbę. - Dlatego taki się stał gwałtowny. Jeno dbać musimy o siebie sami, jak widać, bo nikt inny o nas nie zadba.

- Tedy radę starszych zwołaj. Ty teraz za ojca nam będziesz przewodził. I tobie jednemu damy przywództwo, jak w czas wojny.

- Jak w czas wojny - powtórzył cicho Wilik.

Kasztelan wyteżonym wzrokiem wpatrywał się w ciemną linię lasu coraz mniej wyraźną w zapadającym zmroku.

- Naprawdę chcecie wyjść do tego stwora z piekła rodem? - spytał opat.

- Wyjdę i zabiję gadzinę! - zgrzytnął Jędrzej. - Nie będzie mi chłopów buntować. Nie będzie mnie straszyć!

- Ale jeśli to król...

- Wiem kto to jest! - przerwał mu gwałtownie kasztelan. - To Przedślaw Ostrzew! Wrócił pomścić krzywdy!

- Jesteście pewni?

- Sami pomyślcie. Były trzy strzygi, tak? Opat skinął głową.

- Dwie mniejsze i jedna duża. Potem zabiliście jedną i, jak mi niemam, zadbaliście, by nie mogła powrócić mimo waszych w tym względzie skrupułów. Nie znałem Przedślawowych dzieci, ale tamta dziewczynka jako żywo przypominała z rysów żonę Ostrzewa. Wiem ja też, że on niedawno powrócił na swoje, a co zastał nie muszę mówić. Ślad po nim zaginął, a zaraz potem pojawił się Pasterz Upiorów. To musi być Ostrzew! I dlatego go poczwary słuchają!

- Może macie rację. Jak nad tym się zastanowić, to na pewno macie rację. A jak go zamierzacie zgładzić?

- Weźmiecie wody poświęconej i miecz mój ochrzciecie!

- Chrzcić miecz? - Opat aż zatchnął się z oburzenia. - To niemożliwe! To się nie godzi! Toż to grzech śmiertelny!

Topór uniósł się z zydła.

- Nie godzi się? - syknął. - Grzech, powiadacie? A chcecie mieć spokój? Zresztą - dodał spokojniej - jeśli wam to zabrudzi sumienie, biskup rozgrzeszenie na pewno wam da! Sami go zresztą spytajcie.

- Chrzcić miecz - szepnął opat. - Mogę poświęcić, ale chrzcić?... Nawet sam papież na to by nie zezwolił. Spotka nas kara Boża...

- Niech wreszcie spadnie to na mnie! - rzucił popędliwie Jędrzej. - Sam to zrobię! Wy mi dajcie tylko wodę! I formułki po łacinie wyuczcie!

- Chłopi gromadzą się pod lasem! - Biskup wpadł zdyszany do celi opata.

- A gdzie kasztelan? - spytał, rozglądając się.

- W kaplicy - powiedział drżącym głosem opat. - Poszedł miecz ochrzcić... Powiada, że to pono jedyny sposób na Pasterza Upiorów.

Lambertus przybladł, poczuł jak od lędźwi pełnie ku sercu lodowata macka strachu.

- Oszalał - zająknął się. - Zupełnie oszalał! Przekleństwo na siebie ściągnie! I na nas!

- Mówiłem mu, przestrzegałem, ale uparł się! Pewnie już skończył i poszedł przed klasztor na spotkanie, bo najwyższy byłby czas.

- Boże Ojczy! - Lambertus przeżegnał się. - Chron nas ode złego!

- Jesteś - odezwał się Pasterz Upiorów głuchym niskim głosem.

- Jestem. Tak jak chciałeś, szatańskie nasienie!

Topór mówił z zaciśniętymi szczękami. Oddychał głośno przez zęby, starając się powstrzymać mdłości. Odór dolatujący od zakapturzonej postaci był bardziej obrzydliwy niż wszystko, co w życiu zdarzyło mu się napotkać. Rozejrzał się. Od strony lasu zbliżały się błyski pochodni. Chłopi przybyli zobaczyć, co się będzie działo. Już on im pokaże po wszystkim!

- Jesteś - powtórzył Pasterz. - I ja jestem. Jak widzisz rozkazałem swoim strygom pozostać w ukryciu, by pokazać, że nie chcę siał bezrozumnej grozy.

- A czego chcesz? - Jędrzej położył dłoń na rękojeści miecza.

- Nie domyślasz się? - W głosie zakapturzonego pojawiło się coś na kształt uśmiechu. - Na pewno się domyślasz. Głupi nie jesteś. Brata twego chcę!

- Ale dlaczego?

Ognie pochodni były coraz bliżej. Gromada mężczyzn półkolem stanęła opodal, tak żeby móc słyszeć rozmowę.

- Dlaczego? Bo rzucił przekleństwo Ostępa. Przekleństwo najgorsze, straszniejsze niżli potępienie. Niewinną niewiastę i jej dzieci zamienił w najbardziej odrażające stwory. I cierpią. Cierpią takie katusze, jakby za życia wyrządziły komuś okrutne zło! A mnie wezwano zza grobu, abym je uwolnił. Bo pokonać taką klątwę może tylko drugi potępieniec! Bo stamtąd można wrócić tylko po to, żeby unurzać się w plugastwie, lecz w słusznej sprawie! Bo zdjęć przekleństwo można tylko, gdy taki jak ja przekleśnik, plugawe ciało twego brata weźmie w objęcia i w tany z nim się puści! Mam moc rozkazywać poczwarom i upiorom, mam moc rozkazywać złym duchom. I w mocy mojej wszystkie je odwołać, odesłać, gdzie być powinny. Ale wpięć do truchła muszę zyskać dostęp. Próbowaly same strygi tego dokonać, dlatego chciały się wdrzeć do klasztoru. Nic by na tym nie zyskały, ale ich pogrążone w wiecznym ośpieniu myśli słusznie kierowały się w tę stronę. A trzeba ci wiedzieć, że być stryga to męka najgorsza. Śmierć od najstraszniejszych tortur wydaje się przy niej łaską...

Tu rozległ się śmiech, który przyprawił kasztelana o lodowaty dreszcz.

- Domyślałeś się tego, prawda? Nie mogłeś się nie domyślać.

- Nie dam ci zbecześcić ciała zmarłego! Tego nie uczynię za żadną cenę!

- Wyludnię twoje ziemie - zagrzmiał nieoczekiwanie głośno upiór. - Zwołam wszystkie upiory z wszystkich krain, a nie tylko te dwie nieszczęsne istoty! Spod ziemi wydobędę i tę, którą zabiście i kazali ćwiartować. Najdę twoją dziedzinę z całym wojskiem strzygoni i ich pobratymców. Ni jeden kłós tu po ich przejściu nie wyrośnie, wszystko pokryją ugory i lasy, a człeka jednego nawet nie uświadczysz!

Wśród chłopów zapanowało poruszenie. Topór próbował odgadnąć z dolatujących go słów co właściwie zamierzają. Czy staną ostatecznie po jego stronie, czy oczekują, że spełni żądanie Pasterza Upiorów. Krwawy poblask zachodzącego słońca potęgował jeszcze ponure wrażenie.

- Tyś jest Ostrzew - powiedział kasztelan. - Przedstaw Ostrzew. Odsuń kaptur, poznałem cię, nie masz co się ukrywać pod zasłoną!

Znowu rozległ się mrozący krew w żyłach śmiech i gwałtownym ruchem kaptur został odrzucony na plecy.

- Poznałeś mnie? - spytał Pasterz. - Naprawdę? Jędrzej poczuł jak krew odpływa mu z serca, a przerażenie

obezwładnia wszystkie członki.

- Co widzicie? Mówcie!

Opat niecierpliwie przestępował z nogi na nogę, usiłując zobaczyć cokolwiek przez wąski otwór okna, który zasłaniał Lambertus. Drugie okienko zostało na wszelki wypadek zabite deskami, więc ciekawość opata wystawiona była na ciężką próbę.

- Wieśniacy podeszli jeszcze bliżej - odezwał się po chwili Lambertus. - Są już tak blisko, że pochodnie wyraźnie oświetlają i Jędrzeja, i złego ducha... Rozmawiają. Kasztelan sięgnął do miecza, ale go jeszcze nie wy dobył... Mówi coś, tamten odpowiada... Odrzuca kaptur. Chłopi przybliżają się jeszcze. Czy oni naprawdę się nie boją? Mnie strach prawie miesza zmysły! Kasztelan wy dobył miecz! Co on zamierza? Rzeczywiście byłby Pasterz Upiorów nie królewskim, ale Przedstawowym duchem? Szkoda, że chociaż miesiąc nie świeci, bo przy mętnych ogniach trudno cokolwiek dostrzec wyraźnie.

Zamilkł i z natężeniem wpatrywał się w coraz głębszą ciemność, rozświetlaną jedynie blaskiem pochodni.

- Stoją naprzeciwko siebie, nie ruszając się. Widać cały czas rozmawiają.

Znowu umilkł, ale nie na długo.

- Boże! - Cofnął się nagle, wpadając na stojącego tuż za jego plecami opata. - Mój Boże! Co on zrobił!

- Co się stało? Co tam się dzieje?

Lambertus bez słowa odsunął się od okna, ruchem ręki zaprosił do niego opata.

Ten natychmiast skorzystał z okazji, wyjrzał i poczuł, jak nagły lęk odejmuje mu władzę w nogach.

Miecz błyszczał ostrym, lodowobłękitnym światłem. Nie był to poblask pochodni, wydobywał się z wnętrza żelaza. Blask ten urywał się nagle w dwóch trzecich główki, w miejscu, gdzie sztych pograżony był w ciele Pasterza Upiorów.

- Ochrzcilesz miecz? - raczej stwierdził niż zapytał Pasterz. Nie lepszy jesteś od swego brata. Mnie zdołasz nim zabić,

ale na siebie ściągniesz po stokroć gorsze nieszczęście.

Patrzył spokojnie na sterzące z piersi ostrze, jakby nie robiło na nim żadnego wrażenia. Jednak jego słowa świadczyły o czym innym.

- Mnie zdołasz zabić, Jędrzeju. Tak jak twój brat zdołał zgładzić nieszczęsnego Mieszka. Podstęp, trucizna... ochrzczony wbrew prawom nieba miecz... Wam widać i to za jedno złamać boskie nakazy.

Topór puścił trzymaną dotąd w kurczowym uścisku rękojeść. Pasterz Upiorów zachwiał się, przyklęknął na jedno kolano.

- Mnie zdołasz zabić - powtórzył. - Lecz klątwa pozostanie... nie zaznasz do końca swoich dni spokoju... Nie zaznasz spokoju po śmierci. A to, co będziesz musiał uczynić jest wielokrotnie gorsze niż wydanie ścierwa Ostępy na moją łaskę...

Zgromadzeni chłopcy stali jak wmurowani, chłonąc to, co się przed nimi rozgrywało. Niejeden przeklinał w duchu godzinę, w której ośmielił się tu przybyć. Niejeden chętnie by rzucił pochodnię i uciekł, gdyby nie było wstyd przed innymi.

- Już dziś, w godzinie mego powtórnego zgonu... - Pasterz wyprostował się nagle, powstał na równe nogi, jakby mu przybyło sił. Wraz z ruchami jego ciała świecąca główka wykonywała dziwaczne ruchy, kreśląc w powietrzu zawile, pozostające na krótką chwilę wzory. - Już dziś, w godzinie, w której tym ciosem uwolniłeś mnie, bym stanął nareszcie przed sądem Pana naszego, wzywam cię, Jędrzeju Toporze, wzywam cię, kasztelanie, wzywam cię, mój zabójco...

W powietrzu zaczęła się pojawiać i rozszerzać na wszystkie strony sina łuna. Tego za wiele było obserwującym zajścia chłopcom. Wszyscy naraz rzucili się do ucieczki. Tylko jedna postać pozostała na miejscu, niewidoczna poza kręgiem bladego światła.

- Padł nareszcie! - Tym razem to opat zdawał sprawę biskupowi z wydarzeń na zewnątrz.

Lambertus siedział z głową opartą na rękach.

- Upadł, a to diabelskie światło od razu znikło! Nic nie widzę. Ćma taka, że choć oko wykol...

Wydobył się z okna i usiadł naprzeciwko biskupa.

- Co o tym sądzicie? - spytał. - Przeraza mnie to wszystko.

- Nie wiem, co mam sądzić - odparł głucho Lambertus. Siedzieli w zupełnej ciszy. Przerwały ją dopiero kroki na

schodach. Drzwi otworzyły się. Stanął w nich kasztelan. Był błydy jak trup, w rękach trzymał miecz, na którym nie było znać nawet śladu krwi.

- Nadspodziewanie łatwo wam przyszło rozprawić się z tym diablím pomiotem! - odezwał się opat.

- Tak myślicie? - Jędrzej mówił z wyraźnym wysiłkiem.

- Padł przecież od pierwszego ciosu...

- Ano padł...

W jego głosie było coś takiego, że biskup podniósł głowę.

- Mówcie - powiedział z niepokojem. - Powiedzcie, na Boga, co tam się naprawdę stało? Kto to był ten Pasterz Upiorów? Rzeczywiście Ostrzew?

- Ostrzew - powiedział cicho kasztelan. - Co Ostrzew? - Spojrzał nieprzytomnie.

- Mówcie wreszcie! - powtórzył biskup. - Jak na spowiedzi...

- Potem - odparł niecierpliwie Topór. - Teraz muszę wydać rozkazy moim ludziom!

Wilik z napięciem przypatrywał się twarzy Chościka. Szara barwa skóry zaczęła ustępować pod zbawiennym wpływem grzanego miodu.

- Aleś się najadł strachu - sapnął Wilik. - Żeś się też odważył pozostać...

- A co mi tam - mruknął Chościk.

Rozejrzał się po izbie. Stłoczeni siedzieli tam wszyscy ze starszyny, czekając, co powie.

- Opowiadaj! Chościk łyknął z kubka.

- Kto był upiór wie każdy, kto chociaż raz króla widział. Tego oblicza się nie zapomina. Samiście słyszeli, jak mówił, że go Przesław Ostrzew wezwał, nim sam zakończył życie samoubijstwem, a sam w upiора się zmienił. Wiecie, czego chciał...

- Wiemy, wiemy - przerwał mu niecierpliwie głos spod ściany. - Mów, co się stało potem.

- Potem? - Chościk uśmiechnął się krzywo. - Niewiele. Tyła wam mogę rzec, że gdy się możni wadzą, choćby i zza grobu, i tak na nas, ubogich, się skrupi...

- Nie zabawiaj się w zgadulę, a mów! Uśmiech znikł z twarzy Chościka.

- Jak chcecie wiedzieć, to wam powiem, żebyście się modlili o długie życie dla naszego jaśnie kasztelana Jędrzeja. Bo po jego zgonie przyjdzie chyba z tej ziemi uchodzić!

- Co zaś gadasz - poruszył się niespokojnie Wilik. - To nie koniec? Zabił przecie poczware.

- Ano zabił - potwierdził Chościk. - Byście jeno zostali, to byście i wy usłyszeli, co mu Pasterz przed śmiercią rzekł...

W tej chwili przed domem załomotały końskie kopyta i rozległy się krzyki.

- Co to? - Wilik wyjrzał przez okno. - Kasztelańscy! To woje z hufca Topora... Jezu Chryste, ratuj się, kto może!!!

Chłodne wnętrze kaplicy koilo zmysły podrażnione zewnętrznym skwarem i niemiłosiernym blaskiem słońca, lekkim powiewem obmywając twarz niby strumień orzeźwiającej wody. Biskup przymknął oczy, aby przywykły nieco do miękkiego mroku świątyni. Przez chwilę obserwował grę błysków pod powiekami, bawiąc się tym widokiem. Czekala go przykra rozmowa i chciał jak najbardziej przedłużyć czas, zanim do niej przystąpi.

Westchnął ciężko, otworzył oczy i spojrzął w kierunku ołtarza. Rozciągnięta na posadzce postać zdawała się rozmiarówomalże dziecka. Gdyby nie wiedział, kogo tu zastanie, mógłby przypuścić, że w istocie dziecię albo jakaś niewiasta pokutuje u stóp Pańskiego Stołu. I jeszcze gdyby nie nagie ostrze miecza połyskujące obok pokutnika.

Biskup zbliżył się ostrożnie. Miał nadzieję, że tamten zasnął i rozmowa odwlecze się jeszcze. Chciał się wycofać, jednak leżący w tej chwili odwrócił głowę i na widok dostojnika powstał ciężko. W zapadłych oczodołach źrenice jarzyły się gorączką.

- Witajcie, wasza dostojność - odezwał się schrypnięty, głuchy głos. - Przyszedłeś pocieszyć potępionego?

Lambertus przeżegnał się. Po grzbiecie przebiegły mu ciarki.

- Nie mówcie tak o sobie, kasztelanie - powiedział cicho.

- Nie mówcie tak w obliczu naszego Pana.

Jędrzej spojrzął w kierunku ołtarza.

- On. - wskazał ręką - odwrócił ode mnie swoje oblicze! Biskup podążył wzrokiem za dłonią kasztelana.

- On - odparł - nie odwraca się od swych owieczek. To one raczej mają we zwyczaju oddalać się od Niego.

- Czego ode mnie chcecie, biskupie?

- Chcę wiedzieć, co się stało. Powiedzcie mi, dlaczego wczoraj kazaliście wymordować, wyciąć w pień własnych poddanych? Za to, że wam ośmielili się rzucić w oczy prawdę?

Topór pokręcił przecząco głową. Usiadł w kucki na posadzce, chwiejąc się lekko w tył i w przód.

- Za co zatem? Za to, że przybyli zobaczyć co się stanie pod klasztorem? A może widzieli tam coś, czego widzieć nie powinni?

Jędrzej nie odpowiedział, nie uczynił żadnego gestu poza rytmicznymi kiwnięciami.

- A więc o to chodzi - mruknął biskup. - Zaszło tam coś, co chcecie ukryć.

Odpowiedziało mu milczenie.

- Czy ten Pasterz Upiorów to był w istocie Ostrzew, czy...

- Dostojnik zawiesił głos.

Cisza stawała się coraz bardziej męcząca, a w biskupie narastała chęć ucieczki od przytłaczającej obecności czegoś, co towarzyszyło postaci Jędrzeja. Gdyby nie duszpasterski obowiązek, nie przebywałby z nim ani chwili dłużej.

- Widzieli zbyt dużo, słyszeli zbyt wiele - nieoczekiwanie powiedział kasztelan.

Wyprostował się nagle, przyskoczył do Lambertusa, chwytając go za kołnierz sukni.

- Powiem wam jak na spowiedzi. - Jego oddech śmierdział przetrwoną gorzałką. - Tak jak chcieliście! To nie był Przedślaw! Sami się domyśliliście, że nie! To był król. Jaki tam król! - Roześmiał się gorzko. - Upiór jego, i tyle, co go Ostrzew przywołał przed grzesznym zgonem. Żądał, bym mu na pomstę wydał zwłoki Ostępy. Na diabelską ofiarę złożył nieszczęsne szczątki mego brata! Groził karą i piekłem na ziemi straszyl! A kmiotki słuchały o tym i o uczynkach zmarłego. Więc go przebiłem, choćby po to, żeby już przestał gadać... Puścił biskupa, targnął się za włosy.

- Wtedy mi zapowiedział, że po śmierci sam w takiego jak on się obróć. I sam losu upiora zaznam. Lubo dziś jeszcze ścierwo Ostępy przed klasztor cisnę, by nim strzygi ucieszyć, aby się przekleństwu wyrwać! Przesądzony mój los! Czego bym nie uczynił, czeka mnie potępienie...

Lambertus cofnął się, jakby owionął go gorący podmuch.

- Co też powiadacie. Żeście wbrew rozkazowi ubili Pasterza, to wam księżę wybaczą. Nikt wszak nie musi wiedzieć kim był naprawdę, a ja z pewnością nie powiem. Żeście ośmielili się chrzcić miecz, za to odpowiecie już przed samym Bogiem, a on władny wybaczyć wszystko. Żeście chłopów w przyływie szaleństwa kazali wybić, to na tej ziemi jeszcze odpokutujecie. A kłtwę upiora zdejmie z was... choćby i sam papież...

Przerwał mu głuchy śmiech.

- Sami w to nie wierzycie.

- Ale... - Biskup zamilkł. - Co zamierzacie? - odezwał się po chwili.

Jędrzej usiadł na klęczniku, tyłem do ołtarza.

- Zawsze chciałem wiedzieć, jak to się stało - powiedział cicho - że się mój brat stał takim okrutnikiem. Że się ciemnymi sprawami parał... I zawsze dumny taki jakiś byłem z tego, iż sam inny jestem. A teraz wiem... Wystarczy jeden nieopatrzny gest, jeden rozkaz rzucony nie w porę, by stać się diabłem w ludzkiej postaci... Jak ja... Wystarczy jedno słowo, by życie odmienić. Czy sieje wypowie, czy usłyszy tylko, bez różnicy. Przekonali się o tym i moi chłopci. Nie wiem, ile słyszeli, bo nie widziałem kiedy pierzchli, ale zawsze... Kazałem ich wyciąć i kazałbym znów, by na ród własny cienia nie rzucać! Ale zbrodnia to jest i zbrodnią pozostania

Przełknął głośno ślinę.

- Boję się - wyszeptał. - Boję się tej klątwy. Wiem, że nikt niczego przeciw niej nie zdoła... Wy czy nawet sam święty ojciec. Dosięgnie mnie nie tu, to za grobem, tam gdzie żadna ziemską siłą jej nie zatrzyma. Może gdybym spełnił żądanie Pasterza Upiorów...

Spojrzał najpierw z odrazą na leżący miecz, a potem w stronę płyty prowadzącej do grobowej krypty.

- Zbrodnia do zbrodni - szepnął biskup do siebie. - To się nie godzi.

Jędrzej dosłyszał.

- Nie godzi się. Wiem!

- Co zamierzacie, kasztelanie?

Topór podniósł wzrok. Jego oczy lśniły już nie tylko gorętwą, ale i szaleństwem.

- Przyrzeczcie mi - powiedział - że cokolwiek by się stało, dopilnujecie, by po śmierci trupa mego spalono, a prochy rozsypano na wsze strony!

- Co też gadacie! - oburzył się biskup. - To byłby... - zawiesił głos.

- Grzech śmiertelny? - Zaśmiał się zgrzytliwie kasztelan. - Nie mówcie mi o grzechu. Moje myśli są o wiele gorsze niż ta prośba...

Jego wzrok znów pobiegł w stronę krypty.

- O wiele gorsze - powtórzył.

Rafał Dębski

KOBIETA I MEŹCZYŻNA
W HOTELU LAMBERT

Masywne drzwi zatrzasnęły się za nim, niczym wąż z głębinowego batyskafu; w pewnym sensie takim właśnie wżazem były. Poczul się raźniej. Każdy by się tak poczul, pozostawiając za plecami podobną ciemność. Straszliwy mrok.

Miał na sobie czarny frak. Uznano, że będzie to najbardziej odpowiedni strój w hotelu tej marki, gdzie niekoniecznie trzeba być młodym czy pięknym, ale z pewnością dość bogatym. Lub artystą.

W paryskim hotelu Lambert.

Wyczekiwał. Szaroniebieskie oczy badawczo strzelały po wymarłym wnętrzu. Czul się nieco rozczarowany faktem, że nie widzi żadnego ducha, podobno szczególnie upodobały sobie hol, a tymczasem nic. No cóż. Jeszcze nie teraz.

Było trochę za chłodno.

Czysta posadzka lśniła marmurem, odbijając światło długimi lodowymi smugami. Z prawej strony, między dwiema śnieżnymi kolumnami, dostrzegł recepcję. Zaskoczyła go nieco ta biel, zastępująca wszędobylskie złocenia oryginału. Inne kolory zachowały się bez zarzutu, tym bardziej więc wyróżniał się osamotniony recepcjonista, umundurowany niczym kolejarz, tkwiący sztywno za opalizującym kontuarem.

Powiedziano mu, że gdy tylko wejdzie do środka, poczuje dziwny zapach. Istotnie tak było.

- Jeszcze nie wyjaśniliśmy przyczyny, ale z całą pewnością nie jest to nic niebezpiecznego, więc się nie przejmuj. Taki widać urok tego miejsca.

Nie miał zamiaru się przejmować. Zresztą, zapach ani trochę nie był nieprzyjemny i na tyle delikatny, że z łatwością przyszło go ignorować. Ruszył w kierunku recepcji. Czarno lakierowane buty stukwały po podłodze, ożywiając echo sterylnego pomieszczenia, mimo iż starał się stąpać ostrożnie, odnosząc wrażenie, że ściąga na siebie wzrok gości. Nieznośna psycha. W holu żadnych gości być nie mogło. I nie było.

A Madeleine?

Rozejrzał się raz jeszcze. Nie. Nikogo. Madeleine również nie. To byłoby zbyt proste.

- *Bonjour, monsieur Chopin.* - Recepcjonista skłonił się uprzejmie.

Pierwsze zaskoczenie. Dlaczego Chopin? Nie zamierzał udawać wszystkowiedzącego.

- Nie nazywam się Chopin - odparł, siląc się na uśmiech.

- *Si, bien sur.* Proszę mi wybaczyć ten żart. Ale jest pan Polakiem, nieprawdaż?

- Jak pan zgadł?

- Och! To nic trudnego. O tej porze roku Polacy są u nas częstszymi gośćmi niż Francuzi. - Recepcjonista przeszedł na eufoniczną polszczyznę bez jednego

mrugnięcia powieką. Pochylił się konfidencjonalnie: - Pan Chopin nosił identyczny frak, ale... hmm... podczas koncertów.

- Chopin nie żyje. - Przybysz odsunął się odruchowo i przyglądał węglowe fałdy gatunkowego sukna.

- Niestety... Od dwunastu lat.

- Od dwunastu?

Młody mężczyzna uśmiechnął się i skinął potakująco głową. No cóż, można to i tak ująć.

- Pańska godność? - zapytał recepcjonista, sięgając po księgę gości.

- Jakub Szuszkiewicz. Ależ nie...! - powstrzymał ładujące w kałamarzu pióro. - Jeszcze nie wiem, czy zatrzymam się w tym hotelu.

- To najlepszy hotel...

- Jeszcze nie wiem czy w ogóle zatrzymam się... w Paryżu. - Poczul się niezręcznie, jak kłamca, <choć w zasadzie mówił przeciw prawdę.

- *Naturellement* - odparł dystyngowanie hotelarz, wracając do ojczystego języka. - W takim razie zapraszam *a restaurant*.

„Najbardziej mnie dziwiło, że się nie dziwią - chyba tak powiedział to Frank, pionierski oblatywacz egzotycznej czasoprzestrzeni. - W tak wielkim hotelu mają jednego gościa na tydzień i niczemu się nie dziwią. Gdyby nie to, nigdy byś nie odróżnił chronoxa od człowieka”.

Prymitywny jest ten Frank. Zupełnie nie rozumie, czym są wspomnienia. Jakby nie miał własnych.

Restauracja? Szuszkiewicz zawahał się tylko na moment, przywołując z pamięci jej usytuowanie. Tak, to na tym poziomie. Podobno wyżej znajdowały się jeszcze dwie mniejsze *café*, lecz nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek odzyskano do nich temporalny dostęp; porzeczano na dwóch kondygnacjach, co i tak okazało się przedsięwzięciem ponad możliwości.

Jedna z dwóch, połyskujących mahoniowymi ornamentami wind, była otwarta i tkwił w niej *garson* (po zmianie orientacji kulturowej, nazywany hotelowym boyem), wyglądający dość zabawnie w czerwonym mundurku i miną tak poważną, jakby pilnował królewskiego skarbcza.

Garson stał nieruchomo. Po prostu mebel - tym był w istocie. Szklanych oczu, wpatrzonych gdzieś w dal, nigdy nie przykrywały opadające powieki, gdyż układ nerwowy nie funkcjonował. Właściwie nic nie funkcjonowało. W odpowiednim czasie nie uzyskano do chłopca innego dostępu poza warunkowo konieczną trzynanosekundową korelacją. Trudno go było właściwie nazwać chronoxem. Nawet gdyby projekt nie został zatrzymany, pewnie nie podjęto by się dalszej synchronizacji. Rzecz w tym, że ponowne uzyskanie

korelacji w paśmie trzech nanosekund dla żywego obiektu graniczyło z cudem. Nie mówiąc już o kosztach.

Ale to nie *garson* przykuł uwagę Jakuba Szuszkiewicza, który o chronoxach obecnych w Lambert - nawet tych niepełnych - wiedział prawie wszystko. Nie było ich w końcu tak wiele, zaledwie siedem, w tym trzech z całkowitym dostępem. Rozmowa z hotelowym recepcjonistą wskazywała, iż wiedza ta specjalnie nie rozmijała się z rzeczywistością.

Tym, co go zainteresowało był mechanizm liczący piętra, umieszczony nad drzwiami każdej z wind. Oczywiście nie mógł to być diodowy ani ciekłokrystaliczny wyświetlacz; absolutnie nie w roku 1861. Urządzenie funkcjonowało na prawach klasycznej mechaniki, gdzie prym wiodły zębate koła i ślimacze przekładnie.

Wyglądało na to, że jest zawodne.

Pierwsze, nad windą ze skamieniałym boyem, wskazywało #1 (pojęcie parteru nie istniało), a więc prawidłowo. Jednakże nad windą drugą widniało #3, co jednak nie było możliwe, zważywszy na temporalne odtworzenie jedynie fragmentu hotelu. Po prostu wyższa kondygnacja nie istniała. Przynajmniej nie w kubaturze egzotycznej czasoprzestrzeni.

Listwa przewinęła się na #2. Realne piętro.

Równie zaskoczony co zafrapowany Szuszkiewicz śledził tę nedorzeczną wędrówkę dźwigu, odsunawszy się - mimo wszystko - nieco dalej. Bardzo był ciekaw, kto wysiadzie z tej windy. Zwłaszcza, iż ostrzegano go, by był przygotowany na różnego kalibru niespodzianki.

Tym razem nie zostało mu dane zaspokojenie ciekawości, gdyż #2 na stałe zajął pozycję w okienku licznika. Ktokolwiek był w tym dźwigu, już wysiadł.

Poprawił kołnierzyk śnieżnobiałej koszuli, szczerze zapiętej pod szyją i zawrócił w stronę restauracji. Odchodząc, nie odwrócił się. Gdyby to zrobił, miałby szansę zauważyć, jak zwariowany mechanizm jednej z wind ponownie uruchamia licznik.

#3.

Jest!

Dziesiątki pustych, zastawionych emblematami stolików, i oto tam, w głębi sali, siedzi Madeleine Leclerc. W dłoni trzyma pękaty kieliszek, na dnie którego kołysze się jasnobrażowy płyn. Koniak, jak przypuszczał Szuszkiewicz, wciąż nie dowierający swej szczęśliwej gwiazdzie. Tyle zachodu, tyle przygotowań, a oto miał ją, jak na dłoni. Może oszukiwali starego Czartoryskiego? - przyszło mu do głowy.

Kobieta nie widziała go. Siedziała na krześle, bokiem do drzwi, z nogą założoną na nodze, i kontemplowała sobie tylko widoczne fantazmaty na suficie. Ponieważ gruby dywan skutecznie tłumiał kroki Szuszkiewicza, ten celowo potknął się i potracił puste krzesło, aby narobiło nieco hałasu. Jednak Leclerc

nawet nie drgnęła. Nie zareagowała również później, gdy bez ceregieli odstawił krzesło z powrotem.

- *Pardon, monsieur.* - Minał go kelner, niosący na tacy jakieś ciastko.

Szuszkiewicz stanął jak wryty. Chronox!

Kelner minął go obojętnie, jakby miał pełną salę gości, a jeden mniej czy więcej, stający akurat na drodze, nie robił różnicy. Szuszkiewicz zaczynał rozumieć Franka. „Oni się nie dziwią”. Fakt. Dziwią się przybysze z czasoprzestrzeni podstawowej.

Kelner był w hotelu Lambert drugim (po recepcjonistce) chronoxem z pełnym temporalnym dostępem. Pozostała jeszcze pokojówka - Szuszkiewicz uśmiechnął się - najpewniej to ona rozrabia w windzie. Jego poboczne, dodatkowe zadanie polegało na inwentaryzacji chronoxów, w tym i tych niepełnych, jak windziarz. I nie wyglądało na to, żeby było ono trudne do wykonania. W ogóle nic nie wyglądało na trudne.

Począł, aż kelner poda ciastko swej jedynej klientce i zbliżył się.

- *Bonjour, mademoiselle.*

Bardzo powoli, jakby mięśnie szyi zastygły od ciągłego gapienia się w sufit, odwróciła głowę w jego kierunku.

- *Oui?* - Wąskie brwi uniosły się w górę. Była piękna.

Czartoryski pokazał Szuszkiewiczowi dziesiątki zdjęć Madeleine, począwszy od tych, gdy jako kilkulatka biegała z gołą pupą po plaży, poprzez jakieś wygłupy z przystojniakami z ogólniaka, a skończywszy, gdy w wieku lat dwudziestu dziewięciu odbierała dyplom doktora fizyki. Lecz na żadnym nie wyglądała tak... niezwykle.

Owszem: zauważył już na zdjęciach, że ładna z niej dziewczyna, trudno było tego nie zauważyć, ale nigdy nawet nie pomyślał, że jest...

Piękna?

Oprzytomniał. Co za wariactwo! Przez to wszystko zignorował fakt, że z tą kobietą jest coś nie tak. Bardzo nie tak. Wszak Madeleine Leclerc, od czterech miesięcy uwięziona w czasoprzestrzennej anomalii, zareagowała na jego widok, jak na zwykłego intruza, który beczelnie przysiadł się do stolika. Pogardliwe: „Tak?”, na widok pierwszego od czterech miesięcy prawdziwego człowieka?

Zachowała się jak... chronox.

Przysunął krzesło i usiadł, pamiętając by odsunąć poły fraka. Z niejaką ulgą stwierdził, że wcale nie wydaje mu się już taka cudowna. O! Tam zmarszczki! Na nosie parę rozmytych piegów, wcale nie z tych dodających uroku. Owszem, uroda raczej nieprzeciętna, fakt, ale w gruncie rzeczy...

- Pani Leclerc... - zaczął.

Spojrzała mu w oczy. W pierwszej chwili zatkało go, a potem nieoczekiwanie zachciało mu się śmiać.

Była pijana. Może tylko trochę wstawiona, ale z pewnością towarzyszący jej kieliszek koniaku nie był pierwszym tego dnia. Jak mógł nie zauważyć tego od razu?

- *Quoi?* - Trzepotała rzęsami, wyraźnie usiłując zebrać myśli. - Co pan powiedział?

- Jeszcze nic. - Chrząknął z zakłopotaniem. - Dopiero chciałem...

- Jak mnie nazwałeś?

Stracił całą pewność siebie. Nie bardzo wiedział co odpowiedzieć.

Popatrzyła w kieliszek, po czym jednym ruchem wychyliła zawartość. Powróciła spojrzeniem. - Rozumiem. Jest pan duchem. Nie myślałam, że wróciacie. I jak miło, że teraz potraficie mówić.

Jak na mgiełkę, którą Szuszkiewicz widział w jej oczach, miała zadziwiająco dobrą dykcję.

- Nie - odparł. - Nie jestem duchem.

Czekał na jakąś reakcję, ale kobieta wciąż tylko patrzyła na niego i to z jakąś niewątpliwą przyjemnością, która dodatkowo go onieśmiała.

- W ogóle jeszcze żadnego nie widziałem - rzekł, żeby przełamać ten impas. - Sądziłem, że więcej tu duchów niż ludzi, tymczasem wcale tak nie jest.

Oblicze Madeleine Leclerc powoli nabierało surowości. Niespodziewanie wyciągnęła rękę i dotknęła delikatnie twarzy siedzącego przed nią mężczyzny. Jego policzka, potem gładko wygolonego podbródka. Wtem cofnęła dłoń, spłoszona. Kilkakrotnie zamykała i otwierała usta, aż w końcu zaczęła krzyczeć.

Krzyczała przeraźliwie, histerycznie, nieopanowanym wybuchem paniki, a echo odbijało ten dźwięk od ścian opustoszałej restauracji, nie mając zamiaru go stłumić. Nadbiegł wystraszony kelner.

Uspokoiła się równie nagle. Drżącą ręką odprawiła fagasa, wskazując przy okazji pusty kieliszek, i wyprostowała się. Rutynowym ruchem poprawiła włosy.

- *Excuse-moi* - powiedziała cicho. - Przepraszam. Nie wiem co mi się stało.

Z jej oczu przepadła gdzieś alkoholowa zasłona; najpewniej wykrzyczała ją i rozpuściła w adrenalinie.

- Nic nie szkodzi - odparł Szuszkiewicz. - To moja wina. Byłem zapewne zbyt obcesowy...

- Pan nie jest chronoxem, prawda? - wypaliła raptem, przerywając mu w pół zdania.

Przytaknął ostrożnie, obawiając się nowego wybuchu. Niepotrzebnie.

- Straciłam rachubę. Ile czasu minęło? - spytała.

- Dzisiaj jest sto dwudziesty czwarty dzień.

- Tylko tyle? - zdziwiła się. - Byłam pewna, że to trwa kilka lat.

Nie był pewien, czy to żart.

Milczeli. Leclerc wyprostowała się i przełożyła nogi, zamieniając je miejscami. Intensywnie wpatrywała się w Szuszkiewicza, w ogóle nie mrugając powiekami.

- Zabierzesz mnie? - spytała prosto z mostu. Czekał na to pytanie.

- Tak - odpowiedział, jak było zaplanowane. - Po to przecież przybyłem.

- Ach tak! - Wykrzywiła wargi, chyba miał to być uśmiech, wciąż nie rezygnując z badawczego spojrzenia.

- Dlaczego dopiero teraz? Jak mogliście mnie tu zostawić!

- To nie ja... - Nieoczekiwanie dla samego siebie zaczął się tłumaczyć. - Była awaria. A tuż przedtem, o ile mi wiadomo, obcięto środki. A bez dotacji...

Umilkł.

Jest bardzo inteligentna - pouczano go - a przy tym mocno stoi na nogach. Choćbyś się starał jak mógł, nie sprostasz jej. Nawet nie próbuj, jeśli nie chcesz kłopotów. Im mniej będziesz mówił tym lepiej.

- Nie jesteś naukowcem - zauważyła, niejako potwierdzając tę opinię.

Wysilił się na ślad uśmiechu. Każda zmiana mimiki okazywała się wysiłkiem. Zanedo był spięty.

- Jestem prototypem - odrzekł. Ten żart przygotował sam Czarterycki.

- Prototypem? - zapytała, jak przewidywano.

- Prototypem turysty. Chronoturysty, że się tak wyrażę. Skrzywiła się z jawnym niesmakiem.

- Zatem Czarterycki postawił jednak na swoim... Wszystko da się skomercjalizować.

- *Madame?* - Jak spod ziemi wyrósł kelner. Na srebrnej tacy trzymał kolejny kieliszek koniaku.

- *Tres volontiers* - zaakceptowała propozycję.

- *Et vous, monsieur?* - zwrócił się do Szuszkiewicza.

- *Merci*. Nie lubię koniaku. Może raczej jakieś wino...

- Nie radzę - wtrąciła Leclerc. - Tu nic nie nadaje się do picia, nawet woda. Oczywiście prócz tego - uniosła nieco kieliszek. - To courvoisier, a i tak smakuje jak pomyje. Z pewnością zwymiotujesz po pierwszym łyku - dodała bez ceregieli. - Ale można, się przyzwycząić, jak widzisz. Z jedzeniem jest jeszcze gorzej. Przynajmniej trzymam linię.

Kelner odszedł.

- No i co pan powie, panie turysto? - zagadnęła ironicznie. Właśnie. Co tu mówić?

- Mają panią stąd zabrać. Ja wrócę, podam dokładne koordynaty, a wtedy oni panią zaborą.

Bez zmrużenia powieki patrzył wprost w niespotykane piękne oczy.

- Mój pokój znajduje się na piętrze - oznajmiła sennie Madeleine Leclerc.

Wspierała się o ramię Jakuba Szuszkiewicza (chwilami w zasadzie na nim wisiała), na próżno usiłując przypomnieć sobie numer pokoju, w czym głównie przeszkadzały jej powtarzające się, kilkusekundowe omdlenia.

- *Pardon!*

Szuszkiewicz nigdy jeszcze nie widział czegoś takiego. W jednej chwili była trzeźwa, a przynajmniej nie wyglądało na to, żeby było inaczej, by w następnej, po jednym czy dwóch łykach koniaku, nagle osunąć się

na krześle. Zaraz pozbierała się, przepraszając i poprawiając swe smoliste włosy.

- Nie jestem pijana, co za bzdury! - powiedziała szybko i zamknęła oczy. - To ból. Zawsze przychodzi nocą. Muszę iść spać zanim stanie się nie do zniesienia.

- Ból? - Był niemile zaskoczony. Uprzedzono go, że jej stan może być bardzo ciężki, ale zdążył już o tym zapomnieć, przekonany, iż się pomylili. Wydawała się w tak dobrej kondycji...

Dotarli do wind. *Garcon*, jak ulepiony z wosku, tkwił w niezmiennej pozycji przed dźwigiem. Kadr zatrzymany w trójwymiarowym projektorze.

- Nie, nie tędy - powiedziała Leclerc słabym głosem. - Nigdy nie korzystam z wind. Pokojówka korzystała i...

Wtuliła się mocno w ramię Szuszkiewicza. Jej włosy przyjemnie łaskotały go w twarz. Bardzo przyjemnie. Odruchowo wzmocnił uścisk i zachłysnął się powietrzem. Była taka krucha... Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że włosy Madeleine w ogóle nie pachną. Włosy każdej kobiety jakoś pachną, a tu nie czuł nic. Poza wszechobecnym delikatnym zapachem, towarzyszącym mu od chwili wejścia do hotelu.

Ale i tak było miło. Nadzwyczaj miło.

- Po schodach? Oczywiście! - Skręcił ku mahoniowej balustradzie.

Jakoś zdołał wejść na piętro.

- Tutaj! - szepnęła Madeleine i mocniej ścisnęła jego dłoń. - To ten pokój.

- Numer sto - zauważył. - Łatwe koordynaty. Nacisnął klamkę. Drzwi nie były zamknięte. Cóż, przed kim je zamykać? Spontanicznie pochwycił kobietę pod biodra i wniósł do środka niczym pannę młodą. Tuż przed tym, nim położył ją na łóżku, spojrzał w zmęczoną twarz z odległości kilkunastu centymetrów.

Jednak była piękna. Mimo wykrzywionych bólem warg. Może zwłaszcza z nim.

Odwrócił się i wrócił do drzwi, pozostawionych otwartymi na oścież. Gdzieś w oddali brzdęknął jakiś dzwonek. Winda! - zdał sobie sprawę i zciekawiony wyjrzał na korytarz. Kabiny dźwigów znajdowały się na samym jego końcu, w odległości jakichś dwudziestu metrów od pokoju Madeleine. Wystarczająco blisko, by dobrze widzieć, ale i wystarczająco daleko, by zapanować nad ogarniającym przerażeniem.

Monstrum, które wysiadło z windy, patrzyło prosto na Szuszkiewicza. Było dwunożne, odziane w dopasowany kostium, pełen żółtych drgających bąbli. Może to jednak nie był kostium lecz ciało, ale błękitna głowa, zupełnie gładka i bezwłosa, wynurzała się zza metalicznej kryzy jak ze skafandra głębinowego nurka. Ogromne oczy miały również kolor błękitu, bez śladu tęczy. Stwór uniósł ogromną, jedyną rękę, wyrastającą wprost z klatki piersiowej, po czym wycofał się. Drzwi windy zamknęły się za nim z cichym zgrzytem. Przez kratownicę Szuszkiewicz widział, jak pulsująca niczym lawa żółć unosi się wraz z windą w górę. W niebyt.

Przez dłuższą chwilę tkwił w bezruchu, oddychając płytko i głośno. Nasłuchiwał. Cisza.

To duch, próbował przekonać sam siebie. Tylko duch.

Duchy były nieznacznie chybionym strzałem w strukturę czasoprzestrzeni. Aby przywrócić do istnienia cokolwiek z przeszłości, konieczne jest dokładne skorelowanie czasowe z fragmentem egzotycznej przestrzeni. Idealna synchronizacja nie jest możliwa, nawet teoretycznie - chroni przed tym nieoznaczoność Heisenberga - ale trzy nanosekundy to wystarczające pole manewru. Choć i tak niezwykle trudne do uzyskania. Odchylenie zbyt duże, nawet w granicach czterech nanosekund, jest po prostu niepowodzeniem eksperymentu, ale nieznaczny błąd powoduje powstanie iluzji. W przypadku odtworzenia człowieka jest to iluzja chronoxa, nazwanego przez Franka Heinza, pierwszego oblatywacza, duchem, gdyż potrafi przenikać przez chronomaterię.

Błędy dla materii nieożywionej praktycznie się nie zdarzają, natomiast w przypadku istot żywych prawdopodobieństwo ich powstania jest bardzo wysokie i wynosi 0,7. Szacowano, że w hotelu Lambert powinno być przynajmniej dwadzieścia duchów. Dlatego Szuszkiewicz tak był zdziwiony, że dotąd nie ujrzał żadnego.

Nie licząc tej właśnie chwili - usiłował przywrócić swemu umysłowi racjonalny stan.

Jednakże problem polegał na tym, że stwór z windy nie mógł być duchem. Duch jest wierną iluzją przeszłości, a takie stworzenie nie żyło na Ziemi w roku 1861. Ani w żadnym innym.

- *Monsieur!* - dobiegło z tyłu. Wołała Madeleine.

Zwlekał, wpatrując się wyczekująco w niemy korytarz. Nic się nie działo. W końcu zamknął za sobą drzwi, ostrożnie, jakby obawiał się, że trzaśnięcie może na powrót wywabić potwora.

Podszedł do łóżka. Długa suknia Madeleine Leclerc podwinęła się, odsłaniając nogę aż po udo. Satynowy materiał układał się ściśle na leżącym ciele, podkreślając kształtną sylwetkę.

- Już mniej boli - powiedziała. - Nie uwierzysz, ale lekki kac jest najlepszym lekarstwem w tym kawałku świata. Prawdę mówiąc, tylko on utrzymuje mnie przy życiu. Kac - uśmiechnęła się. - Kto by pomyślał?

Nie zwróciła uwagi na błądliwość mężczyzny, na to, że w ogóle jej nie słucha i wciąż ogląda się na drzwi.

- Widziałem coś dziwnego - odezwał się wreszcie. - Przed chwilą...

Leclerc uniosła pytająco brwi. Wykonała ruch, jakby chciała się podnieść, lecz skrzywiła się w grymasie bólu i zrezygnowała.

- Coś niesamowitego wysiadło z windy - kontynuował. - Na mój widok wycofało się...

- To Obcy - powiedziała Madeleine zdumiewająco beztrosko. - Ach, prawda! Nie możecie o nich wiedzieć. Pojawili się przed miesiącem.

Patrzył na nią, jakby był przekonany, że żartuje.

- Jacy Obcy?! - wybuchnął. - Co pani opowiada?

- Kosmici, jak wolisz - zachichotała. - Kosmici!
 - Dlaczego się pani śmieje?
 - Przepraszam - zakryła usta ręką. - Nie wiem... A raczej, wiem! - Nie potrafiła przestać się śmiać. - Bo jakiś idiota wymyślił tę nazwę. Kosmici, czyli ci z kosmosu. To znaczy skąd? Bo pan, proszę pana, to niby przybył skąd? - Spowaźniała. - To raczej my jesteśmy kosmitami. My i upiorny hotel Lambert.

- My? - powtórzył bezwiednie, wiedziony chyba tylko potrzebą odezwania się.

- Przybyli około stu tysięcy lat po tym - zatoczyła ręką luk - lub po twoich narodzinach, w tej skali czasu to żadna różnica. Po ludzkości nie pozostało śladu. Może przesadzam. W każdym razie wyginęliśmy. Jak dinozaury - znowu zachichotała.

- Co za kicz! Byłoby dziwne, gdyby przy takim stosunku człowieka do rzeczywistości stało się inaczej. Nie uważasz?

- Skąd pani o tym wie? - zapytał zdumiony.

- Gdy zobaczyłam ich po raz pierwszy... i to piętro, którego być nie powinno... wysłałam pokojówkę. Chronoxa. Wsadziłam ją do windy i kazałam jechać. Sama się bałam.

Patrzyła śmiało, niemal wyzywająco w oczy Jakuba Szuszkiewicza, aż zastanawiał się ile w tym maskowanej skruchy, a ile wyrachowania.

- Pokojówka wróciła po kilku dniach - mówiła dalej.
 - Opowiedziała mi to wszystko, a potem grzecznie przeprosiła i - tylko wyobraź sobie tę scenę - wsiadła do windy i wróciła tam... do góry. Nigdy więcej jej nie widziałam, lecz odtąd Obcy zachowują się z rezerwą. Zaledwie obserwują. I to wcale dyskretnie. Mnie zostawili w spokoju, tak jak chronoxów z dołu, ale zniknęły wszystkie duchy, co do jednego. I pojawił się ten dziwny zapach.

- Przecież... - Z emocji Szuszkiewiczowi zabrakło słów. - Obcy... To niesamowite, że trafili na Lambert!

- Wcale nie. Badając pozostałości po naszej cywilizacji, prędzej czy później musieli natknąć się na anomalie w kwantowej pianie. Egzotyczna czasoprzestrzeń jest związana siłami grawitacji z Układem Słonecznym, czekała na nich przez te wszystkie lata...

Przerwała i przymknęła powieki. Jej oddech wciąż był nierówny. A Jakub Szuszkiewicz stał przed hotelowym łóżkiem -proporcjonalnie zbudowany trzydziestolatek, w czarnym fraku i zapiętej pod szyją koszuli - i już minął szok, którego doznał w korytarzu, już dostrzegał przed sobą kobietę, jej rozłożone w nieładzie włosy i to udo, wystające spod zakasanej sukni.

Niespodziewanie otworzyła oczy, aż sploszył się pod badawczym spojrzeniem, jakby przyłapała go na czymś nieprzyzwoitym. Może zresztą trochę tak było.

I wtedy zaskoczyła go po raz kolejny.

- Połóż się obok mnie - powiedziała.

Uśmiechnął się, niepewnie, z zakłopotaniem, a ona odsunęła się, robiąc miejsce. Po chwili wahania przysiadł na krawędzi materaca i położył się.

Błądził wzrokiem po gipsowych detalach na suficie, zastanawiając się do czego zmierza ta niezwykła kobieta. Czy bawi się tylko, czy może ból i samotność okazały się zbyt dotkliwe? A może...

Nagle zdał sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nie ma to żadnego znaczenia.

- Kiedy mnie stąd zabierzesz? - zapytała. Mówiła szeptem. Jak spiskowiec.

- Nie ja - rzekł głosem jak z drewna. - Mam tylko podać koordynaty. Zostawię panią w tym pokoju, na tym łóżku, a oni naniósą to na matrycę i panią zbiorą.

Milczeli przez jakiś czas.

- Wiesz jaki mam iloraz inteligencji? - zapytała nieoczekiwanie.

- Wiem. Sto pięćdziesiąt sześć.

- A ty?

- Nie mam pojęcia. - Nieznacznie poruszył ramieniem. - Kiedyś może to sprawdzano, ale nie pamiętam.

- A więc przeciętny - powiedziała. - Ludzie z nadzwyczajnym IQ dokładnie wiedzą jaki mają. To takie nasze hobby, rzecz można. Nieważne. Boisz się mnie, prawda?

Proszę? - Spojrzał na nią. Spontanicznie. Tak go zaskoczyła, że przestał się kontrolować.

Mężczyźni z typowym libido boją się inteligentnych kobiet. A gdy są ładne, boją się ich obsesyjnie.

Spiął się. Miał być rozluźniony, swobodny, ćwiczył to całymi dniami i wszystko na marne.

- Nie wiem. - Musiał przecież coś powiedzieć.

Nie "zareagowała. Nagle zorientował się, że iskiereki pod jej rzęsami są jak najbardziej prawdziwe. Łzy?

- Co się stało?

- Nie, nie - potrząsnęła głową i wycodziła przez zaciśnięte zęby: - To ból. Zaraz minie...

Rzeczywiście minął, choć wcale nie tak zaraz.

- Są coraz częstsze - powiedziała, przyszedłszy do siebie. Otworzyła szeroko oczy. Były cudowne. Jak to w ogóle

możliwe, że istnieją tak cudowne oczy?

- Przytul mnie - powiedziała. - Przytul mocno.

Jakub Szuszkiewicz, w nieskazitelnie czarnym, choć pomiętym nieco fraku, stał przy oknie, wychodzącym na wschodnią stronę (jeżeli dobrze pamiętał plan budynku). W roku 1861, tym prawdziwym, o tej porze dnia było już jasno, a jeśli dopisywała pogoda, cały pokój oświetlało słońce. Dziś najwyraźniej był właśnie taki ranek, bo gdy odsłonił story, słoneczne promienie wskoczyły do środka niczym światło z kinoaparatu. I tak jak w kinie, za szklanymi taflami okien wciąż panował mrok. Nieprzenikniona, antyakrofbiczna ciemność. Światło może i pochodziło od Słońca, lecz w tym świecie nieobecnego.

Przez krótką chwilę miał ochotę otworzyć okno i przekonać się, czy ten potworny mrok wtargnie do środka i pochłonie egzotyczną iskrę w superstrunowej

kipieli, ale nie starczyło mu odwagi. Nie starczyło, mimo iż wiedział doskonale, że otwarcie okna nie może mieć żadnego znaczenia dla panującej równowagi.

Podszedł do stołu, chwycił butelkę i wlał trochę koniaku do kieliszka. Koniak nie pachniał. Ani odrobinę. Na krawędzi szkła widniał ślad szminki.

Wypił duży łyk i natychmiast odrzucił kieliszek, który rozbił się o podłogę. Wykrzywił w obrzydzeniu wargi i kaszłąc, wypluwał resztki paskudnego smaku. Jak Madeleine mogła pić to świństwo!?

Z ociąganiem spojrzął na łóżko, na którym leżała w trochę tylko innej pozycji, niż położył ją przed trzema godzinami, niczym świeżo poślubioną małżonkę. Z pewnością kochała spać. Wtedy nic nie boli. Ani ciało, ani samotność.

A jemu pora wracać!

Pora, choć najchętniej zostałyby jeszcze, mimo martwoty otoczenia i przygnębiającej pustki-w środku samego siebie. Wiedział, że to przez Nią. Przykro mu było się z Nią rozstawać.

Ale klamka zapadła. Co być mogło - nie będzie, czego być nie musiało - stało się nieuniknione.

Podszedł do łóżka i spojrzął na Madeleine po raz ostatni.

Nie! Jednak nie była aż tak ładna... To bardzo dziwne. Raz jest piękna, raz nie. Teraz nie. Jak jakieś czary. Zdał sobie sprawę, że znowu czuje z tego powodu ulgę, jak wtedy, w restauracji. Że ponownie niewidzialny ciężar spada mu z piersi.

Odwrócił się i podszedł do drzwi. Przez dobrą chwilę jego ręka wisiała nad klamką, którą w końcu nacisnął. Już nabierał pewności, zdecydowania, choć nie mógł wiedzieć, czy coś nie stoi po drugiej stronie. Coś lub ktoś.

Powitała go pustka hotelowego korytarza.

Dla odmiany poczuł się zawiedziony. Naprawdę zawiedziony! Nawet nie spojrzął w stronę schodów i od razu ruszył ku windom. Bez wahania nacisnął przycisk przywołujący dźwig, ten z górnego piętra i czekał. Tylko chwilę. Serce biło jak oszalałe, ale na twarzy miał uśmiech, gdy winda stanęła. Odruchowo oczekiwał, że drzwi otworzą się same, i dopiero po sekundzie uprzytomnił sobie, że to nie te czasy, nie ten wiek. Tutaj windy otwiera się ręcznie. Więc zrobił to, ani na , moment nie tracąc uśmiechu. Wszedł do pustego wnętrza, jakby to było oczywiste, że nie ma tu nikogo, bo któż mógłby być w zimnym, milczącym hotelu Lambert, któż prócz kosmitów, wszak sam był kosmitą.

Lecz nacisnął tylko #1, choć palec jakby zadrżał lekko przy górnych guzikach, tak niewiele brakowało by starczyło odwagi, tak niewiele, kilka centymetrów zaledwie. Zatem ruszył w dół, a uśmiech powoli spęzał z twarzy, jak z namalowanej maski na balonie z nieszczelnym wentylem. Otworzył windę, minął z lewej strony garcon, spojrzął i w jego twarz po raz ostatni, tak pewnie patrzył Lot na swoją żonę, i wreszcie mógł usłyszeć głos recepcjonisty, wciąż tego samego, w tym samym quasi-kolejarkim mundurze.

- *Au revoir, monsieur Chopin!* - A Jakub Szuszkiewicz machnął tylko ręką, usta zacisnął jakoś gniewnie, może gimnastykując je po uprzednim uśmiechu i ruszył dalej, ku masywnym drzwiom, za którymi mrok tylko i ciemność straszliwa...

Wtem zatrzymał się. Spojrzął wstecz, ku recepcjoniście, wzrok miał hardy, na twarzy złość.

- Zamierzamy mówić ludziom, że hotel Lambert to podróż w czasie, panie kolego! - krzyknął i aż dziw bierze, iż nie rozpadły się śnieżne kolumny i nie popękał lód na posadzce. - Nikomu nie powiemy, że to tylko muzeum!

Recepcjonista patrzył za nim, nieruchomy i niemy, można by pomyśleć, że upodobił się do małego windziarza, gdyby nie to, że od czasu do czasu mrugał jednak powiekami.

- A że muzeum trzeba raz na jakiś czas zamknąć i wyremontować, tego również nikomu nie powiemy - kontynuował Szuszkiewicz. - I wielu innych rzeczy nikomu nie powiemy. Zresztą - machnął teatralnie ręką, jakby trzymał w niej dyrygencką batutę - nie my pierwsi!

Odwrócił się z powrotem ku drzwiom, ścisnął klamkę jak cytrynę i śmiało wkroczył tam, gdzie ciemno, zimno i straszno, choć instynkt przetrwania bronił się przed tym, niesłusznie widząc śmierć tylko i niebyt.

W ostatnim kroku usłyszał jeszcze:

- Obawiam się, że może mieć pan rację, *monsieur Chopin*. Ale nie zdążył już odwrócić się ku mówiącemu czy choćby

dać znak, że dotarły do niego te słowa. Przepadł.

- I jak? - pyta Frank Heinz. Odkąd udziały w TC-Corporation zapewniły mu miejsce w zarządzie, w jego życiu zaszły poważne zmiany. Zaprzestał ryzykownych wypadów do świata Lambert, ale również - a raczej przede wszystkim - zmienił mu się charakter. Jego granicząca z nieśmiałością powściągliwość wyparowała, co dla znających go wcześniej było doprawdy niewiarygodne.

- I jak!?

Reszta milczała, ale widział w ich oczach to samo pytanie.

- Co, jak?

Odsunęli się jednocześnie jak żołnierze na komendę kaprała. Chyba mówił zbyt głośno. Zbyt natarczywie. Ale wciąż jeszcze był tam, w Lambert i krzyczał do zagubionego recepcjonisty.

- Udało się?

Znowu Frank. Czy pozostali stali się niemi? Cała czwórka, wszyscy członkowie zarządu? Nawet Czartoryski?

Jakub Szuszkiewicz wiedział, że na zewnątrz, za kolejnymi drzwiami, czekają całe rzesze ciekawskich, telewizja, prasa, GlobalNet i kogo tam jeszcze spłodziła

ludzkość, i że oni również zadadzą mu takie pytanie: „Czy się udało, panie Szuszkiewicz?“, i że udzieli identycznej odpowiedzi:

- Jak najbardziej.

Ale tylko słowa okażą się takie same. Bo przecież nie powie im tego co tutaj:

- Jest w pokoju 100. Leży na łóżku. Meble nie wyglądają na porządkowane, więc koordynaty powinny się zgadzać. Wystarczy usunąć ten fragment kubatury. Im mniejszy tym lepiej. Szkoda byłoby niszczyć hotelu, prawda?

- Prawda. - Oczywiście Frank, któżby inny.

- Na pewno? - Rusza się wreszcie Czartoryski, przecież w gruncie rzeczy to jego biznes.

- Co, na pewno? - pyta Szuszkiewicz, zupełnie jak za pierwszym razem, ale teraz już nikt się nie cufa, bo i krzyk nie jest tak donośny.

- Czy na pewno pozostanie w pokoju 100, na tym łóżku, dopóki nie skończymy? - kontynuuje cierpliwie Czartoryski.

- Przecież nie żyje.

- Aha! - odpowiada uprzejmy jak zawsze Czartoryski. - Przepraszam, ale dopiero teraz to powiedziałeś. Wiesz, że lubię konkrety. W takim razie bardzo dziękuję. Jesteś wolny. I trochę więcej luzu. Tam - wskazuje ręką za okno - czekają na wiadomości od chronoturysty. Z pierwszej ręki.

Uśmiecha się, a potem wychodzi, za nim reszta zarządu, ostatni Frank, który zatrzymuje się przy drzwiach i puszcza Szuszkiewicza przodem.

- Były jakieś kłopoty? - pyta szeptem.

Jakub Szuszkiewicz odpowiada mu tak, jak za chwilę odpowie dziennikarzom, czekającym na zewnątrz gmachu TC-Corporation, gdy zadadzą takie pytanie. Ale znowu tylko tożsame okażą się słowa, bo treść zupełnie różna.

I tu, i tam, odpowiada bohatercko lub cynicznie, zależnie od punktu widzenia.

- Życie bez kłopotów byłoby nudne.

Krzysztof Kochański



SHORTY**Złe zabawki**

Sytuacja zdążyła się już wyklarować i obraz stał się przejrzysty. Rick pierwszy dopadł pistoletu. Małego poręcznego SN „Flea” kaliber 3.15. Teraz trzymał go, celując prosto, w głowę Teda i przeżuwał tister, usiłując opanować oddech.

Miejsce wydawało się wprost idealne do sytuacji. Doskonale kiczowaty opuszczony magazyn, gdzieś w jakiejś portowej dzielnicy miasta zbyt dużego, by przejmować się kolejną śmiercią. Jediną różnicę stanowił fakt, że magazyn ów pozbawiony był jednej ze ścian, tej która przeważnie i tak stanowiła bramę wjazdową. Nieopodal leżało trochę szczątków czegoś, co kiedyś mogło być ciężkim sprzętem budowlanym.

Ted nie pierwszy raz znajdował się w takiej sytuacji, ale mimo to zimny pot spływał mu po plecach. Nienawidził tego uczucia. Wiedział jedno - jeśli tamten od razu nie pociągnął za spust tylko kazał mu siadać - miał jeszcze jakąś szansę.

- Hmm - powiedział Rick, gdy tylko zaczął odczuwać odprężające działanie tisteru - pewnie nawet nie wiesz, kim jestem. Od razu uprzedzę cię, że ta cała sprawa to nie przypadek. Nie powiem też, że to nic osobistego... to właśnie jest bardzo osobiste.

Ted nie odezwał się ani słowem, tylko pot zaczął płynąć po jego plecach jakby większym strumieniem i wydawał się znacznie zimniej szy.

- Pamiętasz może Rean? Taką drobną blondynkę z motelu „Dzień od Salsville”? Jedenaście lat temu? - Rick zawiesił na chwilę głos, ale ponieważ nie zauważył żadnej reakcji, kontynuował: - Miała wtedy szesnaście lat. Nosila twoje dziecko. Znalazłem ją w piwnicy czternastego września. Powiesiła się. Od tamtej pory żyłeś na kredyt.

Na zewnątrz zrobiło się nieco głośniejsze, jakby odgłosy miasta przybliżyły się do nich, ale żaden z nich nie zwrócił na to uwagi.

Rick wypluł pozbawioną już smaku gumę, uśmiechnął się szeroko i pociągnął za spust. Ted nawet gdyby chciał, nie mógł się już mocniej spocić.

Kula wyleciała z lufy, lecz w połowie drogi zatrzymała się i spadła na podłogę nie wydając żadnego odgłosu. Gdyby była istotą świadomą, na pewno byłaby mocno zdezorientowana. Obaj mężczyźni powoli opuścili głowy i zatrzymali się w bezruchu.

Odgłosy miasta przybliżyły się jeszcze bardziej i zaczęły być rozróżnialne.

- Kcchss'ft, sssch'ttk fsssss'kt tktkkk'csch!!! - powiedziało miasto.

- Ssschttfk'ttkftssskchhhss'tsssf - powiedział Kcchss'ft i zaczął składać zabawkę.

Cały magazyn uniósł się i mocno pochylił. Kula kalibru 3.15 powoli zsunęła się do miejsca, gdzie kończyła się podłoga i wypadła. Kilka metrów niżej rozplynęła się w powietrzu. Gdyby była istotą świadomą...

Deszcz na żółto i na niebiesko

Deszcz, który spadł tamtego dnia, nie wyróżniał się niczym szczególnym. Poza tym, że był żółty. Tak samo żółty jak słoneczniki, które błyskawicznie po nim wyrosły na każdym dostępnym kawałku ziemi. Różnej maści naukowcy, jak i szarlatani, nie potrafili wyjaśnić tego fenomenu. Przez jakiś czas tylko w brukowej prasie pojawiały się artykuły, a to o przecieku z tajnego laboratorium broni biologicznej, a to o biblijnej mannie z nieba.

Stary Jack, zwany przez wszystkie dzieci z okolicy wujkiem, też miał swoją teorię, którą opowiadał każdemu. Z zainteresowaniem słuchały go jednak tylko dzieci. Mówił, że widział małe zielone ludziki z czerwonymi kapturkami na głowach, grzebiące coś w nocy w jego ogródku. Fakt faktem słoneczniki nigdzie tak nie obrodziły jak u starego Jack'a.

Po kilku dniach życie znowu wróciło na swoje dawne tory. Jedyne mówiono jeszcze, w związku z tą sprawą, o kilku rolnikach z pobliskich gospodarstw agroturystycznych, protestujących przeciwko nieuniknionemu spadkowi cen pestek i przebąkujących coś o blokowaniu dróg.

Deszcz, który spadł równo tydzień po żółtym, był niebieski. Kałuże po nim wyglądały bardzo ładnie i wysychały jakoś szybciej, nie pozostawiając żadnych plam, ku uciesze ludzi odpowiedzialnych za sprzątnięcie miasta. Wszystkie słoneczniki po nim zwiędły.

Jednym z nielicznych, którzy zachowali spokój, był, łuskający swoje ulubione pestki z dyni, piekarz z naprzeciwka, który całe zajście skwitował słowami: „Allah dał, Allah wziął”, nie przejmując się żegnającym się na te słowa księdzem.

W życiu miasta nic się nie zmieniło od tamtej pory. No, może prócz faktu, że przez cały rok trudno było kupić pestki ze słonecznika. Nigdy więcej jednak nie było już u nas tak kolorowo.

Dom na wzgórzu

Na wzgórzu stał dom starców. Nie miał wielu pensjonariuszy. Większość z nich stanowiły kobiety. One przeważnie żyją dłużej od mężczyzn.

Dwie z nich siedziały teraz na ławeczce w parku. Ta wyższa nie lubiła luster. Czasami mówiła sama do siebie. Zawsze starannie upinała swe długie, siwe włosy w kok. Ta druga ubierała się zawsze bardzo kolorowo i lubiła dokarmiać małe zwierzęta. Teraz grały ze sobą w warcaby, jak codziennie po obiedzie. Ich myśli krążyły gdzieś w przeszłości.

To były Królowa Śnieżka i Kopciuszek. Im spełniła się przynajmniej połowa przepowiedni. Żyły długo. Ale czy szczęśliwie?

Andrzej „Soulless” Kozakowski

księgarnia alternatywna jacka dukaja

CHRZEŚCI JANIN KWANTOWY

Antoni Lucjan Tarsche nigdy nie przebił się do masowej świadomości - inaczej zwanej popkulturą - i nie doczekał się nawet wzmianek w encyklopediach. Być może gdyby skupił się na jednej dziedzinie, jednym wyzwaniu... jako łatwiejszy do zaklasyfikowania, szybciej znalazłby drogę do historii. Tymczasem z wielkim trudem dorobił się jedynie etykiety dziwaka. Sam zresztą nic o nim nie wiedziałem, sięgając po biografię pióra Krzysztofa Rutkowskiego.

Sen o burzy nie jest wszakże typową biografią, to raczej zbiór esejów opowiadających o rozmaitych przedsięwzięciach i zainteresowaniach Tarsche - w sumie szczupła książeczka. Kilka esejów poświęconych jest jego twórczości: pisywał wiersze i dramaty, najbardziej znany pozostaje jego poemat *Sen o burzy* (stąd też tytuł książki). W większości jest to jednak katalog pomysłów Tarsche, a każdy następny bardziej zakrecony od poprzedniego.

I żeby jeszcze dało się o Antonim powiedzieć: „wariat”; żeby on zdradzał jakieś symptomy chorobliwego irracjonalizmu! Tymczasem wręcz przeciwnie: zawsze trzymał się żelaznej logiki, konsekwentny do bólu głowy. W ten sposób dochodził do największych szaleństw.

Wydaje się, że z myślą o takich ludziach pisał Gilbert Keith Chesterton: „Wyobraźnia nie jest pożywką szaleństwa. Pożywką szaleństwa jest właśnie rozum. Poeci nie stają się wariatami; ale szachiści - owszem. Wariują matematycy i kasjerzy; twórczy artyści - bardzo rzadko. (...) Zagrożenie tkwi w logice, nie zaś w wyobraźni”. Antoni Lucjan Tarsche urodził się we Wrocławiu w sylwestra roku 1899, z ojca zegarmistrza (katolika) i matki niespełnionej poetki (protestantki). Z początkiem I wojny światowej cała rodzina przeniosła się do Genewy, gdzie Antoni (z krótkimi przerwami) mieszkał do końca życia (tj. 13 sierpnia 1976). Odebrał wykształcenie staranne, acz nazbyt ogólne, by zapewnić konkretny zawód. Dłuższy czas zarabiał jako prywatny nauczyciel języków. W 1925 roku spotkał Irinę Szorobin, szesnastoletnią podówczas ucieki-

nierkę z bolszewickiej Rosji, pracującą jako asystentka starego iluzjonisty (połykała miecze, jak twierdzi Rutkowski). Tarsche ożenił się z nią po tygodniu; pozostał jej wierny aż do śmierci (przeżyła go o sześć miesięcy). Nie mieli dzieci. W relacjach krewnych i znajomych Irina jawi się jako aktywny uczestnik, jeśli nie współinspirowany, wszystkich zwanianych pomysłów męża; w każdym razie dopiero po ślubie zaczął on je realizować.

Najsłynniejsze z szaleństw Antoniego Tarsche przeżyło swego twórcę i jest kontynuowane po jego śmierci. Siedziba Kościoła Bardziej Prawdziwego (czasami zwanego również Kościołem Najwyższego Prawdopodobieństwa) mieści się w Genewie przy Ruedu Mandement, w budynku dawnego gimnazjum. Obecnie Kościół funkcjonuje raczej jako instytut historyczno-teologiczny. Głównym, bodaj jedynym jego zadaniem, jest wydawanie nieregularnych biuletynów, rozsyłanych do wszystkich zarejestrowanych członków Kościoła (podług ostatnich udostępnionych danych było ich ponad szesnaście tysięcy na całym świecie). Czasami organizuje także seminaria, na które zaprasza teologów i historyków z europejskich uniwersytetów.

Idea zaczęła kiełkować w umyśle Antoniego w roku 1953; przechodził on właśnie fazę fascynacji naukami ścisłymi, szczególnie fizyką jądrową, która była wówczas na fali, dopiero co rozpoczął się wyścig zbrojeń nuklearnych. Tarsche przegryzł się przez materiał z charakterystyczną dla siebie metodycznością. Fizyka kwantowa wraz z teorią

wielu światów (że każde zdarzenie kwantowe kreuje nowy wszechświat, w którym - powiedzmy - elektron odbił się w prawo, nie w lewo) oraz swoistą obsesją postrzegania wszystkiego w kategoriach chmur probabilistycznych, funkcji falowych, określających gęstość prawdopodobieństwa danego wariantu rzeczywistości (że elektron w danej chwili znajduje się akurat w tym miejscu) - doprowadziły Tarsche do pytania, które często zadajemy sobie w tonie retorycznym: czy obecna postać naszego świata jest postacią konieczną? Czy jest przynajmniej postacią najbardziej prawdopodobną?

Pytanie traktujemy jako retoryczne, bo właściwie jakie dla nas znaczenie może posiadać odpowiedź na nie, jakkolwiek by się okazała? Tak czy owak, wyjść poza tę rzeczywistość do rzeczywistości alternatywnej nie potrafimy, nie potrafimy tam nawet zaglądnąć - ot, pozostają puste spekulacje. Istnieje tu wszakże wyjątek - zauważył Tarsche - istnieje jedna dziedzin, w której odpowiedź na owo pytanie posiada bezpośredni wpływ na nasze życie; a w każdym razie na życie tych, którzy dzielą wiarę w pewien zestaw założeń co do spraw fundamentalnych.

A mianowicie:

1. że istnieje Bóg (zgodny z tradycją judeochrześcijańską);
2. że ludzie posiadają wolną wolę;
3. że historia świata nie jest z góry zdeterminowana, ani że Bóg w nią nie ingeruje na bieżąco, nagińając bez przerwy do założonego wzorca;
4. że nasze postępowanie za życia będzie mieć wpływ na nasz los po śmierci.

Do Kościoła Bardziej Prawdziwego mogą należeć wszyscy ci, którzy podzielają cztery powyższe przekonania. Czyli większość chrześcijan - to nie są jakieś ekscentryczne postulaty. W istocie Kościół Bar-

dziej Prawdziwy tym jeszcze różni się od innych Kościołów, że nie żąda od wiernych wyłączności - jest raczej czymś w rodzaju aplikacji do religii niż religią jako taką. Nie posiada własnego zestawu dogmatów, które trzeba by zaakceptować a priori. Teoretycznie można być przykładnym katolikiem - i należeć do Kościoła Tarsche.

Tarsche szczyił się ową bezdogmatycznością. „Wystarczy się zastanowić - pisał - wystarczy przez chwilę logicznie pomyśleć. To przecież jest oczywiste”.

Rozumowanie biegnie następująco:

Jeśli chcemy zapewnić sobie szczęście w bytowaniu pośmiertnym, musimy za życia stosować się do reguł etyki, prawa i rytuału maksymalnie zbieżnych z wolą Boga. Ją z kolei wywodzimy z danego nam Objawienia. W przypadku chrześcijaństwa mowa tu o Piśmie Świętym oraz tradycji, kształtowanej i interpretowanej przez Kościół (Kościół).

Sęk w tym, że przyglądając się historii tych interpretacji, aktualizacji i uzupełnień (bo żadne Objawienie nie może być kompletne i jednako przystające do wszystkich czasów i kultur), nie sposób oprzeć się wrażeniu, iż decydującą w nich rolę nierzadko odgrywał przypadek, okoliczności całkowicie przyziemne: polityczne, ekonomiczne, nawet towarzyskie.

Podobne wątpliwości można rozwiązać dogmatyczną mantrą: „skoro tak jest, to tak być musi, tak być powinno”; że obojętnie za czym pośrednictwem i z jak niskich pobudek -zawsze i wszystko dzieje się podług boskiego zamysłu, Duch Święty kieruje ręką Borgii. Ale rozumowanie Tarsche nie jest skierowane do tak radykalnych deterministów - ich odsiewa założenie nr 3.

Aby przyznać rację Antoniemu, wystarczy przyjrzeć się historii poszczególnych rozsądzeń teologicznych, drodze, na jakiej utrwaliły się w religii kwestie uznawane dzisiaj za oczywistości, na przykład sprawa posiadania duszy przez dzieci nienarodzone (a więc i aborcji), równości

ludzi wszystkich ras i obu płci, problem rozwodów czy celibatu księży - żeby nie wspomnieć o niezliczonych subtelnym wartościowaniach etycznych (np. czy grzechem jest udzielanie wysokooprocentowanych kredytów znacznego ryzyka - było nim jeszcze parę wieków temu).

Celibat księży (co zostało stwierdzone explicite przez Sobór Watykański II) nie wynika z samej natury kapłaństwa - zarówno długa tradycja chrześcijaństwa pierwszego tysiąclecia, jak i przykład Kościoła Wschodniego przeczą takiemu założeniu. Jak więc utarła się ta „oczywistość”? Zwłaszcza, że jest ona dokładnie przeciwna nakazom zawartym w samym Objawieniu. Pismo poucza: „Biskup więc powinien być nienaganny, mąż jednej żony (...), dobrze rządzący własnym domem, trzymający dzieci w uległości, z całą godnością. Jeśli ktoś bowiem nie umie stanąć na czele własnego domu, jakżeż będzie się troszczył o Kościół Boży?” (1 Tm 3, 2-5). Także i św. Paweł napomina: „Nie unikajcie jedno drugiego, chyba że na pewien czas, za obopólną zgodą, by oddać się modlitwie; potem znów wróćcie do siebie”. (1 Kor 7, 5). Ale każdy nakaz można wyinterpretować na nice, i tak uczynił w roku 386 papież Syrycjusz: skoro modlitwa wymaga wstrzemięźliwości, to kapłan powinien w ogóle unikać współżycia. Początkowo wszakże, zgodnie z wykładnią św. Ambrożego, zakaz nie dotyczył małżeństw zawieranych przed przyjęciem święceń. Kapłani podzielili się na celibatariuszy i żonatych. Na niektórych synodach i soborach przeważał jeden pogląd, na innych - drugi; różnych teologów słuchali i różnych filozofów czytali kolejni papieże. Asceci nakarmieni filozofią grecką głosili nakaz czystości zupełnej (Orygenes w tym celu się wykastrował); z drugiej strony np. Kano ny Apostolskie nakazywały kategorycznie: „Biskupowi, prezbiterowi ani diakonowi nie wolno pod pozorem pobożności odesłać od siebie żony. Jeśliby tak uczynił, powinien być ekskomunikowany”. Co zatem zdecydowało, co złamało tę chwiej-

ną równowagę? Atrakcyjność rozwiązania politycznego i ekonomicznego problemu obsadzania stanowisk kościelnych, kwestii rozdziału majątku prywatnego (rodzinnego) od kościelnego. Kampania ruszyła w XI wieku: zaczęło się od uznania dzieci urodzonych po wyświęceniu ojca za bękartów, żon kapłanów za ladacznice, bez wstępu do kościoła, które można ekskomunikować czy sprzedać w niewolę. Teologiczno-polityczna wojna z klerogamią ciągnęła się jednakowoż przez wieki, aż wreszcie po Soborze Trydenckim zdecydowano się na rozwiązanie zupełnie przeczące Pismu, ale za to najbardziej pragmatyczne: zaniechano wyświęcania żonatych. Wszakże w przypadku Kościoła Wschodniego elektron odbił się w prawo: jedynie biskupom nie wolno posiadać tam żon.

Mogło więc być tak, mogło inaczej, w tej i innych kwestiach. Antoni Tarsche wyraźnie ujrzał tę mnogość światów alternatywnych, alternatywnych Kościołów, teologii, etyk. Jak ocenić, które z nich są najbardziej prawdopodobne i gdzie się między nimi na owej skali mieszczą wersje zrealizowane w naszym świecie?

Należy rozpatrywać chrześcijaństwo (i każdą inną religię) nie w tej jednej, wyznaczonej przez historyczną ruletkę formie - lecz w pełnym bogactwie wszystkich jego wariantów: FUNKCJĘ FALOWĄ CHRZEŚCIJAŃSTWA. I żyć podług zasad sankcjonowanych przez chrześcijaństwo z ekstremum funkcji: najbardziej prawdopodobne; do którego prowadzi największa ilość ścieżek.

Sądzić, że akurat nasz świat realizuje ten wariant, jest nie opartym na niczym przesądem, czystym myśleniem życzeniowym.

O ile zresztą funkcja jest nieco mocniej wyplaszczona lub rozrzuć szerszy, nawet jej maksimum może oferować pewności zaledwie promi- lowe.

Co zatem należy robić, by uzyskać możliwie największą pewność szczęścia pośmiertnego? To, co zrobił Tarsche: zatrudnić specjali-

stów dla wykreślenia historii Kościoła najmniej przypadkowego, chrześcijaństwa takiego, które byłoby najbliższe Bożemu zamysłowi z Objawienia. A ponieważ nieustannie zmieniają się dominujące teorie wśród historyków, metodologie badań przeszłości, lingwistyczne analizy Pisma Świętego i apokryfów - należy cyklicznie uaktualniać ten szkic, zarys, domysł funkcji falowej chrześcijaństwa. I tym właśnie zajmuje się do dzisiaj Kościół Bardziej Prawdziwy.

Ostatnio zaczął on zbierać fundusze na założenie swej filii islamskiej...

Podnoszono dwa poważne zastrzeżenia przeciwko rozumowaniu Tarsche.

Pierwsze: że Bóg nie byłby tak „okrutny”, by sądzić ludzi za to, iż nie stosują się do reguł z innych światów możliwych. Problem w tym, że to samo zastrzeżenie można podnieść w stosunku do sądenia innowierców, ludzi z innych czasów i kultur. Albo więc etyka i nakazy religijne pozostają abolutne, prawdziwe bezwzględnie, albo nie.

Drugie: że do definicji chrześcijanina danego obrządku (katolika, prawosławnego, baptysty etc.) należy wiara w konieczność i „boskość” aktualnej formy Kościoła i wszystkiego, co ona implikuje; nie można zatem - wbrew twierdzeniom Tarsche - równocześnie przyznawać rację Kościołowi Najwyższego Prawdopodobieństwa.

To stanowisko wszakże nie obala argumentacji Antoniego - nawołuje jedynie do wiary na przekór rozumowi, który ulega logice Tarsche.

Aby uzyskać pełny obraz osobowości Antoniego Lucjana Tarsche, należy umieścić ideę Kościoła Bardziej Prawdziwego w kontekście innych pomysłów wrocławianina.

Wiele z nich miało na celu sukces komercyjny. Tarsche ponosił tu spektakularne porażki z regularnością godną telewizyjnego sitcomu.

Założył on m. in. Editions ALT, wydawnictwo poświęcone publikowaniu nowych arcydzieł dawno zmarłych mistrzów poezji i prozy. Wynajmował (za wysokie stawki

godzinne) najsłynniejsze media międzywojennej Europy, aby dyktowały, powtarzając za ich duchami, nieznanne dramaty Szekspira, wiersze Byrona, nawet trzecią epopeję Homera.

Stosunkowo najmniej stracił na produkcji medykamentu o nazwie „Placebo”. Było to placebo. (Koszty utrzymały się na niskim poziomie, ponieważ pastylki zawierały wyłącznie pustą masę glukozową i jako takie nie wymagały żadnych atestów farmakologicznych). Tarsche rozumował następująco: ponieważ, jak wykazały badania, większość mieszkańców miast zachodniej Europy i tak zażywa leki wyłącznie dla efektu placebo, dlaczego nie dać im tego samego dziesięć razy taniej?

Gdy rada miejska Genewy wydała zarządzenie karzące wysoką grzywną właścicieli publicznie kopulujących psów, Tarsche (sam właściciel trzech owczarków) wystąpił z ideą psiego burdelu.

Tarsche zgłaszał się również kilkakrotnie do rady miejskiej z prośbą o dotacje na „ośrodek świeckiej spowiedzi”. Ta z kolei idea narodziła się po wizytach Antoniego u psychoanalizy. Doszedł on do wniosku, że jest to bezpośredni świecki odpowiednik katolickiego rytuału spowiedzi. Ulgę dla duszy przynosi samo wywnętrzanie się obcemu człowiekowi w warunkach gwarantowanej dyskrecji i profesjonalnego dystansu; nie trzeba po temu wierzyć w Boga i przyjmować na barki całej teologii winy ani, tym bardziej, płacić za freudowskie kuracje. Byłoby więc z wielkim pożytkiem dla zdrowia psychicznego obywateli Genewy (jak i ich bezpieczeństwa, skoro zmniejszyłaby się liczba przestępstw), gdyby utworzono dla publicznego, bezpłatnego użytku „świeckie konfesjonały”.

Książka Rutkowskiego zawiera więcej takich historii. Z ich lekko ironicznego tonu trudno wywnioskować, czy sam Tarsche brał te przedsięwzięcia serio, czy też były to wyrafinowane żarty w stylu Andy'ego Kaufmana. W każdym razie trzeba przyznać, że Tarsche - podobnie jak Kaufman - pozostał w

nich konsekwentny aż do samej śmierci (a zapewne i po niej).

Aldous Huxley umierając, kazał żonie podać sobie LSD-25 i czytać na głos *Tybetańską Księgę Umarłych*; Tarsche natomiast polecił z łoża śmierci dyktować sobie daty i miejsca pośmiertnych manifestacji, mnemotechnicznie skomponowany plan eksperymentu eschatologicznego. Złożył on był u notariusza serię listów-wskazówek, do otwarcia każdorazowo po zaplanowanym „Objawieniu”, aby uniknąć zasugerowania uprzedzonego obserwatora. W listach wymienia miejsca i daty, gdy będzie się starał po swojej śmierci przedostać do świata żywych.

Radzę więc zapamiętać to nazwisko - niewykluczone, że Antoni Lucjan Tarsche objawi się właśnie tobie.

Krzysztof Rutkowski: *Sen o burzy. Życie i szaleństwa Antoniego Tarsche*
Czytelnik 2002
cena: 22,00 zł

galeria osobliwości feliksa w. kresa

DZIEŃ DOBRY, ALE NIE DLA KAŻDEGO

Dzień dobry, najpierw się przedstawię: nazywam się Feliks W. Kres i piszę książki. Jako publicysta na łamach „Science Fiction” goszczę po raz pierwszy, nikt nie ma obowiązku mnie znać, ani tym bardziej - niestety - podziwiać, za to każdemu wolno przysłać list. I na to właśnie liczę. Jeszcze półtora roku temu prowadziłem na łamach ś.p. „Fenixa” rubrykę zatytułowaną *Kącik złamanych piór*. Z pozycji starszego kolegi po fachu, próbowałem tam oceniać debiutanckie utwory, a całość dopełniałem felietonem dotyczącym zagadnień ogólnoliterackich. Formuła tej rubryki wyczerpała się z czasem, bo ile można napisać felietonów o przecinkach i zaimkach - zrezygnowałem więc z jej prowadzenia, „Fenix” zaś zaraz upadł (nie wiązałbym tych dwóch faktów; to nadinterpretacja). Tyle przeszłość.

A terażniejszość obnaża żółte kły. Z powodów, których teraz nie zdradzę, upatrzyłem sobie kolejną ofiarę, to oto zacne pismo, i przez jakiś czas będę na nim pasożytniczo (zobaczymy jak długo). Nie zamierzam wskrzeszać *Kącika*; to bez sensu i nudne. W zamian proponuję coś w rodzaju cyklu pełnowymiarowych omówień-recenzji ku podziwowi bliźnich, uciesze gawiedzi, autorom zaś ku przestrodze i nauce. Krótko mówiąc: proszę przysyłać mi teksty. Będę je czytał, a następnie niektóre oprowaźniałem na tych łamach, starając się przystępnie - ale za to bardzo niehumanitarnie - wykażać, co jest dobrze, co źle. Ponieważ, niestety, nie mogę obiecywać samych kar, postaram się i o nagrody. Jeśli trafi w moje ręce tekst naprawdę przyzwoity lub dobrze rokujący, przekażę go komuś, kto będzie wiedział, co z nim zrobić. Żeby wszystko było jasne: moja rekomendacja nie zagwarantuje druku, bo nie ja decyduję o tych sprawach. Obiecuję tylko, że utwór trafi do odpowiedniej osoby z notatką, iż napisany jest po polsku i spełnia ogólne wymogi dzieła literackiego. Na pewno nie ocenię pomysłu, tematycznej oryginalności i tak dalej, bo nie mam o tym zielonego pojęcia. Nie wiem, co jest na topie, czym żyje teraz świat fantastyczny, a co właśnie uznaje za obciach, umiem tylko ocenić warsztat literacki. Zdarza się więc, że zachwycony jakimś tekstem, czuję się głupawo, gdy

znajomy powiada: „No dobrze, stary, to jest rzeczywiście bardzo ładnie napisane, ale o inwazji Marsjan już dość często opowiadano”.

Teraz kilka uwag technicznych. Autorzy wszystkich przesyłek mogą być pewni mojej dyskrekcji, nikt nie pozna ich nazwisk. Przytoczę tylko tytuł omawianego utworu - jednego w każdym odcinku Galerii - ewentualnie jeszcze jakąś ksywkę, pseudonim autora. Jeśli pseudonimu nie będzie, poprzestanę na tytule, nie umieszczę nawet inicjałów. Po drugie: autorzy tekstów, które komuś zarekomenduję, dowiedzą się o tym; będzie dyskretna wzmianka na moim dole. rubryki, a w przypadkach szczególnych nawet krótki prywatny list ode mnie. Po trzecie: od czasu do czasu, jak sądzę, trafi się utwór nie nadający się do druku, ale i nie hańbiący autora; nie zasługujący na krwawą łaźnię, zarazem jednak wart omówienia, z jakichś przyczyn. Nie wiem, jak często, ale na pewno zdarzą się i takie odcinki Galerii, w których nikt nie zginie. Natomiast ten, kto nie doczeka się żadnej wzmianki, nie powinien czuć się pokrzywdzony. Dwu-, trzyzdaniowe minirecenzje, jakie zamieszczałem w „Feniksie”, niczego tak naprawdę nie załatwiały, dlatego tym razem postanowiłem każdorazowo omawiać tylko jeden tekst, obszernie - no, ale oczywiście kosztem przemilczenia innych. I wreszcie sprawa czwarta: zapraszam wszystkich Czytelników pisma do

żywiolowej i nieskrępowanej dyskusji o literaturze, sztuce, fantastyce i rzeczywistości. Wiem, co to jest polityczna poprawność i bardzo się tym brzydzę, wolno więc kierować do mnie w listach wszelkiego rodzaju herezje; mam nadzieję, że naczelny przymknie oko na Sodomę i Gomorę, które zamierzam tutaj mu zbudować.

I nie koniec na tym; jeszcze o sprawach technicznych. W liście załączonym do utworu (albo liście do niczego nie załączonym) wolno zastrzec cokolwiek. Nawet to, że dzieła nie wolno rozmontować na łamach, mogę je tylko przekazać do druku, bądź przemilczeć. Utworów takich oczywiście nie będę czytał, ale nadsyłać je można. Dalej: jeśli ktoś zetknął się z moją prozą i kocha ją, bądź nienawidzi, to też może o tym napisać, dając upust wezbranym uczuciom, ale rozmawiać na łamach o podobnych sprawach nie będziemy. Ma to być jedna z rubryk wpisujących się w publicystyczną część działalności „Science Fiction”, nie zaś plansza reklamowa, kącik miłośników i wrogów prozy imię Kresa; Kresowy masturbator bądź pręgieryz pod którym będzie z masochistyczną rozkoszą stawał. Przecież to tylko przykry zbieg okoliczności, że felietonista jest zarazem powieściopisarzem. Z uwagami o Galerii sprawa, rzecz jasna, ma się inaczej; Galerię jak najbardziej możemy się zajmować.

Na koniec pragnę wyjaśnić, czemu to wszystko ma służyć i dlaczego będzie wyglądało tak, a nie inaczej. Służyć ma (wymieniam w kolejności przypadkowej) atrakcyjności pisma, otrzymaniu przeze mnie honorarium, nauce autorów, zabawie czytelników. Natomiast forma musi być po prostu atrakcyjna, bo nadęte teoretycznoliterackie wykłady są nudne jak jasna cholera i trudno z nich wynieść cokolwiek pożytecznego. Nie należy przy tym zapominać, że każde niedotowane

pismo utrzymują jego Czytelnicy, ci zaś mają prawo za swoje pieniądze dostać coś niehermetycznego, co nie będzie skierowane tylko do pięciu czy dziesięciu literackich debiutantów. Ktoś inny na moim miejscu zaproponowałby Czytelnikom, być może, zabawne lecz ciepłe przypowieści o literaturze, lecz ja niestety tego nie potrafię.

I to wszystko na „dzień dobry”.
Czekam na utwory i listy.

Feliks W. Kres

Namiary:

Przesyłki zwykłe (z odbiorem poleconych mam kłopot) proszę kierować pod adresem:

Feliks W. Kres

skr. poczt. 1

90-955 ŁÓDŹ 8

Najlepiej wydruk bądź maszynopis, bo z ekranu kiepsko się czyta, a jeszcze gorzej z notatkami na marginesach. Ostatecznie niech będzie dyskietka z tekstem w jakimś pros tym formacie (powiedzmy rtf.).

rafał a. ziemkiewicz

WYWIAD

Twoja Viagra mać trafiła na listy bestsellerów „Rzeczpospolitej” i „Gazety Wyborczej”, a w rankingach internetowych dotąd pozostaje na czołowych miejscach. To się bardzo rzadko zdarza w wypadku zbioru felietonów i komentarzy politycznych.

Tak rzadko, że kilka dużych wydawnictw ją odrzuciło, mówiąc wręcz, że mnie lubią, ale felietonów nikt nie kupi. Może to dlatego, że zazwyczaj w takich zbiorach autorzy mechanicznie zsypują na kupę, co tam drukowali w prasie przez ostatnich parę lat. Ja się zabrałem do rzeczy inaczej - z czterech i pół tysiąca stron napisanych w ostatnim pięcioleciu wybrałem około trzystu, przejrzałem je ponownie, poprawiłem i dopisałem kilkadziesiąt nowych. Niektórzy recenzenci zgłasza-li pretensje, że pod poszczególnymi felietonami nie ma dat. Nie może ich być, data jest jedna - wydania całego zbioru.

Komentując sprzedaż twojej książki autor listy bestsellerów, Andrzeja Rostocki, napisał, że „masz już swoich wyznawców”.

Nie chcę mieć wyznawców, jeśli dobrze to słowo rozumiem. Nie robię wokół siebie żadnych ruchów „gurutwórczych” i nie zabiegam, by ktokolwiek chłonał moje słowa jak prawdy objawione. Zwracam się do takich czytelników, którzy poszukują innego spojrzenia, ucieczki od wszechobecnego schematu, od obowiązujących w tzw. wiodących mediach jedynie słusznych poglądów. Jeśli moje nazwisko po dziesięciu z górą latach publicystycznej orki jest rozpoznawane i skłania kogoś do wydania dwudziestu paru złotych, to chyba dlatego, że zdołałem ludzi przekonać, iż mają do czynienia z człowiekiem nie należącym do żadnej koterii i piszącym, co myśli. Jestem bardzo dumny ze swej niezależności i ze zwyczaju nazywania spraw po imieniu, ponoszę

dla nich pewne niewygodę i mój czytelnik może być pewien, że firma „Ziemkiewicz” oznacza tekst uczciwie przemyślany i uargumentowany.

Jak Ziemkiewicz - publicysta i Ziemkiewicz - pisarz SF dzielą się Twoim czasem?

Publicysta zabiera go więcej, niestety, bo to on utrzymuje pisarza i jego rodzinę. On też odnosi większe sukcesy, także na rynku księgarskim. Ale pisarz nie traci nadziei i kiedy może, szlifuje kolejne teksty. Myślę, że publicystyce łatwiej dotrzeć do czytelnika, niż prozie, ale za to proza zostanie na dłużej.

Potrafisz pisać SF i publicystykę na przemian, czy wyznaczasz sobie dni, kiedy zajmujesz się jednym, a kiedy drugim?

Wyznażyłem sobie na oba zajęcia osobne dni tygodnia. Z felietonu nie można się tak po prostu przerzucić do fantastyki, po prostu otworzyć tekst i podjąć przerwany wczoraj wątek. Za każdym razem muszę się wczuć w inny nastrój, w inny język i sposób myślenia. To wymaga czasu.

To może lepiej by było zdecydować się na coś?

Nie. Kiedyś uważałem, że publicystyka to w moim życiu tylko sposób zarabiania na życie, że gdybym miał kasę, cisnąłbym te gazetowe bieżączki w kibini mater i bez reszty poświęcił się prozie. Dziś wiem, że nawet gdybym leżał na kupie dolarów, nie wytrzymałbym bez napisania przynajmniej jednego felietonu na tydzień. Te dwie dziedziny doskonale się u mnie uzupełniają. Jako dziennikarz zdobywam wiedzę o mechanizmach współczesności, która pozwala mi konstruować wizje fantastycznych światów. Jako pisarz zyskuję wiedzę o ludziach, która pozwala mi lepiej rozumieć politykę

czy ekonomię. Dziennikarz szuka odpowiedzi, pisarz pytań.

Teraz w każdym razie przyszła kolej na ruch Ziemkiewicza -pisarza. Zbiór „Cala kupa wielkich braci” w chwili publikacji tego wywiadu już powinien być w księgarniach.

Czekam z zapartym tchem na reakcje czytelników. Znają oni już część tekstów, cztery z nich były nawet nominowane do Zajdla, ale jako książka będzie to w moim dorobku coś nowego: Ziemkiewicz na wesoło, nawet jeśli chwilami jest to śmiech trochę gorzki. Zwłaszcza w ostatnich tekstach o Rafale Aleksandrowiczu. Ale od dwunastu lat piszę o Polsce i świecie na poważnie i gdybym nie zaczął się z tego, co się dzieje, śmiać, dostałbym zawału albo świra.

Powtarzasz, że interesuje Cię pisanie wyłącznie takich książek, których jeszcze nie napisano...

Istotnie. Nie warto robić podródek, rozgrywać starych schematów czy powielać, choćby i wzorowo, konwencji. Szkoda po prostu czasu.

Tymczasem Twój Rafał Aleksandrowicz kojarzy się z Radosławem Tomaszewskim Lewandowskiego, co on sam wytyka Cipo fanzinach.

No i co, że się kojarzy? Zresztą miał się kojarzyć, Żywa gotówka urodziła się jako żartobliwe nawiązanie do *Noteki*, inspiracja jest oczywista. Ale też na inspiracji się kończy. Aleksandrowicz nie jest zakochanym w sobie geniuszem, na poczekaniu rozwiązującym problemy, nad którymi biedzi się bezskutecznie światowa nauka i jednym powłóczęstym spojrzeniem rozkończającym w sobie kobiety. Porusza się po zupełnie innym świecie i w ogóle o co innego w tych opowiadaniach chodzi. A pomysł, żeby głównym bohaterem uczynić dziennikarza, jest nieco starszy ode mnie, i od Lewandowskiego.

Aleksandrowicz to chyba pierwszy u Ciebie bohater całej serii utworów. Będzie jeszcze coś on nim?

Chyba tak. Jakoś się polubiliśmy i wciąż mam pomysły na nowe jego przygody. Ale w najnowszej książce, dodam dla porządku, oprócz pięciu tekstów z tego cyklu umieściłem także trzy opowiadania starsze, żeby uniknąć monokultury.

Jesień, nieoczekiwanie, przynosi wielką falę polskich książek. Nie boisz się konkurencji?

Pisarze ze sobą nie konkurują. Czytelnik jest w stanie przeczytać kilkadziesiąt książek rocznie, a pisarz napisać jedną, dwie. Moim zdaniem każdy dobry pisarz jest sprzymierzeńcem wszystkich dobrych pisarzy, a każdy zły - ich wrogiem. Bo książka dobra zachęca do kupienia następnej, więc napędzasz nią klientów kolegom po fachu. A książka zła zniechęca. Zwłaszcza, jeśli jest szumnie reklamowana, jeśli wpływowe media wmawiają ludziom, że to wielka literatura, a komu się nie podoba, ten ćwok. Na szczęście w naszej działce takie koteryjne reklamiarstwo, które pogrążyło główny nurt, stanowi margines.

Z Rafałem A. Ziemkiewiczem rozmawiał Eryk Vort

Jonathan carroll

WYWIAD

Spotkanie dziennikarzy z Jonathanem Carrolliem odbyło się w jednym z krakowskich klubów. Carroll przybył do Krakowa - oficjalnie - po raz szósty, aby promować swoją nową powieść *Białe Jabłko*.

Po konferencji prasowej zwany „ukochanym pisarzem Polaków” Jonathan Carroll udzielił nam krótkiego wywiadu.

Polska, a w szczególności Warszawa i Kraków często pojawiają się w pańskich utworach. Czy jest to dla pana kraj wyjątkowy?

Z Polski pochodzą moi ulubieni autorzy, jak Bruno Schultz, czy Wisława Szymborska. Sądzę, że ich twórczość porusza każdego, kto poważnie czyta literaturę. Znam raptem pięciu polskich poetów i trzech powieściopisarzy, jestem jednak zafascynowany ich twórczością i wciąż ją poznaję. W ciągu ostatniego roku kilka razy odwiedziłem Kraków incognito. Najważniejsze są jednak rzeczy polskich autorów, które przeczytałem.

Można zatem powiedzieć, że zainteresowanie Polską, to kwestia fascynacji literackich.

Tak. Myślę, że tak właśnie można to nazwać, choć, oczywiście nie ograniczałbym się tylko do takiej definicji.

*W *Białych jabłkach* wspominał pan o krakowskiej restauracji „Chłopskie jadło”. Bohaterka stwierdza nawet, że jest to miejsce magiczne. Co jest dla pana istotniejsze, bohaterowie, czy miejsca?*

Są dwie metody pisania powieści. Stworzyć postać i zbudować wokół niej świat, lub wykreować świat i umieścić tam postać. To tylko kwestia tego, co bardziej mi pasuje. Moich potrzeb.

Wiarygodni bohaterowie, czy surrealistyczne wątki. Co jest dla

pana ważniejsze podczas tworzenia nowych utworów?

Wiarygodni bohaterowie. Zdecydowanie wiarygodni bohaterowie. W moich powieściach to właśnie bohaterowie znajdują się w centrum zdarzeń. Są najważniejsi. Postaci rodzą się zanim powstanie rys powieści, a sytuacje, które wokół nich się później tworzą są tylko pochodnymi działań tychże bohaterów.

Najbardziej charakterystycznymi postaciami pańskich powieści są kobiety. Czy te postacie są wzorowane na osobach, które pan spotkał?

Tak, oczywiście! Każda moja bohaterka ma odpowiednik w rzeczywistości. Każda z moich postaci wzorowana jest na osobach istniejących, choć często tworzę mieszaniny cech różnych napotkanych ludzi. To kwestia wysilenia umysłu. Choć oparte na rzeczywistości, książki tak czy siak są autorską kreacją. Ale czasem rzeczywistość dogania mnie w sposób nieoczekiwany. Na przykład; osiem dni temu spotkałem kobietę wyglądającą i zachowującą się jak Coco Hallis (jedna z bohaterek *Białych jabłek*). To chyba dowodzi słuszności założeń tej postaci.

*Życie, śmierć lub to co pomiędzy, widziane jak w *Białych jabłkach*. Co wybrałby pan osobiście?*

Podoba mi się pomysł na śmierć, który zawarłem w *Białych jabłkach*. To dzielenie uczuć z każdą żyjącą istotą, musiałyby być wspaniałe. Śmierć taka, jaką opisałem w *Białych jabłkach*, zdaje mi się być niezwykle pociągająca. Jeśli będzie tak wyglądać, ja będę szczęśliwy.

Czy pańskie pisarskie metody zmieniają się z czasem?

Nie. Są niemal identyczne od wielu lat. Teraz piszę mniej, niż wtedy gdy byłem młody, lecz wtedy chciałem coś udowodnić. Nie czuję, abym teraz musiał cokolwiek udo-

wadniać. Teraz czuję się bardziej niezależny od krytyków. Słyszałem, że reakcja polskich publicystów na *Białe jabłko* była mieszana. Stawiano mi zarzuty, że piszę zbyt jednako, że moje książki nie różnią się między sobą. Ja nie piszę już jednak dla krytyków. To co piszę ma poruszać mnie i czytelnika. Jeśli podoba się krytykom to w porządku. Gdy byłem młody myślałem o opinii krytyków i o sławie. Teraz już mi na tym nie zależy.

Czy takie podejście nie koliduje z zamiarami pańskiego wydawcy?

Czasem tak, lecz mam wspaniałego wydawcę w USA. To kobieta. Jest najostrożniejszym redaktorem z jakim miałem do czynienia, walczy ze mną o każdy wiersz, każde słowo, lecz wie doskonale, co chcę napisać. Wiem, że jeśli przyniosę jej książkę nie będzie naciskała, abym zamienił jabłko na pomarańcze, albo żebym urealnił treść. Jeśli mówi mi, abym zmienił jakiś element powieści ufam jej, bo wiem, że chce dla książki dobrze. Mimo częstych dyskusji rozumiemy się doskonale i często korzystam z jej sugestii.

*Jak odebrałby pan *Białe jabłko*, gdyby był pan młodszy?*

Myślę, że „młodszy ja” byłby zaskoczony. Zaskoczony tym, że napisałem książkę i, że jest ona tak szalona. W młodości byłem gangsterem i twardzielem. Miałem niekończące się problemy z policją. Obracałem się w naprawdę nieprzyjemnych kręgach, miałem przyjaciół którzy byli tak szaleni, że aż niebezpieczni. Zresztą już teraz nie żyją. Kiedy dorosłem, powiedziałem swemu ojcu: „Wiesz, dziwię się tylko, że wciąż żyję”. Odpowiedział mi, że nie tylko żyję, ale do tego piszę powieści. Na tym etapie nie interesowała mnie literatura i nie pomyślałbym wtedy, że będę kiedykolwiek zajmował się pisaniem. Nie interesowało mnie nic prócz moich

przyjaciół. „Młodszy ja” z pewnością byłby bardzo zaskoczony.

Białe jabłka różnią się znacząco od pańskich poprzednich powieści. Zdecydowanie tak!

Czy mógłby pan powiedzieć, jak powstała ta powieść?

Nie pamiętam. Nie pamiętam jak przyszedł mi do głowy ten pomysł.

A zastanawiał się pan kiedyś, skąd biorą się pomysły na pańskie powieści?

Nie, to proces którego nie kontroluję. Po prostu myślę o tym, a wątki i wydarzenia przychodzą same.

Czy planuje pan już kolejną powieść?

Tak, to będzie drugi tom trylogii rozpoczętej *Białymi jabłkami*. Podobnej do *Crane's View*. Opowiadać będzie o powstawaniu Anioła. Mam nadzieję, że trylogia spodoba się czytelnikom.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Piotr Lenczowski



OD RAKIET DO FANTASY

David Eddings jest pisarzem znanym i uznanym. Jak to z amerykańskimi mistrzami pióra bywa, zaczął pisać bardzo wcześnie, co jednak nie oznaczało wcale, że był drukowany. Pierwsze jego utwory nie należały do szeroko pojmowanej fantastyki, styl młodego Eddingsa był jak najbardziej realistyczny. Jego druga, poważna powieść *The Losers* (pierwsza to *High Hunt*) opowiadała na przykład o kalekim chłopaku i jego walce nie tyle z chorobą co z pracownikami opieki społecznej. Takie były początki, ale pochłaniający książki początkujący pisarz wkrótce odkrył prawdziwe powołanie. Jak sam opowiada zainteresowanie fantastyką, czy też raczej pisaniem tejże, rozbudziło w nim odkrycie w księgarni któregoś z kolejnych wydań *Władcy Pierścieni*. Doszedł wtedy do wniosku, że fantastyka jest ponadczasowa i równie uniwersalna, jak gatunki, w których usiłował się do tej pory realizować. Ponieważ pisanie nowej powieści obyczajowej szło jak po grudzie, zabrał się więc za tworzenie nowego, własnego świata. I tak powstały pierwsze, wstępne założenia, które zaowocowały po latach dopracowanym światem *Belgariady*.

Fiddings z całą szczerością przyznaje, że podówczas nie miał zielonego pojęcia, jak pisze się fantasy i był głęboko przekonany, że wszystkie tego typu powieści powinny mieć rozmiar conajmniej trylogii... Dlatego też *Belgariada* początkowo była planowana na trzy opasłe tomy. Dopiero Lester Del Rey, który otrzymał konspekt pracy, otworzył młodemu autorowi oczy i oświadczył, że żadne wydawnictwo nie wyda debiutantowi tomu o grubości sześć-cieśset stron.

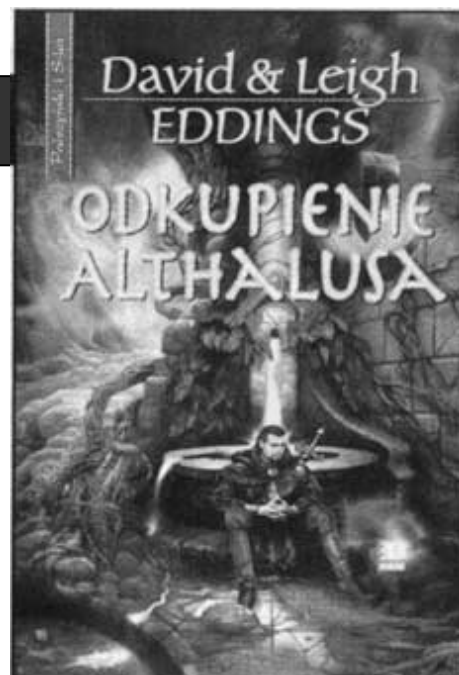
Fantasy Eddingsa jest nieco inne od tego, do czego przyzwyczaili nas klasycy gatunku. Podstawową różnicą jest chyba podejście do czarów. Eddings zrezygnował z formułkowych zaklęć i wprowadził zamiast nich pojęcie dwóch mocy - Woli i Słowa. I albo ktoś ma do tego talent albo nie...

Drugą zasługą Eddingsa w rewolucjonizowaniu gatunku jest podejście do kobiet - jego bohaterki są prawdziwymi kobietami, posiadają ciało z krwi i kości (a nie tylko głowę, jak sam złośliwie stwierdził) i potrafią korzystać z jego przymiotów. Można powiedzieć, że jego twórczość ma w sobie wiele z romansu

fantasy.

Trzecią, niezaprzeczną zaletą, jest odbrązowienie bohaterów. To nie są bepcłciowe postacie ze spiżu i stali, ale normalni ludzie, którzy prócz misji, w którą są zaplątani muszą rozwiązywać własne życiowe problemy; wykazują się poczuciem humoru gdy potrzeba i okazują humory... Bardzo często są ludźmi wyjętymi spod prawa, podejrzanych profesji: złodziejami, szpiegami. Po kartach powieści przewijają się też kurtyzany, prostytutki, zawodowi truciele, rycerze nie bez skazy, mniej lub bardziej uczciwi kupcy, których ze świecą w rękę szukać u klasyków... Książki te są niczym podręczniki historii, gdzie nie zawsze można dokonać podziału na czarne i na białe. Tyle, że realia historyczne są w nich absolutnie nieważne. Eddings tworząc własny świat dość beztrudnie mieszał różne kultury, osadzając je obok siebie: mamy więc w Belgariadzie odpowiedniki Rzymian, średniowiecznych rycerzy, Wikingów, północnoamerykańskich Indian. Mimo tak szerokiej konotacji nie czujemy jednak podczas lektury niesmaku i sztuczności przedstawianych sytuacji. A to świadczy li tylko o talencie pisarskim autora.

Warto może w tym momencie wspomnieć o człowieku, którego wyobraźnia powołała do życia świat *Belgariady*. David Eddings urodził się w 1931 roku, studiował literaturę angielską, służbę wojskową odbył w Niemczech (uniknął w ten sposób Korei), pracował po demobilizacji dla koncernu Boeinga, gdzie nadal funkcjonował w strukturach armii, do jego zadań należało wyszukiwanie miejsc pod instalację silosów dla rakiet nuklearnych Minuteman. Gdy zagłada nuklearna stała się mniej popłatnym zajęciem wrócił do wykładania literatury, jednakże dość szybko stracił tę pracę i przez pewien czas był bezrobotny. Wtedy to postanowił, że rozwijana niejako na uboczu kariera pisarska będzie kolejnym źródłem utrzymania. Jego żona Leigh, od początku uczestniczyła w powstawaniu kolejnych książek, nie tylko jako pierwszy czytelnik, ale i aktywny kreator akcji. Ostatnio zaczęła pojawiać się na okładkach nowych książek wręcz jako współautorka. Eddingsowie mieszkają w Carson City, w stanie Nevada. Oprócz pięciotomowego, sztandarowego cyklu *Belgariada*, David wydał również słynny



Malloreon, oraz kilkutomowe serie *Elenium*, *Tamuli* oraz *Belgarath Czarodziej* i *Polgara Czarodziejka*. Teraz mamy możliwość zapoznania się z jego najnowszą powieścią: *Odkupienie Althalusa*, nie należącą do żadnego z poprzednich cykli. Rzecz jest świeża, świat zupełnie dziewiczy, a bohater... może nieco przypomina Silka z *Belgariady*, jest jednak o wiele mniej zgryźliwy.

Zgodnie z upodobaniem autora, bohater, tytułowy Althalus jest złodziejem. Dobrym złodziejem, wręcz mistrzem w swoim fachu, cieszącym się niespotykanym szczęściem. Do czasu jednak. Pewnego pięknego dnia owo szczęście opuści go, co spowoduje straszliwe komplikacje nie tylko w życiu bohatera. Będąc bez grosza przy duszy. Althalus zgodzi się na propozycję kradzieży tajemniczej Księgi, ukrytej gdzieś na końcu świata, ale miast łupu czekać tam będzie na niego przykra niespodzianka w postaci gadającej, złośliwej kotki i dłucich lat nauki...

Grażyna Pawelczak

IMPERIUM NIE KONTRATAKUJE

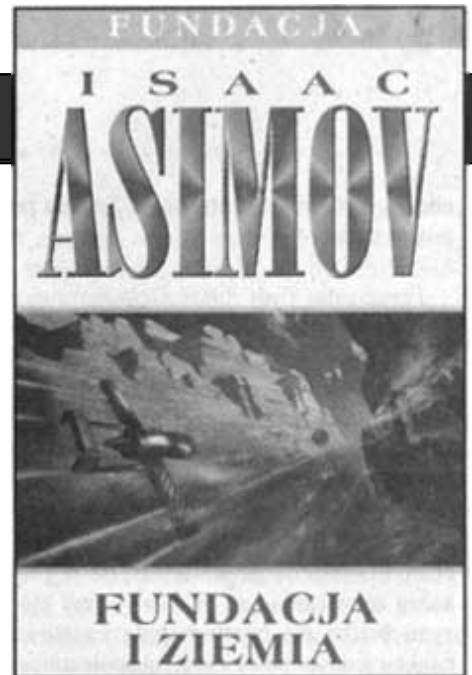
Naprawdę trudno określić, co sprawia, że wybrana książka staje się arcydziełem. Wiadomo tylko, że czasem, nikomu nie znany autor, o warsztacie wręcz skromnym, potrafi porwać miliony. Być może liczy się pomysł - najlepszym tego dowodem filmy Spielberga, które nigdy nie epatowały wielkimi gwiazdami (Ford stał się gwiazdą dopiero, gdy zagrał w *Poszukiwaczach zaginionej Arki*), ale eksploatowały sfery największych fascynacji ludzi. Najpierw UFO, potem, gdy zrobiło się głośno o klonowaniu ożywione dinozaury. Drugim elementem jest rozmach, to, czego zazwyczaj brakowało naszym książkom. Polacy zawsze operowali skromnym wycinkiem rzeczywistości, rzadko przedstawiając teatr działań bohaterów w skali planety, układu, galaktyki, jak... właśnie Asimov.

Twórca trzech praw robotyki na długo przed Spielbergiem opanował zdolność analizowania potrzeb odbiorców. Naukowiec, eseista, erudyta, posiadał wielki dar obserwacji. I ten dar podpowiedział mu rzecz genialną. W czasach gdy ludzkość zachłysnęła się techniką i nieskończonymi jej możliwościami, Asimov pokazał jej kres. To chyba najbardziej wstrząsnęło mną, gdy po raz pierwszy czytałem tę książkę, w obcym języku zresztą, na długo przed pierwszym, polskim wydaniem. Gigantyzm upadającego imperium galaktycznego, z którego natchnienie musiał czerpać Lucas - czyż Trantor to nie Coruscant? Czy planeta-miasto, stolica imperium, w obu wypadkach nie jest identyczna? Scena dokowania, jedna z pierwszych w książce pozostała w mojej pamięci do dzisiaj, mimo iż potem było wiele takich scen - choćby we wspomnianych już *Gwiezdnych wojnach*.

Wizja powolnego upadku wielkiego molocha, który nie nadąza już kontrolować tysięcy podległych mu światów i rola szalonego naukowca, który za wszelką cenę będzie się starał zachować wiedzę dla kolejnych pokoleń, wydała mi się podczas tamtej lektury wręcz przygnębiająca. I do bólu realna. Asimov potrafił pokazać ten proces rozpadu, nie poprzez fresk wojenny czy sensacyjną akcję. Pozwalał, byśmy obserwowali, na podstawie wyrwanych scen, jak cywilizacja cofa się, pozbawiona zaplecza technologicznego, a agenci Fundacji, w skrytości - wszak technologia była wtedy warta krocie, kto ją miał, posiadał i władzę - starają się by

upadek trwał jak najkrócej.

Nie było w tamtej książce niepotrzebnego blichtru. Było za to ostrzeżenie, aby nie ufać technice, bo kiedyś, kiedy rozwinie ją tak dalece, że przeciętny człowiek nie będzie w stanie jej zrozumieć, społeczeństwa staną się jej zakładnikami - doskonałym przykładem takiej zależności była słynna pluskwa milenijna, która miała posłać nas do epoki kamienia łupanego. Wiele miliardów dolarów wydano, zanim okazało się, że nie będzie to takie groźne jak przedstawiano na obrazku. Myślę, że Fundacja położyła podwaliny pod strach przed takimi kataklizmami, przynajmniej ta pierwsza, bo potem, po podstawowej trylogii i latach przerwy Asimov wrócił do tematu, a za nim przyszło kilku innych autorów i dzisiaj cykl opowiadający o losach założonej przez Hariego Seldona fundacji na Terminusie liczy już dziesięć tomów. W listopadzie wydawnictwo Rebis zakończy wydawanie *Fundacji* (przynajmniej do czasu napisania kolejnego tomu) tomem *Fundacja i Ziemia*, który zamyka serię. Tak więc, po raz pierwszy, będziemy mogli zapoznać się z kompletnym dziełem, które obejmuje dzieje galaktyki od burzliwej młodości Seldona (*Preludium Fundacji*) i jego konfliktu z Imperatorem, poprzez pracę dla Imperium (*Narodziny Fundacji*), gdy jasne się stanie, że tylko Fundacja może uratować przyszłość cywilizacji. Kolejne tomy prowadzić nas będą przez świat pograżający się w rozpadzie, przez wojny (te, których opisu uniknął Asimov w pierwszej książce), dowiemy się o drugiej Fundacji, która była tajemnicą nawet dla najbardziej wtajemniczonych w projekt Fundacji, i istniała jako zabezpieczenie na wypadek - przewidzianego przez Seldona - upadku jego dzieła. Iście piętrowa budowa spisków i tajemnic, które tkwią w innych tajemnicach sprawiają, że kolejne tomy czyta się z zapartym tchem, gdy zdaje się, że wszystko już wiemy, nagle, ktoś, gdzieś, odkrywa nowe fakty. Druga Fundacja z ukrycia nadzoruje Pierwszą, ale i w niej ktoś pociąga zza kulis sznurkami. Będziemy obserwować w kolejnych odsłonach życie Seldona aż do późnej starości, gdy przedsięwzięcie ostatnią wyprawę, ku skrajowi galaktyki, gdzie istnieje mityczna planeta zwana Ziemią. Tutaj, przynajmniej w tej chwili, historia ta się kończy, ale czy to koniec rzeczywisty, czy początek nowej historii, tego



nie możemy być pewni. Najpierw była jedna powieść, potem trylogia, jeszcze później autor zapragnął połączyć wątki dwóch cykli dodając do Fundacji wątki Robotów. Dzisiaj, po jego śmierci, epigoni nie ustają, starając się dodać i coś od siebie. A nie byle jacy autorzy uczestniczą w tym przedsięwzięciu. David Brin, zdobywca wielu nagród, w tym Hugo i Nebuli, autor *Wojny wspomaganych* i *Słonecznego nurka*. Gregory Benford, współpracownik Arthura C. Clarka, dwukrotny laureat Nebuli, autor cyklu *Centrum Galaktyki*. I wreszcie Greg Bear, pięciokrotny laureat Nebuli i zdobywca dwóch Hugo, autor między innymi *Koncertu nieskończoności* i *Wężomaga*. Wspomniane przed chwilą nazwiska z pewnością nie przyczyniły się do zaniżenia poziomu serii, a wręcz przeciwnie. *Fundacja* to cykl po który warto sięgnąć z wielu powodów, o kilku już wspomniałem, na koniec wymienię jeszcze jeden. Wydanie Rebisu należy do najlepszych, tak pod względem merytorycznym, jak i edytorskim. Niewiele książek doczekało się tak ładnego wydania, i pewnie niewiele się doczeka.

Robert J. Szmidt



Muzyka duszy

Terry Pratchett

tlumaczenie: Piotr W. Cholewa
wyd. Prószyński i S-ka, cena 28,00 zł.

Nie jest łatwo mieć Śmierć w rodzinie. Nie chodzi tu tylko o kościste kolana dziadka, zamilowanie do czarnej kolarzki, czy też specyficzne upominki pod choinkę. Przede wszystkim problem pojawia się, gdy trzeba kontynuować rodzinną tradycję w wykonywanym fachu. Jazda na wielkim białym koniu, o sympatycznym imieniu Pim-puś brzmi jeszcze ok., ale z machania kosą mogą wyjść same problemy. Jednak co zrobić, sytuacja wydaje się być krytyczna, na Dysku pojawiła się bowiem dziwna muzyka, która ogarnia wszystkich szalem tańczenia, skakania i wszelkiego rytmicznego przytupywania, klaskania i ogólnie wydawania melodyjnych odgłosów. Co gorsze wydaje się ona żyć własnym życiem i mieć jakieś tajemnicze cele...

Cóż... pozostaje zdać się na nieco mało kompetentne rady kruka i jego interpretację szczurzej mowy...

Kolejna opowieść ze Świata Dysku. I tym razem Pratchett nie zawiódł nas - historia pełna humoru i swoistej ironii, troszkę pokrętej filozofii - i mamy świetną zabawę zapewnioną. Książka, którą na pewno można zaklasyfikować do tych lepszych jakie miały okazję wyjść spod pióra Pratchetta, aczkolwiek muszę dodać, że osobiście odczuwam pewien brak Babcy Weatherwax, która tym razem zajęta jest widać na innym krańcu świata. Oczywiście, za to mamy okazję po raz kolejny spotkać Śmierć i poznać specyficzną logikę jaka nim kieruje oraz kilka paradoksów, które wynikają z jego rozumienia (lub jego braku) ludzi. Mnie najbardziej spodobała się huśtawka... Dobry humor gwarantowany, bo w końcu Pratchett pisarzem błyskotliwym i zabawnym jest.

KP



Czekając w ciemności

Paweł Siedlar

wyd. Fabryka Słów, cena 24,99 zł.

Senne miasteczko, jakich wiele na francuskiej prowincji, posiadające piękne zabytki, ale właściwie nie odwiedzane przez turystów. Bo co też może im zaferować? Jeszcze jedną zabytkową wieżę czy też starówkę? A jednak pewnego upalnego dnia do Fernquez zawita tajemniczy nieznajomy, który zechce poznać miasteczko. Okaze się szpoka, że ma ono swoje skrywane tajemnice i legendy. Jedną z nich jest opowieść o pięknej i groźnej Eleonorze, krwawym ślubie, pożarze i księciu Attrox.

Autor zabiera nas w podróż w poszukiwaniu odpowiedzi, kim była Eleonora, co naprawdę zdarzyło się trzysta lat temu na ratuszu i czy rzeczywiście miejskie katakumby skrywają trumnę Eleonory. Równocześnie zapoznajemy się z pamiętnikiem szalonego księcia Attrox, spisane (trzysta lat temu) w więzieniu, gdzie też obłąkany książę zmarł.

Akcja powieści toczy się powoli, momentami wręcz leniwie, nawiązując sposobem narracji do najlepszych dziewiętnastowiecznych powieści grozy. Bo książki tej w żaden sposób nie można nazwać horrorem, to nie ociekające krwią (i gorszymi rzeczami) powieści Mastertona czy Guya N. Smitha. O ile część współczesna tylko intryguje, o tyle pamiętniki szalonego księcia pozwalają na zanurzenie się w tajniki ludzkiej psychiki, namiętności, narastające szaleństwo, ale także w poznawanie nieznanego. I doprawdy nie wiemy, czy mamy do czynienia z bredzeniem obłąkanego księcia, czy też może rzeczywiście spotkał on na swojej drodze demona...

Jak było naprawdę przekonać się można po przeczytaniu *Czekając w ciemności*, do czego gorąco zachęcam.

GP



Narrenturm

Andrzej Sapkowski

wyd. super NOWA, cena 41,50 zł.

Mirosław Kowalski, wydawca *Narrenturm*, porównał najnowsze dzieło Sapkowskiego do *Egipcjanina Sinuhe* Miki Waltatriego. Nie wypada się z tym twierdzeniem nie zgodzić. Rozpoczynająca nową trylogię powieść *Narrenturm* jest bowiem opowieścią o niebo mniej fantastyczną niż dotychczasowe przygody Wiedźmina, z których najbardziej znany jest autor zwany, nie bez słuszności, Asem. Rzec dzieje się na Dolnym Śląsku przed pięciuset laty i przedstawia losy Reinmara z Bielawy, medyka, krewnego wysoko postawionych ludzi tej ziemi. Ale przygody bohatera to tylko pretekst do pokazania odmalowanego z niesamowitym pietyzmem fresku historycznego, w którym tak naprawdę fantastyki jest niewiele. Można by jednak rzec, że stanowi ona języczek u wagi, na której szalach spoczywa wielkość dzieła...

Nie oznacza to bynajmniej, że mamy do -czynienia z książką nudną. Erudycja autora, bogata faktografia i rzetelna praca historyka sprawiają, że nie tylko dajemy się wciągnąć w wir akcji, ale i przy okazji wyniesiemy z lektury coś więcej niż tylko celne powiedzonko.

Jak w przypadku wspomnianego przez wydawcę *Egipcjanina Sinuhe*, czy innej, równie wspaniałej, powieści angielskiego mistrza sensacji Kena Foletta noszącej tytuł *Filary ziemi*, *Narrenturm* ma szansę na odniesienie sukcesu także poza kręgiem czytelników fantastyki, a może zwłaszcza tam. Wspomniane przed chwilą książki balansują bowiem na krawędzi fantastyki, często przekraczając granicę, którą autorzy mainstreamu boją się przekroczyć i pokazują, że tak naprawdę nie ma różnicy, nie ma getta. Są tylko książki dobre i złe, niezależnie od przynależności gatunkowej. *Narrenturm* należy bez wątplenia do tej pierwszej kategorii i choć cena nie jest niska, warto po nią sięgnąć, pamiętając jednak, że to nie Wiedźmin.

ReJS



Porzuczone królestwo

Feliks W. Kres

wyd. Mag, 29,00 zł.

Kolejnej książki z Kresowego cyklu *Księgi Calości* nie trzeba polecać, kto czytał części poprzednie wie w jakim świecie się znajdzie, kto nie czytał, zapewne słyszał o doskonałej prozie Feliksa W.

Dla tych jednak, którzy do tej pory z cyklem szerserskim się nie zetknęli, którzy staż w fantastycznej prozie dopiero zaczynają, kilka słów wyjaśnienia. Bez spoilerów rzecz jasna, niech książka sama zdradzi swoje tajemnice... Kres pisze fantasy. Fantasy mroczne, brutalne. Mniej rozrywkowe w warstwie dialogowej niż Sapkowy Wiedźmin, ale czy przez to nawet nie lepsze. Spiski, zdrada, śmierć chodzą w parze pośród wiecznie wilgotnych od deszczu wzgórz i lasów Grombelardu. I jest przygoda, ta najwyższej próby. Trudno mając zaledwie czwartą część streści, choćby pokrótce intrygę, wskazać na powiązania (a tych choćby / *Panią Dobrego Znaku* znajdzie się wicie). Intryga zawarta w tym tomie jest zaiste ogromna, obejmuje starania byłych władców Grombelardu o wydobycie krainy spod protektoratu cesarstwa, rozwija wiele wątków politycznych obecnych w poprzednich częściach. Dla tych, co czytali *Króla Bezmiarów* i *Grombelardzką legendę* będzie to prawdziwa uczta duchowa.

Jedno jest wszelako pewne, to najmroczniejsza ze wszystkich książek Kresa. Gorzka, okrutna opowieść o zawiedzionych marzeniach, niespełnionych miłościach i straconych złudzeniach. Jak napisał wydawca w notce reklamowej: „Jeśli zbrzydła ci rzeczywistość wstap do *Porzuczonego Królestwa*. Dowiesz się, jak paskudny może być świat i pokochasz ten, w którym żyjesz”. I to jest prawda.

ReJS



Wrzesień to „najchudszy” miesiąc w komiksowym sezonie. Większość wydawców zbiera siły przed festiwalowym październikiem, a że termin tegorocznego Festiwalu Komiksu w Łodzi przypadł na pierwszy weekend tego miesiąca - część wrzesniowych premier po prostu przesunięto o tydzień. Muszę przyznać, że trochę zdziwieni się czuję, spoglądając na podejrzenie niewielki stosik wrzesniowych komiksów. Czyżby objawy uzależnienia?...

Zacznijmy tradycyjnie od Egmontu. Wydawca *Jhorgala* przygotował w tym miesiącu tylko cztery duże albumy i dwa tomiki w formacie „włoskim” (Francuzi naprawdę nazywają ten formacik *a ritaille*). Wszystkie albumy to kolejne tomy sprawdzonych i oczekiwanych serii. Czwarty tom serii Regisa Loiseła *Piotrus Pan*, zatytułowany *Czerwone race*, potwierdza klasę tego niezwykłego przedsięwzięcia, stanowiąc dramatyczną kulminację serii. W wyniku spłotu tragicznych wydarzeń Piotrus z beztróskiego łobuziaka przeistacza się w prawdziwego przywódcę i groźnego przeciwnika dla zawziętych piratów. Zyskuje swą, znaną z książek Barie’ego tożsamość, ale płaci za to ogromną cenę. W serialu nareszcie pojawiają się wydarzenia, znane z książek, a sposób ich splecenia z autorskimi pomysłami Loiseła to przykład prawdziwej maestrii. Polecam!

„Albumowa” ofertę Egmontu zamyka drugi tom sagi o Metabarach Jodorowsky’ego i Gimenez: opowieść, zatytułowana imieniem praprababki Metabarona - Honoraty przynosi rozwiązanie intrygującego, pytania, jak możliwe było przedłużenie rodu po straszliwym okaleczeniu jego protoplasty w finale poprzedniej części. Jesteśmy świadkami kształtowania się surowego kodeksu rodowego i kolejnych - a zapewniam, że nie ostatnich - konfliktów między powinnością a uczuciem. Pod względem intensywności relacji między bohaterami saga o Metabarach przerasta większość innych komiksowych propozycji... no, może z wyjątkiem „Kaznodziei”. Polecam, a jakże, przepraszając jednocześnie w imieniu wydawcy za „wypadnięcie” w procesie składu dwóch dymków. Erratę można znaleźć w internecie na stronie www.wrak.pl.

Małoformatowe komiksy Egmontu to kolejny, piąty już tom przygód Nathana Nevera i trzeci zbiorek komiksów o króliku-samuraju - *Usagi Yojimbo*. Opowieść o Nathanie Neverze to ładnie skonstruowana i opowiedziana historia w stylu cyber-punk, a jej



bohaterami są mnemonicy, jak ci z opowiadania Williama Gibsona i filmu z Keanu Reevesem. Nathan wraz z nowym partnerem Alem (bardzo ciekawa postać) podąża tropem zabójcy jednego z mnemoników, który ukradł... głowę ofiary. Czy chodziło o zawarte w niej dane, czy też raczej istotna jest przeszłość i powiązania zamordowanego. Komiks zgrabnie łączy wątki „akcyjne”, jak bijatyki i strzelaniny, z zupełnie innym motywem intro- i retrospekcyjnym. Kto wie, czy nie jest to najlepszy z dotychczas u nas wydanych epizodów serii. Natomiast trzeci w polskiej edycji tom opowieści o Usagim to od dawna oczekiwana porcja dobrych, stylowych samu-rajskich opowieści, jak zwykle w tej serii dotyczących różnych epizodów z bogatego życia bohatera. Nie będę polecał konkretnej opowieści, bo wszystkie nieodmiennie mi się podobają i tylko żałuję, że nie mamy okazji częstszego kontaktu z tą serią. Jeśli niektórym czytelnikom część tych historii wyda się znajoma, to wyjaśniam, że były one publikowane na łamach „Świata Komiksu” jeszcze przed rozpoczęciem edycji „książkowej”. *Usagi* to wyjątkowy komiks, skromny, ale szlachetny, całkiem jak jego bohater. Czytajcie, a nie pożałujecie.

Wątką wrzesniową ofertę zamyka Aber z dwoma komiksami: trzeci tomik chwalonego przeze mnie przed miesiącem komiksu ze świata *Star Wars* - *Dziedzic Imperium* według powieści Timothy’ego Zahna, do którego mam tylko jedno zastrzeżenie: nie powinno go w ogóle być, bo całość powinna się ukazać w najwyższej dwóch tomach, jeśli już nie w jednym. Procedura rozkładania „gwiazdnowojennych” miniserii na jak największą liczbę tomów w połączeniu z arcyrubrykami twardej okładkami wydaje mi się co najmniej przesada. Zaś sam komiks uważam za jak najbardziej wart czytania.

Gorzej z drugim albumem Amberu: *Tajemnica Na*, otwierająca serię *Niewidzialna* to przykład tego, co nadmiar technologii może zrobić z komiksem. Zrealizowany techniką grafiki komputerowej, pełen wszelkich tekstów i renderowanych w programach 3D obiektów, pośród których przeciskają się (takie ma się wrażenie) podrysowane kreską postacie, chwilami nieznośnie męczy oko. Wydaje się, że Ala-in Mairon - autor tego dokonania - jest bardziej komputerowym czarodziejem, niż plastykiem, bo kolorystycznie i kompozycyjnie jest to koszmar. Tych, którzy chcieliby zobaczyć, co naprawdę można zrobić w komiksie przy użyciu komputera, odsyłam do serii *Megalex* z grafiką Freda Beltrana; nieste-

ty jeszcze nie ma jej w Polsce, ale wkrótce pojawi się inna seria, przy której Bel-tran pracował jako kolorysta - myślę o *Technokapłanach* Jodorowsky’ego Janjetova. Trzeciowo nie jest już tak źle: komiks opowiada o próbie uwolnienia ludzkości spod dyktatu Centrali - cybernetycznego centrum, kontrolującego życie na Ziemi, którą to próbę podejmuje tajemnicza grupa przybyszów z obrzeży naszego układu słonecznego wraz z obdarzoną niezwykle mocami dziewczyną imieniem Na. Niestety, w śledzeniu niezbyt co prawda odkrywczej, ale żywej, obfitującej w dramatyczne zwroty akcji przeszkadza fakt, że bardziej od postaci bohaterów, w których wizerunkach wyczuwa się komputerową sztuywność, przyciągają oko trzeciorzędne szczegóły w rodzaju liści na drzewach czy żłobień i spawów na mechanizmach.

Ponieważ na październik zapowiada się wprost horrendalna ilość komiksów, których omówienie zajęłoby trzymiesięczny przydział miejsca na łamach pisma dla tej

gdź o ile *Kroniki...* to typowy cykl fantasy, rozgrywający się w innym świecie - *Methraton* niewątpliwie dzieje się na Ziemi, a dokładniej w realiach starożytnego Egiptu. Mamy tu egipskich bogów, a cała intryga toczy się wokół zakazanego związku kociej bogini Bastet z magiem Methratonem i roli, jaką w spisku zawiązanym przez nich, ma odegrać chłopiec imieniem Sekh, ocalały z tajemniczego pogromu. Seria jest historią kariery Sekha, który ze znajdy włóczęgi stał się heroldem strasznego maga. W pierwszym albumie bohater zostaje wybrany i rozpoczyna szkolenie w magicznych umiejętnościach, jednocześnie tropiąc sprawców zagłady rodzinnej osady. Komiks nie odbiega zbyt wiele stylem i fabułą od innych dzieł, sygnowanych przez Froidevala, choć wydaje mi się nieco wyrastać ponad poziom dotychczasowych propozycji Amberu. Muszę jednak przyznać, że biorąc pod uwagę, iż jest to kolejna rozpoczęta seria tego autora, zaczyna mnie drażnić jego mania zawierzania akcji w najbardziej dramatycznym momencie.



rubryki, jako bonus dorzucę jeszcze dwie październikowe nowości Amberu: drugi tom serialu *Gorn*, zatytułowany *Pakt*, oraz początek kolejnej serii pt. *Methraton*. Pisząc o pierwszym tomie *Górna*, narzekałem na dziwaczne połączenie romantyczności i elementów humorystycznych. Jest to stała cecha tej serii i jeśli ktoś do tej konwencji przywyknie, kolejne tomy mogą mu się nawet podobać. *Pakt*, opowiada o dramatycznej rozprawie Górna i jego nowej, pulchnej towarzyszy w starciu horąd demonów. Bohater musi w tym celu zawrzeć pakt z Piekiełem, co podsuwa mi podejrzenie, że w kolejnych epizodach będziemy mieli do czynienia ze swego rodzaju Spawnem w kostiumie... przepraszam: zbroi fantasy. Graficznie rysunki Ogera robią nawet wrażenie swoją dynamiką i rozmachem; cały problem w tym, że nie do końca przekonuje mnie wybrana przez autora konwencja humorystycznej nad-ekspresji, zestawiona z fabułą rodem z powieści gotyckiej. Ale może z czasem się do niej przekonam...

Methraton to kolejny komiks z pakietu dokonania Francois’a Froidevala, który wyrósł na filar komiksowej propozycji Amberu. Tym razem mamy do czynienia z serią, nawiązującą do sztandarowego dzieła scenarzysty - serialu *Kroniki Czarnego Księżyca*. Tak przynajmniej twierdzi polski wydawca, ale mnie jakoś trudno w to uwierzyć,



Zaś na koniec perełka z wydawnictwa Mandragora. *Origin* to prestiżowa seria wydawnictwa Marvel - sześcioczęściowy komiks, odsłaniający dzieciństwo i źródła metamorfozy Logana-Wolverine’a - jednego z bardziej wyrazistych członków grupy X-Men. Komiks, napisany przez Paula Jenkinsa i stylowo narysowany przez Andy’ego Kuberta, wraca do dzieciństwa Logana, spędzonego w majątku Howlettów. Logan - urwis i włóczykij - jest synem miejscowego formala, okrutnika i pijaka. Cała historia widziana jest oczyma Rosę - dziewczynki do towarzystwa synka właściciela majątku, więc komiks ma wszelkie cechy skrzyżowania *Ani* z *Zielonego Wzgórza* z *Tomkiem Sawy-erem*, a zwolennicy efektywnych bijatyk z udziałem superbohaterów w barwnych strojach mogą się poczuć zawiedzeni, oglądając tylko parę klinicznych przykładów przemocy w rodzinie. Ale jestem pewien, że wszystko jeszcze przed nami. A za miesiąc Wasz recenzent powie: „Boże, ile komiksów! Kto to wszystko przeczyta?...” Cóż, będzie trudno, ale zrobię, co w mojej mocy.

Wojtek Birek

menu

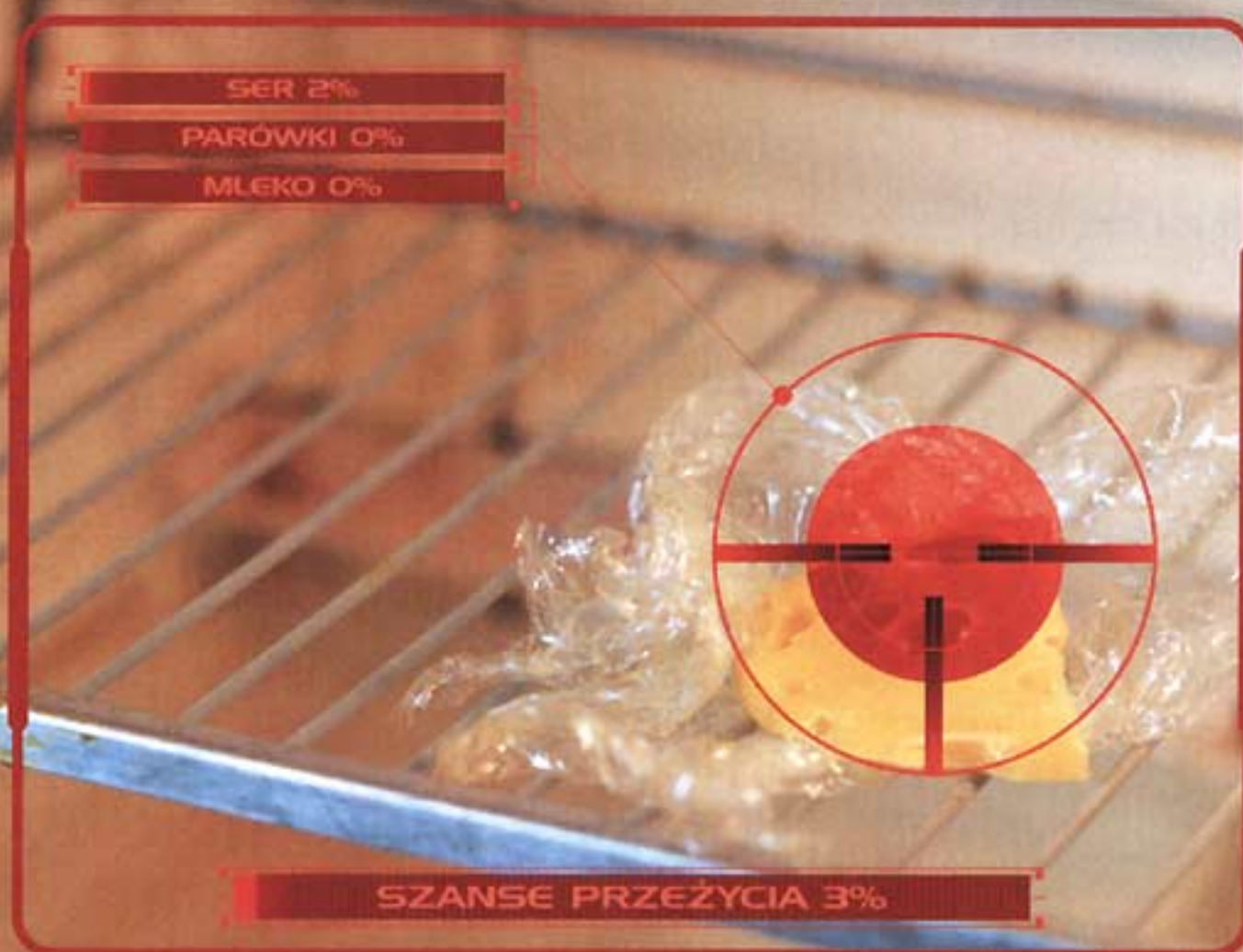
ZAPRASZAMY DO NASZEGO VORTALU INTERNETOWEGO

- * CODZIENNIE NOWE INFORMACJE
- * ZAPOWIEDZI NOWYCH NUMERÓW
 - * ARCHIWUM SF
 - * ŻÓŁTA SERIA
- * FRAGMENTY NOWYCH KSIĄŻEK
 - * KATALOG KKF
 - * GALERIE GRAFIKI
 - * DZIAŁ KOMIKSU
 - * DZIAŁ FILMOWY
- * STRONY WWW AUTORÓW
- * DZIESIĄTKI NOWYCH OPOWIADAŃ



WWW.SCIENCE-FICTION.PL

> grasz bez przerwy?



Z nami TO przeżyjesz

TOP SECRET > magazyn fanów gier komputerowych
dla których granie to sposób na życie [+]
nowości\tipsy\porady\2xCD z pełną wersją gry
+ dodatkowe misje\łatki\tapety + dużo więcej

WIELKA FANTAZJA SIMULACJA
TOP SECRET 2xCD-ROM

TOP SECRET > masz gry we krwi

WIEDZA 100%

KINO

Co za życie

(Life or Something Like It)

08.11

reż.: *Stephen Herek*

wyst: *Angelina Jolie, Stockard Channing, Edward Burns, Tony Shalhoub*

Szukając ciekawego tematu do reportażu młoda dziennikarka przeprowadzawiad z bezdomnym włóczęgą, który Fposiada zdolności parapsychologiczne.

Człowiek ten przepowiada, że zostało jej kilka dni życia...

Dystrybucja: Syrena

Znaki

(Signs)

08.11

reż.: *M. Night Shyamalan*

wyst: *Mel Gibson, Joaquin Phoenix, Rory Culkin*

Mel Gibson gra tutaj prowincjonalnego farmera, którego do furii doprowadzają kręgi i linie tworzące skomplikowane wzory, pojawiające się nocą na jego polu. Poluje na żartownisia do czasu, gdy dowie się, że tajemnicze kręgi pojawiły się na całym świecie, a do tego widziano UFO...

Polecamy.

Dystrybucja: Syrena

Władcy ognia

(Reign of Fire)

08.11

reż.: *Rob Bowman*

wyst: *Matthew McConaughey, Christian Bale, Izabella Scorupco, Gerard Butler*

Recenzja w numerze.

Dystrybucja: ITI Ciemna

Planeta skarbów

(Treasure Planet)

08.11

reż.: *Ron Clements, John Musker*

Jeszcze jedna adaptacja słynnej powieści *Wyspa skarbów*. Tym razem rysunkowa, a do tego akcją przeniesiono w kosmos, jednak nie brakuje ani skarbów ani piratów.

Raczej dla dzieci

Dystrybucja: Syrena

Spirited Away

(Sen to Chihiro no Kamikakushi)

28.11

reż.: *Hayao Miyazaki*

Bohaterka, mała dziewczynka, trafia do czarownicy, u której zaczyna uczyć się czarów.

Dla wielbicieli anime.

Dystrybucja: Monolith

Kąsek dla Vampirelli

Na Comic Convention w San Diego, wytwórnia Mindfire Entertainment ogłosiła, iż poważnie przymierza się do przeniesienia na duży ekran znanej serii komiksowej o pewnej seksownej wampirzycy. Tytuł filmu - *Vampirella*. Obraz ten będzie miał skromny jak na warunki Hollywood budżet 25 milionów dolarów i powinien ujrzeć ciemność sal kinowych pod koniec przyszłego roku.

Peter I'm Your Father

Spidey okazał się megahitem, decyzja o sequele zapadła zanim film na dobre wszedł na ekrany, zatem nic dziwnego, że scenariusz jest już niemal gotowy. Alfred Gough i Miles Millar, twórcy między innymi *Smallville* pokazali niedawno Samowi Raimi pierwszą wersję scenariusza. Niewiele wiadomo na temat akcji filmu, ale mówi się, że będzie on bardziej mroczny niż Epizod pierwszy - bohater dorośnie i akcja uwypukli konflikty jakie powodować będzie jego podwójna osobowość. Hmm, czy ja już tego gdzieś nie słyszałem?

Mam nadzieję, że Doktor Octopus nie okaże się jego ojcem - ma przecież przyjemniaczek właściwą ilość odnoży...

Zresztą, faceci, którzy napisali skrypt do *Shanghai noon* wiedzą chyba jak wygląda mroczna atmosfera. Bez dwóch zdań.

Return of the Dead

Nicolas Cage zagra w fantastycznym thrillerze noszącym tytuł *Back up*, rzecz ma traktować o policjancie, który powróci z zaświatów, by rozwiązać sprawę własnego zabójstwa. Wytwórnia Castle Rock zakupiła scenariusz Toma Vaughna i już startuje z preprodukcją. Hmm, pewnie przyjęli tam jakiegos nowego dyrektora z Enronu, bo ja już ten film widziałem...

Jedi na DVD

Dwunastego listopada zobaczymy wersje DVD *Epizodu drugiego* ale na www.starwars.com jest już lista dodatkowych scen, jakie znajdują się w tej wersji.

Oto i one ze stosownym komentarzem:

- Przemówienie Padme w senacie - mam nadzieję, że równie intrygujące, jak te z naszego parlamentu.

- Scena wewnątrz Świątyni Jedi - tak, Yoda odprawiający mszę.

- Rozmowa Obi-Wana i Mace Windu na lądowisku. - Hmm, na to czekaliśmy od lat.

- Znacznie dłuższy przylot na Naboo - będzie pełna kontrola paszportowa.

- Sceny w domu rodzinnym Padme - kochanie, spójrz, kto wpadł do nas na obiad...

- Scena w sypialni Padme - hmmmm... interesujące, ale przed ślubem?

- Hrabia Dooku przesłuchujący Padme - hmmmm... ale brutal z pana hrabiego.

- Anakin i Padme podczas procesu - za scenę w sypialni bez wątpienia.

A tak na marginesie wersji IMAX-owej, podano, że będzie ona krótsza o ponad 20 minut od tej, którą widzieliśmy w normalnych kinach. W trosce o wzrok widzów rzecz jasna. Wypadną sceny pościgów na Coruscant. Po co męczyć oczy takimi widokami?

Twochy robi fochy

Twórca *Pitch Black* już za dwa tygodnie przedstawi swój nowy film noszący wiele mówiący tytuł *Below*. Co ciekawe, na razie nic nie wiadomo na temat tego obrazu, prócz tego, że dotyczy on kontaktu z cywilizacją zamieszkującą dno oceanu. Oczywiście, mamy do czynienia z mocnym i zapewne krwawym thrillerem, a nawet z horrorem, bo w tej tematyce pan Twohy czuje się świetnie. Ciekawe, czy i widzowie poczną się równie komfortowo. Nie omieszkam poinformować Was o tym w następnym numerze.

Kidman to czarownica

Nicole Kidman przymierza się do wysokobudżetowej przeróbki starego serialu fantastycznego, za który zabiera się wytwórnia Columbia Pictures. *Bewitched*, bo o nim mowa, święcił tryumfy dekady temu, ale nadal pojawia się na kanałach tematycznych i cieszy się dużym zainteresowaniem widzów. Nicole chciałaby wcielić się w piękną Samanthę, która decyduje się na utratę swoich mocy, by móc żyć z normalnym człowiekiem. W tej roli może zobaczymy samego Austina Powersa, czyli Mike'a Myersa - nie mylić z tym ohydnym rzeźnikiem z serii *Halloween*.

Żelazna łapa

Ray Park znany ze wszystkiego prócz własnej twarzy (Darth Maul w *Star Warsach* i Toad w *X-menach*) zabiera się za kręcenie własnego projektu. To znaczy filmu, w którym zagra tytułową rolę. *Iron Fist* to seria komiksowa Marvela, w której zamaskowany biały wojownik wychowany przez chińskich mnichów staje się mistrzem sztuk walki i wyrusza w świat by odszukać zabójców swoich rodziców. Batman miał podobny problem, tylko ładniejsze wdzianko.

Ucieczka z anteny

Dwa miesiące temu ogłoszono, że znany również z naszej telewizji serial *Farscape (Ucieczka w kosmos)* schodzi z anteny ze względu na spadającą oglądalność. Nie pierwszy to i nie ostatni gest rozpaczy producentów pragnących oszczędzić tak ciężko zarabiane miliony, ale tym razem akcja ta spotkała się ze zrozumiałym sprzeciwem fanów serii. Dobrze zorganizowana akcja przesłania maili do studia sparaliżowała na kilka dni biura wytwórni dając do myślenia prezesom.

Autostopowicz

Wierzcie albo i nie wierzcie, ale w końcu ruszyły prace nad *Autostopem przez Galaktykę*. Swego czasu było głośno o tej produkcji, ale śmierć Douglasa Addamsa przekreśliła wcześniejsze plany twórców tego odlotowego filmu. Kilka miesięcy trwało ustalanie nowych warunków na jakich wytwórnia może pracować z tym tekstem i po zadowoleniu spadkobierców autora, prace ruszyły pełną parą. Gotowy jest już szkic scenariusza i wytwórnia rozpoczęła castingi. Mówi się też o sporym budżecie...

Nie wiem jak wy, ale ja położę się przed ulubionym kinem jeśli ktoś zechce je zrównać z ziemią dla jakiejś kosmicznej autobahny. No, chyba, że będzie szła na Poznań.

Siedem dni w Ringu...

Już pod koniec listopada zobaczymy w polskich kinach kolejną produkcję z dalekiej Japonii. Tym razem będzie to znakomity, kultowy wręcz horror z Dalekiego Wschodu, który zdążył już odnieść ogromny sukces, tak prestiżowy, jak i kasowy w Japonii, Hongkongu a nawet za oceanem, gdzie Dreamworks zabrał się za kręcenie wersji dla ludzi z mniej skośnymi oczami.

Film traktuje o dziwnej kasecie video, która krąży z rąk do rąk. Kto ją obejrzy musi umrzeć w ciągu siedmiu dni. Ludzie nie wierzą w takie fatum, ale gdy kolejni z nich tracą życie, zaczyna się dramatyczny wyścig do miejsca, które jest widoczne na nagraniu. To miejsce, to dziwna studnia (stąd tytuł filmu - otwór w studni to właśnie ten krąg).

Hideo Nakata wyreżyserował ten niskobudżetowy horror na podstawie książki niezwykle popularnego w Japonii pisarza grozy Koji Suzuki. Zrealizowany dość dawno, bo już w 1998 roku, zdążył zdobyć nagrodę dla najlepszego filmu i za najlepsze efekty wizualne na festiwalu w Sitges oraz główną nagrodę (Golden Raven) na Brussels International Festival of Fantasy Film.

Wydaje się, że dopiero zapowiedź premiery amerykańskiej wersji sprawiła, iż nasi rodzimi dystrybutorzy zainteresowali się tym filmem. W każdym razie jest to rzecz o niebo lepsza od niedawno prezentowanego *Avalonu*.

Swoją drogą ciekawe, że kinematografia japońska a zwłaszcza jej fantastyczne produkcje nie trafiają na polski rynek. Godzilla tak, ale taki na przykład *Parasite Eve*, kultowy jak szlag, bo i gra była i książka, został całkowicie pominięty przez naszych szperaczy.

Bo pewnie nie był mangowy...

Kasowe karły

Jakiś czas temu pasjonowaliśmy się wyścigiem jaki rozegrał się pomiędzy *Harrym Potterem* a *Władcą Pierścieni*. Na marginesie tamtej rywalizacji chciałbym pokazać kilka wyników, które przyprowadzają o palpitację serca kolejnych producentów w Hollywood. Oczywiście mowa będzie tylko o fantasyce. Oto największe i najbardziej spektakularne porażki ostatnich miesięcy:

- wprawdzie rok jeszcze się nie skończył, ale można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że absolutną wtopą roku jest *Pluto Nash*, komedia z Eddiemem Murphy o właścicielu baru na Księżycu. Trailer do tego filmu krążył na sieci od miesięcy, premiera była przesuwana. Wreszcie po sukcesie *Minority Report* zdecydowano się na wypuszczenie tej komedii sf w 2700 kopiach. Wynik przeszedł oczekiwania wszystkich macherów od filmów. Lekko ponad 4 miliony dolarów wpływów i chwahit. A film kosztował ponad 90 milionów i na reklamkę poszło ze 40. Ech, ile browarów za to by było...

Nie powiodło się też *Impostorowi*. 1870 kopii i tylko 6,2 miliona wpływów. Nie pomógł Dick, nie pomogła obsada, tyle, że budżet był niewielki i straty pokryje video.

Atak Pająków, który właśnie przemknął przez nasze kina był o wiele tańszy w produkcji od *Pluto Nasha* i zarobił nieco więcej, bo około 17 milionów, ale i tak nie zrekomensował nakładów na siebie, a i poza Ameryką nie idzie temu filmowi najlepiej, mimo iż krewniacy Spider-Mana dwoją się i troją, żeby odgryźć się ludziom za zrywanie pajęczyn.

Ostatnim naprawdę wielkim przegranym może być w tym sezonie *Rollerball*. Nowa wersja weszła na ekrany w 2700 kopiach a skończyła na 18 milionach. Przy takim marketingu i nakładach, kaplica.

VIDEO

Spider-Man

(Spider-Man)

08.11

reż.: Sam Raimi

wyst: Tobey Maguire, Kirsten Dunst, Willem Dafoe

Ekranizacja jednego z najsłynniejszych komiksów. Bohater, Peter Parker, zostaje pogryziony przez zmutowanego pająka i zyskuje nowe, niesłychane zdolności.

Kto nie widział, musi zobaczyć.

Dystrybucja: Columbia

Władca Pierścieni

(The Lord of the Rings. The Fellowship of the Ring)

28.11

reż.: Peter Jackson

wyst: Elijah Wood, Sean Astin, Ian McKellen, Viggo Mortensen, Sean Bean, Dominic Monaghan, Billy Boyd, John Rhys-Davies, Orlando Bloom

Tego filmu chyba nie trzeba nikomu zachwalać. Pierwsza część trylogii Tolkiena wreszcie na wideo.

Gorąco polecam.

Dystrybucja: Warner

Gigantyczna gwiazdna flota przemierza

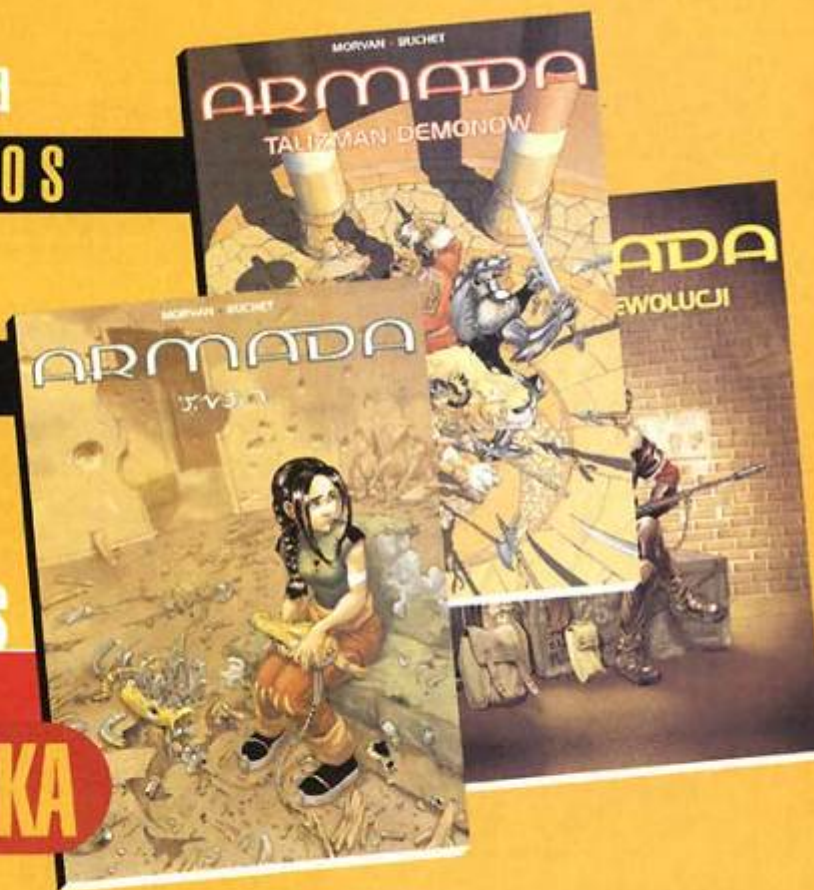
KOSMOS

Napotyka, nowe rasy, dziwne kultury,

NIEZWYKŁE ŚWIATY

Wśród badaczy jest Navis

OSTATNIA ZIEMIANKA



SCIENCE FICTION POLECA NAJLEPSZĄ POLSKĄ FANTASTYKĘ

ZAPAMIĘTAJ TEN KOLOR!

**OTO BARWA
MŁODYCH WILKÓW
POLSKIEJ FANTASTYKI**

ŻÓŁTA SERIA
SCIENCE FICTION MADE IN POLAND
NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH MŁODEGO POKOLENIA

**PIERWSZA KSIĄŻKA JUŻ
NA BOŻE NARÓDZENIE**

WISNIE